

MAŁGORZATA OLIWIA

SOBCZAK



SZUM

w
ab
ydawnic
two

MAŁGORZATA OLIWIA
SOBCZAK

SZUM. GRANICE RYZYKA



Copyright © by Małgorzata Oliwia Sobczak, MMXXII
Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[2019](#)

[1992](#)

[2019](#)

[1992](#)

[2019](#)

[1992](#)

[2019](#)

[1992](#)

[2019](#)

[1992](#)

[2019](#)

1992

2019

Kilka dni później

1992

2020

Podziękowania

Prolog

Z czarnego bezgwieздnego nieba sypał mokry śnieg. Wielkie płatki osiadały na szarej wełnianej czapce i niebiesko-brązowej kurtce z koca. Rozpuszczały się błyskawicznie na jej wytuszowanych rzęsach, powodując lekkie szczypanie. Spuściła głowę. Bordowe martensy na osiem dziurek, które dostała od rodziców po trzeciej klasie liceum za czerwony pasek na świadectwie, rozbijały białoszarą breję na chodniku.

Chlap. Chlap.

Nie znosiła takiej pogody. Zimny wiatr i wilgoć sprawiały, że zerowa temperatura dawała w kość mocniej niż mróz. Miała nadzieję, że wypadające już za tydzień Boże Narodzenie będzie bajkowo białe. Ze jak co roku o północy wybierze się z rodzicami na sopocką Łysą Górę. To była ich tradycja. Inni chodzili na pasterkę, a oni jeździli na sankach. Dopieszczali swoje wewnętrzne dzieci – żeby nigdy nie odeszły. Tak mówiła mama, na co Ada kiwała głową. Barbara Milewska skończyła filozofię i często twierdziła, że jest idealistką, ale tata dokuczał jej, że jest po prostu dziecinna. Dziewczyna na tę myśl lekko się uśmiechnęła, czując jednocześnie nieprzyjemne ukłucie w brzuchu. Nie lubiła mieć przed rodzicami tajemnic. Zasadniczo nigdy ich nie miała. Aż do teraz. Ale to już przeszłość. Skończyła z tym. Na początku ją to ekscytowało. I to bardzo. Bardziej niż wszystko dotąd. Czuła się wybrana, wyjątkowa. Ale po czasie zaczęło też męczyć, bo musiała wymyślać i kłamać. I było coś jeszcze. Coś, co ją niepokoiło, choć nie potrafiła tego nazwać.

Bo tak naprawdę co ona w ogóle o nim wiedziała?

Adrianna Milewska skręciła w lewo i omijając niekształtne, brudne zasy i rozlaną kałużę, weszła na pobłyskującą w świetle latarni jezdnię. Biegiem przecięła ją na ukos i znalazła się na cichej, zabudowanej eklektycznymi kamienicami ulicy Kasprowicza. Wszyscy przygotowywali się już do świąt. Gdzieniegdzie w ogrodach

pobłyskiwały choinkowe łańcuchy. Tu i ówdzie na parapetach paliły się też adwentowe świeczniki.

Dziewczyna poprawiła uszy sportowej torby, która zjechała jej z ramienia, i znów pochyliła głowę, by osłonić twarz przed wilgotnymi płatami śniegu z deszczem. Szła szybkim, sprężystym krokiem, by jak najprędzej znaleźć się w domu. Dzisiejszy trening tańca disco był wyczerpujący. Dała z siebie naprawdę wszystko. Tańczyła na sto procent. Czuła to. I było to też widać, bo trenerka ją pochwaliła. Przy wszystkich! „Jeśli na zawodach będziecie mieć w sobie taką pasję jak Ada, to zwycięstwo mamy w kieszeni” – powiedziała. Na to wspomnienie cicho pisnęła. Niby miała najbujniejsze kształty ze wszystkich koleżanek, a jednak okazała się najlepsza! Z rozpędu kopnęła grudę leżącą na jej trasie brei. Ta rozpadła się miękko na wszystkie strony.

Ada była już blisko.

Zjem sobie kanapki z szynką i świeżym ogórkiem posypanym solą i pieprzem. Całą górę. I wypiję gorącą herbatę. Koniecznie z cytryną i łyżeczką cukru – pomyślała i aż przełknęła ślinę. I pod koc. I jakiś wspólny film. Może tata wypożyczył coś nowego? – zastanowiła się z nadzieją.

Do bramy miała dosłownie kilka metrów. Chlap. Chlap. Nie przystając, wyszperała klucz w kieszeni kurtki. Otworzyła nim furtkę i znalazła się na posesji. Podniosła głowę. W oknie przysłanianym tylko przez zazdrostkę dostrzegła rodziców. Stali przy kuchennym blacie. Mama coś mówiła, sięgając po stojące na wysokiej półce filiżanki, a tata otworzył lodówkę. Na chwilę zniknął za poźółkłymi topornymi drzwiami. Znów się pojawił. Adrianna poczuła w sobie miłość.

Nagle przez ogród przemknął jakiś cień. Dziewczyna zamarła. Zmrużyła oczy, próbując coś dostrzec.

– Jest tu ktoś? – zapytała.

Cisza. Tylko spływające po rynnie krople.

Kap. Kap. Kap.

– Halo! – zawołała głośniej.

Wtedy wyszedł z ciemności. Na twarz padało mu światło wkomponowanej w mleczną osłonkę żarówki wiszącej na frontowej fasadzie.

– Boże, jak mnie wystraszyłeś. – Ada z ulgą położyła rękę przy sercu. Wyczuła pod palcami nasiąknięty wodą materiał kurtki z koca. – Co ty tu robisz? – syknęła, rzucając spojrzenie na kuchenne okno.

Tata nachylał się nad odwróconą do blatu mamą. Patrzył przez ramię, jak kroi w plastry położone na desce pęto kiełbasy.

„Nie tak grubo” – upominał ją na pewno, bo mama szturchnęła go w bok łokciem.

– Musiałem cię zobaczyć – odparł mężczyzna.

– Powaliło cię?! – obruszyła się. – Mówiłam ci, że nie chcę się więcej z tobą spotykać.

– Nie wierzę ci.

– To uwierz! – Ostentacyjnie ściągnęła brwi i ruszyła do przodu.

– Nie możesz! – Złapał ją za ramię.

– Puszczaj. – Starła się wyrwać, lecz coraz mocniej i łapczywiej zaciskał palce na jej ręce.

– Nie możesz – syknął raz jeszcze.

Spojrzała mu w twarz. Te oczy. Nieobecne i dzikie, o rozszerzonych źrenicach.

Przerażona chciała krzyknąć, lecz w tym momencie przycisnął jej usta. Poczowała pod zębami mokrą skórzaną rękawiczkę. Szarpała się, ale powalił ją na ziemię i przycisnął swoim ciałem. Był ciężki. Tak bardzo ciężki. Czapka zsunęła się jej z głowy, a w krótkie, pofarbowane na czarno włosy wsiąkało muliste, zimne błoto. Mężczyzna zsunął się na bok i zaczął wodzić dłonią po jej nogach, starając się zdjąć jej spodnie. Wierzgnęła, lecz okalające jej kolana udo napastnika zablokowało jej ruchy. Bezgłośny krzyk ginął w skórzanej rękawiczkę, która wbijała jej się w żuchwę. Znów wierzgnęła, starając się włożyć w to wszystkie siły. Noga mężczyzny podskoczyła. Znów więc, asekuracyjnie, znalazł się na niej. Nie odrywając ręki od ust, usiadł na jej ciele okrakiem.

– Uspokój się – powiedział i wymierzył cios w jej oko.

Ból. Przenikający na wskroś ból.

– Uspokój się, suko! – powtórzył, uwalniając jej usta. Znów uderzył i tym razem trafił w skroń.

Jej głowa przechyliła się w prawo. Za kuchennym oknem znów dojrzała rodziców. Tata się śmiał. Beztrosko zmierzwił mamie

ciemne kosmyki. Ta wyraźnie fuknęła.

„Uważaj na fryzurę!” – pewnie powiedziała coś w tym stylu, bo tata podniósł ręce w geście poddania i łobuzersko wzruszył ramionami.

Proszę, spójrzcie tu! Zobaczcie mnie! – zaklinała w myślach. *Mamo! Tato! Spójrzcie tu...*

Ciężar na jej ciele teraz zmalął, ale i tak nie miała siły się ruszyć. Czuła, że mężczyzna ściąga jej spodnie. Skóra pośladków i ud zetknęła się z grząskim, zmarzniętym gruntem, który po chwili zaczął się pod nią przesuwawać. W tę i we w tę. W tę i we w tę.

– Tego chciałaś? Tego!?! – warczał.

Mamo. Tato. Proszę! – nawoływała w myślach panicznie. Po jej policzkach spływały łzy. *Jestem tu! Jestem!*

W tę i we w tę. W tę i we w tę.

Mama sięgnęła po talerze. Wyłożyła je na blat. Taty nie było widać. Musiał pójść podłączyć do kontaktu lampki na tej małej sztucznej choince stojącej na rogu kuchennego stołu, bo pomieszczenie wypełnił po chwili ciepły blask. Mama chwyciła talerze i też odeszła od okna.

Nie. Nie odchodźcie. Nie odchodźcie!

Pewnie usiedli do kolacji. Wgryźli się już w gorącą, smażoną na cebuli kiełbasę pokrytą roztopionym żółtym serem, którą mama tak lubiła. Ciekawe, czy zastanawiają się, czemu jeszcze jej nie ma.

Tu jestem, mamo. Tu! – wołała wciąż w myślach.

W tę i we w tę.

Z trudem podźwignęła głowę. Spojrzała w górę. Śnieg. Na jej policzkach lądowały prawdziwe, zwarte, sześcioramienne gwiazdki. Temperatura musiała spaść poniżej zera. Może więc święta będą białe? Może pójdą na sanki na Łysą Górę karmić swoje wewnętrzne dzieci? Nie rozumiała, po co tak szybko chciała stać się dorosła. Nie rozumiała, czego więcej szukała, skoro wszystko miała na wyciągnięcie ręki.

W tę i we w tę. W tę i we w tę.

Oderwała wzrok od nieba.

Spojrzała wprost na mężczyznę. Jego zmrużone oczy przybrały czerwony kolor. Były zupełnie zwierzęce. Zamarł.

– Nie patrz na mnie, kurwo – powiedział przez zęby.

Wymacał leżący obok kamień. Zacisnął na nim dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce.

– Nie patrz!!! – zasyczał.

I uderzył w jej głowę. Jeden raz. Drugi. I trzeci. I czwarty.

Uderzał tak długo, aż przestała patrzeć.

Aż z jej głowy pozostała breja, która zmieszała się z powoli marznącym, coraz bielszym śniegiem.

2019

1

Benedykt Dembski miał na sobie srebrzysty garnitur, spod którego wystawała śnieżnobiała koszula. Otwarty ostatni guzik i brak krawata miały przyciągnąć sympatię młodszych wyborców. Może z tego samego powodu polityk nałożył na jeszcze niedawno przyprószone siwizną włosy brązowy toner.

– Żyjemy w państwie o ustroju postkomunistycznym – prawil z przejęciem. – Dzisiejsi rządzący chcą nam zabrać całą wolność! Całą! Ale my nie damy jej sobie wyrwać! Nigdy! Nie damy się monowładzy, która zrobi z nas pionki przesuwane po ich autorytarnej planszy. Prędzej zrobimy przewrót, wyjdziemy na barykady, będziemy walczyć słowem i orężem – ekscytował się.

Alicja Grabska mocniej wyciągnęła mikrofon owinięty szarą gąbką z logo „Dziennika Trójmiejskiego”. Podparła łokieć drugą ręką. Wiatr targał jej długimi blond włosami, które raz po raz prześlizgiwały się po twarzy. Poruszyła głowę, odrzucając je w tył.

– Tymczasem prosimy państwa o głosy! Wybierzcie ludzi przyzwoitych, którzy przywrócą demokratyczne rządy, wesprą przedsiębiorców sumiennych, zarabiających na życie ciężką pracą, a nie siedzeniem w domu, ukróć szerszą się nepotyzm, zwalczą korupcję. Mówię oczywiście o nas. – Puścił oko, a dziennikarze lekko się zaśmiali. – A teraz czekam na państwa pytania.

Alicja się naprężyła, otworzyła usta.

– Redaktor RMF, proszę. – Kajetan Rychlik, rzecznik prasowy powstałej w zeszłym roku centrowej Nowej Drogi, wskazał wysokiego mężczyznę w niebieskiej marynarce.

– Andrzej Zaburski, RMF FM. Panie pośle, wiele pan mówi o infrastrukturze. Czy Sopot może liczyć na jakieś nowe inicjatywy w tym zakresie?

– Oczywiście! – zagrział Dembski. – Przede wszystkim będę stawiać na mieszkania komunalne. Ja, jak widzicie, mieszkam

pięknie. – Polityk wskazał dwupiętrową, reprezentacyjną willę z początku dwudziestego wieku ogrodzoną płotem w antracytowym kolorze. – Chciałbym, aby wszyscy mieszkańcy naszego kraju, zarówno Sopotu, jak i innych miejscowości, mogli znaleźć swoje miejsce na ziemi, w którym poczują się bezpiecznie i godnie.

– Panie pośle – wyrwała się Grabska, nim rzecznik prasowy zdążył wskazać kolejnego dziennikarza. – Czy to prawda, że dzięki koneksjom z obecną władzą doprowadził pan do obsadzenia w spółkach Skarbu Państwa członków pańskiej rodziny, w tym szwagra i jego syna, zapewniając im bardzo wysokie wynagrodzenia? – W oczekiwaniu naprężyła rękę z mikrofonem.

Dembski uśmiechnął się pobłaźliwie.

– A z kim mam przyjemność?

– Alicja Grabska, „Dziennik Trójmiejski”.

Polityk lekko przekrzywił głowę. Jego oczy niemal niezauważalnie błysnęły.

– Pani Alicjo. Na pani miejscu nie traktowałbym poważnie wszystkich plotek na mój temat. Ktoś kiedyś powiedział, że jestem pawianem, ale oprócz skóry na pośladkach nic z tą małpą mnie przecież nie łączy – zaśmiał się rubaszenie.

Dziennikarze też się uśmiechnęli. Wiedzieli, że ten fragment będzie szedł na czołówkach.

– Czyli to nieprawda, że pański szwagier... – Alicja nie ustępowała, lecz rzecznik o kamiennej twarzy natychmiastowo wskazał na stojącą po drugiej stronie kobietę.

– Pani redaktor, proszę o następne pytanie – zaakcentował.

– Maria Piskuła, Radio Gdańsk – przywitała się dziennikarka. – Panie pośle, czy członkowie partii mają stosowne wykształcenie i przygotowanie zawodowe, by zająć najwyższe stanowiska w państwie?

– Bardzo trafne pytanie! – pochwalił Dembski. – Pytanie kluczowe, gdyż będziemy dbać o to, by zapewnić realizację naszych celów poprzez wybór jak najbardziej zaangażowanej i wyspecjalizowanej kadry...

W tym momencie do posła podszedł zdecydowanym krokiem ubrany w grafitowy garnitur mężczyzna. Położył mu rękę na ramieniu i szepnął mu coś do ucha. Polityk zbladł. Zacisnął usta.

Bezradnie skierował wzrok na stojących naprzeciwko niego dziennikarzy, po czym bez słowa odwrócił się i udał w stronę domu.

Zdezorientowani dziennikarze spojrzeli po sobie, po czym pospiesznie popędzili za nim.

– Panie pośle! – Dało się słyszeć z każdej strony. – Co się stało?

2

Ciemnowłosy detektyw Oskar Korda wysiadł ze swojej czarnej alfy romeo. Trzasnął drzwiami. Po cichym lesie poniosło się echo. Z gałęzi zerwała się kawka. Wzbiła się w górę. Przysiadła na drzewie obok.

Mężczyzna rozejrzał się wokół. Łysawe drzewa lekko się kołysały. Na miękkiej, wilgotnej ziemi leżały podgniłe pomarańczowobrazowe liście. Na drodze przed sobą dostrzegł rozmyte przez deszcz koleiny. Odcisnęły się w nich ledwo widoczne kanciaste ślady bieżników. Korda schylił się i przyjrzał im z uwagą. Przejechał po śladzie palcami w czarnych skórzanych rękawiczkach. Następnie wstał i podążył ścieżką. Naprzeciw wyszedł mu starszy sierżant Adam Gustowski, nazywany w firmie Gustlikiem. Jak zwykle wyglądał tak, jakby zapomniał użyć grzebienia. Rozczochrane włosy sterczały na boki.

– Jezu, znowu las – stęknął, rozglądając się wokół. – Ja to normalnie zaczynam łapać dendrofobię. – Przejechał dłonią po spoconym czole.

– Co tym razem, Gustlik? – Korda z sarkastycznym uśmiechem zerknął na sierżanta.

– No jakoś po tej zeszłorocznej historii z Sopockim Rozpruwaczem to drzew zacząłem się serio bać! Od tego dnia, co nieopodal Łysej Góry znaleźliśmy tę dziewczynę z rozplataną szyją, to z własnej woli do lasu nie wszedłem. O, nie, nie. Spacerki to nad morzem, bardzo proszę, ale żadne ścieżki wśród drzew – pociągnął nosem.

– Dobra, Gustlik. Do rzeczy – ponaglił detektyw.

– Tak jak mówiłem, wczoraj sprawdziliśmy stacje pogotowia, placówki służby zdrowia, szpitale. Przeczesał pas przybrzeżny,

zarośla. A dzisiaj las. No i w końcu natrafiliśmy na czarną corollę. Blachy się zgadzają. To zdecydowanie samochód poszukiwanej.

Zatrzymali się po kilkunastu metrach. Auto zaparkowano na poboczu pomiędzy drzewami. Na przedniej i tylnej szybie wylądowało kilka pomarańczowych liści. Na dachu leżał jakiś badył. Cztery pary drzwi były zamknięte, ale Korda wiedział, że zamki nie zostały zablokowane.

– Co zdołaliście ustalić? – Korda odwrócił się do Gustlika, omijając wzrokiem dwóch funkcjonariuszy w mundurach, którzy przestępowali z nogi na nogę.

Gustowski poprawił opadające na nos grube oprawki okularów korekcyjnych.

– Na pierwszy rzut oka nie ma śladów walki. Silnik jest zimny, więc auto na pewno stoi tu już dłuższą chwilę.

Detektyw spokojnie przesunął wzrokiem po ziemi i utkwiał wzrok w jednym punkcie.

– A to? – Przechylił głowę na bok. W rozmokłej glebie tuż przy drzwiach od strony kierowcy rysowały się dwa gładkie wgłębienia. Oskar przykucnął i zmrużył oczy o ciemnych tęczęwkach. – Odciski stóp – powiedział jakby do siebie. – Na oko w rozmiarze czterdzieści trzy–czterdzieści cztery, oddalone od siebie o jakieś osiemdziesiąt centymetrów.

– Tylko podeszew brakuje – zamyślił się Gustowski.

Oskar Korda mimowolnie potarł ciągnącą się przez jego prawy policzek cienką bliznę.

– Ktoś miał na nogach ochraniacze. – Gustowski pokiwał głową. Korda zaś wstał i znów przemierzył wzrokiem okolicę. – I najwyraźniej dźwignął coś, co sprawiło, że tak mocno zapadł się w glebę.

Stojący pod wiekowym świerkiem funkcjonariusze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Poinformowaliście już rodzinę? – Detektyw znów zwrócił się do Gustlika.

– Tak. Jak tylko znaleźliśmy auto.

– No dobra. Zabezpieczcie mi tu wszystko i wezwijcie techników. I spróbujcie nic nie zdeptać, okej? – powiedział do funkcjonariuszy

w granatowych mundurach. – A! I te pety z ziemi pozbierajcie. – Pokręcił głową. – Chyba że to nie wasze?

Jeden z policjantów chrząknął i karnie schylił się po niedopałki.

3

Ten zapach. Cały czas czuł go w nozdrzach. Niezbyt mocny, ale specyficzny. Cytrusowy, lekko spirytusowy. Ktoś prawdopodobnie starał się zatrzeć w aucie Liwii Dembskiej ślady, a to nie wróżyło dobrze.

Oskar Korda zaparkował przy ulicy Abrahama. Na chodniku przed reprezentacyjną willą cisnęła się grupa ludzi. W rękach trzymali papierosy i mikrofony w kolorowych piankach. W vanie o otwartych tylnych drzwiach z logo TVP Gdańsk dostrzegł profesjonalne kamery gotowe do natychmiastowego użycia.

Jakim sposobem tak szybko się dowiedzieli? – zdziwił się w myślach.

Cmoknął prawą stroną ust. Cienka blizna sunąca po jego policzku skurczyła się i rozprostowała.

Wysiadł z samochodu i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę domu Dembskiego. Kilka osób podniosło na niego wzrok, ktoś coś komuś szepnął. Nastąpiło poruszenie. Dziennikarze rzucili się w jego stronę.

– Panie komisarzu! – Usłyszał. – Prosimy o kilka słów komentarza!

– Co takiego się wydarzyło?

– Czemu poseł Dembski tak nagle przerwał konferencję?

– Czy Dembski ma kłopoty z prawem?!

Detektyw nie zatrzymywał się, ignorując skierowane w jego stronę mikrofony. *Czyli dziennikarze byli tu przypadkiem – myślał. Nic na razie nie wiedzą. To dobrze. Bardzo dobrze.* Nie lubił, gdy tamci publicznie strzelali hipotezami, nim on je sobie zwerbalizował.

Doszedł do furtki. Wcisnął domofon i nie wiedząc czemu, na moment zerknął za siebie. Za otaczającym go tłumkiem dojrzał kobietę. Długie włosy w kolorze pszenicznego blond kołysane przez wiatr, szaro-brązowy płaszcz, na nogach ciężkie buty na grubej

platformie. Stała poważna, wyprostowana jak struna. Nie odrywała od niego oczu.

Alicja Grabska – nim zabrzączał domofon, zupełnie bez potrzeby powtórzył w myślach jej imię i nazwisko.

Korda automatycznie pchnął furtkę i znalazł się na wyłożonym eleganckim niebiesko-szarym brukiem podjeździe. Wysoki mur, odgradzający posiadłość od ulicy, porastał z tej strony zadbane czerwony bluszcz.

Przeskoczył stopnie schodów i w tym momencie drzwi się uchylły. Stał w nich mężczyzna o lekko przyprószonych siwizną ciemnych włosach.

– Detektyw Korda? – upewnił się, wyciągając do detektywa dłoń.
– Kajetan Rychlik, rzecznik prasowy Nowej Drogi. Proszę wejść. – Wskazał dłonią przestronny przedpokój. – Poseł Dembski czeka w gabinecie. Oczywiście jest bardzo zdenerwowany – mówił, prowadząc Kordę korytarzem. Jego buty nierówno stuknęły o parkiet.
– Czy coś wiadomo?

– Pan pozwoli, że najpierw porozmawiam z posłem Dembskim – odparł cierpko detektyw, przejeżdżając wzrokiem po olejnych obrazach wiszących na ścianach.

– Naturalnie. Oczywiście – zreflektował się rzecznik. – Tylko aż trudno uwierzyć. Jeszcze się z Liwią mijaliśmy w sobotę na korytarzu i nic przecież nie wskazywało na to, żeby... – Z niedowierzaniem rozłożył ręce.

– Był pan tu w sobotę, tak? – Korda nie zwalniał kroku.

– Tak, całym sztabem byliśmy. Kilka dobrych godzin siedzieliśmy nad programem wyborczym, a potem z Benedyktem pojechaliśmy do Gdańska na demonstrację w obronie wolności słowa i wolnych mediów i zostawiliśmy dziewczynę samą. – Zdenerwowany Rychlik pokręcił głową i zacisnął dłonie.

– Jak zachowywała się Liwia?

– Nie wiem. Chyba normalnie. W każdym razie nie zauważyłem nic podejrzanego. Przeszła korytarzem i tyle. Za dużo to się jej nie przyglądałem. Wie pan, przed wyborami to taki rejwach, że... – Machnął ręką rzecznik. Podeszli pod gabinet Dembskiego. Rzecznik zapukał w uchylone drzwi i delikatnie pchnął je do przodu. – Panie pośle. Beniu – dodał poufale, ściszej głośnie. – Pan

detektyw... To ja, ten... Poczekam tam... – Wycofał się i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Benedykt Dembski wyszedł do Kordy zza biurka, mocno ścisnął mu dłoń. Wskazał krzesło naprzeciwko swojego. Usiedli. Poseł wpatrywał się w policjanta w pełnej napięcia ciszy.

Tyk. Tyk. Tyk.

Ścienny zegar miarowo przesuwiał wskazówkę. Na co dzień Dembski nie zwracał na ten dźwięk szczególnej uwagi, lecz teraz wydał mu się głośny i drapiący, jakby był najbardziej niepokojącym z możliwych brzmień.

– Jak pan wie, patrol natknął się na pojazd. Czarna toyota corolla zarejestrowana na pana córkę. Auto stało w sopockim lesie, na poboczu ścieżki, nieopodal Dębowej Drogi. Silnik zupełnie zimny. Na karoserii opadłe liście i patyki. Drzwi były przymknięte, jednak nie zablokowane.

Dembski przymknął oczy.

– Nie było oznak walki ani żadnych zauważalnych śladów wskazujących, by córka miała być ranna – dodał szybko Korda. – Tak że proszę się na razie uspokoić. Spróbujemy zrekonstruować bieg wydarzeń, dobrze?

Polityk kiwnął głową.

– Kiedy ostatni raz widział pan córkę?

– W sobotę, dwa dni temu, przygotowywaliśmy z ludźmi ze sztabu program, tutaj w domu. Siedzieliśmy nad nim niemal cały dzień, po czym wszyscy pojechaliśmy na KOD w Gdańsku. Jakoś w ciągu dnia natknąłem się na Liwię w holu. Akurat wróciła z zakupów. Spytałem, co będzie robiła. „Coś zjem i odpocznę. Może potem pójde do kina”, odpowiedziała. „Dziś nie imprezujesz?”, zdziwiłem się. „Na razie nie mam takich planów, ale wiesz, tatuś, jak jest”, zaśmiała się. – Polityk pokręcił głową i powoli wypuścił powietrze z płuc.

Raptownie wstał, podszedł do okna i otworzył je na oścież.

Do pokoju wpadło zimne listopadowe powietrze.

– Kiedy pan zauważył, że coś jest nie tak? – dopytał detektyw.

– Wróciłem późno, jakoś koło pierwszej, więc już do Liwii nie zaglądałem. Wstałem rano, poszedłem pobiegać, zjadłem śniadanie, zabrałem się za przeglądanie gazet. To taki mój codzienny rytuał.

No i w końcu tak koło piętnastej zapukałem do niej do drzwi, bo chciałem sprawdzić, czy aby znowu się nie leni, zamiast odrabiać lekcje. Otworzyłem. A jej nie było w pokoju. Łóżko zasłonięte narzutą. Zdziwiłem się, bo to oznaczało, że Liwia musiała wstać przede mną, co raczej się nie zdarzało. A po chwili pojawiła się myśl, że może w ogóle się nie położyła. Szybko wybrałem więc jej numer. Ale telefon córki był wyłączony. I jest do tej pory – stęknął, łapiąc się za wypomadowane włosy. – Jezu, gdyby ta demonstracja się nie przeciągnęła, gdybym wrócił szybciej, gdyby...

– Kontaktował się pan z jej przyjaciółmi? – przerwał politykowi Korda.

– Naturalnie! – Dembski podniósł głowę. – Nikt tego wieczoru się z nią nie widział. Liwia podobno czuła się zmęczona i nie miała ochoty nigdzie wychodzić.

– Rozumiem, że od razu sprawdził pan, czy auto Liwii jest w garażu?

– Tak, oczywiście. I okazało się, że toyoty nie ma. Więc od razu zgłosiłem zaginięcie córki na policję.

– Ma tu pan jakiś monitoring?

– Tak, tak, naturalnie, naturalnie. – Dembski pokiwał głową i przysiadł do komputera. – Mówiłem o tym policjantowi, który odebrał zgłoszenie.

Korda wstał. Okrążył stół.

– Już, już panu detektywowi pokazuję... – Poseł klikał w klawiaturę.

Klik. Klik. Klik. Klikanie zagłuszył nagły warkot.

Oskar Korda podszedł do otwartego na oścież okna, przez które wpadało do gabinetu coraz zimniejsze powietrze. Popatrzył na rozciągający się za domem ogród. Wzrastające w niebo tuje, regularnie uformowany żywopłot, mężczyzna w niebieskiej spranej kurtce koszący zadbane trawnik. Detektyw pchnął ramę okna, która z cichym sykiem wessała powietrze. Warkot zelżał. Policjant stanął obok Dembskiego.

– Wszystko zapisuje się w chmurze. Gdzieś tu miałem... – Benedykt mówił jakby do siebie. – Ach, tu. Mam. Proszę zobaczyć.

Mężczyzna kliknął na plik wideo, po czym przejechał kursorem w prawo.

Czarno-biały film zaczął się odtwarzać w przyspieszeniu, jednak obraz nie zmieniał się nawet na jotę, nie licząc listków krzewów i gałęzi drzew, którymi w tę i z powrotem szarpał wiatr.

– I teraz – powiedział Dembski, puszczając film w rzeczywistym tempie.

W ciemności nocy rozświetlanej stojącymi na podjeździe latarniami coś się poruszyło. Aluminiowa brama drgnęła i zaczęła przesuwać się w bok, odsłaniając widok na ulicę. Po chwili w zasięgu kamery znalazła się czarna corolla. Powoli wyjechała z posesji, skręcając w lewo.

– Która to była godzina? – zainteresował się Korda.

– Dwadzieścia trzy minuty po północy – odczytał poseł.

– Może pan cofnąć i zatrzymać obraz tuż przed skretem?

Benedykt posłusznie wykonał prośbę.

Za ciemną boczną szybą majaczyła jakaś postać.

– Kurczę, nic nie widać. Może pan powiększyć obraz albo przybliżyć kadr? – Korda zmrużył oczy.

– Chyba nie. – Poseł wzruszył ramionami. – No ale widać przecież, że Liwia wyjeżdża!

– Rozumiem, że mieszka pan sam z córką, tak?

– Tak. Mama Liwii zmarła. Sześć lat będzie w grudniu.

– No dobrze, prześlemy materiał z kamer technikom, może zdołają coś z tego obrazu wyłapać. Zaraz tu powinni być. A tymczasem chciałbym obejrzeć pokój Liwii, jeśli można.

Poseł skinął głową. Wstał i poprowadził Oskara Korde na piętro.

4

Alicja Grabska opierała się o czarną alfę romeo. Ręce skrzyżowała na piersi, przyciskając do niej beżowy płaszcz. Czekwała. Zimny wiatr raz po raz miotał jej blond włosami, które łaskotały skórę twarzy. Miała czas. Dzięki awansowi nie musiała więcej się spieszyć. Teraz redakcja nie wymagała już, by wrzucała do serwisu kilkanaście durnych i zupełnie pozbawionych znaczenia komercyjnych tekstów dziennie. Teraz liczyła się jakość, bo nazwisko Grabskiej stało się marką. Marką cenioną i rozpoznawalną.

Przedziwne, że osiągnęła to właśnie dzięki dramatowi, który rozegrał się ponad rok temu. Dramatowi, który dotyczył bezpośrednio jej, choć jakimś dziwnym trafem nigdy to publicznie nie wypłynęło. Nikt nigdy nie dowiedział się, iż to Alicja Grabska tak bardzo opętała myśli Sopockiego Rozpruwacza, że zabił przez to dwie młode kobiety. Wiele rzeczy wówczas nie zostało ujawnionych. Można powiedzieć, że jej się upiekło, ale dziennikarka wiedziała, że w rzeczywistości żadna informacja nie ginie. Może to była wyznaczona jej kara? To nieznośne oczekiwanie, w którym momencie jej niedbale sklejoną taśmą samoprzylepną świat runie.

Kobieta stała tak od dwóch godzin. Tymczasem inni dziennikarze odjechali. Powoli zbierali sprzęt i rozchodzili się do swoich aut. Kiloro z nich popatrywało na nią podejrzliwie. Czy coś wiedziała? Czego nie chciała im zdradzić? Czemu nadal tu tkwiła, choć ekipa techniczna „Dziennika Trójmiejskiego” już dawno się zmyła? Niektórzy rzucali jej aroganckie uśmiechy. „Wiemy, że gziłaś się z tym detektywem. Pewnie zresztą nadal się gzisz” – mówiły. Słyszała nawet rzuconą pod swoim adresem inwektywę. Ale musiało jej się wydawać. Na pewno. Bo kto tak bezpardonowo nazywa osobę, której nie zna, dziwką?

Poczuła, że po jej ciele przechodzi dreszcz. Wiatr coraz bardziej arogancko próbował dostać się za jej kołnierz. Jeszcze mocniej przycisnęła płaszcz do piersi. Nie podda się tak łatwo. O nie. Czowała, że dzieje się tu coś ważnego. Jeszcze nie wiedziała tylko co, ale doskonale rozpoznała ekipę techników policyjnych, którzy podjechali pod willę Dembskiego i z licznymi kuferkami weszli do środka. Zauważyła też starszego sierżanta Adama Gustowskiego, który im towarzyszył, i kilku innych funkcjonariuszy, których znała z widzenia. Zdecydowanie coś tu się kroiło. Czy w domu posła doszło do jakiegoś przestępstwa? Musiała się tego dowiedzieć.

W końcu bramka prowadząca do posiadłości polityka drgnęła i wysypali się z niej mężczyźni. Ktoś coś mówił, ktoś się śmiał, ktoś kogoś poklepał mocno po plecach. Otworzyły się drzwi aut. Kliknęły zapalniczki. Papierosowy dym uniósł się wysoko w powietrze.

Alicja Grabska wpatrywała się w ten obraz w natężeniu. A przede wszystkim nie odrywała wzroku od jednej osoby. Mocne szerokie plecy odziane w granatową puchówkę z kapturem. Falowane,

opadające na bok ciemnobrązowe włosy. Ten specyficzny ruch dłoni wędrującej z papierosem do ust. Patrzyła, jak rozmawia z Gustlikiem, jak wydaje polecenia funkcjonariuszom, jak kręci rozbawiony głową. Choć nie widziała jego twarzy, wiedziała, że przecina ją ten dobrze jej znany, trudny do zdefiniowania grymas. Gdy się uśmiechał, blizna na jego policzku podciągała prawy kącik ust; sprawiała, że jego mina stawała się w jakiś sposób karcąca, chmurna. Była jak ostrzeżenie.

Uśmiech nie uśmiech.

Tak zawsze o tym grymasie myślała.

Jej serce biło coraz mocniej. *Uspokój się* – zganiała się w myślach, lecz podwyższone tętno przeniosło się już do skroni. Wiedziała, że zaraz się odwróci, że ją dostrzeże. Może nawet dostrzegł ją już wcześniej, tylko nie dał tego po sobie poznać? Wcale by się nie zdziwiła. Oskar Korda nigdy nie odkrywał kart.

W oczekiwaniu oderwała się od samochodu, bo nagle dotyk karoserii jego auta wydał jej się zbyt intymny, jakby niewłaściwy. Wyprostowała się jak struna i wtedy napotkała jego spojrzenie. Ciemne, nieprzeniknione, harde.

– Cześć – wydukała.

Nonszalancko kiwnął głową, zdecydowanym krokiem podchodząc do drzwi kierowcy. Alicja śledziła go wzrokiem. Prosty duży nos, szerokie brwi, cienka lśniąca od wilgotnego powietrza skaza, po której kiedyś wodziła palcem, którą całowała, jakby chciała go oswoić.

Ale nie udało się oswoić. Ani Kordy. Ani jej – uśmiechnęła się drwiąco na tę myśl.

Oskar zerknął na nią uważnie. Oparł się łokciem o drzwi, które zdążył już otworzyć, i przechylił głowę.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Wiesz czego – odparła.

Prychnął, unosząc kącik ust.

Uśmiech nie uśmiech.

– Jesteś mi winien – dodała.

Z powątpiewaniem pokręcił głowę.

– No dobra – przyznała. – Ja jestem tobie winna...

– Nikt nikomu nie jest nic winny, okej? – przerwał jej. – Wybacz, ale się spieszę. – Oderwał się od drzwi.

– Poczekaj. – Obeszła samochód i stanęła tuż przy nim.

Doszedł ją jego zapach. Papierosowy dym i korzenne perfumy. Niemal przymknęła oczy.

Przypieszony oddech na jej karku. Obejmująca ją w pasie ręka, rytmicznie przyciągająca jej nagie ciało bliżej i bliżej, i bliżej.

– Daj mi coś. – Alicja spojrzała Kordzie w oczy. – Cokolwiek. I tak za chwilę wycieknie to do prasy, przecież wiesz.

Jego wzrok był twardy, zimny. Boże, jak ona za nim tęskniła.

– Proszę – szepnęła.

Nie była pewna, co w tym momencie miała na myśli. Wybacz mi? Zostań? Bądź?

Zacisnęła pięści.

Poczuła się jak idiotka.

– Liwia Dembska – przerwał jej rozmyślania. Ściągnęła brwi. – Córka Dembskiego. Zaginęła. Dembski poinformuje o tym publicznie o piętnastej.

Nim zdążyła podziękować, wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

Huk, który nagle rozniósł się po wyludnionej ulicy, całkowicie ją otrzeźwił.

Czyżby robiła się sentymentalna?

Skrzywiła się na tę myśl i pędem przeszła przez ulicę pokrywaną się drobnymi kroplami deszczu.

5

Oskar Korda sunął sopocką aleją Niepodległości. Coraz większe krople deszczu rozbijały się o przednią szybę jego auta. Detektyw lubił ten dźwięk, zaborczy i uspokajający zarazem. Wycieraczki pracowały coraz szybciej. Szuu. Jednopiętrowy budynek KFC. Szuu. Stacja benzynowa Cirke. Szuu. Wyłaniające się dziesięcioletnie budynki na Żabiance. Zatrzymał się na światłach na skrzyżowaniu. Szuu. Szuu. Szuu. Na bocznej ścianie jednego z bloków dostrzegł reklamę jakiejś nowej książki kryminalnej. Skąpana w czerwieni

okładka wyglądała złowieszczo. „Absolutnie pochłaniająca” – przeczytał promocyjny slogan, przyjrzał się portretowi siedzącej na plaży długowłosej pisarki i uśmiechnął pobłaźliwie. Co też ta wypacykowana autorka mogła wiedzieć o prawdziwej robocie i zbrodni? Lubił kryminały, ale nie miały one nic wspólnego z rzeczywistością. Szuu. Pomarańczowe światło. Szuu. Zielone. Wcisnął gaz i zjechał w prawo w Czyżewskiego.

Po chwili znalazł się pod pomalowanym w pastelowe figury budynkiem Akademii Wychowania Fizycznego. Chwycił torbę sportową, którą zawsze woził w aucie, i wbiegł do środka. Podszedł do recepcji, wykupił wejściówkę i przebrał się w kąpielówki. Woda w prysznicu była przyjemnie ciepła. Spływała po ciele, sekundę wirowała w odpływie i znikiała.

Basen był przestronny. W panoramiczne okna zastępujące w całości jedną ze ścian zaciął deszcz. Drewniana konstrukcja podtrzymująca sufit dodawała temu miejscu przytulności. Korda zwyczajowo chodził na MOSiR przy Haffnera, ale mógł dziś zrobić wyjątek. Zostawił klapki pod ścianą i przeszedł nagimi stopami po jasnych mokrawych kafelkach. Stał na słupku. Rozejrzał się. Pływało dosłownie kilka osób. Na krzeselku przy brzegu siedział ratownik. Korda zatrzymał na nim wzrok. Młody mężczyzna w czerwonych spodenkach miał jasne rozwichrzone włosy i atletyczną sylwetkę. Zdecydowanie mógł się podobać dziewczynom.

Detektyw pochylił się do przodu, wyciągnął ręce przed siebie i skoczył. Przez dłuższy czas sunął pod powierzchnią, po czym wypłynął i kilkukrotnie przemierzył długość basenu kraulem. W końcu zbliżył się do gzymsu, przyciągnął do niego rękami i łapiąc oddech, ponownie zerknął na chłopaka.

Przypomniał sobie stojące na toalecie w pokoju Liwii Dembskiej zdjęcie.

- Kto to? – zapytał polityka.
- Sympatia Liwii – westchnął z politowaniem Benedykt Dembski.
- Julek, kurwa jego mać. – Korda pytająco ściągnął brwi. – Julek Kamać, ale no cóż, z takim nazwiskiem analogia sama się ciśnie na usta – prychnął.
- Nie przepada pan za nim – stwierdził Oskar.

– A bo to żadna partia dla Liwii. Wie pan, chłopak z biednej, robotniczej rodziny. Jego ojciec to jakimś tam ślusarzem jest. Nie zebym miał coś przeciwko takim ludziom, nie! No ale z czym do Liwii, rozumie pan? – Puścił porozumiewawczo oko. – Chłopak wprawdzie studiuje, ale AWF, czyli tam żadne poważne studia, dorabia sobie jako ratownik, co zresztą się chwali, no ale... – Machnął ręką. – ...wie pan, zięcia to jednak inaczej sobie wyobrażam.

– Od dawna się spotykają?

– Czy ja wiem? Jakoś od roku, choć prawdę mówiąc, to dawno go tu nie widziałem, więc może Liwia poszła w końcu po rozum do głowy? – zastanowił się. – No niestety, nie zwierza mi się w tych sprawach za bardzo. – Rozłożył ręce.

– Myśli pan, że to do niego Liwia jechała tamtej nocy?

– No niewykluczone! Niewykluczone! Choć on twierdzi, że nie miał z nią tego dnia kontaktu, ale wie pan, dzieci z takich biednych rodzin to potrafią kłamać jak z nut.

– Czemu pan tak sądzi? – Korda spojrział na Dembskiego chłodno.

– No o przetrwanie walczyć muszą, to uczą się kłamać, wie pan, jak to jest.

– Nie bardzo – odparł detektyw, odstawiając zdjęcie uśmiechniętego blondyna o nagiej, umięśnionej klatce piersiowej z powrotem na toaletkę. – Ale widzę, że pan wie doskonale.

Dembski spurpurowiał, ale nie skomentował. Wyraźnie zdał sobie sprawę, że zabrnął w ślepy zaułek.

– Tak czy siak, chłopaka trzeba sprawdzić. Boże, mam nadzieję, że on jej nic nie zrobił! – krzyknął i zacisnął pięści.

Teraz ten krzyk ponownie wybrzmiał w głowie detektywa. Zaczesał do tyłu mokre włosy i bezwiednie przejechał kciukiem po ciągnącej się po policzku bliźnie. Czy ten wyglądający jak Adonis chłopak byłby zdolny do zadania komuś cierpienia? Korda wiedział, że wygląd nie ma nic wspólnego ze zdolnością do czynienia zła. Najbrzydsze, najmroczniejsze cienie kryły się w człowieku bardzo głęboko. Nie sposób było ich dojrzeć gołym okiem.

W tym momencie usłyszał przeciągły gwizdek.

– Proszę nie chlapać na ratownika! – krzyknął rozbawiony Julek Kamać.

– To może popływasz ze mną? – Atrakcyjna blondynka w czarnym stroju podплыnęła do chłopaka i filuternie uwiesiła się gzymsu.

Kamać podszedł do dziewczyny, przykucnął i wsadził dłoń do basenu.

– Eeee, woda za zimna. – Zmysłowo, niczym czarny raper, przejechał kciukiem po ustach.

– Głupek – zaśmiała się dziewczyna i znów chlapnęła w stronę ratownika.

– Widzę, że będę musiał tu kogoś dzisiaj utopić! – krzyknął Julek, odskakując w tył.

Blondynka wybuchnęła śmiechem, po czym dała nurka w wodę. Zaczęła płynąć miarową żabką. Długie nogi rozszerzały się na boki, po czym z gracją rozprostowywały. Julek Kamać nie odrywał od niej wzroku. Zagryzł usta, które rozchyliły się w nikłym uśmiechu.

Korda mruknął coś pod nosem. Jeszcze chwilę przyglądał się chłopakowi, a następnie położył się na tafli wody i ruszył do przodu szybkim kraulem.

6

Liwia Dembska. Alicja wstukała imię i nazwisko w wyszukiwarce.

Wyskoczył jej facebookowy profil nastolatki z Rzeszowa, a także kilka artykułów o dziewczynie piłkarza Jakuba Modera – Agacie Dębskiej. Okej, widać córka znanego polityka chroniła swoją prywatność.

Grabska wpisała więc w Google Benedykta Dembskiego. Tym razem wygenerowało się kilkadziesiąt tysięcy prawidłowych wyników. Weszła w galerię zdjęć, zjechała na dół. Voilà. Na jednym ze zdjęć poseł czule obejmował córkę. Nastolatka niewątpliwie musiała przyciągać wzrok. Gęste półdługie blond włosy, niebieskie oczy, ładnie wykrojone usta. Średniego wzrostu, o dużych piersiach i wąskiej talii kontrastującej z szerokimi biodrami i dość sporymi udami. Grabska zapisała fotografię i wycięła z niej twarz dziewczyny. Odpaliła aplikację do rozpoznawania twarzy i kojarzenia jej z profilami w sieciach społecznościowych. Wgrała zdjęcie. Program po chwili wyrzucił jej kilka rekordów. Facebook,

Instagram, Pitu-Pitu... Grabska zatrzymała się zdziwiona. Pitu-Pitu? Ktoś tego jeszcze używa? Wydawało jej się, że ten komunikator już dawno przeszedł do lamusa, wyparty przez Messengera i WhatsAppa. Zaintrygowana, tym razem wbiła w wyszukiwarkę nazwę aplikacji. „Pitu-Pitu powraca w nowej formie. Stawia na randkowanie” – przeczytała. Aha. Wszystko jasne. Grabska postanowiła, że zajmie się tym kontem na końcu. Tymczasem weszła na Facebooka. Na wallu Liwii Dembskiej, działającej tutaj jako Liwia Zuzanna, wyświetliło się kilka zdjęć publicznych, na których oznaczyli ją znajomi: uśmiechnięta stoi pomiędzy chłopakiem i dziewczyną, którzy całują ją w policzek; ta sama ekipa w przebraniach kigurumi; Dembska z drinkiem w ręku na jakiejś domówce; Liwia z przyjaciółmi na imprezie halloweenowej. Dziennikarka weszła na konta pojawiającej się na fotografiach dwójki. Maciej Zaręba i Kinga Prószyńska. Tutaj znalazła jeszcze więcej niezabezpieczonych zdjęć z Liwią. Wynikało z nich, że cała trójka przyjaźniła się od początku liceum. Dużo imprezowali, wspólnie chodzili do kina, na koncerty, choć w ostatnich miesiącach aktywność Dembskiej na tych wypadach wyraźnie zmalała, bo Zaręba i Prószyńska coraz częściej pozowali do selfie we dwójkę. *Ciekawe czemu?* – pomyślała dziennikarka. *Pokłócili się? A może Dembska kogoś poznała? Kogoś, kto odciągnął ją od przyjaciół?*

W tym momencie na koncie Kingi Prószyńskiej zamieszczono post. „Fantastycznie” z Maciejem Zarębą – oznaczyła swój nastrój licealistka. „Aaaauuu! Mery Spolskyyyyy! Wczorajszy koncert w B90 wymióóóóóó!” Alicja Grabska kliknęła w filmik. Głośna muzyka, stroboskopowe światło, latający obraz. „Smutno mi. Technosmutek. Niech ci nie będzie przykro” – Kinga podskakiwała z Maciejem. „Liwiaaaa! Jak mogłaś to przegapić?!!” – krzyknęła w stronę obiektywu dziewczyna i wyciągnęła język.

– Hmm – mruknęła dziennikarka. – Najwyraźniej przyjaciele Liwii niespecjalnie przejęli się jej zaginięciem. Dziwne. No dobra. To teraz Instagram – powiedziała do siebie i odpaliła aplikację.

Tu konta trójki przyjaciół oznaczone były jako prywatne. Grabska nijak nie mogła na nie wejść.

Pozostało jej Pitu-Pitu. Wbiła adres w wyszukiwarce i po chwili na ekranie pojawiło się proste, dziecinne wręcz logo przedstawiające

słoneczko. Alicja zerknęła na informację, którą wygenerowała jej aplikacja rozpoznająca twarze. Liwia Dembska figurowała na Pitu-Pitu jako Love. Dziennikarka parsknęła śmiechem i wpisała pseudonim w okienko. Wcisnęła polecenie „szukaj”. Okazało się, że nie tylko Dembska chciała emanować miłością. PP wypluło jej pięć stron rekordów. Dziennikarka z ciekawości przejrzała kilka z nich.

Love me like you do (kobieta, 18 lat)

* Monika * Nieśmiała * Normalna, chyba

Love Rambo (mężczyzna, 16 lat)

* chcesz pogadać to mów Chcesz po pisać to pisz Luźne rozmowy albo sex

Pimp for love (kobieta, 25 lat)

* rusalki, czarownice, syreny, upiorzyce odłóżcie różańce, zacznijcie swe dzikie tańce!!!

The Soviet Love (mężczyzna, 34 lata)

* I break down, falling into love with falling apart

Full of love (kobieta, 19 lat)

* nie wymieniam się, nie chce twoich nudli, ale za to możesz mi wysłać zdjęcia piesków albo kotków jestem nieśmiała

Love and sex (mężczyzna, 29 lat)

* sex with drugs fuck boys

Love it (kobieta, 17 lat)

* kocham kotki i soplice

Love is overrated (mężczyzna, 37 lat)

* sex sex. Sexygentelman

Grabska westchnęła. Skąd się brali ci ludzie? Pokręciła głową zdumiona. Postanowiła zawęzić zakres poszukiwań i obok pseudonimu dopisała „Sopot”. Wyszukiwarka PP tym razem wyrzuciła jej jedną osobę.

Love (kobieta, 18 lat)

* nie mogę spać, gdy wieje wiatr

Liwia Dembska, bo niewątpliwie było to jej konto, o ile ktoś nie posłużył się jej zdjęciem, patrzyła prosto w obiektyw. Ubrana w czarne body eksponujące szerokie biodra siedziała na łóżku przed lustrem. Na szyi choker, a na nogach czarne nadkolanówki. Zdjęcie było bardzo seksowne. Love musiała mieć tu wielu adoratorów.

Grabska zerknęła na zegarek. Dochodziła trzynasta, musiała się zatem spieszyć, bo o piętnastej Benedykt Dembski miał poinformować media o zaginięciu córki w specjalnym oświadczeniu. Dziwne, że tak późno, ale najwyraźniej pan poseł lubił mieć wszystko pod kontrolą. A może do ostatniej chwili chciał po prostu wierzyć, że to tylko zły sen?

Alicja przejrzała czołówki portali informacyjnych. Na razie nikt nie wrzucił nawet wzmianki o zaginięciu Liwii. Świetnie. Nadal miała przewagę. Chwyciła telefon i torebkę i czym prędzej wybiegła z redakcji.

7

Automat z kawą przeciągle zaburczał. Czarna ciecz zaczęła powoli ściekać do białego papierowego kubeczka. Detektyw Oskar Korda przejechał dłonią po włosach. Wciąż były lekko wilgotne. Sięgnął po kubek i podszedł z nim do stojącego w holu stoliczka. Usiadł na twardym krześle. Kawa była mocna. Parzyła w usta.

Rozejrzał się wokół. Czyste, schludne wnętrze. Niemal surowe. Takie, jakie powinny być obiekty sportowe, w których kultywowało się wizję silnego ciała i zdyscyplinowanego umysłu. Korda lubił takie miejsca. Sprawiały, że czuł się spokojny; kołysły go. Pewnie dlatego tak bardzo lubił fotografie kontrowersyjnej Leni Riefenstahl.

Człowiek na skraju swoich możliwości, w maksymalnym napięciu pomiędzy fizycznością a psychiką, w granicznym punkcie. Doskonale wiedział, co to dawało. Euforię. Choć detektyw przepłynął dzisiaj niespełna trzydzieści długości basenu, jego mózg i tak ją dla niego wyzwolił. To była jego nagroda za pokonanie lęku. Na tę myśl Oskar uśmiechnął się kącikiem ust. Tak. Detektyw Oskar Korda bał się wody. I to od dziecka. A konkretnie od tamtego dnia. Dnia, w którym zdał sobie sprawę, że zawsze będzie samotny. Dlatego codziennie pływał, choć każdy skok kosztował go tak wiele, choć nim dotknął wyprostowanymi jak struny palcami taflí wody, musiał przeprowadzić walkę z własnym umysłem. Robił to każdego dnia od jakichś dwudziestu lat. Można by pomyśleć, że popadł przy tym w rutynę, a jednak lęk nigdy nie zmałał. Wciąż był tak samo paraliżujący, niemal zapierający dech w piersiach.

Pierdol się.

Tak za każdym razem mówił mu w myślach. To te słowa poprzedzały moment, w którym podejmował decyzję i odrywał stopy od podestu słupka. W zamian jego mózg wyrzucał adrenalinę, rozszerzał źrenice, przyspieszał czynność serca, poprawiał ukrwienie mięśni, usprawniał pracę dróg oddechowych. Stawiał go w najwyższej gotowości. A gdy Korda wychodził na brzeg, popadał w stan uniesienia, który stał się dla niego niemal uzależniający.

Skrzypnęły drzwi, po czym ciężko opadły we framugę. Detektyw upił kawę. Gorąc i gorycz. Jego wyostrzone wciąż zmysły znów zareagowały przyjemnością. Cicho mruknął i uważnie patrzył na zbliżającą się postać. Jasne rozwichrzone włosy, obcista biała koszulka opinająca twardą klatkę piersiową, szare dresy z opuszczonym krokiem. Julek Kamać poruszał się sprężysto. Widać było, że bezpiecznie czuł się na swoim terenie.

Korda wstał, wciąż taksując chłopaka wzrokiem. Ten zatrzymał się przy jego stoliku. Pewność siebie Kamacia wyraźnie ustąpiła pod oschłym wyrazem twarzy detektywa.

– Dzień dobry. Pan jest tym policjantem? – odchrząknął. – Powiedziano mi, że pan na mnie czeka...

– Detektyw Korda – zachrypiął Oskar, wskazując miejsce Julkowi.

Ten usiadł. Wyprostował plecy, liczył, że Korda coś powie, lecz policjant zwlekał – rozpostarł się na swoim krześle i spokojnie upił

łyk kawy.

– Czy pan przed chwilą nie pływał w basenie? – W końcu Kamać zaczął kojarzyć fakty.

– Pływałem – przyznał jak gdyby nigdy nic Korda, po czym przeszedł do rzeczy: – Kiedy ostatni raz widział pan Liwię Dembską? Kamać ściągnął brwi.

– Czy coś się stało? Czy wszystko z Liwią dobrze?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Już mówiłem jej ojcu. Widzieliśmy się we wtorek. Przyszedłem pod liceum, bo Liwia mi nie odpisywała i chciałem sprawdzić, czy wszystko między nami okej.

– I okej? – Korda przechylił głowę.

– Tak powiedziała. Przekonała mnie, że ma ostatnio dużo nauki, że ledwo nadgania materiał. Powiedziała nawet coś takiego: „Chciałabym zatrzymać czas na jeden dzień. Jeden dzień, w którym bym mogła odpuścić”.

– A nie zaniepokoił się pan, gdy ojciec Liwii do pana zadzwonił?

– Szczerze? Nie. Ten telefon tylko potwierdził moje przeczucia, że Liwia poznała kogoś innego i poszła w długą. A że wysłałem jej kilka SMS-ów, na które znów nie dostałem odpowiedzi... – Wzruszył ramionami. – Cóż. Nie będę się narzucać. – Chłopak popatrzył w okno.

Gałęziami stojącego nieopodal drzewa targał wiatr. Po szybie przetaczały się strugi deszczu. Po chwili odwrócił głowę w stronę Kordy.

– Czy coś się Liwii stało? – zapytał ponownie.

– Na razie tego nie wiemy – przyznał detektyw. – Liwia Dembska wyszła z domu w nocy z soboty na niedzielę i do tej pory nikt nie miał z nią kontaktu.

Julek Kamać zbladł. Otworzył usta, po czym je zamknął. I znów otworzył.

– Ale to... – Zmarszczył pochmurne czoło. – Ale to nie minęło nawet czterdzieści osiem godzin, więc... To jeszcze nic nie znaczy. Przecież mogła się zmelanzować, prawda? Albo stracić poczucie czasu u swojego nowego chłopaka, nie? My na początku też nie wychodziliśmy z łóżka przez całe weekendy – uśmiechnął się melancholijnie. – Ale rozumiem – westchnął. – Tata polityk

pociągnął za sznurki i procedury się nie liczą, prawda? Chyba że... chyba że... – Wybałuszył oczy. – Wiecie jeszcze coś...? – dodał szeptem. – Coś, co rzutuje na sprawę? – Bacznie przyglądał się Kordzie.

– Wbrew powszechnemu przekonaniu od zaginięcia wcale nie muszą upłynąć dwadzieścia cztery czy czterdzieści osiem godzin. – Twarz Kordy była niewzruszona. – Zaginięcie można zgłosić w każdej chwili. I w sumie im szybciej, tym lepiej. A zatem... – Korda sięgnął po kawę, która zdążyła ostygnąć, nabierając odpychającej kwasowości. Skrzywił się i odstawił kubek na blat stolika. – Był pan zazdrosny o Liwię.

– Nie! To znaczy tak, ale... Wyrwał pan to z kontekstu. – Kamać niespokojnie rozejrzał się wokół.

– To proszę mi przybliżyć kontekst. – Detektyw skrzyżował ramiona na piersi i nonszalancko odchylił głowę w tył.

Julek odruchowo zacisnął pięści.

– Poznałem Liwię rok temu. Na imprezie w Sfinksie. Zagadałem i od razu kliknęło. Wymieniliśmy się numerami i poszło. Te pierwsze miesiące były niesamowite, intensywne. No a potem zaczęło się psuć. Liwia coraz częściej odmawiała spotkań. Nie odpisywała, a nawet jeśli, to jakoś inaczej, chłodniej. Zrobiła się taka... hmm... niedostępna? No. Więc wiadomo. Zacząłem podejrzewać, że poznała kogoś innego, a ona zaprzeczała. Nawet teraz, we wtorek.

– Pokłóciliście się? Wtedy przed szkołą?

– Nie no... Może trochę. Normalnie znaczy. W sumie trochę mnie uspokoiła raczej. Tak że nie.

– A co robił pan w nocy z soboty na niedzielę?

Julek wydał usta.

– No jak to w sobotę. Wypiłem kilka piw na mieście. Pomelanżowałem trochę i wróciłem do domu, tak koło trzeciej? – zastanowił się.

– Ktoś to potwierdzi?

– A ja jestem o coś oskarżony? – Julek uniósł głos.

– Nie. Na razie nie. Ale będzie musiał pan przyjechać na komisariat złożyć formalne zeznania – Korda wstał. – A! W sumie mam jeszcze jedno pytanie. – Detektyw zatrzymał się. – Lubi pan swoją pracę?

– A co? Już mnie pan sobie profiluje? Nie dość, że zazdrosny, to jeszcze sfrustrowany zawodowo? – warknął Kamać. – Niestety pana zawiodę. Bardzo lubię swoją pracę! Pływanie to moja pasja!

– Czyli całe życie chce być pan ratownikiem, tak?

– A co w tym złego? – obruszył się Julek.

– Nie, nic! – szybko odparł Korda. – Tak się tylko zastanawiam, jak można tak bardzo kochać wodę. – Kącik ust Oskara drgnął w przepraszającym uśmiechu.

– Prawdę mówiąc, to chciałbym zostać nurkiem. To jest coś, co mnie naprawdę interesuje. Jak by nie było, ląd pokrywa tylko trzydzieści procent kuli ziemskiej, więc tak naprawdę tylko nurkowie mogą w pełni poznać świat. Wie pan, jakie to uczucie zejść głęboko pod wodę? Wszystkie zmysły wtedy wariują. Wszystkie obiekty wydają się większe i bliższe niż w rzeczywistości. Dźwięki rozchodzą się z czterokrotnie większą prędkością niż w powietrzu, więc nie jesteśmy w stanie określić, gdzie jest ich źródło. Feeria barw, zero zapachów. Orientacja megaszybko się gubi. Totalne szaleństwo! A jak jeszcze jakiś morświn obok przepłynie... – westchnął Kamać.

Korda w zamyśleniu pokiwał głową.

– Musi pan kiedyś spróbować – uśmiechnął się Julek.

Detektyw ściągnął usta w trudnym do zdefiniowania grymasie. Blizna na policzku rozciągnęła się. Zalśniła.

– Kiedyś – mruknął i opuścił budynek.

8

Alicja Grabska zaparkowała przy Książąt Pomorskich, wysiadła z auta i spojrzała na gmach sopockiego liceum numer jeden. Budynek z lat trzydziestych prezentował się dostojnie. Trzy piętra, czerwona cegła, kształt litery L i duże, przecięte szprosami okna. Prosty i funkcjonalny, od razu budził skojarzenia z hartem ducha i dyscypliną, choć – z tego, co słyszała dziennikarka – uczęszczali do niego najwięksi imprezowicze w Trójmieście. Przeszła przez ulicę i traktem, pomiędzy dwoma wysokimi rozłożystymi dębami o złotawych o tej porze roku liściach, dostała się do szkoły. Ciężkie

drzwi zamknęły się za nią z hukiem, który odbił się od wysokich ścian i szerokich drewnianych prowadzących na piętro schodów. Od razu uderzył ją też ten specyficzny zapach, który już dawno wywietrzyła z jej wspomnień: szkolnego kurzu, wydeptanych klepek, starych ławek i pokrytych patyną czasu gablot, dumnie prezentujących puchary i prace plastyczne najzdolniejszych uczniów.

– Pani do kogo? – Z kantorka wyszła kobieta o krótko przyszytych czerwonych włosach, wyraźnie wcześniej zawiniętych na wałki. Jej granatowy fartuch w białe groszki natychmiastowo przywołał w Alicji wspomnienie PRL-u.

Grabska uśmiechnęła się szeroko.

– Czekam tylko na przerwę – odparła. – Wie pani, umówiłam się z siostrzeńcem.

Woźna ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Jeszcze cztery minuty zostały. – Rzuciła okiem na zegarek na lewym nadgarstku. – Jak pani wie, w której klasie siostrzeniec ma lekcje, to może pani podejść – zaproponowała uprzejmie.

Grabska wiedziała. Dziś wszystko można było znaleźć w internecie. Przytaknęła i zaczęła się wspinać po skrzypiących dębowych schodach. Na półpiętrze zatrzymała się na chwilę przed zamkniętymi za szkłem kłazami zdjęć. Wpatrzyła się w uśmiechnięte twarze uczniów. Wiedziała, że to tylko pozory, że pod tymi maskami kryją się najokrutniejsze myśli o sobie samych, jakie nachodzą dorastających ludzi. Westchnęła i wdrapała się po kolejnym ciągu wysokich schodów. Stała pod oknem naprzeciwko właściwej sali w momencie, gdy na korytarzu rozbrzmiał ostry dźwięk szkolnego dzwonka. Nie wiedzieć czemu, Alicja poczuła, jak z nerwów skurczył jej się żołądek. „Lubisz pały? Lubisz?” – przez jej głowę przemknęło wspomnienie molestującego ją nauczyciela matematyki. Zaciśnęła oczy. W tamtym czasie zdarzyło się wiele złych rzeczy. Takich, które naznaczyły ją na zawsze, zmieniając koleje jej losu.

Gwar narastał, a z klasy zaczęli wytaczać się pierwsi uczniowie: jedni nieszczęśliwi, inni wyróżniający się alternatywnym stylem, w chokerach, z pofarbowanymi na czerwono i fioletowo włosami, we wzorzystych legginsach, z tęczowymi torbami. Alicja

wyprostowała się w oczekiwaniu i z uwagą przyglądała kolejnym twarzom. W końcu ich dostrzegła. Kinga Prószyńska i Maciej Zaręba też niewątpliwie lubili zwracać na siebie uwagę. Dziewczyna w spódniczce i oversizowej bluzie miała krótką, postrzępioną blond fryzurę, grube czarne kreski na powiekach, tunele w uszach i długie fluorescencyjne paznokcie. Chłopak przypominał Roberta Smitha z The Cure. Natapirowane włosy, czarna kreska wokół oczu, do tego damska koszula w biało-czarne paski. *Być może jest niebinarny* – pomyślała Grabska. W końcu coraz częściej ludzie deklarują, że nie identyfikują się z jedną z płci.

– Cześć. Jestem Alicja. Możemy chwilę porozmawiać? – Wyszła naprzeciw przyjaciół Liwii.

Zaręba i Prószyńska przystanęli. Spojrzeli na nią zaskoczeni.

– A o co chodzi?

– Chciałam pogadać o Liwii.

– Coś jej się stało? – zaniepokoiła się Kinga. – Jezu. Nadal nie wróciła? – Złapała się za serce.

Alicja przytaknęła.

– Może wyjdziemy przed budynek, co? Żeby się lepiej słyszeć.

Po kilku minutach przeciskania się przez tłum nareszcie znaleźli się na zewnątrz. Uderzyło ich zimne listopadowe powietrze, które powoli wywiewało gwar z głowy Grabskiej.

– Pani jest z policji? – zapytał Maciek.

– Nie. Jestem dziennikarką – odparła Alicja. – Ale od policjanta prowadzącego wiem, że Liwia od zeszłej nocy nie pojawiła się w domu. Dlatego wszczęto oficjalne działania, by ją odnaleźć.

Maciek z Kingą popatrzyli na siebie z szeroko otwartymi oczami.

– Mówiłam! – stwierdziła Kinga. – A ty ciągle, że Liwia znowu gdzieś fruwa. Że nas olewa. Kurwa! – stęknęła. Po czym dodała: – Przepraszam.

– Nie ma za co – uśmiechnęła się smutno Alicja. – Może faktycznie gdzieś fruwa i nie ma co się zamartwiać. Na razie nie warto panikować, ale też nie można lekceważyć sprawy. Dlatego chcę z wami porozmawiać, żeby dowiedzieć się czegoś, co mogłoby pomóc.

– Ale pani nie jest przecież z policji. – Maciek nieufnie zlustrował Grabską. – Czemu mielibyśmy zdradzić pani coś, co przekuje pani

w tanią sensację?

– Tak. Nie jestem z policji. Tak. Media szukają sensacji. Ale często wspomagają też działania śledczych. Kojarzycie morderstwa dokonane przez Sopockiego Rozpruwacza w zeszłym roku? Pomagałam wówczas detektywowi Kordzie w rozwikłaniu sprawy i ujęciu sprawcy.

Kinga wysoko podniosła brwi.

– Pani prowadzi teraz takiego głośnego bloga o prawdziwych zbrodniach, prawda? Coś z szelestem...

– „Szelest wszystkich zbrodni” – potwierdziła Grabska. – Opisuję tam nierozwiązane sprawy sprzed lat, starając się rzucić nowe światło na to, co się wówczas wydarzyło. W zbrodniach głównymi bohaterami są najczęściej emocje; to one wiodą zarówno morderców, jak i ofiary. A śledczy analizujący fakty często o nich zapominają. Jakimi zaimkami się posługujesz? – zwróciła się do chłopaka, zmieniając temat. Na szczęście już teraz wiedziała, że wypadało o to spytać.

– Stosuję wymiennie zaimki żeńskie i męskie, ale preferuję żeńskie – usłyszała. – Może pani do mnie mówić Rino. Tak zwracają się do mnie przyjaciele.

– Jest mi bardzo miło, Rino – uśmiechnęła się Grabska. – Czemu twierdzisz, że Liwia znowu gdzieś fruwa?

– Bo ostatnio była trochę nieobecna. – Rino ostentacyjnie ściągnęła usta. – Urywała się ze szkoły, coraz rzadziej z nami wychodziła. Poznała takiego typu i... – Tu nastąpiło westchnięcie i wzruszenie ramionami.

– Julka Kamacia, tak? – Grabska przypomniała sobie zdjęcie z Facebooka, na którym Dembska obejmowała się z jasnowłosym chłopakiem.

– Nie Julka – zaprzeczyła Rino.

– Rino! – przerwała Kinga, gromiąc Zarębę wzrokiem. – Liwia miała swoje tajemnice. Jak każda osoba. I nawet nam o nich nie mówiła. – Prószyńska w przeproszającym geście rozłożyła ręce.

Znów rozbrzmiał dzwonek. Tym razem ponagłał na lekcje.

– Rozumiem – powiedziała Grabska. – Dzięki za rozmowę. Jakbyście zdecydowały się powiedzieć mi coś więcej, wiecie, gdzie mnie szukać.

Dziennikarka patrzyła za odchodzącymi nastolatkami. Kinga, żywo gestykułując, powiedziała coś do Rino. Odwróciła się jeszcze przez plecy i nim pociągnęła Zarębę przez drzwi, nieufnie ostatni raz spojrzała na Grabską.

9

Budynek komendy policji w Sopocie o przeszklonym froncie przypominającym kadłub statku tonął w szarości nadchodzącego zmierzchu. Potrójne reflektory czarnej alfy romeo na chwilę rozświetliły pomarańczową cegłę. Miarowy warkot silnika umilkł. Detektyw Oskar Korda wysiadł z auta i przebijając się przez wznoszący się północny wiatr, wszedł do środka. Na spokojnej zazwyczaj komendzie wrzało. Policjanci szybko przemierzali hol, w biegu wymieniając się informacjami. Raz po raz rozbrzmiewały telefony. Widać było, że zaginięcie córki trójmiejskiego wpływowego polityka postawiło wszystkich na nogi. Odnalezienie w lesie porzuconego samochodu Liwii Dembskiej wskazywało, że sprawę trzeba potraktować priorytetowo. Nie było mowy o zwykłej ucieczce z domu. Należało przypuszczać, że dziewczyna znajdowała się w niebezpieczeństwie. Wiedział to również Benedykt Dembski, który za chwilę miał podać informację do wiadomości publicznej.

– Dawaj, Gustlik – rzucił Korda do starszego sierżanta Adama Gustowskiego, nie zatrzymując się.

Ten zrównał z nim krok.

– Zanim Liwia Dembska opuściła dom, nie zarejestrowano z jej telefonu żadnego połączenia. Wieczorem dzwoniła do niej przyjaciółka Kinga Prószyńska, ale Dembska nie odebrała. Zgodnie z zeznaniami Prószyńskiej wymieniły za to kilka wiadomości. Wychodzi na to, że Dembska nie miała ochoty nigdzie się tej nocy pokazywać, zgodnie z tym, co mówił jej ojciec.

– Sprawdźcie spis połączeń w ostatnich dniach, na razie zawężmy zakres researchu do dwóch ostatnich tygodni – wydał dyspozycję Korda, wspinając się po schodach na piętro. – Ostatnia aktywność telefonu?

– Przed chwilą Wydział Techniki Operacyjnej wysłał nam współrzędne logowania BTS. Ostatnie logowanie smartfona Dembskiej nastąpiło przed północą nieopodal jej domu. Musiała więc wyłączyć telefon, nim wyjechała z posesji.

– Monitoring?

– Nadal sprawdzamy. Na razie nie mamy żadnych zdjęć, które pozwoliłyby nam odtworzyć trasę. Na pewno trochę to potrwa, bo straż miejska udostępniła nam filmy ze stu siedemdziesięciu dostępnych w Sopocie kamer, w większości poustawianych przy głównych miejscówkach, które omijają trasę prowadzącą do lasu.

Zatrzymali się przy grupce policjantów wpatrzonych w wiszący na ścianie plazmowy telewizor. Benedykt Dembski, blady jak kartka papieru, wpatrywał się apatycznie w kamerę.

– Jeśli ktokolwiek dysponuje jakimiś informacjami, które pomogłyby nam odszukać Liwię... proszę... – Jego głos drżał. – ...bardzo proszę o pomoc.

– Mamy pierwszą prasówkę! – krzyknął siedzący przy biurku funkcjonariusz.

Korda zerknął mu przez ramię.

„Liwia była ostatnio trochę nieobecna – mówią o Dembskiej. Kim jest mężczyzna, z którym w tajemnicy się spotykała?” – krzyczał nagłówek artykułu autorstwa redaktorki Alicji Grabskiej.

– Kordaaaa! – Rozniosło się po pomieszczeniu.

– Tak, szefie? – Oskar spokojnie odwrócił głowę.

W drzwiach swojego gabinetu stał komendant Juliusz Szewczyk. Barczysty, łysy jak kolano inspektor huknął w stronę detektywa:

– Co to ma być?!

– Dziennikarze – wzruszył ramionami Korda. – Wystarczy im rzucić przynętę, a robią robotę za nas – uśmiechnął się szelmowsko.

Komendant spurpurowiał. Zaciśnął pięści i usta. Wyszedł na korytarz, dając detektywowi głową znak, by się zbliżył.

– Chyba nie muszę ci powtarzać, że zaginęła córka Dembskiego. Tego Dembskiego, który ma ukrócić cały ten niedemokratyczny syf, przez który musimy grać do złej bramki – wycedził.

– Wszystko mi jedno, czyja to jest córka. Dla mnie ważne jest tylko, by dziewczyna nie wsiąkła na lata bez wieści, jak Iwona Wieczorek – zaznaczył Oskar.

– Więc nie spierdol tego, Korda. – Szef położył detektywowi rękę na karku. – Nie spierdol tego przez kobietę. – Spojrzał mu znacząco w oczy.

Tego Oskar się nie spodziewał. Zaskoczony podniósł brwi. Otworzył usta, jakby chciał zaprzeczyć, lecz Szewczyk już zniknął za progiem gabinetu, ostentacyjnie zamykając przed Kordą drzwi.

– To pojechał – zaśmiał się Gustlik, który nie wiadomo kiedy znalazł się u boku detektywa.

Oskar Korda zmroził go wzrokiem.

– Nic nie mówię. – Gustowski podniósł ręce w geście kapitulacji. – Antek na ciebie czeka. – Wskazał pokój Kordey.

Starszy laborant komendy wojewódzkiej Antoni Hinc, wysoki tęgawy mężczyzna o przerzedzonych brązowych włosach, stał pośrodku gabinetu. Przywitał się z policjantami uściskiem dłoni.

– Ładnie się tu urządziłeś. – Rozejrzał się z uznaniem wokół. – Żaluzjki, wiatrak sufitowy, fikusik. Tak jakby przytulnie, nie? A ty taki oschły chłop przecież – powiedział z namysłem.

– Pozory – wtrącił Gustlik, poprawiając opadające mu na nos grube oprawki okularów.

– Chętnie bym dłużej porozmawiał o zależności pomiędzy wystrojem wewnątrz a osobowością, ale wybaczcie, trochę mnie czas goni. – Korda sarkastycznie uniósł jedną brew. – Co dla mnie masz? – zwrócił się do pracownika laboratorium kryminalistycznego.

– Nie za dużo – cmoknął Hinc. – Niestety, wewnątrz auta zostało skrupulatnie wyczyszczone. Żadnych paluchów, zgubionych włosów czy włókien z ubrań. Nie ma zupełnie z czego ciągnąć DNA. Tak że nie pomogę. – Bezradnie rozłożył ręce.

Oskar z westchnieniem podszedł do korkowej tablicy i na samym jej środku przypiął zdjęcie Liwii Dembskiej. Blondynka szeroko otwierała poważne, mądre oczy.

– Co nam zostaje? – zamyślił się, bezwiednie pocierając bliznę na twarzy.

– Słyszałeś kiedyś o ekologu sądowym? – odezwał się laborant.

– Człowiek, który czyta z kości? – zdziwił się Korda.

– To biolog sądowy, a ja mówię o ekologu – uśmiechnął się pobłaźliwie Hinc. – W Polsce praktycznie ta profesja nie istnieje, za granicą też w sumie kiełkuje, choć powstała jakieś czterdzieści lat

temu. W każdym razie to specjalista, który analizuje i interpretuje ślady wiążące się ze środowiskiem przyrodniczym na miejscu zdarzenia.

– Aha – odparł Korda nieprzytomnie.

– Chodzi o pyłki, zarodniki grzybów, skład gleby czy zwykłe mikroorganizmy...

– Nie wiem, czy to nie jest zbyt... – przerwał nieufnie detektyw.

– Wystarczy, że zbadają w samochodzie maty podłogowe, gumowe nakładki na pedały, wyściółkę bagażnika albo spojler przedniego zderzaka – wszedł mu w słowo Hinc. – Będą w stanie odtworzyć miejsce, w którym przebywali wcześniej ofiara i sprawca.

– Okej. Tym mnie kupiłeś. – Zaintrygowany Korda pokiwał z uznaniem głową. – Tylko skąd my wytrzaśniemy takiego magika?

– Tak się składa, że mam zamiar na ekologa sądowego, który wrócił właśnie z Wielkiej Brytanii do Polski, a konkretniej do Trójmiasta. – Hinc uśmiechnął się tryumfalnie.

10

– Dobra robota, Alicjo. – Wiktor Szylbach, naczelny mieszczącego się przy ulicy 1 Maja w Sopocie „Dziennika Trójmiejskiego”, stanął w drzwiach do pokoju Grabskiej. Jego siwe, sterczące włosy zwyczajowo opanował nieład, a ciężkie oprawki okularów zsuwały mu się na nos. – Byliśmy pierwsi w całej Polsce! Teraz wszyscy podają nas jako źródło, tym bardziej że mieliśmy nie tylko newsa o zaginięciu, ale i kontent interpretacyjny. „Kim jest mężczyzna, z którym w tajemnicy się spotykała?” – zacytował, zacierając ręce. – Klika się aż miło!

– Dzięki. – Grabska skromnie uśmiechnęła się znad klawiatury.

– Nie muszę ci chyba mówić, że liczę na to, że ustalisz mi personalia tajemniczego kochanka. – Naczelny szeroko się uśmiechnął.

– Ale wiesz, że za zaginięcie Liwii wcale nie musi odpowiadać ten „tajemniczy” – zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu – kochanek? Może ktoś chce po prostu wyeliminować Dembskiego z wyborów? A może nasz szanowny polityk ma wrogów, którzy chcą się za coś

zemścić? W grę wchodziłby też szantaż... albo okup? – kombinowała Grabska. – Ale na tym etapie sprawy ciężko coś...

– Tak, tak, naturalnie, Alicja. Na-tu-ra-lnie – podkreślił Szylbach. – Dlatego też zanim policja ustali, co się tak w ogóle stało, my się skupimy na tym kochanku. Bo na tym właśnie etapie ludzie, nasi czytelnicy, przede wszystkim chcą wiedzieć, z kim potajemnie się umawiała córka Dembskiego – odparł zadowolony. – Dobrze by było, żeby tak szybko się nie odnalazła – dodał jakby do siebie.

Dziennikarka zgromiła go wzrokiem.

– Nie żebym jej źle życzył! Nie, nie! – zapewnił Szylbach. – Ale to jest temat, na którym można by pociągnąć co najmniej kilka długich tygodni. Nic tak ludzi nie ożywia jak zaginięcie pięknej dziewczyny w niejasnych okolicznościach. Wiesz przecież, jak było z Iwoną Wieczorek – tłumaczył się. – Do tej pory artykuły o tej sprawie klikają się jak kapsle od piwa w majówkę.

Alicja Grabska wstała od biurka i bez słowa przeszła obok Szylbacha w stronę drzwi.

– No, w każdym razie wiesz, co robić! – krzyknął za nią szef. – Dobra robota! – powtórzył, choć dziennikarka zniknęła już za drzwiami pomieszczenia służącego za kuchnię.

Tutaj było spokojnie. Niosący się po redakcji stukot klawiatur zelżał. Kojąco pobrzękiwała mała lodóweczka, która wtórowała szemrzącemu na oknem jesiennemu deszczowi. Grabska podeszła do ekspresu. Ze stojącego obok pudełka wybrała kapsułkę o średniej mocy. Wsadziła ją do urządzenia i wdusiła srebrny przycisk. Kawa ciurkiem spłynęła do podstawionego kubka, pozostawiając na powierzchni jasną piankę.

Grabska przystanąła przy oknie. Gorący kubek rozgrzał wnętrze jej dłoni. Deszcz zaciął o szyby. Ogromny kasztanowiec stojący naprzeciwko budynku wyglądał jak czarny niespokojny potwór.

Co mogło się stać z Dembską? – przez jej głowę pędziły pytania. Czy ktoś zrobił jej krzywdę? Czy bardzo się boi? Czy w ogóle jeszcze żyje? A może po prostu uciekła gdzieś z tym facetem, baluje i właśnie w tym momencie kocha się z nim do utraty tchu?

Uśmiechnęła się lekko na tę ostatnią myśl. Miała wielką nadzieję, że tak właśnie było, choć życie nauczyło ją, że zawsze trzeba spodziewać się najgorszego. Wokół czaiło się zło: niepozorne,

bezduszne, rozciągliwe jak guma. Lubiło oblepiać, brudzić, przywierać. Pochłaniać wszystko, co dobre.

– Nasza najjaśniejsza gwiazda. – Przy uchu usłyszała męski głos.

Asystent Wiktora Szylbacha, mężczyzna o atletycznej budowie i szerokiej szczęce, Mariusz Kierski, bezszelestnie stanął tuż na nią. Wyjątkowo działał jej na nerwy. W jego pochlebstwach zawsze kryła się zawiść, a w każdym komplemente nieszczerłość.

Automatycznie przesunęła się bliżej parapetu, by nie czuć na skórze jego oddechu. Facet uwielbiał wchodzić w jej przestrzeń, tak jakby bawiło go to, że Alicja zawsze się wtedy spinała. Nigdy nie zrobił nic ostentacyjnie nagannego. Umiejętnie balansował na granicy, zachowując pozory koleżeństwa.

– Gratulacje – uśmiechnął się, zaczesując ręką jasnobrązowe włosy do tyłu. – Jak zwykle w punkt. Muszę przyznać, że zaczynasz mi imponować. Kto by pomyślał, że jeszcze rok temu pisałaś o szamponach i spinkach do włosów.

Kierski miał rację. Alicja Grabska – zwolniona z wcześniejszej pracy za to, że nie dała się uwieść szefowi – wylądowała w „Dzienniku Trójmiejskim”, przyjmując wolny wakat w dziale „Okazje”. Elektronarzędzia, moda, perfumy i gaming – tym na co dzień się zajmowała, ale w końcu udało jej się wybić. Pomógł jej w tym Sopocki Rozpruwacz, który poderżnął gardła dwóm młodym dziewczynom, czając się również na nią. Paradoksalnie nie tylko udało jej się wyjść cało z opresji, ale także napisać szereg wnikliwych artykułów, obnażających psychikę i motywy sprawcy. Przeniesiono ją do działu śledczego, w którym dotąd brylował jedynie Kierski, wystartowała z blogiem o prawdziwych zbrodniach, jej nazwisko stało się rozpoznawalne. Mocno zmieniła swoje życie, a przynajmniej bardzo starała się je zmienić.

– Kto by pomyślał, że jeszcze rok temu to ty byś dziś przyjmowała gratulacje – odcięła się Grabska, wysoko podnosząc podbródek.

Ostentacyjnie szerokim łukiem ominęła redaktora i skierowała się do drzwi.

– Alicja! – zawołał za nią Kierski.

Przystanąła.

– Przepraszam cię. – Usłyszała. Odwróciła się. – Czasami jestem dupkiem.

Patrzył na nią wyczekująco. Zawahała się.
– Jesteś dupkiem – przyznała i wyszła z kuchni.

11

Brama wjazdowa drgnęła i zaczęła się powolutku otwierać. Auto wjechało na podjazd. Silnik zgasł. Drzwi otworzyły się i z samochodu wysunął się skórzany męski kozak, który przycisnął pomarańczowy liść klonu. Trzasnęły drzwi.

Płyty na podjeździe połyskiwały wilgocią. Rozległ się dźwięk kroków, prężnych i ciężkich. Mężczyzna doszedł do wejścia. Wsunął klucz w zamek i znalazł się w przedpokoju. Zdjął wierzchnie ubranie i powiesił na wieszaku we wnęce. Buty energicznie wytarł w wycieraczkę, a na koniec przejechał podręczną ściereczką z mikrofibry. Zatrzymał się przed wiszącym nad komodą okrągłym lustrem. Poprawił ręką włosy i uśmiechnął się do swojego odbicia. Był w wyśmienitym humorze.

Pogwizdując wesoło, skierował się do dużego pokoju, prosto do stojącego na stoliku przy ścianie gramofonu. Przejrzał ustawione w rzędzie płyty. Wybrał jedną z nich i położył na talerz. Uruchomił sprzęt. Uniósł igłę i lekko opuścił ją na wirującą płytę. Ta uspokajająco zaszumiała. Uwielbiał ten dźwięk.

Podniósł ręce niczym dyrygent i czekał na pierwszy akord. Raz, dwa, trzy i... delikatne uderzenia klawiszy pianina. Westchnął. Kompozycje Erika Satie miały w sobie niepowtarzalne piękno – subtelne, smutne i mroczne. Teraz trudno było w to uwierzyć, ale jego muzyka w czasach fin de siècle’u uważana była za kontrowersyjną, bulwersującą wręcz! „Genialny błazen” – tak mówili o kompozytorze krytycy. Słuchacz z niedowierzaniem pokręcił głową, znów wznosząc palce w rytm padających dźwięków. Zrobił kilka tanecznych kroków w tył i w przód. Kto by pomyślał, że pomyśl, by muzyka stanowiła tło dla życia codziennego, okaże się tak przełomowy. Z uśmiechem na twarzy miękko przeszedł do kuchni. Otworzył piekarnik. W środku znajdowała się pieczeń z ziemniakami. Nadal ciepła. Trzeba było przyznać, że Maria doskonale sprawdzała się w roli kucharki. Tylko dlatego wciąż ją

trzymał, bo do sprzątanania nigdy nie miała drygu. Przełożył obiad na plater, chwycił z lodówki małą butelkę zimnego piwa i odstawił je na stół. Jeszcze tylko surówka.

Wsluchując się w nostalgiczne uderzenia pianina i cichutki szum z gracją sunącej po powierzchni płyty igły, przycisnął włącznik światła i otworzył drzwi do piwnicy. Z werwą zszedł na dół po wyłożonych szorstkimi kaflami schodach. Drzwi do spiżarki lekko zaskrzypiały. Przesunął wzrokiem po stojących na półkach słoiczkach. Sięgnął po jeden z nich. Wydało mu się, że słyszy coś poza muzyką. Zamarł i nadstawił uszu. Nie. Cisza. Naturalnie, że cisza. Tylko z góry dobiegały go przytłumione instrumentalne nuty.

Znów wdrapał się na piętro, wyłożył surówkę na talerz z pieczenią, usiadł do stołu, położył na kolanach białą serwetę i zaczął jeść. Małymi kęsami, elegancko, powoli – dokładnie tak, jak przyuczał go ojciec, który nie znosił, gdy matka pospiesznie nabierała kolejne kęsy. Zresztą matka w jego mniemaniu wszystko robiła źle. Dlatego syn wszystko robił dobrze, a przynajmniej bardzo się starał, by tak było. Bardzo chciał zasłużyć na miłość ojca. Bezwarunkowo kochały przecież tylko psy.

– G, D, F, B, E, A – nucił w myślach do wydobywającej się z gramofonu *Gymnopédie* i uważnie przeżuwał mięso.

Gdy skończył, dystyngowanym gestem otarł serwetą kąciki ust. Wstał i przeszedł do łazienki. Sięgnął po szczoteczkę z twardym włosiem, nałożył na nią pastę i zaczął myć zęby. Trzy minuty szorował mocno, uważnie, niemal dotkliwie. Potem rozpiął w palcach nitkę dentystyczną i zaczął czyścić przestrzenie między zębami. Mocno, dokładnie, aż do krwi, która pojawiała się na dziąśle i zostawała na nici.

Wyszczерzył się do swojego odbicia. Dobrze. Zadanie zostało wykonane na piątkę – pochwalił się w myślach. Ochlapał twarz zimną wodą, wytarł ją szorstkim ręcznikiem, aż skóra nabrała rumieńców. Znów poprawił ręką włosy. Wyszedł z łazienki i w korytarzu otworzył szafeczkę na klucze. Wisiały w rzędzie na haczykach. Sięgnął po jeden z nich, zahaczając o drugi, który zaczął się chwiać. Poczuł ukłucie niepokoju, szybko wyciągnął więc rękę, by zahamować ruch. Spojrzał na nieruchomy rząddek kluczy. Odetchnął, zamknął szafeczkę, wcisnął włącznik światła w piwnicy.

Ponownie zszedł po schodach, wsłuchując się w dźwięki swoich kroków, drżąc odbijane przez kafle pokrywające stopnie i ściany.

Przeszedł przez długi wąski korytarzyk. Z wysiłkiem odsunął od ściany ciężki regał ze skrzynkami, odsłaniając drzwi. Wsadził klucz do zamka. Przekreślił. Nacisnął klamkę.

– Ciii. Nie bój się. To tylko ja – powiedział łagodnie, wchodząc do środka.

12

Śmigłowiec W3 SOKÓŁ z kamerą termowizyjną przeleciał tuż nad głową Korde, zostawiając za sobą łunę światła i głośny, powoli rozptylający się w jesiennym powietrzu warkot. Cienkie, długie snopy błyskających latarek prześlizgiwały się po drzewach. Psy tropiące bezgłośnie ciągnęły zmęczonych policjantów do przodu. Funkcjonariusze z Sopotu, wsparci przez policjantów z Wydziału Poszukiwań Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku, Biura Kryminalnego Komendy Głównej Policji oraz Grupę Poszukiwawczą USAR POLAND PSP w Gdańsku, pracowali nieprzerwanie od jedenastu godzin. Detektyw wiedział, że jeśli do tej pory niczego nie znaleziono, dłuższe działanie nie miało sensu.

Korda podszedł do prowadzącego akcję poszukiwawczą młodszego inspektora Witolda Radomskiego. Uścisnęli ręce.

– Coś nowego? – zapytał, choć doskonale znał odpowiedź.

Radomski pokręcił głową.

– Nic. Tak jak prosiłeś, chłopaki przekopały teren w odległości stu metrów od toyoty, ale na nic się nie natknęli.

– Jak by nie było, to pozytywna wiadomość – westchnął Korda i nerwowo potarł swoją bliznę. – Może dziewczyna żyje.

– Może – przytaknął Radomski, który podobnie jak detektyw zdawał sobie sprawę z tego, że mniej więcej sto metrów to granica dla kogoś, kto próbuje samodzielnie taszczyć zwłoki. Jeśli sprawca wyciągnąłby zatem z samochodu martwe ciało Liwii Dembskiej, najprawdopodobniej zakopałby je nie dalej niż w takiej odległości od ścieżki.

– Kończycie na dziś?

– Tak. Nic tu po nas. Chłopaki wymarznęte, psy zmęczone. Paliwo w śmigłowcach się kończy. Wyczerpaliśmy zasoby. Teraz wszystko w twoich rękach. Mam nadzieję, że trzymasz jakiegoś asa w rękawie? – Radomski w przelocie położył dłoń na ramieniu Kordy i zaczął wydawać dyspozycje.

Oskar Korda mruknął i w drodze do auta wybrał numer Gustlika.

– Jak postępy? – rzucił.

– Rozpytaliśmy sąsiadów Dembskiego i okolicznych mieszkańców. Nikt nie widział nic podejrzanego – odparł sierżant.

– Przyjaciele dziewczyny?

– Nie powiedzieli w sumie nic więcej niż Julek Kamać. Liwia zachowywała się ostatnio dziwnie. Mniej się udzielała towarzysko, nie wychodziła na imprezy. Olewała chłopaka. Mogła spotykać się z kimś potajemnie, tak jak wywnioskowała Grabska.

– A może wpadła po prostu w jakiś stan depresyjny? – zastanowił się Korda. – Teraz co drugi dzieciak się z tym zмага. Takie czasy.

– Fakt. Ale po co parkowałyby w lesie? – Gustlik zamilkł i po chwili się zreflektował. – O kurwa! Myślisz, że wisi gdzieś na suchej gałęzi?

– Nic takiego nie myślę. W każdym razie chłopaki przeczesają las i nie natknęły się na taki obrazek.

– Uff, oddezek ulgi. – Gustlik wypuścił powietrze.

– Taa. Zawsze to jakieś pocieszenie – zgodził się z nim Korda. – A co z monitoringiem?

– Technicy ciągle przeglądają, ale wiesz, że...

– Tak, wiem, że wymaga to czasu. – Korda wsiadł do samochodu.

– Skupcie się na Grunwaldzkiej i Niepodległości. Gdziekolwiek z Sopotu się jedzie, to ostatecznie wyskakuje się na tę ulicę.

– Rozumie się.

Oskar Korda rozłączył się i uruchomił silnik.

– Oby to był ten as w rękawie – powiedział na głos i wcisnął pedał gazu.

Detektyw mocno zaciągnął się papierosem. Wraz z obłoczkami skraplającej się pary wypuścił dym. Pstryknął niedopałkiem do studzienki kanalizacyjnej, popchnął niedomknięte drzwi środkowej klatki bloku przy Grunwaldzkiej na gdańskiej Żabiance i pokonał dwa piętra schodami. Wcisnął dzwonek, ale nie rozniósł się żaden dźwięk. Dwukrotnie zapukał. Po chwili zgrzytnął zamek i w progu ukazała się młoda brunetka o związanych w niedbały kucyk włosach, w szarym T-shircie i dużych okularach o kocim kształcie.

– Dobry wieczór – przywitał się Korda. – Miałem się tu spotkać z ekologiem sądowym.

– Dobry wieczór. To ja – uśmiechnęła się nieśmiało kobieta. – Proszę wejść. Janina Hinc. – Wyciągnęła rękę do Kordy, gdy ten znalazł się w środku.

– Hinc? – zdziwił się detektyw.

– Zazwyczaj ludzie reagują odwrotnie – zaśmiała się lekko. – W sensie przeważnie słyszę: Janina? Dla tak młodej osoby?

Korda niecierpliwie ściągnął brwi.

– Jestem córką doktora Antoniego Hince – przyznała.

– Jaja sobie robicie? – zdenerwował się Oskar. – To nie jest czas na wkręcanie rodziny w zawodowe układy. – Pokręcił z niedowierzaniem głową i chwycił klamkę.

– Proszę poczekać! To nie tak! – Kobieta złapała Kordę za ramię.

Detektyw wbił wzrok w jej dłoń, więc Hinc szybko ją cofnęła.

– To nie tak – powiedziała już spokojnie. – Jestem ekolożką kryminalistyczną, botaniczką i palinolożką. Ukończyłam University College London, na którym niegdyś wykładała sama Patricia Wiltshire. Uzyskałam stopień doktora nauk biologicznych w zakresie ekologii mikrobiologicznej i paleontologii. Pracowałam w kilku laboratoriach w Wielkiej Brytanii i jestem dobra. Naprawdę dobra – podkreśliła pewniej. – Mogę pomóc. – Spojrzała Kordzie znacząco w oczy.

Miała rozumne spojrzenie. W nieostrym świetle, które padało w korytarzu z sufitowej lampy, Oskar nie mógł do końca stwierdzić, czy jej tęcza były bardziej niebieskie czy zielone.

Korda cofnął rękę z klamki, a Janina poprowadziła go do niewielkiego pokoju.

Tam pośrodku stał duży stół nakryty blatem z mlecznego szkła. Na nim mieścił się czarny mikroskop z obrotową głowicą i czterema obiektywami. Obok leżały posegregowane przybory laboratoryjne: krążki węglowe, pudełka na próbki, pęsety. Na przyległej szafce Korda dostrzegł wirówkę laboratoryjną, mieszadło magnetyczne i inne sprzęty, których przeznaczenia nie znał.

– Jak? – zwrócił się do Hinc. – Jak może pani pomóc?

– Cóż, praca ekologa sądowego różni się od pracy wykonywanej przez techników kryminalistycznych, a przeprowadzane przeze mnie badania są odmienne niż badania podejmowane w innych naukach sądowych, takie jak choćby analiza DNA. Zgodnie z nauką Wiltshire, pionierki w tej dziedzinie, najpierw pozyskuję informacje z dowodów rzeczowych, a potem na ich podstawie kształtuję obraz... – Zrobiła pauzę dla lepszego efektu. – Obraz miejsca – uśmiechnęła się.

– Obraz miejsca? – odparł Korda z powątpiewaniem.

– Tak. Miejsca, które gdzieś tam ma swoje odzwierciedlenie. Analiza ziaren pyłku, zarodników czy innych materiałów, nawet tych, które pojawiają się w mikroskopijnej ilości na dowodach rzeczowych, pozwala na odtworzenie czegoś, co pewnego dnia wyda sprawcę. Proszę dać mi szansę – poprosiła.

Oskar Korda chwilę milczał. Jak zwykle przejechał palcem po linii na twarzy.

– Widzimy się jutro rano – powiedział w końcu i odwrócił się na pięcie.

– Gdzie? – wydukała uradowana Janina Hinc.

– Tam, gdzie pani lubi najbardziej. W lesie. – Korda pierwszy raz obdarzył kobietę uśmiechem.

14

Alfa romeo Kordy cicho mruzczała, mknąc przez niemal wyludniony Sopot. Detektyw zerknął na wyświetlacz. Dochodziła północ, a więc od zarejestrowania opuszczającej rodzinny dom Liwii Dembskiej minęło niemal czterdzieści osiem godzin. Czego zdołali się przez ten czas dowiedzieć? Niemal niczego, a to nie wróżyło dobrze. Po

Iwonie Wieczorek, której poszukiwano w Sopocie w dwa tysiące dziesiątym roku, też ślad po prostu zaginął. W kilku miejscach złapały ją kamery monitoringu. A potem zniknęła. Jakby rozplynęła się w powietrzu.

No dobra. To jeszcze nie czas na czarne myśli – złajał się Korda. Musiał być tylko uważny na każdy detal, na każde słowo. Liczył się wszelki drobiazg, jakiegokolwiek skojarzenie, które pozwoliłoby podejść do sprawy od innej strony.

„Kim jest mężczyzna, z którym w tajemnicy się spotykała?”. Przed oczami stanęła Kordzie Alicja Grabska. Jej stalowe spojrzenie, wyprostowane jak struna plecy, rysująca się tuż pod skórą zaciśnięta szczęka. Nie spodziewał się, że ją dzisiaj zobaczy. Nie spodziewał się też, że jej widok wywoła w nim aż takie emocje. A przecież na ogół był nieczuły na kobiecy urok. Przedstawicielki płci przeciwnej odpowiadały na jego fizyczne potrzeby, wdzięczne, że to właśnie je wybrał na tę jedną jedyną noc, wykorzystując go tak samo, jak on wykorzystywał je. Przy barze w sopockich knajpach nie brakowało takich kobiet. Ale z Alicją było inaczej. Przy niej odzywały się w nim jakieś nieznane głosy. Wydobywała z niego pokłady czułości, których wcześniej w sobie nie miał. I może dlatego tak do niej lgnął. I pewnie dlatego tak mocno od niej uciekał. *Zresztą z wzajemnością* – prychnął.

„Jestem zepsuta! Rozumiesz? Zepsuta!” – to były ostatnie słowa, które od niej wtedy usłyszał. Płakała. Tak rzewnie płakała. Chciał ją przytulić, pocieszyć, zaprzeczyć. Ale tego nie zrobił. Niestety.

Też był zepsuty, całkowicie wadliwy.

Faktycznie, był jej coś winien, choć rano temu zaprzeczył. Inaczej nie podzieliliby się z nią informacją.

„Nie spierdol tego, Korda. Nie spierdol tego przez kobietę” – w głowie usłyszał głos komendanta Szewczyka. Szef jak zwykle przesadzał, bo przecież media od zawsze odgrywały ważną rolę w sprawach zaginięć. Co więcej, bez pomocy Alicji Grabskiej nie udałooby mu się tak szybko namierzyć w zeszłym roku mordercy polującego na kobiety w sopockim lesie. Dziennikarka miała niezawodną intuicję. Może i była porywcza, często działała w afekcie, no i na własne życzenie pchała się w kłopoty, ale czy on

nie był taki sam? Przejechał ręką po bliźnie. Była gładka i regularna. Pozornie wygojona.

Korda mijał ulicę Podjazd, kierując się aleją Niepodległości w stronę swojego mieszkania na Kamiennym Potoku. Kątem oka zerknął na wiadukt kolejowy, gwałtownie zawrócił na skrzyżowaniu i podążył w dół Sopotu.

15

Klik. Klik. Klik.

Alicja Grabska z zapałem klikała w klawisze na stojącym przed nią laptopie. Niczym w transie, maksymalnie skoncentrowana, oddana w pełni temu, co robi. Gdy założyła bloga o prawdziwych zbrodniach, poczuła, że odnalazła swoje powołanie. To było coś, co tliło się w niej od tamtej chwili – w której zobaczyła to miejsce. Oczywiście, przechodziła tamtędy nie raz. Widziała ten dom, tamte okna, przez które można było podejrzeć szwendających się po kuchni mieszkańców, tamten schowany za furtką ogród. Ale to zdarzenie zmieniło cały kontekst przestrzeni. Cały czas pamiętała ten dzień tak wyraźnie, ze szczegółami. Miała jedenaście lat i wracała do domu od koleżanki mieszkającej przy samym końcu Kasprowicza. Padał mokry śnieg. Ogromne płaty osiadały na jej czapce, rzęsach i policzkach. Gdzieś nieopodal wyła syrena, ale za chwilę gwałtownie ucichła. Wiatr jeszcze bardziej się wzmógł. Niemal znosił ją z chodnika. Pokonała zakręt i wtedy ciemność nocy rozświetliły niebieskie koguty. Karetka, policyjne wozy, mężczyźni w czerwonych i czarnych kurtkach, na których raz po raz topniały kropy śniegu. Szła dalej, wiedzona ciekawością. Choć do oczu wdzierała się wilgoć, próbowała nie mrugać.

Wokół panował chaos. W oknach domów stali sąsiedzi. Ktoś wyszedł na schody, wysoko wyciągając szyję. Ratownicy walczyli z nogami noszy, które musiały się zaciąć. Mocno szarpali, ktoś przeklął. Po chwili mechanizm puścił z trzaskiem. Kółeczka z drzeniem przejechały tuż przed nią, sunąc w stronę ogrodu. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Jakby stała się niewidzialna. Wszystkie oczy zwrócono ku tamtemu miejscu. Przystanęła i też spojrzała

dokładnie tam. Kobieta klęczała na ziemi, tuląc kogoś w ramionach. Kiwała się w przód i w tył. Rytmicznie, nieprzerwanie. Ktoś coś do niej mówił, odciągał ją za ramiona, ale ona nie chciała puścić. Przyciskała do siebie leżącą na ziemi postać, jakby chciała się z nią skleić. W końcu policjanci złapali kobietę pod ręce, na siłę podnieśli i przesunęli niemal w powietrzu w bok.

Wycie.

Z ust kobiety wydobyło się wycie. Zwierzęce i dzikie. Jakby w tym momencie przestała być człowiekiem, przeobrażając się w coś nie z tego świata. W jej twarzy było tyle bólu, że Alicja skierowała wzrok z powrotem na ziemię.

To jest ta dziewczyna! – pomyślała zaskoczona. Ta, którą widywała przez okno, a czasami też na stacji miejskiej kolejki. Trudno było nie zwrócić na nią uwagi. Pofarbowane na czarno postrzępione włosy, mocny makijaż, szerokie biodra. Taka raczej większa niż inne nastolatki, z którymi się trzymała. I to właśnie ona leżała teraz na ziemi. Ze zmiażdżoną głową, wokół której rozlała się gęstniejąca ciemna breja, ze zdeformowanym czołem, które zdawało się cofnięte w głąb czaszki.

Alicja nie potrafiła odwrócić wzroku. Jej serce przyspieszyło. Tętno wzrosło, niemal rozsadzając skronie. Ale nie umiała przestać patrzeć, jakby ten widok zupełnie ją sparaliżował. Przez lata myślała, że musiało być z nią coś nie tak, że właśnie tak zareagowała na widok śmierci. Dopiero potem dowiedziała się, że fascynacja śmiercią wynika z korzyści ewolucyjnej. Człowiek to jednak dziwny twór. Uczy się unikać szkodliwych bodźców, odczuwając przyjemność z czyichś porażek... nawet tych najbardziej ekstremalnych. By przeżyć i prokreować, nierzadko stajemy się potworami.

– Odsuń się, dziecko! Odsuń! – Ze stuporu wyrwał ją dudniący męski głos. Ostre szarpnięcie za kurtkę. Pchnięcie przed siebie.

Jej nogi mechanicznie zaczęły nieść ją w stronę rodzinnego domu, choć jeszcze kilkakrotnie, wiedziona jakąś odśrodkową siłą, odwróciła głowę. Niebieskie pulsacyjne światła, ciemne niebo, z którego sączyła się biel, przemykające w tę i z powrotem ludzkie cienie. I krzyk. Krzyk, który przeciął powietrze, wprawiając je w drżenie. Alicja zaczęła biec i zatrzymała się dopiero pod drzwiami

mieszkania. Płacząc, dopadła matki, starając się znaleźć ukojenie w jej ramionach.

– No już, nie mazgaj się – powiedziała kobieta, odsuwając córkę od siebie na długość ramion. Alicja na chwilę zapomniała, że jej czułość od zawsze krępowała Beatę Rostocką. – Coś się stało?

Dziewczynka pokręciła głową i poczłapała do przedpokoju ściągnąć buty.

To zdarzyło się dwadzieścia siedem lat temu, a jednak dziennikarka nie od razu poczuła się na tyle silna, by na potrzeby bloga bliżej przyjrzeć się tej sprawie. Gdy po raz pierwszy otworzyła udostępnione jej akta, uświadomiła sobie, że nie spocznie, póki nie odkryje, kto zabił Adę Milewską. Zdała sobie sprawę, że w innym wypadku tamten dzień będzie prześladował ją do końca życia.

Klik. Klik. Klik.

„Gdy córka nie wracała przez kolejną godzinę, zaniepokojona matka postanowiła wyjść jej naprzeciw. Ojciec Adrianny Tomasz Milewski chciał pójść z żoną, lecz ta poprosiła, by został na wypadek, gdyby dziewczyna nadeszła do domu od drugiej strony ulicy. Barbara Milewska nałożyła ciepły płaszcz, wzięła parasolkę, którą rozpięła nad głową, i wyszła na dwór. Niczego nieświadoma minęła o dokładnie półtora metra leżące w ciemnościach ciało osiemnastolatki i znalazła się na ulicy. Rozejrzała się w lewo i w prawo, a następnie obrała kierunek, z którego zazwyczaj nadchodziła córka. Nie natknęła się po drodze na dziewczynę, choć dotarła aż do znajdującego się przy ulicy Mamuszki budynku, w którym odbywały się zajęcia taneczne. Był zamknięty, w oknach nie paliło się światło. Kobieta zawróciła, wmawiając sobie, że córka na pewno poszła do którejś z bliżej mieszkających koleżanek, by przeczekać śnieżycę. Niestety, nie знаła adresu dziewczynek chodzących z Adą na tańce. Droga powrotna była bardziej komfortowa, gdyż porywisty wiatr wiał jej teraz w plecy, a nie – jak poprzednio – w twarz. Jak powiedziała śledczym, szło jej się dużo szybciej. Dotarła mniej więcej po godzinie. Otworzyła furtkę i zamknęła za sobą drzwi, przekrzywiając parasolkę. Dostrzegła kształt na ziemi od razu, gdy odwróciła się ponownie w stronę domu. Zdziwiona zmrużyła oczy, by lepiej się przyjrzeć, i podeszła

bliżej. W panice zaczęła szybko oddychać. Długo nie mogła wydusić z siebie krzyku, jakby ten uwiązał jej w płucach”.

Alicja Grabska oderwała palce od klawiatury. Nerwowo rozprostowała plecy. Spojrzała przez okno, za którym na wietrze podrygiwały czarne ramiona drzew.

Co stało się tamtego zimowego popołudnia? Kto zabił Adrianę Milewską? I czy sprawca nadal porusza się po sopockich ulicach? Może nie raz przechodził obok Alicji? Mijał się z nią w progu piekarni, siedział nieopodal jej stolika w jednej z lokalnych restauracji, oglądał tę samą wystawę malarstwa w Państwowej Galerii Sztuki? Może otarł się o nią przypadkiem, gdy oboje przeciskali się przez tłum w jakimś klubie? Może spotkali się wzrokiem? A może czytał jej artykuły? Czy śledził sprawę Sopockiego Rozpruwacza? Czy go podziwiał? A może drżał, że i jego kiedyś dopadnie sprawiedliwość? Czy wyparł tamto zdarzenie? Ustatkował się, założył rodzinę? A może czeka w uśpieniu, by zaatakować ponownie?

Jej rozważania przerwał ostry dźwięk dzwonka. Spojrzała na zegarek. Właśnie minęła północ. Poczowała w brzuchu lekkie ukłucie, westchnęła i wstała od biurka. Po otworzeniu drzwi spokojnym krokiem przeszła do kuchni.

– Herbaty? – zapytała, nalewając wodę do elektrycznego czajnika.

– Dzięki – odparł głęboki męski głos.

Lekko drżał. *Choć Korda zapewne wypił dziś morze kaw* – pomyślała Alicja – *jest bardzo zmęczony*.

– Widziałeś mój dzisiejszy artykuł, jak mniemam. – Grabska odwróciła się w stronę detektywa. – Nie powiedziałam niczego, co mogłoby utrudnić śledztwo. To tylko hipoteza... – choć tego nie chciała, automatycznie zaczęła się tłumaczyć.

– Spokojnie. – Korda uniósł kącik ust.

Uśmiech nie uśmiech.

Jak dobrze go znała.

Skinęła głową, ignorując znajome ciepło, które się w niej rozlało.

– To po co...?

– Chciałem sprawdzić, co u ciebie – zaskoczył ją odpowiedzią, ciężko przysiadając na krześle za jadalnym stołem. – Zapytać, jak się czujesz. – Przekrzywił łagodnie twarz.

Grabska ściągnęła ironicznie brwi, odchyliła do tyłu głowę.

– Nigdy nie czułam się lepiej – odparła pewnym głosem.

„Jestem zepsuta. Rozumiesz? Zepsuta!” – odepchnęła wspomnienie.

– Trafiliście na coś nowego? – zmieniła temat.

Korda zaprzeczył. Ciężko westchnął.

– Rano znaleźliśmy w lesie pozostawione auto Liwii Dembskiej. – Alicja wysoko podniosła brwi. – I tak dłużej nie da się tego zachować w tajemnicy, więc... – cmoknął.

– Gdzie?

– Na poboczu ścieżki nieopodal Dębowej Drogi.

– Jakież ślady walki?

– Nic. Wszystko wyczyszczone.

– Czyli to nie jest zwykła ucieczka z domu...

– Nie. Nie jest.

– Liwia Dembska ma konto na PP – powiedziała w zamian.

– Na czym?

– Na Pitu-Pitu.

– To jeszcze hula?

– Najwyraźniej – prychnęła. – Ze zwykłego komunikatora przekwalifikowało się w portal randkowy. Może to tam poznała tego typu.

– Hm. Dzięki. – Korda wstał. – Lecę. Jutro czeka mnie kolejny ciężki dzień.

Chwilę się wahał, czy do niej nie podejść. Zacisnął wargi i skinął głową.

Gdy Alicja usłyszała zamykające się za nim drzwi, z powrotem ruszyła korytarzem do gabinetu.

Lawirując, przeszła nad pokrywającymi podłogę skserowanymi aktami, wycinkami z gazet i wydrukowymi z internetu artykułami. Usiadła przy biurku. Przesunęła wzrokiem po przyklejonych do pustych ścian czarno-białych i kolorowych zdjęciach twarzy ofiar, które kiedyś mieszkały gdzieś tuż obok, prowadząc zwyczajne życie.

Przeniosła uwagę na ekran. Przeczytała ostatni napisany fragment, głęboko odetchnęła i znów zaczęła zapalczywie stukać w klawiaturę.

1992

1

Futryny okien zadudniły. Raz, drugi, trzeci. Nieporadnie opierały się wiatrowi, który naciskał na szyby. Po suficie biegały cienie. Długie, podrygujące gałęzie niepokojąco szumiały. Nie dawały jej zasnąć. Jesień. Ada nie znosiła tej pory roku.

Dziewczyna westchnęła i przewróciła się na brzuch. Sprężyny łóżka nieprzyjemnie pod nią zaskrzypiały. Wyciągnęła rękę do stojącego na nocnej półce radia. Wdusiła przycisk. *Though we've got to say goodbye for the summer* – zaczął głośno Jason Donovan. Szybko ściszyła. Miała nadzieję, że nie zbudziła rodziców. Chwilę nasłuchiwała. Nie. Dom pogrążony był we śnie. Lekko podgłosiła. *Don't wanna say goodbye for the summer. Knowing the love we'll miss...* – kontynuował Donovan. Skrzywiła się. Przekręciła pokrętłem radia. Mocno w prawo. Lekko w lewo. Złapała stację. Uśmiechnęła się. *Lovesong* The Cure. Znów położyła się na plecach. Stopy bezwiednie zaczęły poruszać się w takt utworu, podobnie jak cienie na suficie. *However far away. I will always love you* – podśpiewywała. Tak bardzo chciała się zakochać. Tak bardzo chciała kogoś mieć. To pragnienie chodziło za nią od dłuższego czasu. Wszystkie jej koleżanki z kimś się spotykały. Randkowały, flirtowały. A ona była sama. Nie umiała odpowiadać na głupie zaczepki chłopaków i śmiać się z żartów, które jej nie śmieszyły. A w dodatku była gruba. Kto by w ogóle chciał spotykać się w takim wielorybem – sarknęła w myślach i z obrzydzeniem pokręciła głową. Cienie szumiały nad jej głową. Stopy rytmicznie objęły się jedna o drugą.

Zupełnie się rozbudziła.

Rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok zatrzymał się na stojącym na biurku CB-radiu. Dostała je od wujka Przemka. Teraz wśród młodzieży była na nie moda, a Adzie dostał się naprawdę niezły model – cobra 19, bijąca na głowę większość konstrukcji

radiotelefonów. Wstała, włożyła na piżamę gruby zielony sweter. Usiadła przy biurku i włączyła cobrę.

Szuuuuu. Szuuuuu.

Dotknęła pokrętła.

Poziom szumu lekko się zmniejszył.

Chwyciła gruszkę. Wdusiła guzik.

– Czy ktoś mnie słyszy?

Szuuuu. Szuuuu.

– Czy ktoś tam jest? Bo ja nie mogę zasnąć.

Cisza.

Odłożyła gruszkę i spojrzała na okno. Spływały po nim ciężkie krople deszczu.

– No cześć. – Usłyszała nagle.

Jej serce przyspieszyło.

Znów sięgnęła po mikrofon. Zawahała się.

– Jesteś tam jeszcze? – Męski głos był ciepły. Kojący.

– Jestem. Cześć. – Wcisnęła przycisk.

– Cześć – powtórzył. Wyczuła, że się uśmiecha. – Czemu nie możesz zasnąć?

– Wieje.

– No wieje – przyznał rozbawiony. – Nie lubisz wiatru?

– Nie za bardzo. A ty?

– Czy lubię wiatr?

– Nie. Czemu nie śpisz?

– Właśnie wyruszam w trasę.

– Daleką?

– No daleką. Przedemną trzysta kilometrów.

– Też bym chciała tak jechać. Bezkresna pusta droga, cisza, spokój, tylko szum silnika.

Czekała na reakcję, lecz CB-radio przeciągle szumiało. Ściągnęła brwi. Nie była najlepsza w komunikacji z ludźmi.

– To może cię kiedyś zabiorę – powiedział w końcu.

Poczuła absurdalną ulgę i lekko się uśmiechnęła.

– Daleko? – zapytała z nadzieją.

Szuuuuuuuuu.

– Daleko – odpowiedział po chwili i zaśmiał się ochryple.

CB-radio przeciągle pisnęło. Ada czym prędzej sięgnęła do gałki głośności. Ściszyła do minimum i niespokojnie zaczęła nasłuchiwać, czy w ciszy uśpionego domu nie wybiją się głosy rodziców.

2

Natarczywy dźwięk wyrwał ją ze snu. Usiadła z bijącym sercem. Nieprzytomna rozejrzała się po pokoju.

Pi. Pi. Pi. Pi. Pi.

Dźwięk przyspieszał, jakby odliczał sekundy do nadchodzącego wybuchu.

Nie mogła zlokalizować jego źródła.

Przetarła zmęczone oczy i spróbowała wyostrzyć wzrok. Spojrzała w lewo, w prawo. No tak. Biały, niewielki, kwadratowy budzik stał na półce z książkami. Postawiła go tam wczoraj, bo ostatnio przez te ich długie nocne rozmowy zdarzało jej się go wyłączać, a potem znów zapadać w sen, przez co już kilka razy zasnęła do szkoły, a to nie było do niej podobne. Milewska nigdy się nie spóźniała, ale może niepotrzebnie aż tak się wszystkim przejmowała? Zawsze na czas, zawsze poprawna, uprzejma, nauczona, skupiona. „Najgorsi są ci nadgorliwi” – to kiedyś usłyszała na szkolnym holu pod swoim adresem. Nawet nie wie, który chłopak to powiedział. Spuściła wzrok, gdy inni wybuchnęli śmiechem, i szybko odeszła. Słowa długo piekły ją w uszy, jakby się do nich przykleiły.

Budzik pikał coraz gwałtowniej. Dźwięk niemal układał się w linię prostą. Niechętnie podniosła się z łóżka i wyłączyła go. Cisza. Odetchnęła z ulgą. Powlekła się do łazienki, umyła buzię i zęby, lekko otrzeźwiona wróciła do pokoju.

Stała przed wiszącym na ścianie owalnym lustrem w plastikowej białej ramie, które kupiła wraz z mamą na gdyńskiej hali. Jednym ruchem ściągnęła koszulę nocną i w mroku jesiennego poranka spojrzała w swoje odbicie. Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę:

– Jak wyglądasz?

– Mam czarne postrzępione włosy sięgające za ucho i prostą grzywkę – odparła.

– Yhm. Mów dalej.

– Brązowe oczy i ciemne brwi. Dosyć pełne usta. I pieprzyk tuż pod linią rzęs.

– Ładnie – stwierdził. – A jaką masz figurę?

Zawahała się. Miała mu powiedzieć, że nie należała do tych szczupłych, które mają wzięcie u chłopaków, czy skłamać?

– Chyba... – CB-Radio przez chwilę sennie szumiało – ... przeciętną – odparła wreszcie i od razu się skrzywiła. Czy od razu musiała wywalać przed nim swoje najgorsze obawy?

– Przeciętną? – zaśmiał się. – Nie sądzę. Nie znam cię zbyt dobrze, ale jestem pewien, że nie ma w tobie nic przeciętnego.

Przełknęła ślinę. Czy właśnie nie to chciała usłyszeć każda dorastająca dziewczyna? Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dzięki, choć chyba przesadziłeś.

– Tak? To sprawdźmy to.

– Sprawdźmy? Że jak?

– Zróbmy taki mały eksperyment. Mówiłaś, że masz w pokoju lustro.

– Ehe.

– To stań przed nim i spójrz na siebie. Ale moimi oczami. A potem mi to opisz. Może być?

Ada uśmiechnęła się na to wczorajsze wspomnienie, zagryzła wargę i z niedowierzaniem pokiwała głową. Po chwili podniosła wysoko brodę i znów spróbowała spojrzeć na siebie jego oczami: długa szyja, mięsiste, zdrowe ramiona, jędrne, duże piersi o ciemnych, szerokich sutkach, płaski brzuch, spore wcięcie w talii i szerokie biodra. I uda... skrzywiła się... grube uda – uznała z niesmakiem. Wróc – nakazała sobie. Uda. Duże, wydatne, umięśnione uda. Silne uda...

– Kobiecto – powiedziała na głos i wyżej podniosła brodę. Znów przywołała wczorajszą rozmowę.

– Widzisz. Jesteś piękna!

– Phi – prychnęła, choć poczuła, jak po jej ciele rozlewa się błogie gorąco. – A ty jak wyglądasz? – zawstydzona zmieniła temat.

– Cóż. Jestem przystojniakiem, jakich mało. Też nie ma we mnie nic przeciętnego.

– Taaa – rzuciła rozbawiona.

– No tak. Kiedyś się o tym przekonasz, a na razie musisz mi uwierzyć na słowo.

– Skąd ty bierzesz tę pewność siebie? – Pokręciła głową.

– Powiedzmy, że mama długo karmiła mnie piersią – zaczął się śmiać.

– O rety! Jak długo?!

– Długo, długo. Wiesz, byłem jednym z tych chłopców, co ciągną z piersi mamy w przerwach meczu nożnej.

– Coooo? – pisnęła.

– Żartuję, żartuję, mała. Było wręcz odwrotnie. Mama nigdy się mną specjalnie nie przejmowała...

– Adaaaaa! – Jej rozmyślenia przerwało nawoływanie Barbary Milewskiej. – Bo do szkoły się spóźnisz!

– Idę! – krzyknęła dziewczyna.

Raz jeszcze spojrzała na swoje odbijające się w lustrze nagie ciało i zaczęła wkładać przygotowane wczoraj ciuchy: T-shirt z Kurtem Cobainem, zieloną flanelową koszulę i szerokie dzinsy. Ściągnęła brwi. Zawahała się. Szybkim ruchem ściągnęła spodnie, wygrzebała z szuflady czarne grube rajstopy i wciągnęła na siebie krótką trapezową spódnicę. Zawiązała rogi koszuli.

– KobiECE uda – szepnęła, by dodać sobie otuchy.

Wybiegła z pokoju.

3

Ada Milewska stała w pierwszym rzędzie grupy tanecznej Vox. Szare dresy, żółty top odkrywający brzuch, opadająca na jedno ramię rozpinana koszula w czerwono-czarną kratę, toporne białe adidasy. Serce dudniło w skroniach, skóra błyszczała od potu. Była w stu procentach skupiona.

– No dobra, kochani! Ostatni raz! Dajcie z siebie wszystko, okej? – Patrycja Jastrzębska, instruktorka sopockiej szkoły tańca disco, podeszła do stojącego obok ściany z luster magnetofonu, przewinęła kasetę i wcisnęła play.

Podniosła się z klęczek, mocniej ściągnęła różową frotkę na wysoko upiętym kucyku i stanęła naprzeciwko dwunastoosobowego

zespołu.

Po chwili rozbrzmiała muzyka.

– I raz, dwa, trzy, cztery. Ręce do góry. Płynnie! Tak! – zakomenderowała Jastrzębska.

Rhythm is a dancer. It's a soul's companion. You can feel it everywhere – zaczął rozwijać się elektroniczny przebój niemieckiego zespołu Snap!

– I teraz raz, i dwa do czoła, raz i dwa do czoła, jak roboty, dobrze! Krok lewą do boku, przenieś ciężar ciała, prawa w miejscu, unieś, przenieś ciężar ciała. Dobrze! – grzmiała instruktorka. – I dostawiamy!

Grupa młodzieży rytmicznie podrygiwała, przeglądając się w lustrach. Mieli być zgrani jak jedno ciało. Dokładnie w tym samym momencie podnosić ramiona, salutować, robić kroki, obracać się to w lewo, to w prawo. Niestety, pomimo wielu powtórzeń układu, jeszcze nie do końca im to wychodziło.

– Synchrony! Synchrony! – upominała Jastrzębska. – Anka, szybciej! Maciek, nie wyprzedzaj! Jeszcze trochę! Do-brze!

Muzyka w końcu ucichła.

– Brawo, kochani! Daliście radę. To wszystko na dzisiaj. – Instruktorka zaczęła przybijać z młodzieżą piątki.

Ada Milewska wyciągnęła rękę. Klask. Mocno wypuściła powietrze. Była zmęczona, ale dopamina, którą właśnie zaczęła wyzwalać jej przysadka mózgowa, wynagrodziła jej wysiłek. Przyklęknęła przy ścianie, przejechała rącznikiem zroszone potem czoło i sięgnęła po butelkę wody.

– Świetnie ci dziś poszło. – Nad jej uchem schylił się szczupły chłopak o ciemnych, pofalowanych włosach do ramion. Kilka kosmyków opadało mu prosto na twarz, jak u Michaela Jacksona.

Ada zareagowała zdumieniem. To był pierwszy raz, gdy chłopak tak bezpośrednio się do niej zwrócił.

– Serio. Dobra robota. – Michael, bo tak na cześć piosenkarza na niego mówili, uśmiechnął się lekko i położył jej rękę na plecach.

Dziewczyna oblała się rumieńcem. Zdumiona patrzyła, jak chłopak odchodzi.

– Co ci powiedział? – Natychmiast dopadła ją Magda.

Szatynka o grzywce zaczesanej na boki uklękła obok Ady i szeroko rozdziawiła usta.

– Nic. – Milewska wzruszyła ramionami. Starła się udawać, że zainteresowanie Michaela nie zrobiło na niej wrażenia. – Tylko że dobrze dzisiaj tańczyłam.

– Jaaaaa – pisnęła Magda. – Podobasz mu się!

– Przestań. – Ada podniosła się z kolan. – Ja mu się podobam? – prychnęła.

– No ty! A kto? Piękna Mary z domu starców? – Wskazała na przechodzącą obok nich pryszczatą dużą Dominikę.

– Cicho. – Milewska szturchnęła koleżankę. – Zresztą Dominika nie jest wcale taka zła.

– Gruba jest. – Magda znacząco ściągnęła brwi.

– No i co z tego? Ja też jestem gruba!

– Ty nie jesteś! A ona dodatkowo sztyński jak przeleżała kanapka z makrelą! – Magda złapała się za nos.

– Fakt – roześmiała się Ada. – Chodź, głupolu.

Milewska pociągnęła koleżankę do szatni. Po chwili znalazła się pod prysznicem, namydliła ciało i pozwoliła, by spłynęła po nim kojąca ciepła woda.

„Świetnie ci dziś poszło” – przypomniała sobie głos Michaela i z niedowierzaniem pokręciła głową.

Zakręciła kurek i owinęła się w brązowy szorstki ręcznik. Wyciągnęła z szafki ubranie, naciągnęła na siebie dużą bluzę i dżinsy, wsunęła na nogi martensy. Sięgnęła po plecak i zamarła. Na jego wierzchu leżało małe ozdobne pudełko przewiązane czerwoną wstążeczką. Ada podniosła wysoko brwi i niepewnie się rozejrzała. Ostatnia roześmiana grupka dziewczyn wychodziła z szatni. Magda wciągnęła czapkę.

– Idziesz? – Spojrzała na nią pytająco.

– Yyy. Zaraz. Nie czekajcie na mnie. I tak jeszcze muszę wysuszyć włosy.

– Okej. Buziak!

Dziewczyny zniknęły za progiem. W szatni zrobiło się cicho.

Kap. Kap. Kap.

Krople raz po raz skapywały ze słuchawek pryszniców. W rurach coś przeciągle zadudniło.

Ada wyciągnęła rękę po pudełko. Przełknęła ślinę, rozwiązała wstążkę i zdjęła tekturowe wieczko.

Ciastko.

Na spodzie leżało kruche ciastko w kształcie serduszka. Zdziwiona ściągnęła usta.

Wzięła je do ręki, powąchała. Pachniało masłem i korzennymi przyprawami.

Czyżby zostawił je Michael? – zastanowiła się. Ale przecież to nie była jej liga! Zresztą Ada nie była chyba w niczyjej lidze. A przynajmniej tak do tej pory myślała.

Wsadziła ciastko z powrotem do pudełka, które umieściła bezpiecznie w plecaku. Po chwili wyszła z parterowego budynku przy Mamuszki, w którym w latach sześćdziesiątych mieściła się kawiarnia Meduza. W twarz uderzył ją zimny listopadowy wiatr, z donośnym szumem pchający grzbiety fal na znajdującym się kilkaset metrów dalej morzu. Ada szczelnie opatuliła się szalikiem i wkroczyła na Promenadę w Łazienkach Północnych. Nie dostrzegła, że przy wejściu na plażę w ciemności stoi postać. Że wychodzi z cienia i odprowadza ją wzrokiem, bacznie przyglądając się jej sylwetce.

2019

1

Wilgotna leśna gleba plaskała pod nogami.

Ich ciężkie buty zapadały się w błocie rozjeżdżonym wczoraj przez policyjne wozy.

– To już tu za zakrętem – powiedział detektyw Oskar Korda.

Ekolożka sądowa Janina Hinc kiwnęła głową i odgarnęła pasemko włosów, które opadło jej na czoło. Jej twarz była poważna, skupiona. Z uwagą rozglądała się po otaczających dróżkę zaroślach i drzewach. Proces badawczy w jej głowie już się uruchomił.

– Same tradycyjne gatunki – stwierdziła. – To dobrze.

– Czemu? – zapytał Korda.

Jej twarz rozpromieniło słońce padające przez wierzchołki drzew. Miała jasną, niemal nieskazitelną cerę i błyszczące oczy – Oskar nadal nie mógł się jednak zdecydować, czy były bardziej zielone, czy niebieskie. Może utrudniały to po prostu szkła okularów o kocim kształcie, które dziś również miała na nosie.

– Będzie łatwiej wykluczyć ewentualne mikroślady pochodzące z tego środowiska i oddzielić je od mikrośladów tworzących obraz miejsca, którego szukamy – uśmiechnęła się szeroko.

Było oczywiste, że pasjonowała się swoją pracą, co dobrze wróżyło. Korda wiedział, że nic tak nie popycha śledztwa jak żarliwość granicząca z obsesją, by zrekonstruować bieg zdarzeń.

– Wiesz, bardzo ważne jest to, by już na samym początku odfiltrować dane użyteczne od danych, które mogą nas poprowadzić w ślepią uliczkę. Czasami różnice pomiędzy nimi są minimalne i mogą stać się pułapką. Ale gdy ten etap zostanie przeprowadzony bezbłędnie, wówczas można wyciągnąć drogocenne wnioski.

– Na przykład?

– Cóż, przykładowo zbiór palinomorfów, które sygnalizują trzciny, turzyce, karbieńce i krwawnicę pospolitą, prowadzi do jasnego przekazu, że miejsce, którego szukamy, to brzeg stawu,

jeziora lub rów melioracyjny. Gdy mamy przykładowo do czynienia z gatunkami zanurzonymi w wodzie, możemy nawet określić intensywność przepływu wody. Ale oczywiście nie zawsze jest tak łatwo.

– Tak podejrzewam. – Oskar skrzywił twarz w niewyraźnym uśmiechu.

– Bardzo ważny jest oczywiście kontekst. Zgodnie z moim doświadczeniem dużo prościej budować obraz miejsca na podstawie śladów znalezionych na ciele porzuconej ofiary zbrodni. Wówczas wiemy, czego szukamy: lokalizacji, w której dokonano morderstwa, a to tam najczęściej znajdują się tropy prowadzące do sprawcy, nawet jeśli bardzo starał się je zatrzeć.

– A zatem szkoda, że nie poznałem cię wcześniej – prychnął detektyw. – Może oszczędziłbym sobie kilku nieprzespanych nocy.

– Może? – Janina skromnie wzruszyła ramionami.

– A w naszym przypadku? Obraz jakiego miejsca chcemy stworzyć? – zastanowił się detektyw.

– Tego jeszcze nie wiem. Niewątpliwie należy wziąć pod uwagę kilka ewentualności i szereg różnych czynników. To, co zdołam pozyskać, być może da mi jakieś uzasadnione przypuszczenia. Ale szczerze? Choć mamy tu do czynienia z czystą nauką, najważniejsza pozostaje intuicja. – Ekolożka rozłożyła ręce.

– Dokładnie jak w mojej pracy – skwitował Korda.

W tym momencie przystanęli przy czarnej toyocie corolli. Na jej dachu i masce wylądowało od wczoraj sporo nowych igieł, patyków i pomarańczowożółtych liści. Koła lekko zapadły się w muliźnie. Wyglądało to tak, jakby las rozpoczął proces konsumpcji pojazdu, prowadzący do jego pochłonięcia.

– *It's all yours.* – Detektyw zaprezentował ręką jedyny materialny dowód, jaki udało im się na razie w tej sprawie pozyskać.

Plask. Plask.

Janina Hinc naciągnęła na dłonie lateksowe rękawiczki i otworzyła kuferek, który wcześniej postawiła na czarnej folii rozłożonej na ziemi przez Korde. Po chwili zniknęła we wnętrzu.

Detektyw oparł się o stojący naprzeciwko świerk. Odpalił papierosa i wydmuchnął szary dym w zimne listopadowe powietrze. Dzień był wyjątkowo piękny. Wiatr, który w nocy osiągnął prędkość

stu trzydziestu kilometrów na godzinę, rozgonił chmury. Wyszło słońce, którego mieszkańcy Trójmiasta nie widzieli przez wiele szarych dni. Tuż obok przeleciał gil i usiadł na gałęzi rosnącej nieopodal auta sosny. Wypiął pomarańczowy brzuszek, łypnął małym czarnym oczkiem i odleciał. Policjant wykonał kilka telefonów, po czym zgasił o korę drzewa kolejne trzy czerwone marlboro.

– Korda – Usłyszał przytłumiony głos Janiny Hinc.

– Yhm? – zainteresował się Oskar.

Oderwał plecy od świerku i stanął za zgiętymi w pałąk plecami ekolożki sądowej.

– Coś tu mam. Tylko nie mogę wydłubać – jęknęła Hinc, mocując się ze skierowaną w stronę pedału gazu pęsetą. – Jeszcze chwila... Mam! – krzyknęła triumfalnie i wyciągnęła rękę do światła.

Pomiędzy metalowymi szczypczykami znajdował się mikroskopijny kształt.

Detektyw nachylił głowę nad pincetą, skupił wzrok, ale maluteńka bura cząsteczka nadal niczego nie przypominała.

– Co to? – spytał, unosząc brew.

– Jeszcze nie wiem. – Hinc wzruszyła ramionami. – Ale to może być coś naprawdę dużego. – Rozpromieniła się.

2

Kamera trzymana przez operatora „Dziennika Trójmiejskiego” przesuwa się po zamkniętej bramie wjazdowej z imitujących drewno sztachet. Następnie najeżdża na okno na pierwszym piętrze. Szyba błyska w słonecznym świetle, nie pozwalając zajrzeć do środka.

– Nadal nie wiadomo, gdzie przebywa Liwia Dembska, która zniknęła w nocy z soboty na niedzielę – mówi stojąca na chodniku Alicja Grabska ubrana w płaszcz w beżowo-szarą pepitkę. – Wczorajsze poszukiwania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. – Przebitka z wczorajszej nocy: przelatujący z głośnym warkotem po niebie helikopter, policjanci z latarkami przeczesujący teren. – Jak udało nam się ustalić – znów najazd na dziennikarkę – samochód należący do osiemnastolatki znaleziono porzucony w sopockim lesie,

co może świadczyć o tym, że dziewczyna znalazła się w niebezpieczeństwie. Nadal nie znamy personaliów mężczyzny, z którym prawdopodobnie Liwia Dembska spotykała się za plecami swojego chłopaka.

Przebitka z innej kamery, która uchwytuje plecy blondwłosego Julka Kamacia, idącego w stronę budynku pływalni.

„Jak skomentuje pan przypuszczenia, że Liwia umawiała się z innym mężczyzną?” – Alicja Grabska zatrzymuje go i wyciąga przed siebie owinięty w szarą gąbkę mikrofon.

Chłopak odwraca się. Jego policzki czerwienieją. Zwraca wzrok prosto w obiektyw.

„Kocham cię, Liwia” – mówi. „Cokolwiek zrobiłaś, to czekam na ciebie”.

Obraz znów przenosi się przed dom Dembskich.

– Policja nadal stara się ustalić, co się stało z córką trójmiejskiego polityka, lidera centrowej partii Nowa Droga, która, jak się mówi, ma zachwiać nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi. Nic nie wskazuje na to, by zniknięcie Liwii Dembskiej miało podtekst polityczny, choć oczywiście i taką ewentualność biorą pod uwagę prowadzący śledztwo. O postępach w tej sprawie będziemy państwa informować na bieżąco. Zostańcie z nami. – Alicja Grabska moduluje głos, wykonując mocny ruch brodą w dół.

– Świetnie – skonstatował pochylony nad ekranem komputera szef „Dziennika Trójmiejskiego” Wiktor Szylbach. – Jeszcze tylko wkomponowałbym kilka dosadnych zdjęć Dembskiej. Takich, wicie? – Zerknął na skupionych wokół biurka Alicję Grabską i asystenta Mariusza Kierskiego. – Budzących współczucie i litość.

– Koniecznie – przytaknął Kierski, znacząco patrząc na dziennikarkę.

Ta usiadła na obrotowym fotelu i dwukrotnie kliknęła w plik z grafikami. Następnie zaczęła otwierać zdjęcia. Na dużym monitorze wyskoczyły obok siebie fotografie Liwii Dembskiej. Zbliżenia twarzy z profilu i en face. Zdjęcie z obejmującym ją ojcem. Zdjęcie dziewczyny idącej po ulicy.

– Dajmy jedno z tych portretowych – zdecydował Szylbach. – I to z ulicy. Widać na nim, że to była normalna dziewczyna, z krwi

i kości, taka widać większa, grubsza, z kompleksami, to dobrze podziela.

– Czemu uważasz, że miała kompleksy? – Alicja założyła ręce pod pachy i ciekawie zerknęła na naczelnego.

– No sama chyba widzisz. – Szylbach wskazał na postać dziewczyny w obcisłych džinsach i krótkim beżowym topie. Przez ramię przewiesiła oversizową torbę, na nosie miała duże czarne okulary. Jej proste blond włosy podniosły się w ruchu nad plecy. – Nie należała do szczupłych. Duże uda, szerokie biodra. A wiesz chyba, jak to dzisiaj jest. Pogoń za idealną sylwetką.

– Jak dla mnie to Liwia wygląda apetycznie – uśmiechnął się Kierski. – Bardzo w typie Kim Kardashian, a to chyba też modne, z tego, co wiem.

– Dokładnie – potwierdziła Grabska. – To się nazywa figura thicc i jest wśród dzisiejszych nastolatek tak samo, albo i nawet bardziej, pożądana niż ciało modelki. Bez względu na to, czy to klepsydra czy gruszka, istotne są duże pośladki i uda, bo to one stanowią dziś symbol seksapilu.

– Hmm... To sądzicie, że dziewczyna zupełnie nie miała kompleksów? – Szylbach ściągnął usta i uważniej przyjrzał się fotografii.

– Nie no – cmoknęła Alicja. – Dziewczyny zawsze mają kompleksy. Bo bez względu na to, czy chude, czy thicc, to w ich przekonaniu daleko im do doskonałości. Zawsze znajdzie się coś, co przeszkadza, co chciałoby się zmienić albo, co gorsza, co inni by w nas chcieli zmienić. Bo to oczami innych na siebie zazwyczaj patrzymy. To jest nasz filtr, przez który oglądamy świat. Dlatego lubimy przeglądać się w oczach tych, dla których jesteśmy bez skaz.

– Myślicie, że Liwia Dembska zdradzała tego Kamacia dlatego, że ten drugi ładniej odbijał ją w swoim zwierciadélku? – Kierski uwodzicielsko się uśmiechnął.

– Jestem co do tego przekonana – stwierdziła Grabska.

– No dobra, koledzy, szczupłe czy zaokrąglone, wszystkie piękne, a my się bierzemy do pracy. – Szylbach się wyprostował. Zdjął z nosa okulary i wyciągniętą spod swetra koszulką zaczął przecierać zamazane szkła. – Grabska i Kierski, odgrzebujemy wszystkie stare

sprawy zaginięć i uprowadzeń młodych kobiet na terenie Trójmiasta – postanowił i wymownie spojrzął na dziennikarzy.

– To jest moja sprawa – wyprostowała się Grabska.

– Twoja, ale przyda ci się pomoc. Wiesz, że to ogrom materiału.

– Uniosę – podkreśliła Alicja, mrużąc oczy.

– Nie wątpię. Ale Mariusz tym razem pomoże ci nieść – powiedział Szylbach tonem nieznoszącym sprzeciwu, po czym założył okulary z powrotem na nos i szeroko się uśmiechnął. – No! To kopcie, kochani, kopcie. Trzeba podkreślić emocje! – Zadowolony zatarł ręce.

3

Pokój policyjnego informatyka Mariana Miodowicza tonął w ciemności. Srebrne żaluzje ściśle zakrywały okna, nie wpuszczając do środka nawet strużek dziennego światła. Małysz, bo taka była jego ksywa, mężczyzna o drobnej posturze i cienkim wąsie, wlepił wzrok w monitor, który rzucał na jego twarz niebieskawy odcień.

Oskar Korda wszedł do środka i bezpardonowo zapalił górne światło.

– Korda, sukinsynu! – rzucił Miodowicz, zakrywając nieprzyzwyczajone do jasności oczy.

– Małysz, bo za kilka lat to już sobie lasek na kompie nie pooglądasz – zaśmiał się detektyw.

– Fakaj się. – Małysz przejechał dłonią po twarzy. – Ja tu poważne rzeczy robiłem.

– Ehe. – Korda zerknął na niego z niedowierzaniem. – Przejrzałeś już monitoring z domu Dembskich?

– Pobieźnie. Na razie – odchrząknął informatyk.

– To się bierz, stary, do roboty. Masz mi przeskanować ten materiał klatka po klatce. Na asapie!

– Ehe.

– I na bieżąco też się możesz wykazać. – Korda przyciągnął krzesło do biurka informatyka i usiadł obok niego. – Znasz jakieś zakłęcie, żeby się dostać na fejsa Liwii Dembskiej? – uśmiechnął się przymilnie .

– „Fejsbuczku, otwórz się”? – prychnął Małysz.

– No na przykład.

– Nic z tego, stary. Sto razy ci mówiłem, że Facebook jest zobligowany, by udostępnić nam tylko dwie kategorie informacji: imię i nazwisko użytkownika oraz czas korzystania z serwisu. I to nie ja to sobie wymyśliłem, bo to wynika z nakazów dotyczących bezpieczeństwa narodowego. Do ujawnienia zapisanej zawartości konta, obejmującej na przykład wiadomości, zdjęcia, filmy, posty na osi czasu i informacje o lokalizacji, wymagany jest nakaz rewizji wystawiony zgodnie z federalnymi zasadami postępowania w sprawach karnych lub odpowiadającymi im procedurami stanowymi, w oparciu o uzasadnione podstawy – wyrecytował Małysz. – Możesz sobie wystąpić o zgodę, choć Facebook pozytywnie rozpatruje tylko jakieś pięćdziesiąt procent próśb polskich organów.

– A tak wiesz – Korda konspiracyjnie rozłożył ręce – operacyjnie? Nie na legalu?

– A stary wie?

– Jeszcze nie. Ale na pewno doceni.

– Yhm. Zwłaszcza że zdobyte w ten sposób dowody będą do niczego.

– Akurat w tej sprawie nie potrzebuję dowodów, tylko tropów, które popchnęłyby śledztwo. A pewnie słyszałeś, że na razie stoimy.

– Przekonałeś mnie, tylko wiesz, najlepszym sposobem, by dostać się komuś na Messengera, jest phishing. Wówczas atakujący musi trafić do ofiary, a ta ofiara musi być dostępna, a nie zaginiona. – Miodowicz przygryzł wąsa. – Co więcej, telefon dziewczyny wsiąkł, a jej laptop się zepsuł i Dembski go wyrzucił jakiś miesiąc temu, planując zakup nowego, więc jedyny scenariusz, jaki nam zostaje, to włam poprzez atak na serwery komunikatora. No i od razu cię uprzedzę, że to scenariusz bajkowy! Nawet najlepszy haker nie ma szans przejść przez zabezpieczenia producenta komunikatora typu Messenger, WhatsApp czy Signal. Obojętnie, czy atakuje z zewnątrz, czy wniknie do organizacji i będzie próbował od środka, szanse na uzyskanie dostępu do wybranego konta są bliskie zeru.

– Okej. To w takim razie wbijaj na Pitu-Pitu.

– A co ty, stary, do studenckich czasów chcesz się cofnąć? – zaczął się śmiać informatyk.

– Chyba twoich. U mnie na studiach to na ładne oczy się wyrywało.

– Jeśli Pitu-Pitu powstało w prehistorii, to ty jesteś przodkiem dinozaura – chrząknął rozbawiony Marian Miodowicz i zaczął wpisywać odpowiednią komendę w okienku.

– Ześ wysoko skoczył, Małysz – skwitował Korda. – A tak swoją drogą, to wyobraź sobie, że Pitu-Pitu przeżywa drugą młodość i podobno używa się tego jak Tindera czy innego Badoo.

– Vintage jest jednak w modzie. – Miodowicz z uznaniem pokiwał głową.

– Jest – potwierdził Oskar.

– Nazwa użytkownika?

– Love.

– Love? Kurwa, słaby wybór.

– Czemu?

– Stary. Nikt tak się teraz nie nazywa, bo takie romantyczne bzdety to się nie klikają. Teraz to się laski nazywają... czy ja wiem?... „Wiksa”, „Nezuko”, „Ssysia”, „Taka jedna mała lwica”, „Mistrzini leżingu” albo „Bo mi się nudzi cnie”. – Małysz pokazowo zrobił znak wiktorii i wydał usta.

– Widzę, że jesteś obeznany – prychnął Korda.

– Trzymanie ręki na pulsie to najważniejsza sprawa w branży informatycznej. – Małysz uśmiechnął się krzywo, nieprzerwanie stukając w klawiaturę. – Swoją drogą widzę, że zabezpieczenia tej aplikacji są niemal równie trywialne co w dwutysięcznym. Kiedyś hulala taka sprytna aplikacja Złodziej PP i dzięki niej praktycznie każdy mógł ci wejść na konto, nie? Ale teraz to też bułka z masłem. Jak widać, ze szmaty jedwabiu nie zrobisz. – Kliknął jeszcze trzykrotnie i z gracją wskazał na ekran. – Voilà!

Na monitorze pojawiło się zdjęcie profilowe nastolatki. Czarne body, duże piersi, szerokie biodra. Zmysłowo i seksownie.

– Love krowe, ale jednak zdjęcie rozwalilo system. No kliknąłbym – przyznał Marian.

– Nie ty jeden się zaślinieś – zauważył Korda, który już scrollował wiadomości.

Janko: Ale masz ładne kształtne bioderka. Bardzo w mój typ hah

Love: Dzięki <33

Janko: Co cię sprowadza na PP

Love: Szukam wrażeń

Rafał: Hello jesteś zainteresowana sponsoringiem?

Gadulski: Halo jest tu ktoś. Dobry wieczór przychodzę w pokoju :D

Love: Hejj

Gadulski: Hejj

Super zdjęcie od razu dałem pv <3

David: Wow

Hej

Jesteś zgrabniutka

Love: Dziękuję ^ ^

Dawid: Aaa proszę

Piękne kształty

Emil: Hey. Chciałabyś może żebym cię narysował?

Love: hej ^ ^ Może

Emil: A co teraz robisz?

Love: Jestem u znajomych.. Mała posiadówka :3

Emil: A to miłego

Love: A ty co w piątek porabiasz?

Emil: Umieram sam w domu

Bo nie mam znajomych w nowym mieście

Love: Ohh, I see

Maciejka: Wow

Znaczy

Cześć!

Love: Haha, hej

Maciejka: Kuba jestem. Bardzo mi miło. I bardzo mi miło podziwiać twoje profilowe

Love: Ojejj, mi teraz też się milutko zrobiło

Maciejka: Hahahha

No to się cieszę

To body na zdjęciu?

Love: Mhm ^ ^

Maciejka: Uuuu

A można prosić to zdjęcie w większej rozdzielczości czy nie wypada?

Love: Tego nie mam :<<

A może to?

Na ekranie wyświetliło się nowe zdjęcie. Liwia Dembska ubrana w strój z profilówki siedziała teraz na podłodze. Nogi miała podwinięte pod pośladki, wyprostowana wyciągnęła szyję, wyeksponowała piersi.

– Ajjjjj – pisnął podekscytowany Małysz. – Chyba też wbiję na to Pitu-Pitu, jeśli tam takie się kręcą.

– Stary, przecież to dziecko jest. – Korda skrzywił się.

– Dziecko nie dziecko, ale dziewczyna najwyraźniej szuka tatusia. Patrz na jej opis. – Informatyk wskazał palcem na tekst zamieszczony pod avatarom.

Pv chat? <3

I <3 hot ppl (and dilfs)

– Przetłumaczyć ci? – zaśmiał się Miodowicz, widząc skonsternowaną minę Kordy. – Prywatny czat. Kocham seksownych ludzi i DILF-ów.

– DILF-ów?

– A wiesz, co to są MILF-y?

Detektyw wzruszył ramionami.

– Gdzieś ty się uchował, Korda?! – Pokręcił głową Marian. – Seksowne mamuśki, czyli dosłownie *mom I'd like to fuck*.

– Czyli DILF to...

– *Dad I'd like to fuck*.

– Tatuś, którego chciałabym przelecieć? – skrzywił się Oskar. – To chore!

– Cóż, młode laski często mają ciśnienie na starszych facetów. Z korzyścią dla nas – uśmiechnął się chytrze Miodowicz.

– Ty się walnij w czambo, Małysz. Przecież takie wkrętki nie biorą się znikąd.

– W jakim sensie?

– No wiesz, dziewczynki pewnie lecą na takich typów jak ty, bo tatuś zostawił je, jak były małe, i teraz muszą sobie ten brak jakoś zrekompensować.

– Niech rekompensują! Bardzo proszę! – Informatyk bezwstydnie przejechał językiem po cienkich wąsach.

Korda przewrócił oczami. W tym momencie do pokoju wszedł starszy sierżant Adam Gustowski.

– Wzywałś, szefie? – Stał za plecami Kordy i też zerknął w monitor. – Ożeż kurwa, ja pierdolę! – zareagował na wyświetlone na ekranie zdjęcie Liwii Dembskiej w nadkolanówkach.

– Nie inaczej – skonstatował Oskar.

– Nasza zaginiona to bez ściemy zajebista dupa. – Gustlik rozwarł usta z wrażenia.

– Żaden kibel z Ohio, nie? – cmoknął Marian. – Brałbym.

– Przypominam, że to dziecko. – Korda wycelował w informatyka palcem.

– Nie dziecko, bo osiemnastolatka od kilku tygodni i w dodatku szuka tatusia, więc jestem w jej targacie.

– Ale to wciąż dziecko. Uśmiechniesz się do niej, jak już ją znajdziemy. – Korda dał za wygraną. – A tymczasem zajmijmy się pracą, co?

Ponownie zaczął scrollować przerwany dialog Liwii z Kubą:

Maciejka: Cudnaaaaaa fota, mała!

Teraz muszę się pilnować by nie napisać zbereźnych rzeczy XD

Jak ci mija wieczór?

Love: Ojejjj dałam ci wyzwanie widzę?

Maciejka: Oj dałaś

Love: Hehe

Maciejka: Bardzo ładny styl masz
Te nadkolanówki i body
Często chodzisz w takich kombinacjach ubrań?
Love: Tak, bez nich też
Maciejka: A to wychodzisz z domu nago?
Love: A to akurat nie XD
Maciejka: Hahahahah. Ale po domu nago chodzisz, czy jak?
Love: Jak jestem sama, to szczerze mega lubię, a spanie nago jest już w ogóle cudowne
Maciejka: No spanie nago jest boskie
Love: Wolność totalna
Maciejka: Oj tak
A wyszłaś z domu kiedyś np. bez bielizny, ale w spódniczce lub sukience?
Love: Nieee
Ale na tych zdjęciach nie mam bielizny
Maciejka: Kurde XD
Miałem się spytać czy masturbowałaś się kiedyś w nadkolanówkach, ale to chyba zbyt intymne pytanie
Love: Zawstydziłam sieeee....
Maciejka: Ojj przepraszam
Już nie będę...
Maciejka: Jesteś?
Maciejka: Te morda
Maciejka: Te cycu xd

– Te morda! Te cycu! – zagrzmiął śmiechem Marian. Zaczął ocierać łzy, które pojawiły mu się w oczach.

– Nie no... LOL – zawtórował mu Gustlik. – A tak dobrze mu szło. Prawie dałem się nabrać, że to perfekcyjny dżentelmen.

– Perwersyjny dżentelmen. – Korda też poczuł się rozbawiony. – No dobra, patrzę kolejnego...

Dominik: Cześć

Love: Hejj

Dominik: Jak tam minął dzionek?

Love: Gitt

Dominik: Najs

Fajne masz kreski

Love: Dziękuję <33 to prof casual jest strasznie, ale no

Dominik: Meh, nie masz co się przejmować

Za kimś się tu rozglądasz?

Love: Hm, nie wiem w sumie

Dominik: Dad może

Wg opisu jaki miałaś

Love: Taki joke

Dominik: Czaję

– O nie. Ten DILF to był tylko żart – zauważył informatyk.

– Może tak, a może nie. – Korda przejechał palcem po bliźnie. –

Mimo wszystko trzeba byłoby sprawdzić relacje starego Dembskiego z córką.

– Podejrzewasz jakieś *daddy issues*? – zaciekawiał się Gustlik.

– Cóż, po tych rozmowach nie możemy tego wykluczyć – zastanowił się Oskar. – Tak że, Gustlik, masz zadanie.

– Aha, jak zwykle jakieś gówno dla mnie – westchnął Gustowski.

– Jak nikt umiesz z niego coś wygrzebać przecież. – Korda rozłożył ręce.

– Komplement? Z twoich ust? – Gustlik przyłożył dłoń do serca.

– Wzruszasz.

– Widzisz? Potrafię być misiem, jak chcę – Korda uśmiechnął się ironicznie i wszedł w rozmowę Liwii z Darkiem:

Darek: Hej mam pytanie?

Love: Dawaj

Darek: Ocenisz penisa?

Love: Czemu nie, pokazuj

Darek. Ok. Zaraz ci wyślę.

Jesteś?

Love: Jestem. Czekam.

Na ekranie wyświetliło się zdjęcie: nabrzmiały, pokryty żyłami penis we wzwodzie na tle otwartej zmywarki.

W pokoju informatyka rozniosły się krzyki.

– Kurwa! Moje oczy! – zawył Marian Miodowicz.

– Ja pierdole, tego się nie odzobaczy. – Korda zerwał się z krzesła.

– Ktoś tu powinien zainwestować w golarkę... – Rozbawiony Gustlik klepnął się w czoło.

– No kurwa, prawdziwy Chewbacca... – Detektyw starał się omijać ekran wzrokiem.

– *Bushy* – zaakcentował Gustowski, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Weź, Małysz, zamknij to zdjęcie, co? – polecił Korda.

– Czemu ja?

– To twój rewir, nie?

Miodowicz zakrył oczy ręką i na oślep wcisnął komendę „escape”.

– Czyli tak to się robi? – Gustlik z uznaniem zacisnął usta. – „Ocenisz penisa?” „Peeownie!” I bach! Facet dopiero co opróżnił zmywarkę, a teraz stoi w kuchni z pałą w dłoni i cyka sobie fotki. A nasza Love na to... – Sierżant przesunął tekst w dół. – „Ooo, no ładny!” A on: „Cieszę się, że ci się podoba!”. Ale na tym rozmowa się ucina, więc sorry, Daras, chyba się jednak nie spodobał. – Gustowski z udawanym żalem rozłożył ręce.

– Aż się boję lecieć dalej. – Korda pokręcił z niedowierzaniem głową i znów usiadł do biurka. – To teraz Peter. O! To chyba w końcu jakaś dłuższa znajomość. – Przesunął w górę liczne okienka dialogowe i zaczął czytać:

Peter: Hejka Love, słodko wyglądasz!

Love: Oo, dziękuję heh

Peter: Jak leci, jesteś z Sopotu?

Love: Tak

Peter: Ja też. Chciałabyś może się trochę poznać i spotkać kiedyś?

Love: Może może

Peter: Czym się zajmujesz na co dzień?

Love: Jestem w ostatniej klasie liceum, rozglądam się za studiami

Peter: Jaki kierunek cię interesuje?

Love: Psychologia

Peter: Konkretnie widzę. Co cię tak w tym kręci?

Love: Mm. Ogólnie umysł człowieka to temat rzeka i chciałabym go zgłębić

Peter: Podoba mi się, jak chcesz możemy o tym pogadać, może znasz jakieś triki?

Love: Psychologiczne?

Peter: Si.

Na przykład jak zasugerować komuś, żeby zrobił coś z własnej woli

Love: Prosta manipulacja, tyle że jednostka jest przekonana o swojej własnej woli

Peter: Nieźle, a jakie są oznaki, że ktoś kłamie?

Love: To już bardziej chodzi o język ciała

Peter: A jak sprawić, żeby dziewczyna, z którą pisziesz, bardziej cię polubiła?

Love: Ojej. Wystarczy być ciekawym haha <33

Peter: Haha myślisz, że jestem ciekawy?

Love: Tak :3

Peter: Oo. Ty jesteś baaaardzo ciekawa. I straaaaasznie pociągająca <3

Love: Ale mi słodysz, zawstydzam się aaa

– Być może mamy gościa, który zawrócił naszej Love w głowie. – Korda zwycięsko uderzył pięścią w stół. – Wydrukuj mi historię tej znajomości – polecił Małyszowi i wstał. – A ja idę przewietrzyć płuca.

– Cały czas widzisz tego fiuta – stwierdził z uśmiechem Gustlik.

– Caaały czas – przyznał, przeciągając głoski, Oskar i wybuchnął niespotykanym u niego gromkim śmiechem.

4

„Ale mi słodysz, zawstydzam się aaa” – napisała Liwia Dembska i wysłała wiadomość.

Kinga miała rację. Na Pitu-Pitu można było się porządnie dowartościować. Uśmiechnęła się i zerknęła na stojące w pokoju lustro. Zerwała się z łóżka i stanęła przed swoim odbiciem. Ściągnęła w pasie materiał koszulki, obnażając krągłe biodra i mocne wcięcie w pasie. Nadal powinna zrzucić kilka kilo, miała tego świadomość. Julek wciąż jej to zresztą powtarzał. Ciągłe wyciągał na basen, motywował do ćwiczeń, sugerował, by zapisała się na siłownię. Ale sport to nie była jej bajka. Nie lubiła wysiłku; tego uczucia, że ścieka z niej pot, że cała się świeci. A przede wszystkim bolało ją, gdy uda zbyt intensywnie ocierały się o siebie. To nie była jej wina. Po prostu taką miała budowę. Masywne, kolumniaste uda po babci. Nic nie mogła z tym zrobić. Raz udało jej się schudnąć. Ale po kilku miesiącach miała dość rzygania każdym obiadem. Miała dość tego smrodu wokół niej, tego wiecznego niesmaku w ustach, tych podkrążonych oczu. Szczupłe ciało nie było tego warte.

Znów zerknęła na swoje odbicie. Seksownie wydeła usta. Podobała się sobie. Pierwszy raz od bardzo dawna.

Brzdęknięło powiadomienie z PP.

Peter: „Zawstydziłem cię? Jesteś nieśmiała?”.

„Takk” – odpisała i lekko się uśmiechnęła.

Do tej pory zwodziła wszystkich tych piszących do niej kolesi. Rozmowy z niektórymi uciniała od razu, z innymi przerywała po wymianie kilku zdań. Na odległość wyczuwała niedojrzałość, infantylność i przerost ego. Najbardziej śmieszyły ją te wszystkie dickpicki. Kto normalny wysyła dziewczynie zdjęcie swojego kutasa w pierwszej minucie? Bez żadnego wprowadzenia czy choćby zwykłej wymiany uprzejmości. „Ocenisz penisa?”. „Dawaj, chłopie, pewnie”, a zdjęcie lądowało u niej w komórce. Niektórzy choć chwilę je produkowali. Zachowywali pozory, że wałają sobie konia, patrząc na jej wyuzdaną fotografię. Ale byli też tacy, którzy w jednym momencie przesyłali jej całą galerię fiutów: nabrzmiały fiut spoczywający na brzuchu, fiut uniesiony w dłoni, fiut wyciągnięty z džinsów, fiut na przednim siedzeniu auta, fiut na kuchennym blacie, fiut mierzony krawieckim centymetrem. I te przedmioty w tle. Szare kapcie na nogach, wypłowiałe zmechacone gacie, otwarta zmywarka, niedojedzona kanapka, brudne ciuchy na

podłodze, ścierka w kratę, pomarańczowe kafle podłogowe rodem z PRL-u albo drążek starego ręcha typu golf 3. A raz wyłapała nawet dziecięcą pieluchę! Nie do wiary. Faceci widzieli tylko swojego druta. Prężyli się, by wyszedł jak najbardziej okazale, by zasłużył na dobre słowo, będące dla nich namacalnym stemplem dobrej marki. A kobiety zawsze dostrzegają kontekst, który mówił o tych zboczeńcach więcej niż sama fujara. Brudas, biedak, bezguście, leniwy pajac, maminsynek, ekshibicjonista, niechluj. Można było z nich czytać jak z otwartych ksiąg.

„Tym lepieeej” – napisał Peter. „Da się pani namówić na buziaka?”

„Mooże...?” – odpisała.

Nie wiedzieć czemu poczuła się zaintrygowana. Nick mężczyzny sugerował, że miała do czynienia z delikatnym chłopcem, ale zdjęcie profilowe wskazywało na coś zupełnie innego. Czarno-białe artystyczne zbliżenie twarzy zakrytej dłońmi miało w sobie moc. Liwia była pewna, że te ręce nie należały do chłopca, lecz mężczyzny. I to bardzo pewnego siebie mężczyzny.

Może właśnie to sprawiło, że gdy Peter zapytał po chwili: „A może dasz się namówić na coś więcej?”, ponownie odpisała: „Może?”.

Sama nie wiedziała, czego szukała na tym portalu. Może jakiejś odmiany? Pełnej akceptacji nie tylko dla tego, kim była, ale też dla tego, jak wyglądała? Miała dość tego, że ktoś chciał ją zmieniać. Chciała, by ktoś jej pragnął właśnie takiej, jaką widziała siebie w lustrze. Chciała, by ktoś docenił jej szerokie biodra, mięsiste uda, krągłą dupę, ciężkie opadające piersi. Chciała, by ktoś podniecał się jej bujnym, mocnym ciałem. Chciała, żeby przestano szukać w niej doskonałości. Chciała, żeby ktoś dostał erekcji od samego patrzenia na to, czego ona na co dzień się wstydziała.

„I coś jeszcze by pani chciała?” – dopytywał Peter.

„Nie wiem... zaskocz mnie...” – odpisała i położyła się na łóżku.

„Mmm. A na co mogę sobie pozwolić? ;x”.

„Na w-wszystkooo...”

„Czyli gdybym rozłożył ci uda, to nie miałabyś nic przeciwko? ;x”.

„N-nie miałabym”.

„A może zdjąłbym Ci majtki?...”.

„T–tak...”

„Mmm. Grzeczna dziewczynka”.

Liwia Dembska zagryzła usta i podniecona czekała, jak daleko jeszcze posunie się mężczyzna.

5

Dziecko płacze. Jak zawsze. Ten dźwięk wrzyna jej się w mózg, wykręcając wnętrzności. Czasami ma ochotę cisnąć dziewczynką o ścianę. Byle się uciszyła, byle ten pisk ustał i nastąpiła cisza. Przecież niektóre matki tak robią. Wielokrotnie widziała je w wiadomościach. Myślała wtedy, że to bestie, pozbawione uczuć monstra, które nie zasługują na współczucie. Ale teraz doskonale je rozumiała. Ten odruch wynikający z głęboko zakorzenionej potrzeby, by walczyć o samą siebie. Zwierzęcy instynkt wiodący do destrukcji wszystkiego, co zakłóca spokój.

Czy ona kiedyś przestanie? – myśli. Czy to kiedyś się skończy?

Ugina mocno nogi. W jedną i drugą. W jedną i drugą. Mocniej. Mocniej i mocniej.

– Ciiiiii – kołysze dziewczynką. – Cicho, cichutko – mówi, połykając łzy.

Cisnąć dzieckiem o ścianę. Przecież niektóre matki tak robią.

Nie chce tych myśli. Nie chce. Ale one wracają, ilekroć mąż wychodzi do pracy i zostawia je same. I wtedy córka zaczyna płakać, jakby wiedziała, że kobieta nie ma do dziecka serca, a może też nigdy go nie chciała, bo gdy spóźniła jej się miesiączka, modliła się w myślach, by ujrzeć na majtkach krew. Ale ta nie popłynęła przez najbliższe dziewięć miesięcy, co napawało Zenona dumą, podczas gdy ona czuła narastający lęk.

– Cicho, bachorze – syczy w końcu, szarpiąc małą.

Dziewczynka nagle cichnie. Patrzy na matkę szeroko otwartymi oczami.

– Dobra dziewczynka, dobra – szepcze z ulgą matka.

Podchodzi do okna. Zbliża się wiosna. Słońce nieśmiało wychodzi zza chmur. Szyby pokryte są szarymi smugami.

Kobieta krzywi się. Ale wstyd. Idzie do kuchni, odkłada dziecko do skrzyńca przez męża kojca, wyciąga miskę, do której nalewa ciepłej wody i octu. Chwyta gazetę i przechodzi do dużego pokoju.

Psik. Psik.

Zaczyna trzeć szybę gazetą. Słońce tak miło grzeje jej twarz. Energicznie przeciera szybę, znów czując się sobą, kobietą, która ma życie, która działa i robi coś więcej niż zmienianie pieluch i wycieranie nosa. Jak miło. Jak dobrze. Świeże powietrze wpada do mieszkania, a smugi zaczynają znikać.

Odchodzi kilka kroków w głąb pokoju i zerka na efekt swojej pracy. Uśmiecha się usatysfakcjonowana. Niemal zapomniała, że ma półroczne dziecko. Zabiera gazety i zwija je w kulkę. Bierze miskę i podąża do kuchni.

Cisza. Taka miła cisza.

Zbyt długa. Zbyt miła.

Przyspiesza kroku i zamiera na progu.

Dziewczynka siedzi w kojcu, a w rękach trzyma nóż. Największy kuchenny nóż, jaki mają. Przejeżdża czerwonymi od krwi paluszkami po ostrzu. W jedną i w drugą. W jedną i w drugą. Zerka na matkę i szeroko się uśmiecha. Nóż w jej dłoniach odbija padające zza okna słoneczne światło.

Alicja Grabska obudziła się raptownie, z głuchym westchnieniem łapiąc oddech. Podniosła głowę z biurka i zerknęła na swoje dłonie. Miała nieodparte wrażenie, że trzyma w nich nóż. Niemal czuła na opuszkach zimne ostrze. W jedną i w drugą. W jedną i w drugą. Nie mogła odegnąć wrażenia, że przejeżdża palcami po klindze.

Ten sen wracał do niej raz za razem i zawsze był taki realny. Alicja wiedziała, że to jakieś przetworzone wspomnienie z dzieciństwa, bo kiedyś napomknęła o takim zdarzeniu ciotka, co natychmiast sprawiło, że matka zgromiła ją wzrokiem. Tylko we śnie była najpierw swoją matką, a dopiero potem sobą. Czy podświadomość dawała jej do zrozumienia, że Alicja też byłaby okropną matką? Czy miałyby ochotę cisnąć swoim dzieckiem o ziemię? *Przecież niektóre matki tak robią* – w głowie pojawiła się myśl ze snu. Wzdrygnęła się. Nie wiedziała nawet, kiedy zasnęła. Pracowała do późnej nocy, nic więc dziwnego, że w końcu ją zmogło w dzień. Zerknęła na komórkę. Nie mogła spać długo.

Dobrze, że Kierski jej nie przyłapał. Na pewno wytykałby jej to potem przy każdej możliwej okazji.

Przeciągnęła się, wyciągnęła zbolałą szyję i zerknęła na monitor komputera. Otwarte okienka w przeglądarce tworzyły wielobarwny ciąg branżowych symboli. W ostatnich dwudziestu latach w Trójmieście zaginęło bez wieści naprawdę sporo osób. Wyszły z domu i nigdy nie wróciły, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Jednak nie wszystkie te tragiczne zniknięcia stały się sprawami medialnymi. Nie wiedzieć czemu nie przyciągnęły uwagi, po jakimś czasie przestało się o nich mówić, jakby nigdy nic się nie stało. Był człowiek, nie ma człowieka. Odszedł w zapomnienie. Tyle.

Alicja Grabska nie mogła również uwierzyć, do ilu niewyjaśnionych morderstw doszło na Pomorzu w ostatnich dwudziestu pięciu latach. Skupiła się na tych, które dotyczyły młodych dziewczyn. Patrzyła na udostępnione w sieci zdjęcia z miejsc oględzin. Rowy melioracyjne, lasy, tory kolejowe, ukrywające ciała jutowe worki, porzucone buty, strzępki sukienek, jakiś przypadkowy przedmiot, który nadawał miejscom zabójstw przerażający kontekst codzienności. Ale to nie te fotografie robiły na dziennikarce największe wrażenie. Najbardziej emocjonalne były zdjęcia ofiar za życia – te, na których się uśmiechały, niczego nieświadome przechylały w bok głowy, dokładały śmieszne miny, tańczyły, siedziały w szkolnych ławkach, obejmowały stojących obok przyjaciół. Alicja w skupieniu notowała, kopiowała fragmenty starych artykułów i przenosiła je do nowo stworzonego pliku tekstowego. W końcu dotarła do jednej z ostatnich zakładek. Na ekranie pojawiła się twarz dziewczyny o krótkich postrzępionych włosach, wydatnych ustach i brązowych oczach podkreślonych czarnym eyelinerem, lecz Grabska natychmiastowo nałożyła na zdjęcie tkwiący w jej wspomnieniach obraz zmiażdżonej głowy, wokół której gęstniała na śniegu ciemna breja krwi.

– Odsuń się, dziecko! Odsuń! – Zadudnił w jej głowie głos policjanta, który szarpnął ją wtedy za kurtkę i zmusił, by ruszyła przed siebie.

Alicja przeczytała tekst o zabójstwie z dziewięćdziesiątego drugiego roku i gruntownie przejrzała udostępnione zdjęcia. Następnie zjechała kursorem w dół i odpaliła filmik.

Obraz z kamery był rozedrgany i nieostry. Ada Milewska szła szkolnym holem w gronie ubranych w białe koszule i czarne spódniczki koleżanek. Wyraźnie się wyróżniała, miała bowiem na sobie czarną, przewiazaną paskiem sukienkę i białą sztuczną różę przypiętą do piersi. Coś mówiła, szeroko się uśmiechając. Zamaszyście machała rękoma. Kolejny fragment pokazywał Adę na prywatce. Stała pośrodku wypełnionego młodzieżą pokoju i trzymając w ręku kieliszek czerwonego wina, zwracała się wprost do obiektywu: „Korzystając z okazji, że jest tutaj kamera, chciałabym wznieść toast na cześć mojej najwspanialszej przyjaciółki Magdy. Mam nadzieję, że zostanie nią do końca życia, mojego życia” – klepnęła się w pierś.

Znów przebitka ze szkoły. Ada Milewska wyszła na środek holu, podeszła do kobiety w szarej garsonce, a ta wygłosiła: „W roku szkolnym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt jeden – dziewięćdziesiąt dwa najlepszą uczennicą pierwszego LO została Ada Milewska”. Po sali rozniosły się gromkie brawa. „Zdolność i konsekwencja w stosowaniu i rozszerzaniu wiedzy pozwoliły jej osiągnąć wysokie wyniki w nauce. Ada sprawdziła się również jako koleżanka, ofiarowując każdemu pomoc” – kontynuowała dyrektorka liceum. Ada skromnie przejechała palcami po włosach. „W związku z tym Adrianna otrzymuje nagrodę w wysokości dwóch milionów złotych”. Znów rozległy się donośne brawa i okrzyki. Kamera w tym momencie zrobiła najazd na siedzącą na krześle w pierwszym rzędzie mamę Adrianny. Ta zaczęła ocierać łzy wzruszenia, a w głowie Alicji Grabskiej pojawiła się wykrzywiona bólem twarz Barbary Milewskiej odciąganej od ciała córki. Zwierzęce wycie, szarpanina, niedowierzanie. Grabska nigdy potem nie widziała państwa Milewskich. Niedługo potem matka Ady popełniła samobójstwo, a ojciec zupełnie się załamał.

– Nie przeszkadzam? – W drzwiach pojawił się Mariusz Kierski.

Zawsze przeszkadzasz – pomyślała Alicja, lecz zostawiła to dla siebie. W zamian obdarzyła redaktora oczekującym spojrzeniem.

– Znalazłem coś ciekawego – powiedział i podszedł do biurka Grabskiej, rzucając na blat wydruk artykułu z dwa tysiące czwartego.

– Zobacz. – Postukał palcem w papier.

Alicja poczuła na szyi jego oddech.

– Możesz się trochę odsunąć? – warknęła.

– Dobrze, przepraszam, nie chciałem... – wycofał się zaskoczony Kierski. Mina zupełnie mu zrzedła. Grabskiej z niewiadomego powodu zrobiło się głupio.

– Po prostu nie lubię, jak ktoś wchodzi w moją przestrzeń, okej? – zaczęła się tłumaczyć.

– Okej. Rozumiem. Pewnie. – Mariusz podniósł ręce w geście ustępstwa.

Alicja nie mogła go rozgryźć. Może to ona była przewrażliwiona?

– Co masz? – zmieniła temat, sięgając po kartki.

– Osiemnastolatka Nina Kołodziej. Zaginęła w dwa tysiące czwartym. Wyszła z domu pobiegać i nigdy nie wróciła. Żadnych świadków. Żadnych śladów. Dosłownie zapadła się pod ziemię.

– Nina Kołodziej – powtórzyła Grabska. – Hmm. Nigdy nie natknęłam się na to nazwisko – zastanowiła się.

– Bo nigdy nie było o tym specjalnie głośno. Od lat dziewięćdziesiątych sporo dzieciaków uciekało w Sopocie od rodziców. Na tę młodzież na gigancie mówiono wtedy Dzieci Monte Cassino. Imprezowali, chlali, ćpali, nocowali na plażach. I tak miesiącami, a potem, jak się im znudziło, sami wracali do domów. Więc na początku dwutysięcznych na policjantach takie zgłoszenia nie robiły specjalnego wrażenia. Jak w dwa tysiące dziesiątym zaginęła Iwona Wieczorek, to też przez pierwsze tygodnie nikt się specjalnie nie zainteresował. Dopiero jak sprawą zajął się detektyw Rutkowski, policja się obudziła i zaczęła z nim ścigać, kto wpadnie na jakiś trop.

– Tylko że Nina Kołodziej, tak samo jak Iwona Wieczorek, nigdy do domu nie wróciła.

– Nie wróciła – potwierdził Kierski.

– Jak na to trafiłeś?

– Wiesz, że mam swoje dojścia – uśmiechnął się chytrze redaktor.

– Anonimowe źródła w policji, które tak pieczołowicie chronisz. Jak przykładowo mój były mąż.

Kierski rozłożył ręce.

– No cóż, z Tajfunem kumplujemy się od lat, więc faktycznie czasami mi pomaga, to zupełnie normalne.

„Co mam dla ciebie, kurwa, sprawdzić? A ty nie umiesz sama wykonywać swojej pracy? Za co ci, kurwa, płacą? Za tę ładną buzię?” – dziennikarka usłyszała w głowie głos Igora Olszewskiego, którego od liceum nazywano Tajfunem. „Kto cię tam w pracy obraca, co? Twój szef? Szef twojego szefa? Czy każdy frajer, któremu robisz kawę?”.

Mąż złapał ją wtedy za brodę, boleśnie wbijając paznokcie w jej zuchwę. Nie uderzył jej. Nie musiał. Wystarczająco zaakcentował, że to on ma władzę i nie zamierza niczego jej ułatwiać. Nigdy więcej nie poprosiła go o jakąkolwiek pomoc.

Alicja Grabska zacisnęła zęby, starając się wyrzucić z umysłu palące wspomnienie. Ile jeszcze minie czasu, nim zapomni o tym, co robił jej Igor? Ile jeszcze dni i miesięcy musi upłynąć, by przestała traktować mężczyznę jak zagrożenie?

Wpatrzyła się w ogłoszenie zaginięcia, które przedłożył jej Kierski.

– Dziewczyna mieszkała przy Żeromskiego – zauważyła nagle. – To bardzo blisko ulicy Abrahama, przy której mieści się dom Dembskich!

– Dokładnie – uśmiechnął się Kierski, nonszalancko zaczesując dłonią włosy do tyłu.

– Masz jakieś jej zdjęcie?

– Mam – odparł, jakby tylko na to czekał.

Ponownie schylił się nad Grabską, z atencją kładąc na blacie jej biurka ksero kolorowego zdjęcia.

Alicja znów poczuła jego oddech na karku. Ale tym razem nie zareagowała. Z uwagą wpatrywała się w postać Niny Kołodziej, a jej serce waliło.

6

Peter: Jesteś?

Love: Jestem.

Peter: Co słychać, Piękna?

Love: Pokłóciłam się z ojcem.

Nie mam humoru :(

Peter: Oj :(Przykro mi.

Rodzice potrafią dopiec.

Coś o tym wiem...

Love: Serio?

Peter: Serio. Mój ojciec był perfekcjonistą i wymagał tego od innych.

Wszystko musiało być na tip top, bo jak nie to...

Love: Bił cię???

Peter: Nie, mnie nie, bił tylko matkę i to często na moich oczach. Wobec

mnie był jedynie chłodny i bardzo surowy.

Zupełnie bezemocjonalny.

Gdy coś przeskrobałem, oczywiście w jego mniemaniu, potrafił nie

odzywać się tygodniami.

Nie patrzył na mnie. Nie widział, nie słyszał. Jakbym był powietrzem.

...Jakbym nic nie znaczył...

Love: Ojej :(To straszne :(Bardzo mi przykro <3

I... jeśli mogę spytać... czemu piszesz o nim w czasie przeszłym?

Czy on...?

Peter: Tak. Nie żyje, zresztą tak samo jak matka. Zostałem sam. Ale

dobrze mi z tym. Może nawet lepiej niż kiedyś.

Love: Moja mama też nie żyje. Ale nie jest mi wcale z tym dobrze. Gdy była, było

lepiej. Dużo lepiej. I tata był inny. Nie robił tego wszystkiego...

Peter: Czego?

Love: Nie wiem, po prostu był inny. Mniej nachalny, gdy już był.

Nie robił tylu rzeczy na siłę.

Peter: Pewnie stara się pokazać Ci, że cię kocha.

Love: Tak, pewnie tak.

Haha, ale weszliśmy na temat xD

Peter: No.

Ale lubię z Tobą rozmawiać.

O wszystkim.

Love: Dzięki. Ja też.

Poczułam się lepiej <33

Peter: Cieszę się, Tygrysku.

Love: To może teraz...

Peter: Hmmm???

Chcesz się pobawić?

Co?

Masz ochotę?

Love: Ttaak

Peter: Niegrzeczna dziewczynka

Niegrzeczna seksowna dziewczynka...

Detektyw Oskar Korda wzdrygnął się na dźwięk telefonu.

– Szefie, mamy coś – powiedział Małysz.

Policjant odłożył wydruki rozmów na biurko i szybkim krokiem przeszedł korytarzem do pokoju zajmowanego przez Miodowicza. Tam zwyczajowo panowała ciemność, lecz tym razem Korda nie zwrócił na to uwagi, podążając za jasnym światłem monitora.

Małysz odpalił filmik. Brama na rozświetlonym ogrodowymi lampami podjeździe drgnęła i zaczęła przesuwając się w bok. Po chwili odsłoniła pogrążoną w mroku ulicę. W kadrze pojawiła się czarna toyota corolla, która powoli wyjechała z posesji. W momencie, gdy skręcała w lewo, Małysz zatrzymał nagranie.

– Na co patrzeć? – Korda uważnie lustrował kadr.

– Niestety, przybliżenie i wyostrenie obrazu nic nie dało. Mam jedynie fragment rękawa kierowcy. Czarne rękawa – zaznaczył informatyk.

– I to ma być ten news? – Zawiedziony detektyw pokręcił głową.

– Przecież czarne kurtki i płaszcze nosi jesienią jakieś trzy czwarte Polaków.

– A cała reszta stroi się na szaro – zaśmiał się Gustlik.

– Dokładnie – potwierdził Korda, krzyżując ramiona na piersi.

– Dobra, dobra, to tylko prelude do dobrych wieści – mruknął Małysz i wykadrował kolejny fragment.

Po kilku zabiegach na ekranie tuż za maską skręcającego samochodu pojawił się żółty rower – a raczej jego kierownica i część

ramy.

– Mamy szczęście, bo udało się wyłonić nazwę. – Małysz jeszcze bardziej przybliżył obraz. – Widzicie? RoyalBi. Rower miejski Sunrise. Kosztuje jakieś dwa koła, a w dodatku ma charakterystyczny słoneczny kolor, więc może uda się nam namierzyć właściciela...

– ...i zapytać, czy nie widział czegoś niepokojącego – dokończył Korda. – Dobra robota, Małysz. W końcu jakiś konkret. Gustlik! – Odwrócił się do sierżanta.

– Tak, tak, zajmę się tym – przytaknął Gustowski. – Na początek puścimy info w mediach społecznościowych. Wrzucę to też na sopockie facebookowe profile: Sopot.pl, Sopot Moje Miasto i Jesteś z Sopotu Jak... Potem ewentualnie rozszerzymy na Gdynię i Gdańsk.

– Dobra. To do roboty. – Korda klepnął Gustlika w ramię i zwrócił się do Miodowicza: – Kontynuuję lekturę rozmów Petera z Love i jestem więcej niż pewny, że jeśli Liwia Dembska miała się z kimś umawiać, to właśnie z nim. Te dialogi są inne. Bardziej... – zastanowił się. – ...intymne? Erotyczne też oczywiście. Ale oprócz tego są zwierzenia, a to zawsze prowadzi do budowania głębszej więzi.

– Czyli co? Prześwietlamy?

– Tak.

– Operacyjnie? – zaśmiał się Małysz.

– Operacyjnie – przytaknął Korda. – Chcę wiedzieć, z kim jeszcze nasz Peter rozmawiał i czy komuś zaproponował spotkanie. Cofnij się tak daleko, jak tylko się da. Chcę znać całą historię poczynań tego typu na tym komunikatorze. Jeśli faktycznie to jakiś starszy gość, to może gdzieś zdradził coś, co go sprzeda.

– Za daleko niestety się nie cofnę, bo w starszych wersjach Pitu-Pitu archiwum było zapisywane lokalnie na dysku, więc rozmowy były archiwizowane tylko na komputerach użytkowników, a w WebPitu, czyli w tej najstarszej wersji dostępnej przez WWW, archiwum w ogóle nie było zachowywane – Małysz machnął ręką.

– Ach, te czasy prywatności – cmoknął Korda.

– Na szczęście bardzo szybko odchodzą w zapomnienie – zaczął się śmiać Miodowicz. – Teraz wszelkie aplikacje społecznościowe

gromadzą wszystko na serwerach, tak że kompletne archiwum z ostatniego czasu jest na wyciągnięcie ręki.

– Doskonale. – Detektyw klasnął w dłonie i wygodnie się rozsiadł.

7

Benedykt Dembski odłożył sztućce, wytarł usta serwetką i wstał od stołu. Wstawił brudny talerz do zmywarki i napuścił wody do czajnika. Po obiedzie zwyczajowo pił kawę. Tak przyjęto w jego domu rodzinnym i tak polityk robił również na swoim. Tradycja to tradycja; trzeba było ją kultywować. Tak przyuczył świętej pamięci żonę i to starał się wpoić Liwii, choć ta za kawą nie przepadała. Mówiła, że gorzka, a nawet twierdziła, że po niej staje się senna. Ale tradycja to tradycja. Pić musiała i tyle.

„Przecież to fusiara!” – krzywiła się Liwka. „Nie wiesz, że zmielone ziarna kawy zalane wrzątkiem same w sobie są bardzo niezdrowe? A im dłużej fusy pozostają w napoju, tym więcej szkodliwych substancji się wydziela” – mówiła. „Tam fusiara”. – Benedykt wzruszał ramionami. „Najlepsza kawa. Moi rodzice taką pili. Ich rodzice taką pili. Cała Polska taką pije” – twierdził. „Nie da się ciebie zreformować”. – Córka machała ręką. „Nie da”.

Mężczyzna wyjął z szafki dwie filiżanki i nasypał do nich po dwie kopczaste łyżeczki kawy. „Fusiara” – prychnął, stanął przy oknie i gwałtownym ruchem poluzował krawat.

Na dworze zrobiło się ciemno. Wiatr zupełnie ustał. Wydawać by się mogło, że to zwyczajny dzień, gdyby przez sztachety bramy nie dostrzegał stojących pod domem ludzi. Gdzieś tam prześwitywały małe pomarańczowe ogniki. Zapalili znicze. Dembski z niedowierzaniem pokręcił głową. *Jakby już ją uśmiercili. Jakby już była martwa* – pomyślał.

Czajnik brzdęknął. Benedykt odszedł od okna i zalał wodą zmielone ziarna czarniejące na dnie filiżanek. Po kuchni rozszedł się znajomy aromat.

– Fusiara – mruknął Dembski. – Może faktycznie trzeba będzie zainwestować w ekspres.

W tym momencie rozbrzmiał dzwonek u bramy. Dembski zerknął na czarno-biały obraz z kamery zainstalowanej nad furtką. Pojawiła się w niej lekko zdeformowana przez oko obiektywu twarz rzecznika prasowego Nowej Drogi Kajetana Rychlika. Za mężczyzną polityk dostrzegł wóz transmisyjny i stojących ze zniczami w rękach sąsiadów.

– By ich lumbago zgięło. – Zacisnął ręce i otworzył furtkę.

Po chwili drzwi otworzył Rychlik.

– Chodź, Kajetan, chodź. Dobrze, że jesteś. Musimy pogadać. – Poprowadził Rychlika do kuchni.

– Spodziewasz się kogoś? – Rzecznik zerknął na dwie filiżanki parującej kawy.

– Dla ciebie zrobiłem – stwierdził Dembski. – Co masz?

– Nic, tak, wiesz, się zastanawiam, kto by mógł od nas ewentualnie maczać palce w zniknięciu Liwii.

– No?

– No i tak myślę, że może Waryński? Wiesz, ten od ustawy o inwestycjach w zakresie elektrowni wiatrowych, której nie poparłeś? Może się mści? A może Lutkiewicz? Przecież chciał do ciebie przejść, ale go wyśmiałeś, więc...

– Eeee – przerwał Rychlikowi Dembski. – Jaki polityk by dziecko uprowadzał?! To nie jest nic politycznego! Rozumiesz?! – podniósł głos i poczerwieniał. – Nic!

– Może warto jednak...

– To ten Julek, kurwa jego mać! Dam sobie rękę uciąć, że to on! – krzyknął zdenerwowany Benedykt. – Słyszałeś, że Liwia się z kimś innym umawiała? – Rychlik skinął głową. – No. Na pewno poznała kogoś lepszego, o to nietrudno, bo ten cały Kamać to pasował do niej jak pięść do nosa. Ojciec ślusarz! Ty wiesz, nie?

– Tak, mówiłeś już, choć nie uważam, żeby to jakoś szczególnie dyskredytowało tego chłopaka. Zresztą sam stawiasz w swoim programie na klasę robotniczą. Przecież nie raz mówiłeś, że to właśnie ona jest podstawą gospodarki.

– Tam w programie. – Zniecierpliwiony Dembski machnął ręką. – Program to program. A życie to życie. Chyba widzisz różnicę, nie? Jak mówię, że są ważni, to myślę, że nie są. Jak mówię, że dostaną finansowe wsparcie, to już myślę, gdzie im to wsparcie odejmę. Nie

muszę ci zresztą tego tłumaczyć, Kajetan. – No dobra, ale to, że chłopak jest synem ślusarza, nie znaczy od razu, że zrobił coś twojej córce.

– Biedota to biedota. Oni się kierują instynktem, jak zwierzęta. Zabrała, to odbiorę. Zdradziła, to zatłukę. Proste mechanizmy. Czysta patologia.

– To czemu nie powiesz tego policjantom?

– Mówiłem! Przemaglowali już Kamacia w jedną i w drugą stronę. Na komendzie spędził niemal cały dzień i nic z niego nie wycisnęli. Nie ma żadnych dowodów, by maczał palce w zniknięciu Liwii. – Dembski przysiadł do kuchennego stołu i złapał się za głowę.

– No to co teraz?

– No właśnie?! Co teraz?! – Polityk podniósł wzrok na rzecznika.

– Co możemy zrobić? – Rychlik wzruszył ramionami. – Samemu trzeba go przycisnąć! Rozumiesz? – Porozumiewawczo skinął głową.

– Samemu? – wydukał Rychlik.

– No samemu! Ostro! Tak, żeby się, kurwa jego mać, zesrał!

Kajetan Rychlik zmrużył oczy.

– Chodzi ci o to, żeby ktoś go...?

– O to mi chodzi – odparł stanowczo Dembski.

Rzecznik sceptycznie pokiwał głową. Po dłuższej chwili odezwał się:

– Mogę się postarać kogoś, ekhm, zorganizować.

– Wiem, że się postarasz. I wiem, że mogę ci ufać. Dlatego do ciebie z tym uderzam, rozumiesz?

Rychlik kiwnął.

– Cieszę się. – Dembski wstał i uścisnął rzecznikowi dłoń. – I jeszcze jedno – rzucił, gdy Rychlik skierował się do wyjścia. – Chcę przy tym być.

8

Oskar Korda schował ręce do kieszeni i zatopił brodę w kołnierz granatowej puchówki. Przebijał się przez wiatr, który pod wieczór znów przybrał na sile. Temperatura spadła do zera, co skutecznie zniechęciło spacerowiczów do wychodzenia z domów. Na Skwerze

Kuracyjnym panowały pustki. Zupełnie mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Uwielbiał wyludniony Sopot. Połyskujące wilgocią płyty brukowe, rozciągający się na przestrzał horyzont, niezakłócony żadnymi głosami szum sunących po morzu spienionych bałwanów. To było jego miasto. Nie ten turystyczny jarmark pełen łoskotu walizkowych kółeczek, zasłaniających plażę parawanów, napierających na Monciaku tłumów. Prawdziwy Sopot wyłaniał się jesienią i wtedy dopiero można było poczuć jego ducha.

Pokonał ostatni odcinek skweru i wszedł na molo. Tu wiatr przybrał na sile, a deski były śliskie od opadającej na nie morskiej bryzy. Namierzył dziennikarkę niemal natychmiast. Stała przy barierce i patrzyła w ciemną toń Bałtyku. Musiała wyczuć na sobie jego wzrok. Odwróciła się. Teraz to ona obserwowała, jak walcząc z wiatrem, Korda zmierza w jej kierunku.

– Piękne okoliczności przyrody – powiedział detektyw, stając po chwili obok.

– Prawda? – uśmiechnęła się Grabska. – Tęskniłam już za tym. Niemal całe dni siedzę za biurkiem, a bieganie po plaży na razie, hm, zarzuciłam.

– Złota polska jesień staje się mitem, co? – odpowiedział uprzejmie Korda, unosząc kącik warg.

Uśmiech nie uśmiech. Oboje nie byli najlepsi w tego typu pogawędkach.

– Zadzwońłam, bo na coś wpadłam – zmieniła temat Alicja.

Korda wsadził do ust papierosa i osłaniając zapalniczkę dłonią, po kilku próbach go odpalił. Wiatr gwałtownie zabrał ze sobą dym, który wydmuchał z płuc.

– Co masz?

– Najpierw ty. – Alicja chytrze przekrzywiła głowę.

Detektyw przejechał palcem po bliźnie. Jak zawsze, gdy intensywnie o czymś myślał.

– Sprawdziliśmy konto Liwii na Pitu-Pitu – powiedział, spokojnie wydmuchał papierosowy dym i podjął: – Faktycznie dziewczyna, oprócz przelotnych znajomości, nawiązała tam dłuższą relację z pewnym typem. Peter. Taką ma ksywę. Prześledziliśmy jego profil i okazało się, że lubi dziewczyny o określonej budowie ciała, takiej, jaką charakteryzuje się Dembska. – Pociągnął papierosa.

Wydymuchał dym. – A przynajmniej wszystkie użytkowniczki, do których zdecydował się napisać, miały szerokie biodra i wąskie talie, więc taki musi być jego typ.

– Figura thicc – odezwała się Grabska.

– Co?

– Thicc. Tak to się nazywa. No taka klepsydra.

– Okej. Dobrze wiedzieć. – Korda z uznaniem wyduł wargi. – Twoja kolej.

– Grzebaliśmy dziś w redakcji w innych sprawach związanych z zaginięciami w Trójmieście. Wiesz, żeby przypomnieć stare dramaty dla podniesienia poziomu emocji. I trafiliśmy na zaginięcie dziewczyny, która mieszkała przecznicę dalej niż Dembscy. Przy Żeromskiego. To było w dwa tysiące czwartym. Nazywała się Nina Kołodziej.

– Nie kojarzę tego nazwiska – zastanowił się Korda.

– Dziewczyna wyszła pobiegać i nigdy nie wróciła do domu. Sprawę szybko zamknięto w związku z brakiem świadków i jakichkolwiek tropów, które pozwalałyby stwierdzić, co się z nią stało. I teraz najlepsze.

Alicja sięgnęła do kieszeni beżowego płaszcza, którego połami nieustannie bawił się wiatr, i wyciągnęła telefon. Jedną ręką przytrzymała włosy niesforne opadające na ekran, wyszukała zdjęcie i stanęła obok Kordey.

– Patrz. – Wyciągnęła smartfona przed siebie.

Na żarzącym się w mroku pulpicie wyświetliła się postać młodej dziewczyny w brązowych, przyciętych do ucha włosach. Miała na sobie zielony golf i dżinsy, które podkreślały zaokrąglone w stosunku do talii biodra.

– Też była thicc – podkreśliła Alicja, odwracając twarz w kierunku Kordey.

Detektyw jeszcze chwilę przypatrywał się fotografii, po czym skierował wzrok na Grabską.

– Ciekawy trop – skwitował.

– Prawda? – uśmiechnęła się Alicja.

Włosy wirowały jej wokół twarzy. Oskar mechanicznie wyciągnął rękę, by je odgarnąć. Poczul w sobie w tym momencie jakąś dziwną tęsknotę, która aż ścisnęła mu krtań.

Dziennikarka natychmiast odsunęła się o krok.

„Jestem zepsuta. Rozumiesz? Zepsuta!” – rozbrzmiało pomiędzy nimi wypowiedziane kiedyś zdanie.

Korda cofnął dłoń i mechanicznie sięgnął po papierosa. Walcząc z wiatrem, na chwilę odwrócił się od Grabskiej, odpalił.

– Dzięki – powiedział, wypuszczając niewidoczny dym. – Sprawdzę to. I jeśli mógłbym cię prosić, żebyś zachowała to na razie dla siebie.

– Wiesz, że nie mogę ci tego obiecać – uśmiechnęła się przeprasząco Alicja. – Każde z nas wykonuje swoją pracę.

– Warto było spróbować.

Uśmiech nie uśmiech. Alicja znów poczuła w sobie to absurdalne ukłucie.

– Lecę, Korda. Strasznie zmarzłam. – Grabska wbiła wzrok w deski mola i ruszyła przed siebie. – A! – Odwróciła się jeszcze. – Pewnie nie powinnam tego mówić, ale znów chcąc nie chcąc staliśmy się teamem... – prychnęła z niedowierzaniem. – Jutro zamierzam porozmawiać z matką tej zaginionej Niny.

– Skąd wiesz, że będzie chciała się z tobą zobaczyć?

– Już się zgodziła. – Dziennikarka rozłożyła ręce. – Jak widać, nie traci nadziei. W sumie wręcz się ucieszyła, że ktoś przypomniał sobie o sprawie.

– Kurde, Ala! – stęknął policjant.

– Oczywiście możesz pójść ze mną – rzuciła kokieteryjnie Alicja i podniosła rękę w geście pożegnania.

Detektyw Oskar Korda patrzył, jak odchodzi. Brzegi jej płaszcza lekko uciekały na boki, długie blond włosy kołowały wokół głowy. Znów poczuł tę niewy tłumaczalną tęsknotę; jakiś potworny brak, który tlił się w nim od dawna, podobny do tego, który tkwił w tej oddalającej się coraz bardziej kobiecie.

9

Peter: Myślę, że już czas.

Love: Na co? ^^

Peter: Żeby się zobaczyć.

Jesteś?
Tygrysku?
Love: Jestem.
Ale sama nie wiem...
Peter: Boisz się mnie?
Love: Niiieee
Nie ciebie
Peter: A czego?
Love: Wydajesz mi się tak bliski.
Mogę ci powiedzieć wszystko
Mówię ci wszystko.
O sobie.
Jesteś jak pamiętnik...
Peter: Nie jestem dla ciebie prawdziwą osobą?
Love: Nie, to nie tak. Jesteś. Oczywiście.
Peter: :(
Love: Przepraszam ^^
Peter: Ja też się boję. Nie myśl sobie.
Love: Czego?
Peter: Że naprawdę tak nie wyglądasz.
Że masz zezę.
I że się jąkasz ;p
Albo ślina ci kapie z ust jak mówisz.
Love: xDDDD
A co ja mam powiedzieć? Ja nawet nie wiem, jak Ty do końca
wyglądasz!
Peter: No właśnie. Ile można żyć iluzją?...

Detektyw Oskar Korda podniósł głowę znad wydruków i spojrzął przez przednie okno swojej alfy. Hotel Quadrille mieścił się w pomalowanym na soczystą żółć monumentalnym budynku dworskim otoczonym gęstymi drzewami. Staw, reprezentacyjny podjazd, elegancka fontanna. Wszystko to sprawiało wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Kordzie trudno było uwierzyć, że nadal znajdował się w centrum Gdyni-Orłowa.

– Zabrał ją do pierdolonego pałacu – prychnął i wysiadł z auta.

Trzasnęły drzwi. Pod nogami zarzęziły kamyki, zachrzęścił bruk. Mocując się z wiatrem, Oskar przeszedł przez gościniec i ledwie rzucił okiem na stojące tam dwie majestatyczne rzeźby teatralnych masek. Wbiegł po schodkach, nacisnął na ciężką klamkę u białych dwuskrzydłowych drzwi i znalazł się w holu wyłożonym posadzką w szachownicę. Granatowy sufit, kwiaty, dziwaczne rzeźby, abstrakcyjne obrazy, kute złote poręcze, surrealistyczne lampy. *Czy Peter chciał, by Love poczuła się z nim jak w bajce?* – przeszło mu przez myśl. Wyobraził sobie, jak Liwia Dembska wchodzi do tego hotelu. Może jest zdenerwowana? W końcu ma spotkać kogoś, na kim od pewnego czasu jej zależy, ale nie wie, jak bardzo rzeczywistość odbiega od wyobrażeń. Czy się zawiedzie? Czy budowana przez ostatnie tygodnie fascynacja runie w jednej sekundzie? Dziewczyna z drżeniem serca naciska klamkę i nagle otacza ją magia. Rozgląda się zaciekawiona po wnętrzu i idzie w stronę znajdującej się po prawej stronie recepcji. Szpilki, które na tę okazję włożyła, cicho stukają o czarno-biały marmur. Za ladą recepcji stoi młoda dziewczyna, która szeroko się do niej uśmiecha. Bez słowa podaje jej klucz. Liwia przegląda się w otaczających ją lustrach. Czuje się jak Alicja w Krainie Czarów.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – Z zamyślenia wyrwał Oskara wysoki kobiecy głos.

Stojąca przed nim dziewczyna o długich prostych kasztanowych włosach uśmiechała się nienaturalnie szeroko. Detektyw rzucił okiem na swoje odbicie. Mimowolnie potarł sunącą po policzku bliznę, która połyskiwała w światłach licznych sufitowych lamp.

– Detektyw Oskar Korda. – Pokazał odznakę, a mina recepcjonistki natychmiast zrzędła. – Jak się pani nazywa?

– Aleksandra Rybicka – odparła cicho recepcjonistka.

– Pani Aleksandro, może byłaby pani w stanie mi pomóc? – Oskar nonszalancko oparł się o blat, a kobieta natychmiast się rozluźniła. – Prowadzę sprawę zaginięcia młodej kobiety. Z informacji, które udało nam się pozyskać, wynika, że gościła u państwa pierwszego października, prawdopodobnie z mężczyzną. Byłaby pani tak uprzejma i znalazła tę rezerwację?

Recepcjonistka rozszerzyła oczy, kiwnęła usłużnie głową i zaczęła stukać w klawisze komputera.

– Pokój został zarezerwowany na godzinę dziewiętnastą – powiedział Korda, śledząc palec kobiety sunący po wyświetlonej na monitorze tabelce.

– Mam dwa meldunki o tej godzinie. – Recepcjonista odwróciła komputer w stronę policjanta. – Pan detektyw spojrz.

Oskar zatrzymał wzrok na obu wpisach. Jeden z pokoiów na cały tydzień wynajęło małżeństwo – Anna i Tomasz Jankowscy. Natomiast drugi został zarezerwowany na nazwisko Dembska. W tabelce znajdowały się dane osobowe Liwii.

– Czy to pani wtedy przyjmowała gości? – zapytał Korda.

– Tak. Byłam tego dnia w pracy.

– Pamięta pani tę dziewczynę? – Oskar wyświetlił zdjęcie Liwii na smartfonie.

Aleksandra Rybicka przyjrzała się twarzy Dembskiej.

– Nie wiem. Może? – Wzruszyła ramionami.

– Czy był z nią tu wtedy mężczyzna? – zapytał Oskar.

– Proszę wybaczyć, ale tylu tu się gości ciągle przewija, że twarze zupełnie mi się mylą. – Recepcjonistka zrobiła przeproszącą minę.

– Macie tu monitoring, prawda?

– Mamy, oczywiście. Ale obraz jest kasowany automatycznie po trzydziestu dniach, więc... – Rybicka rozłożyła ręce.

– No dobrze. – Korda powoli wypuścił powietrze z płuc. – Czy może mi pani powiedzieć cokolwiek, czego nie wiem...? – Detektyw uwodzicielsko zniżył głos.

Brunetka chwilę myślała, po czym zaczęła klikać w komputerze.

– Rezerwacja drogą internetową na nazwisko Liwia Dembska. Wynajęto pokój double deluxe. Opłacono gotówką na miejscu.

– Czy to ta dziewczyna płaciła za pokój? – Oskar ponownie wyświetlił zdjęcie zaginionej.

Aleksandra Rybicka ściągnęła brwi, zmarszczyła czoło.

– Coś mi się przypomina. Dziewczyna powiedziała, że pokój opłaci gość, który zaraz miał przybyć. Spisałam więc jej dane i dałam klucz. Po kilku minutach przyszedł mężczyzna. I to on opłacił rezerwację.

– Ma pani gdzieś jego dane?

– Niestety nie. Rezerwacja była na tamtą panią, więc wystarczyły mi jej dane.

– Pamięta pani, jak wyglądał ten mężczyzna?

– Ech – stęknęła recepcjonistka. – Naprawdę nakładają mi się teraz w głowie najróżniejsze męskie twarze. Chyba bym strzelała, gdybym miała którąś wskazać. – Położyła dłonie na oczach.

– Był chociaż młody? Stary? W średnim wieku? Pasował do Liwii Dembskiej? Co pani pomyślała? Że to jej chłopak czy ojciec?

Rybicka znów stęknęła.

– Proszę mnie zabić, ale naprawdę nie wiem. Chyba za bardzo się zdenerwowałam. Tutaj tyle par przychodzi. W najróżniejszym wieku. Młode dziewczyny ze starszymi facetami, młodzi mężczyźni ze starszymi kobietami, normalne pary, małżeństwa, biznesmeni. To jest Trójmiasto. Staram się nikogo nie oceniać. To nie jest standardowy hotel. Tu się przyjeżdża spełniać marzenia – uśmiechnęła się tajemniczo.

– Hm – mruknął niepokieszony Korda. Jedyne materialny ślad, który im się trafił, okazał się totalnym niewypałem. – A pokazałaby mi pani chociaż ten pokój?

– Już sprawdzam... – Brunetka ponownie zaczęła stukać w klawiaturę. – Tak. Jest akurat wolny. Proszę za mną.

Aleksandra poprowadziła detektywa dwubieżnymi krętymi schodami do góry. Korda znów zobaczył przed oczami Liwię. Czy drżała, gdy podążała w stronę pokoju? Czy była podekscytowana, podniecona? A może przepełniał ją strach?

Przejechał palcami po złotej kutej balustradzie z roślinnymi motywami, zatrzymał wzrok na wiszącym na półpiętrze obrazie przedstawiającym zarumienioną kobietę z rozwichrzonymi włosami, przesunął dłonią po miedzianych miękkich panelach na jednej ze ścian, aż w końcu dotarł korytarzem pod drzwi.

– To tutaj – powiedziała brunetka i wpuściła go do środka.

Oskar Korda stanął pośrodku gustownego pokoju, zachowanego w uspokajających tonach szarości, bieli i beżu. Czy taki właśnie był mężczyzna, który zarezerwował ten pokój? Elegancki i na pozór stonowany? Czy wybór był przypadkowy? Czy Liwia też przystanęła właśnie w tym miejscu? Spojrzała na oryginalnie zachowany kominek, szafę z ozdobną koroną i stojące w wazonie na okrągłym stoliku róże w pastelowym kolorze. Czy zachwyciły ją lampy przywodzące na myśl klatki dla ptaków, spektakularny widok

z okna i drewniany parkiet? Detektyw podszedł do okna z marmurowym parapetem. Zerknął w lewo, na ukryte za przepierzeniem dwuosobowe łoże w ramie obitej zielonym welurem, na przeszkloną ścianę łazienki z prostą wanną. Wyobraził sobie blondwłosą dziewczynę w sukience opinającej jej kobiece kształty. Patrzyła na roztaczający się za oknem park. Jej serce biło głośno. Niemal wyrывało się z piersi. Jak czuła się w tamtym momencie? Jak zakochana bez pamięci kobieta, idealizująca mężczyznę, z którym miała się spotkać? Kobieta, która była w stanie kogoś zdradzić, by poczuć się piękna, pożądana, idealna? Kobieta, która oddała się prowadzącej do tragedii namiętności? Czy Peter lubił takie gry? Czy był aż tak wyrafinowany, jak mogłoby się wydawać?

Korda zamknął oczy i próbował wczuć się w postać Liwii. Czekala, aż usłyszała ciche pukanie. Ktoś nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły, subtelnie zaskrzypiała podłoga. I wtedy się odwróciła.

Kogo ujrzala?

– Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić, panie detektywie? – Głos Aleksandry Rybickiej wyrwał policjanta z zamyślenia.

Oskar Korda przejechał kciukiem po bliźnie, rozejrzał się raz jeszcze i, dziękując, opuścił apartament.

10

Kolejny dzień był równie szary i przygnębiający jak wcześniejsze. Alicja Grabska już na niego czekała. Zamyślona, wpatrzona w dal. Ten widok zawsze go rozczulał. Wyglądała wtedy niczym niezłomna bohaterka filmu anime – krucha, a zarazem silna. Korda wiedział, że taka właśnie była.

– Spóźniłeś się – powiedziała na przywitanie.

– Przepraszam, miałem coś do załatwienia.

– Coś, o czym chcesz mi powiedzieć? – Dziennikarka zerknęła na niego z przebiegłym uśmiechem.

– Chodź, Grabska – roześmiał się Korda i pociągnął ją ku niskiej, wkomponowanej w kamienny murek furtce.

Nacisnął przycisk przy domofonie i nim ten brzęknął, rozejrzał się po okolicy. Żeromskiego była jedną z piękniejszych sopockich ulic.

Otaczały ją dorodne wiekowe drzewa, których cień przynosił latem miły chłód, a większość willi była zabytkowa. Gdzieś tu mieścił się też jeden z drewnianych domów wzorowanych na alpejskiej architekturze, które wyrosły w Sopotcie po pierwszej wojnie światowej. Nawet w listopadowej szarzyźnie okolica prezentowała się nader urokliwie.

Po chwili Korda i Grabska znaleźli się na podjeździe, a drzwi niewielkiego ganeczku otworzyła im szczupła blondynka w średnim wieku. Na nogach miała legginsy, na czarną koszulkę narzuciła futrzany bezrękawnik. Wokół niebieskich oczu rysowała się sieć cieniutkich zmarszczek.

– Pani Kołodziej? Alicja Grabska. Dzwoniłam wczoraj do pani w sprawie Niny – przywitała się dziennikarka. – To jest detektyw Oskar Korda, który również chciał uczestniczyć w spotkaniu. Nie ma pani nic przeciwko?

– Nie. Oczywiście, że nie! Jestem tylko zaskoczona, ale proszę! Proszę wejść!

Kobieta zaprowadziła ich do dużego pokoju, pełnego zielonych doniczkowych roślin, które zakrywały część wychodzącego na ogród okna. Wskazała im miejsca na beżowym nowoczesnym narożniku.

– Zrobić coś do picia? Kawy, herbaty? – Hanna Kołodziej była wyraźnie zdenerwowana. Mówiła szybko i choć próbowała to ukryć, drżały jej ręce.

– Chętnie napijemy się herbaty – odpowiedziała uprzejmie Grabska.

Po chwili gospodyni wniosła tacę z parującymi filiżankami z porcelany, których ścianki cicho o siebie zastukały. Postawiła ją na stoliku, po czym usiadła na skraju fotela.

– Chciała pani rozmawiać o Ninie – powiedziała cicho. Odchrząknęła i dodała pewniejszym już głosem: – Jak państwo widzą, nadal ciężko mi przychodzą rozmowy na ten temat.

– To zupełnie zrozumiałe – odparła uspokajająco Alicja. – Zaczniemy, kiedy będzie pani gotowa. – Kiwnęła głową i smutno się uśmiechnęła.

Korda zerknął z uznaniem na dziennikarkę. Była empatyczna i pełna ciepła. Pierwszy raz widział ją w takim wydaniu.

– Proszę pytać – zdecydowała Hanna Kołodziej.

– Pani córka Nina zaginęła latem dwa tysiące czwartego roku. Czy może pani opowiedzieć, w jakich okolicznościach do tego doszło?

– Tak. To były wakacje. Lipiec. Nina zdała wtedy do czwartej klasy technikum gastronomicznego. Od zawsze lubiła gotować i jeść – zaśmiała się kobieta. – A że akurat figurę odziedziczyła po ojcu, to też miała problem z wagą i kompleksy z tego powodu, wiadomo. I dlatego biegała, tu, po lesie. W tamtym okresie nawet częściej. Dbiała o siebie. Wypiękniała. – Kołodziej się rozmarzyła. – Nadal miała kobiece kształty, ale taka bardziej proporcjonalna się zrobiła. No... – Mama Niny machnęła ręką. – I tamtego dnia tak samo jak codziennie poszła rano biegać. Ja wyszłam do pracy, ale gdybym wiedziała... – Zadrżał jej głos. W oczach momentalnie pojawiły się łzy. Przyłożyła rękę do ust. – Przepraszam – szepnęła.

– Naprawdę nie ma za co, pani Haniu. Wiem, że to musi być dla pani bardzo trudne. Może chce pani zrobić przerwę? – zapytała Alicja z przejęciem.

– Nie trzeba. Dziękuję. – Kołodziej uśmiechnęła się z wdzięcznością do Grabskiej. – Strata córki, dziecka to coś, nad czym nie sposób przejść do porządku dziennego. Cały czas boli. Choć minęło piętnaście lat, nie było dnia, który zaczęłabym od innej myśli niż: co się z nią stało, gdzie jest, czy żyje... Czasami myślę, że wolałabym wiedzieć, że nie. Może wtedy byłoby łatwiej, prościej? Mogłabym ją pochować, odwiedzać jej grób, nosić kwiaty, rozmawiać. Wiedziałabym, że gdzieś jest jej miejsce, miejsce, w którym nie dzieje się jej krzywda, nawet jeśli miały to być cmentarz. A tak, to ciągle jest nadzieja.

– Wierzy pani, że ona żyje? – odezwał się Korda.

– Wiem, że to głupie. O to ciągle kłóciłam się z byłym mężem. Rozstaliśmy się, gdy Nina miała dziesięć lat. Nigdy się specjalnie córką nie przejmował, utrzymywali sporadyczny kontakt, ale gdy zaginęła, myślałam... Cóż. Przez jakiś czas oczywiście to przeżywał, ale w pewnym momencie odpuścił. Przestał jej szukać. Pogodził się z tym i nawet jak dziesięć lat minęło, to chciał wystąpić o uznanie jej za zmarłą. Ale ja się nie zgodziłam! Póki nie odnajdą jej ciała, nigdy na to nie pozwolę. Bo to jakby pogrzebać kogoś za życia! – uniosła się.

– Wydaje mi się, że też nie potrafiłabym odpuścić – przyznała Grabska. – Też nie traciłabym nadziei.

– Ma pani dzieci? – Hanna Kołodziej z zainteresowaniem przyjrzała się dziennikarce.

– Nie. – Alicja pokręciła głową. – Nie mam. Jakoś nigdy...

– Ja też nie myślałam o dzieciach, póki nie poznałam Roberta. Zapewniam, że jeśli trafi pani na tego właściwego, to ta myśl sama się pojawi. Nagle stanie się jasne, że chce pani dać życie komuś, kto będzie idealnym połączeniem was obojga. Komuś, kto przedłuży wasze życie. Bo przecież o to chodzi, prawda? Żeby zostać w kimś, gdy już się odejdzie? – Ze smutkiem pokiwała głową i spojrzała na Grabską i Kordeę wyczekująco.

– Nie wiem, pani Haniu. Nadal tego nie odkryłam. Ale wydaje mi się, że najważniejsze jest, by żyć w zgodzie ze sobą. Chyba to daje poczucie spokoju, może spełnienia?

– Pewnie tak... – potwierdziła Kołodziej.

– Jeśli można, wróćmy do dnia zaginięcia córki. – Korda starał się sprowadzić rozmowę na właściwe tory. – Kiedy zorientowała się pani, że Nina nie wróciła do domu?

– Dzwoniłam kilkakrotnie z pracy do domu i nikt nie odbierał. Ale pomyślałam, że Ninka gdzieś po prostu poszła. Do koleżanki albo na plażę. Były w końcu wakacje. Wróciłam do domu koło szesnastej. Wszystko stało tak, jak przed wyjściem, choć Nina obiecała uporządkować rozgardiasz w kuchni. Nie było też jej butów sportowych, ale to też jakoś specjalnie mnie nie zaniepokoiło, bo dzieci to wie pan, mają różne pomysły i w adidasach w gorący dzień też potrafią wyjść na miasto. Zjadłam obiad i tak koło dziewiętnastej w końcu przyszła do mnie myśl, że coś musi być nie tak. Zaczęłam obdzwaniać jej koleżanki, ale żadna nie widziała jej tego dnia. W końcu, nie wiem, koło dwudziestej pierwszej, wyszłam z domu i zaczęłam iść trasą, którą zawsze biegła Nina. I tuż przy wejściu do lasu znalazłam discmana. Bez słuchawek. Sam discman. Leżał tak na skraju ścieżki, koło jakichś krzaków. Już się wtedy szaro powoli zaczęło robić. No i leżał czarny discman, niczym się w sumie nie wyróżniał, ale w środku była płyta Sisters. Nina cały czas jej słuchała i śpiewała po domu: „Nie napiszę o miłości kolejnej

piosenki” – zaczęła nieporadnie nucić Kołodziej. – Fałszowała to! O matko! Więc wtedy od razu na policję.

– I zgłosiła pani zaginięcie, tak? – dopytała Alicja.

– Tak. Ale oni się w ogóle nie przejęli. Mówili, że za mało czasu minęło. Że na pewno zaraz się znajdzie. A poszła. Może popiła. A że pewnie była jakaś impreza albo że u kolegi siedzi. I to takie lekceważenie było. Ja cała zapłakana, zdenerwowana. A oni, że teraz wakacje są, to dzieciaki uciekają z domów, żeby się zabawić, czegoś nowego, ekscytującego zaznać. I takie gadanie. Spisali i kazali iść do domu. Całą noc oczywiście nie mogłam zmrużyć oka. Rano ze zdjęciem Niny pojechałam do telewizji Gdańsk, żeby w *Panoramie* pokazali, powiedzieli. Znowu na policję, ale oni ciągle to samo powtarzali. Że czekać, że na pewno wróci. – Kołodziej z niedowierzaniem kręciła głową.

– A państwo na własną rękę szukali?

– No pewnie! Z sąsiadami i kolegami Niny chodziliśmy, przez Monciak, molo, plażę, po krzakach, po lesie. Z jednej strony, z drugiej. Ale to jest takie szukanie. Tak naprawdę my nie wiedzieliśmy, jak się do tego w ogóle zabrać. No bo co taki bezradny zwykły człowiek może zrobić? Jak nie wiesz, jak takie poszukiwanie powinno wyglądać, to szukasz po omacku. Ja nawet wszystkie kosze na śmieci po drodze przeglądałam. No bo pomyślałam, że może tak znajdę klucze albo but, albo cokolwiek, co bym mogła rozpoznać. I nic. Zadnego śladu.

– A policja?

– Kazali czekać. Po tygodniu zaczęły się poszukiwania. Niby coś tam robili, sprawdzali. Ja ciągle tam chodziłam i nieustannie słyszałam to samo: że robią wszystko, co w ich mocy. No to do jasnowidza poszłam, a to w kościele na mszę dałam, do detektywa też pojechałam, kupę kasy ode mnie wyciągnął i nic z tego nie wynikło. Niestety nie był to Rutkowski, który tak pomagał przy sprawie Iwony Wieczorek. Jej, jak ja trzymałam kciuki za tę Iwonę, wszystko śledziłam. Wszystkie wiadomości, artykuły. Głośno było. Do tej pory jest. A i tak nie odnaleźli dziewczyny. I nie powinnam tak mówić, ale trochę mnie to pociesza, bo człowiek ciągle ma wrażenie, że za mało zrobił. A jednak przy tej sprawie Iwony w dwa tysiące dziesiątym to chyba zrobiono wszystko, co można było. Tam

góry i nieba przestawiono, a i tak niczego się nie dowiedzieli. I też ta matka z taką straszną niewiedzą żyje – westchnęła. – Nie ma nic gorszego. Nie ma.

Kobieta zawiesiła wzrok. Patrzyła na wychodzące na ogród okno. Krzewami zaschniętej róży, który pięła się pod balkonem, targał wiatr. W pokoju poszarzało. Z nisko zawieszonych ciemnych chmur znowu zaraz miał spaść deszcz.

– Czy z tego discmana zdjęto odciski palców? – zapytał Korda.

– Nic nie znaleziono. Policjanci powiedzieli, że musiał jej po prostu wypaść z kieszeni, jak biegła. Ale pan mi powie. Jeśli słuchała muzyki, bo zawsze słuchała, biegając, to jak by miała tego nie zauważyć?

– Może wyczerpały się baterie? – strzelił Korda. – Sprawdzono to? – Kołodziej rozłożyła ręce. – Chyba że się z kimś się mocowała i wtedy to się stało. Czy na miejscu znalezienia sprzętu były ślady szamotaniny? Może jakieś odblaski obuwia, strzępy rozerwanej tkaniny?

– Podobno nie. Ale czy w ogóle odpowiednio się nad tym pochyłono? Wątpię.

– Okej. Wyciągnę akta i zobaczę, czy da się coś z nich dodatkowego wywnioskować. – Korda uśmiechnął się kącikiem ust.

– Dziękuję. – Hanna posłała Kordzie spojrzenie przepelnione wdzięcznością. – Chcielibyście zobaczyć jej pokój? Nic w nim nie zmieniałam, nie poprzestawiałam. Jakbym czekała na taki dzień jak dziś. Proszę. – Wstała i poprowadziła gości na piętro.

Uchyliła drzwi z jasnego drewna i zapaliła górne światło.

Pod ścianą leżał sporych rozmiarów materac przykryty szarym kocem, obok rozpościerał się miękki beżowy dywan. Na regale stało kilka książek, porcelanowe figurki, flakon perfum CK One. Na ścianach wisiały liczne ramki, za szybkami których widniały plakaty, pocztówki, ale też rysunki i szkice. Korda stanął przed jednym z nich – przedstawiał nagą siedzącą na ziemi dziewczynę o bujnych kształtach. Krzyżowała nogi i zakrywała piersi rękoma.

– To był chyba taki autoportret. – Kołodziej podążyła za wzrokiem detektywa. – Nina pięknie rysowała. To była jej pasja, druga zaraz po gotowaniu. Ciągle kupowałam jej ołówki, kredki i papier i nigdy nie było dość.

– Ślicznie – pochwaliła Alicja, przyglądając się przyczepionej małymi klamerkami do przewieszzonego nad biurkiem sznurka serii rysunków z brązowo-czerwonymi motylami. – Widać tutaj duży talent.

– Prawda? – uśmiechnęła się matka Niny. – Tak te motyle sobie upodobała jakoś w tym ostatnim okresie. Ciągłe je rysowała. Te wcześniejsze rysunki były takie jakieś smutne. A te motyle takie barwne, piękne. Ona w te wakacje naprawdę była szczęśliwa. Nie miała powodu, by od nas uciekać. Nina by tego nie zrobiła. Nie ona. Musiało się coś straszego stać.

Korda rzucił okiem na rysunki motyli i zaczął rozglądać się po reszcie pokoju. Nie znaleźli tam nic, co mogłoby tłumaczyć zaginięcie dziewczyny. Żadnego pamiętnika, żadnych zapisków. *To musiał być zupełny przypadek. Nina Kołodziej znalazła się w złym miejscu o złym czasie* – pomyślał ze smutkiem detektyw.

Gdy opuszczali pokój, wyłapał, że Hanna Kołodziej schyliła się nad stojącym na biurku zdjęciem córki, które sama musiała tam postawić. Puknęła palcem w nos Niny. Tak naturalnie, niewymuszenie, jakby robiła tak codziennie. Może właśnie tak było? Może ten prosty gest sprawiał, że przez chwilę córka materializowała się obok?

Korda doskonale wiedział, czym jest strata. Dziurą, której nie da się niczym zalepić. Można do niej ładować i upychać różne rzeczy, lecz nigdy się jej nie zapełni.

Ta myśl ścisnęła mu serce. Jak najszybciej chciał uciec.

11

Szuuuuuuu. Szuuuuuuu. Szuuuuuuuuu.

Sufitowy wentylator w łazience szumiał nad jej głową.

Liwia zdjęła bluzkę i odłożyła ją na deskę klozetową. Ściągnęła spódniczkę. Sięgnęła do rajstop i po chwili została w samej bieliźnie. Poczula, że zimne powietrze z góry owiewa jej plecy. Po jej ciele przeszły dreszcze, ale i tak zdjęła stanik i majtki. Spojrzała przed siebie. Wiszące nad umywalką lustro odbiło jej postać. Związane na karku blond włosy, szerokie ramiona, pełne piersi o ciemnych

brodawkach, które momentalnie zwinęły się i pomarszczyły. Zerknęła na opakowanie z kabaretkami, które dał jej Peter. Westchnęła. Nie była pewna, czy chce je włożyć. Mimo to rozpakowała celofan, usiadła na toalecie, powoli wsunęła je na nogi i stanęła. Czarna siateczka wbijała jej się w uda. Wyglądała jak pikowana kanapa. Albo, co gorsza, kiełbasa w wędliniarskiej siatce. Skrzywiła się. Kabaretki najwyraźniej były za małe. Ale mężczyzna tak ładnie ją prosił, by się mu w nich pokazała. Nie chciała go zawieść, uchyliła więc drzwi i niepewnym krokiem przeszła do pokoju. Tym razem wybrał podrzędny motel. Już nie czuła się jak księżniczka, ale czy właśnie tak chciała się czuć? Nie. Nie tego pragnęła. Tak naprawdę w głębi duszy pragnęła, by ktoś kochał się z nią pożądliwie i mocno. Czy nie właśnie to dziś otrzymywała?

Stanęła przed nim i podniosła wysoko głowę, choć kołatała w niej myśl, że jest gruba i tylko się ośmiesza. Julek na jej widok na pewno parsknąłby śmiechem. Kazałby jej się przebrać i pewnie od razu zaciągnąłby ją na basen. Nigdy nie widziała w jego oczach prawdziwego podniecenia. Gdy się kochali, najczęściej zamykał oczy, a gdy już spotkali się wzrokiem, uśmiechał się do niej łagodnie i miło. Nie tego oczekiwała. Łaknęła ognia, zwierzęcej chuci, prawdziwej rozkoszy, które przesłaniały wszystkie braki, wymazywały niedoskonałości. *Jesteś gruba i śmieszna* – myśl ponownie ją uderzyła, a ona mimowolnie zgarbiła się, jakby chciała się ukryć.

– Wyprostuj się – rozkazał siedzący na skraju łóżka mężczyzna.

Jesteś gruba i śmieszna – myśl nie dawała jej spokoju.

– Spójrz na mnie. Spójrz. – Miał miękki, głęboki głos.

Podniosła wzrok.

– Wyprostuj się. – Wykonała polecenie. – O tak. Nie zakrywaj ud rękoma. Przesuń je, proszę. Yhm. – Wstał z łóżka, przyjrzał się jej i obszedł ją wkoło.

Przeciągle mruknął, stanął naprzeciwko niej i stwierdził:

– Jesteś zajebiście idealna.

Znów przeszedł ją dreszcz, lecz tym razem nie czuła zimna. W jego oczach dostrzegała to, co zawsze chciała zobaczyć. Bielmo podniecenia. Seksualne napięcie. Zachwyty.

Pozwoliła poprowadzić się do łóżka i zanurzyć twarz pomiędzy swoimi udami.

Szuuuu. Szuuuuuuuuu. Szuuuuuuuuu.

Pięknymi, kobiecymi udami.

Szuuuu. Szuuuuuuuuu. Szuuuuuuuuu.

Wentylator nad jej głową zaszumiał złowieszczo, a chłód stawał się nie do zniesienia. Wspomnienie zaczęło blaknąć, rozwiewało się z każdym obrotem zawieszzonego na suficie śmigła. Liwia Dembska zacisnęła oczy. Starła się nie widzieć ciasnego pomieszczenia bez okien, stojącej w rogu prostej muszli klozetowej, gołej żarówki przyczepionej do wystającej z tynku kostki, zimnej posadzki, którą wyłożono podłogę.

Czemu ją tu zamknął?

Czemu ją tu trzymał?

Od kiedy tu była?

Od kiedy?!

Nie wiedziała, ile minęło dni, nie wiedziała nawet, czy jest dzień, czy noc. Minuty i godziny zlewały jej się w sztucznym ostrym świetle, które nie gasło nawet przez chwilę. Na początku nawet się z tego cieszyła. Bała się zostać tu sama w ciemności. Jednak teraz marzyła, by ktoś podzielił czas i dał jej jakiś punkt oparcia w zawieszanej w czasie rzeczywistości.

Gdy przebudziła się w skąpanym w bieli pomieszczeniu, pomyślała, że jest w szpitalu. *Miałam jakiś wypadek?* – myślała gorączkowo, starając się zebrać okruchy ostatnich zapamiętanych chwil. *Jestem ranna? Coś mi się stało?* Oglądała swoje ręce i nogi, macała głowę i twarz, ale nie było żadnych plastrów, bandaży, kroplówek. Nie. *Przecież nigdzie w sobotę nie wychodziłam, położyłam wcześniej się spać, szybko zasnęłam w swoim łóżku* – przypominała sobie. Liwia usiadła i rozglądała się wokół. Wstała i podeszła do drzwi, ale te nie miały klamki, jedynie niewielki rowek pasujący do klucza, którego nie było w środku. Zaczęła macać płaską, litą, gładką powierzchnię, w końcu zaczęła w nią pukać, a potem walić pięściami.

– Halo! Haloouuuu! Czy ktoś mnie słyszy? – krzyczała, ale nikt nie odpowiadał.

Co to za miejsce? Co tu się działo?

Usiadła na łóżku i czekała. Początkowe ćmienie w głowie rozgorzało w ból. Wyschnięte gardło prosiło o wodę, a reszta ciała o jedzenie.

Znów podeszła do drzwi i waliła w nie, póki nie opadła z sił.

– *Fuck!* – Ześlizgnęła się po taflę drzwi i usiadła na podłodze.

Czas mijał i nic się nie działo. W końcu wstała i by nie myśleć o bólu, pragnieniu i głodzie, zaczęła chodzić wzdłuż ścian.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. – Liczyła swoje kroki, ale pomagało tylko przez chwilę.

W końcu zwinęła się w kłębek na łóżku, przykryła kocem i zasnęła. Ile spała? Ile czekała, by dowiedzieć się, że jest więźniarką? Teraz, gdy o tym myślała, wspominała te pierwsze godziny nieświadomości z jakimś absurdalnym sentymentem.

Obudziło ją szuranie, a potem zgrzyt zamka. Jej wzrok ponownie natknął się na gołą żarówkę. Zmrużyła oczy, podniosła się i odwróciła głowę ku drzwiom, w których ktoś stanął.

Twarz mężczyzny zasłaniały wirujące w prześwietlonych żarówką oczach koła, które powoli zaczęły znikać.

– Kurwa! – Zerwała się, gdy on zamykał za sobą drzwi. – Pojebało cię! To wcale nie było śmieszne! – tupnęła.

On patrzył na nią bez cienia uśmiechu. Musiał zrozumieć, że żart mu nie wyszedł.

– No co? Nic nie powiesz? Wiesz, co ja tu przeżyłam?! – Złapała się za serce. – Dobra, koniec. Wychodzę. – Podeszła do mężczyzny. – No otwieraj! – warknęła. – Otwieraj! – wrzasnęła, gdy mężczyzna się nie poruszył.

– Nie mogę – odparł w końcu.

– Jak to nie możesz? Nie mów, że się teraz zatrzasnęliśmy?! – Zaczęła z niedowierzaniem badać gładką powierzchnię wyjścia. – Czekał. – Odwróciła się w stronę stojącej obok postaci. – Przecież masz klucz – powiedziała z nadzieją.

– Mam – przyznał, wyciągając przed siebie złoty kluczyk. – Ale on jest tylko dla mnie.

– Co? – prychnęła. – Weź mnie nie wkurwiał, tylko otwieraj! Otwieraj, powiedziałam! – Zrobiła krok do przodu i sięgnęła po klucz, lecz mężczyzna szybko schował go do tylnej kieszeni.

Chciała podejść od tyłu, ale się obrócił. W lewo. W prawo. I w lewo. I w prawo.

– To nie jest śmieszne! – krzyknęła.

– To nie ma być śmieszne.

Ściągnęła wrogo brwi i pokręciła głową.

– Koniec z nami! Rozumiesz? Koniec! Oddawaj klucz!

– Nie, tygrysku. To dopiero początek.

– Oszalałeś! – Rzuciła się na niego z pięściami, ale złapał ją za nadgarstki, ścisnął, a potem odepchnął.

Zatoczyła się do tyłu i znów natarła. Tym razem uderzył ją w twarz. Tak mocno, że upadła na podłogę.

– O co ci chodzi? Czemu to robisz? – zaczęła płakać.

– Dla nas, tygrysku. Żebyśmy mogli być razem już na zawsze.

Wyciągnął klucz z kieszeni i włożył do zamka. Liwia chciała zerwać się z miejsca, lecz nie zdążyła. Mężczyzna kopnął ją w brzuch tak mocno, że wygięła się w pałąk. A potem spokojnie podszedł do drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Dziewczyna na to wspomnienie zacisnęła oczy. Brzuch nadal był tkliwy, przypominając jej o tym, jak bardzo się pomyliła co do Petera.

Czemu to robił? Czemu ją tu przetrzymywał?

Czy chodziło o zwykłą dominację? Mama tak zawsze twierdziła. Póki jeszcze żyła, ciągle powtarzała ojcu, że chodzi mu o zwykłą dominację. Twierdziła, że ta była nagradzana przez mózg, dlatego władza jest czymś, co sprawia przyjemność. I ojciec się od tego uzależnił, a mamie nie bardzo się to podobało.

„A futra ci się podobają? A biżuteria, samochód dobry, markowe ciuchy? Podobają ci się? Masz to wszystko dzięki mojemu pragnieniu dominacji!” – krzyczał ojciec. „Tylko dzięki niemu! Byś się wzięła do roboty, a nie tylko na kanapie siedzisz i tyjesz. Ty widziałaś, jak ty wyglądasz? Widziałaś się w lustrze? Jesteś grubaską! Zwykłym garbem! Hubą, co się przyczepiła do moich pleców i nie chce zleźć”.

Liwia pokręciła głową, chcąc wyrzucić huczące w jej głowie słowa, lecz te nie chciały odejść.

„Wiesz, co to jest huba? To pasożyt! Rozumiesz? Pa-so-żyt! Pasożyt!”

Dziewczyna otworzyła oczy. Nie wiedziała już, czy woli to okrutne wspomnienie czy świadomość, że siedzi zamknięta w tej dziwnej celi. Zimnej, prostej celi, pośrodku której stało duże łóżko z miękkim materacem w ekskluzywnej metalowej ramie.

„Pasożyt” – słowo jeszcze chwilę brzęczało, nim wchłonął je szum wentylatora.

Żyt.

Żyt.

Żyt.

Szyy.

Szyyy.

Szyyyyyyy.

Nagle brzdęknęły drzwi.

– Ciiii. To tylko ja. – Usłyszała.

1992

1

– Generalnie lubię wszystkie przedmioty szkolne. Chyba nie ma takiego, który sprawiałby mi specjalną trudność – powiedziała Ada i puściła guzik gruszki.

CB-radio zaszumiało, ale tylko przez chwilę, bo mężczyzna odezwał się niemal natychmiast.

– Podziwiam cię, naprawdę. Przedmioty ściśle to mi jeszcze grały, ale z polskiego to ja zawsze byłem czeski. I te nudne lektury. Mickiewicz, Sienkiewicz, Krasicki, Krasiński... Ech. Zawsze mi się wszystko myliło.

– No co ty! Wystarczy przeczytać książki, żeby przestało się mylić – zaśmiała się.

– Masz mnie! – On też lekko się zaśmiał. – Jakoś nigdy nie przebrnąłem, no – przyznał się.

– A wiesz, że ja w trzeciej klasie liceum zostałam najlepszą uczennicą w całej szkole? Pani dyrektor wywołała mnie na apelu, wszyscy klaskali przez długie minuty, mama płakała ze wzruszenia. No i dostałam nagrodę pieniężną!

– No co ty?

– Tak! Dwa miliony złotych.

– Ada, jesteś niesamowita, naprawdę. Czuję się przy tobie malutki.

– To ja zazwyczaj czuję się malutka. Chociaż dzięki tobie rosnę. Naprawdę – szepnęła.

– Hmm. – Na chwilę zamilkł. – No dobra, i co teraz? Zaraz matura, a potem pewnie studia?

– Tak. Marzy mi się polonistyka. Chciałabym uczyć innych, mieć misję, jakiś sens w życiu.

– To piękne.

– Dzięki. No, ale póki co skupiam się też na tych zawodach tanecznych. Jeszcze tylko dwa miesiące, a my nadal nie

opanowaliśmy całego układu.

– A ty dobra jesteś w tym tańcu?

– Czy ja wiem? No staram się być. Daję z siebie wszystko, to na pewno. Wydaje mi się, że jest spoko.

– To może do *Metra* kiedyś pójdziesz? Warszawa, Józefowicz...

– Tak. To by było coś! Ale zobaczymy, co przyniesie życie. Choć mama do Warszawy to by mnie pewnie nie puściła. No i ja też chyba za bardzo bym tęskniła...

– Chciałbym kiedyś zobaczyć, jak tańczysz. – Szuuuuuuuuuu. – Jak dla mnie tańczysz.

– Dla ciebie? – Szuuuuuuuuuu. – Chyba bym się wstydziła.

– Nieeee.

– Tak! Szczególnie dla ciebie bym się wstydziła.

– Dlaczego?

– No bo... Hm. No bo zależałoby mi na tym, żeby dobrze wypaść. Chciałabym, żeby ci się spodobało.

– To może teraz dla mnie zatańczysz?

– Teraz?

– Tak.

– Ale jak?

– No, puść muzykę i dla mnie zatańcz. A potem mi o tym opowiedz. – Szuuuuuuuuuu. – Zrobisz to?

– Teraz? – spytała ponownie.

– No teraz.

– Jesteś szalony!

– Ty też bądź! – zachęcił ją.

Szuuuuuuuuuuu.

– W sumie chyba bym mogła – zastanowiła się. – Rodzice oglądają *Koło Fortuny*, więc na pewno nie wejdą... Tylko musiałabym znaleźć odpowiednią muzykę. Czekać chwilę.

Ada wstała od biurka i przeszła do półki, na której w rzędzie ustawiono kasety. Przejrzała je i zdecydowała się na Phila Collinsa. Wsadziła kasetę do magnetofonu i wcisnęła play. Po pokoju rozniósł się rytmiczny perkusyjny beat i nuty zagrane na keyboardzie. *Another Day in Paradise*. Uwielbiała ten utwór. Zawsze wprowadzał ją w dobry nastrój. Tylko co miała zrobić, żeby mężczyzna też go

usłyszał? Musiała jakoś przycisnąć gruszkę od CB-radia. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Jej wzrok zatrzymał się na frotce do włosów.

– Jesteś? – Nacisnęła guzik.

– Pewnie, że jestem.

– Słyszysz muzykę? – Przytrzymała palcem gruszkę.

– Słyszę! Phil Collins!

– Tak! Czekaj, chcę coś sprawdzić.

Ada zacisnęła gumkę na gruszce, zrobiła jeszcze jedną pętlę. Trzymało.

– Mam nadzieję, że nadal słyszysz. No dobra. Zaczynam. Będę tańczyć. – Stała pośrodku pokoju. – Tylko. Dla. Ciebie – dodała zmysłowym głosem, którego nigdy u siebie nie słyszała.

Nie wiedziała, skąd wzięła się w niej nagle odwaga. Odwróciła się do lustra. W lekkim półmroku, jaki panował w jej pokoju, wydała się sobie naprawdę pociągająca. Rozszerzone źrenice, zarumienione policzki, potargane czarne włosy. Zaczęła poruszać biodrami w takt muzyki, dołączyła ramiona. Przejechała palcami po skórze klatki piersiowej, płynnym ruchem zsunęła ramiączko podkoszulka.

Mężczyzna wsłuchiwał się w muzykę. Lekko trzeszczała w słuchawce, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało.

Tam. Tam. Tam. Tam.

Perkusyjne pałeczki miarowo uderzały o talerz.

Tańczyła. Ta dziewczyna tańczyła właśnie dla niego. Miała takie płynne ruchy. Takie piękne, młode, rozkoszne ciało. Pełne, mięsiste uda, które chętnie by ścisnął, zostawiając na nich ślad swoich dłoni. Kręcąc pupą, zeszła w dół, powoli się podniosła. Całe jej ciało wybijało rytm, pulsowało, zmysłowo się wiło.

Lekko się uśmiechnął i wypuścił z ust papierosowy dym, który szarą chmurą wypełnił wnętrze samochodu.

Muzyka w końcu ucichła. CB-radio znów przeciągle zaszumiało.

– Zatańczyłam. – Po chwili usłyszał jej głos.

– Widziałem. To było niesamowite – odpowiedział.

– Widziałeś? – Zmrużyła oczy.

Odruchowo jej wzrok padł na balkonowe okno o podniesionej roletce. Za nim panowała ciemność. W ogrodzie u sąsiadów połyskiwały rozwieszane na drzewie świąteczne lampki, choć był dopiero początek listopada.

– Oczyrna wyobraźni – zaśmiał się. – Muszę już lecieć. Dziękuję, mała.

Szuuuuuuuuu.

Wnętrze samochodu znów wypełnił szum. Lubił ten dźwięk. Koł jego myśli, uspokajał instynkty. Łagodził. Zapalił silnik. Wycieraczki przejechały po lekko wilgotnej szybie. W jedną i w drugą. W jedną i w drugą. Wypuścił dym z płuc. Zakasłał. Zgniół niedopałek w popielniczce i odjechał.

2

Na szkolnym holu panował gwar. Uczniowie przeciskali się między sobą, przekrzykiwali. Przez radiowęzeł puszczone *Smells Like Teen Spirit* Nirvany, co tylko wzmogło kakofonię. Niektórzy zaczęli śpiewać, inni dziko podskakiwali, raźnie machając głowami. Ada Milewska i Magda Tarczyńska przepychały się przez tłum.

– Wiesz, że podobno hałas w szkole na przerwach dochodzi nawet do stu piętnastu decybeli? – krzyknęła do koleżanki Magda. – To mniej więcej tyle, co hałas generowany przez przelatujący samolot!

– Cooo? – Ada odwróciła głowę w jej stronę.

– Tyle co przelatujący samolot! – powtórzyła Magda. – Albo piła łańcuchowa!

Ada przytaknęła, choć słowa koleżanki nie do końca do niej dochodziły. Uśmiechnięta pociągnęła Magdę pod okna ciągnące się przez długi korytarz i usiadła na szerokim drewnianym parapecie. Poprawiła wbijającą się w jej brzuch szlufkę jasnobrązowego paska ściągającego dzinsy z wysokim stanem. Nogi zwisły w dół, smagając niebieskobure grzewcze rury otulone wstęgami blachy.

Ubrana w golf z krótkim rękawkiem i ogrodniczki Magda przysiadła obok.

– Ooo, jak dobrze, ciepło – westchnęła. – Kurczę, dzisiaj dzień zagłady. Już widzę, co będzie się działo po tej wywiadówce u mnie na chacie. – Pokręciła głową. – Ty to się nie musisz przejmować, kujonie, ale ja... ech! – Machnęła ręką.

– Są ludzie i parapety – zakpiła Ada.

– Taa – cmoknęła Magda. – I wapniaki. – Magda dała koleżance kuksańca.

– Sama jesteś wapniak!

– Ja? To ty siedzisz z nosem w książkach ciągle. Zero imprez, zero chłopaków. Dobrze, że chociaż na te zajęcia tańca dałaś się wyciągnąć.

– Nieprawda. – Tajemniczo uśmiechnęła się Ada.

– Co nieprawda? – Magda pytająco podniosła brew.

– Że zero chłopaków.

– Co??? I dopiero teraz mi mówisz? Opowiadaj! – Tarczyńska przysunęła się bliżej.

– Poznałam takiego jednego. – Ada przygryzła wargę.

– Gdzie?! – Magda aż krzyknęła z ekscytacji.

– Przez CB-radio. – Ada nonszalancko wzruszyła ramionami.

– Przez CB-radio?! No co ty?

– No! Nie mogłam spać jednej nocy i spytałam, czy ktoś tam jest. I on się odezwał. I tak jakoś od tej pory codziennie gadamy wieczorami.

– Nie może być! – Magda rozdziawiła usta. – Jak ma na imię? Gdzie chodzi do szkoły? Ile ma lat? – wyrzuciła z siebie pytania.

– Ma na imię Piotr – zaczęła Ada. – I już nie chodzi do szkoły. Jest trochę starszy. – Zawstydzona przycisnęła dłonią usta.

– Jak starszy? Ile?! – Magda aż poderwała się z miejsca.

– Ma prawie trzydzieści i mieszka w Sopocie. Pracuje w jakiejś tam firmie spedycyjnej. I jest megafajny. Taki bardzo ciepły. I wspierający. I troskliwy...

– Jasny gwint! Zakochałaś się! – stwierdziła Magda.

Ada znów wzruszyła ramionami, zaciskając niewinnie usta.

– Jaaa! No zakochałaś! – Magda złapała się za głowę. – No to jest hit!

– Mamy się spotkać jakoś niedługo. – Ada podniosła wysoko brwi.

– No nie wierzę! – przeżywała koleżanka. Znów usiadła na parapecie. – Ty, słuchaj, a jak on wygląda? – Ściągnęła czoło.

– Jest przystojny. Wysoki brunet o ciemnych oczach – rozmarzyła się Milewska.

W tej chwili na korytarzu pojawił się Michael. Ubrany w czarną ramoneskę, zarzucił ciemnymi, półdługimi piórami. Spojrzał w ich

kierunku.

– Cześć – rzucił nonszalancko.

– Czy on puścił ci oczko? – pisnęła Magda, szturchając w bok Adę.

– Chyba tak – parsknęła Milewska.

– Ja pierdziele. Michael to jest menias! Patrz na tę Bachę, jak go pożera wzrokiem! Pizza na twarzy, a aspiracje ma wysokie – zarechotała Tarczyńska. – A jak ten twój to stary dziad gruby jest? Jakiś twarzmen albo żonaty czy coś? – zastanowiła się. – I nie ma na imię Piotrek, tylko Zygmunt, albo... nie wiem, Zdzich?! – zaśmiała się.

– No co ty. Ja go znam – obruszyła się Ada.

– Znasz, znasz, ale pewności mieć nie możesz. Widziałaś go? Nie widziałaś. Tak naprawdę może mówić, co chce, i z rzeczywistością nic to nie musi mieć wspólnego.

– Nieprawda. Ludzie tak nie robią! – zachnęła się Milewska.

– Naiwna jesteś.

– On tak nie robi – poprawiła się Ada. – My się kochamy. To jest prawdziwe.

– Powiedział ci, że cię kocha?

– No nie. Jeszcze nie. Ale ja to wiem. Ufam mu.

– Okej. Okej. – Tarczyńska podniosła ręce w geście kapitulacji. – Niech ci będzie. Ale jak nie sprawdzisz, to się nie dowiesz.

Ada pokiwała głową. W tym momencie przeciągle zadzwonił dzwonek na lekcje. Muzyka w radiowęźle ucichła, uczniowie zaczęli pędzić w kierunku sal. Powoli decybele zaczęły opadać.

Dziewczyny zeskoczyły z parapetu.

– To jak ty nie jesteś zainteresowana Michaeliem, to może ja go tejknę, co? – zaśmiała się Magda. – Tylko jak on lubi takie większe laski, to ja nie mam szans. – Ostentacyjnie klepnęła się dłonią w czoło.

– Nie każdy, jak widać, leci na szprychy. – Ada Milewska wykonała moonwalka i wybuchnęła śmiechem.

Dawno nie była w tak fantastycznym humorze.

Na pustej ulicy Armii Krajowej w Sopocie w listopadowym słońcu wirowały pomarańczowe liście. Wiatr porywał je w górę, obracał i znienacka puszczał. Adrianna przez chwilę przyglądała się temu spektaklowi, po czym znów przeniosła wzrok na bladoróżową kamienicę o zmurszałej elewacji. Przełknęła ślinę.

„A jak ten twój to stary dziad gruby jest? Jakiś twarzmen, albo żonaty czy coś?” – w głowie wybrzmiały słowa Magdy.

Zerknęła na zegarek. Siedem po. Była już spóźniona, a im dłużej tu stała, tym bardziej rzucała się w oczy. „Tylko pamiętaj, to będzie nasz sekret” – teraz jej myśli wypełnił głos mężczyzny. Przez skórę przemknęły dreszcze. Ada jeszcze nigdy nie miała sekretu, nie zrobiła nic szalonego, co mogłaby wspominać z niedowierzaniem na starość. Teraz czuła się jak prawdziwa nastolatka. Świrnięta, spontaniczna, zakochana. Jak jakaś postać z książek, które tak łapczywie połykała. Ta myśl dodała jej odwagi. Rozejrzała się w lewo i w prawo i przebiegła ulicę. Przeszła przez furtkę, obok której beztróska wisiał baner z napisem „motel”, po czym popchnęła uchylone drewniane brązowe drzwi do klatki. W skąpanym w półmroku pomieszczeniu pachniało pleśnią. Od ścian odchodziła stara żółta farba, pokrywające podłogę kafle miały niezidentyfikowany bury kolor. Weszła na schody. Wilgotne deski nie skrzypiały, niezauważalnie zapadając się pod jej nogami.

Powoli, sunąc palcami po niegdyś zdobnej tralce, weszła na pierwsze piętro i zbliżyła się do drzwi znakowanych numerem trzy. Zerknęła na dzwonek, lecz wydał jej się zbyt formalny. Nieśmiało więc zapukała i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły, lekko skrzypiąc. Znalazła się w niewielkim otwartym przedsionku z widokiem na pokój.

Mężczyzna stał przodem do okna. Czubki jego brązowych włosów rozświetlały padające przez szybę ciepłe promienie słońca. Powoli odwrócił się w jej stronę i łagodnie uśmiechnął.

Czy był taki, jakim go sobie wyobrażała?

Nie. Trochę niższy i tęższy. Ale też nie jakiś brzydki. Żaden twarzmen, jak nastraszyła ją Magda. Ubrany w przydużą marynarkę w kolorze malinowego różu i czarne garniturowe, lekko wykolanione spodnie osadzone na eleganckich butach ze

sprzączkami. Miał styl bardziej jak jej tata niż koledzy, ale przecież miał prawie trzydzieści lat, więc czego się spodziewała?

– Cześć. Miło cię zobaczyć – powiedział.

Znała ten głos. Ciepły, głęboki. Tyle razy ją koił, zapewniał, że jest wyjątkowa. Musiała tylko dopasować go do nowej twarzy.

Poczuła się swobodniej.

To był on. Mężczyzna, w którym się zakochała. Nie ze względu na wygląd. Kochała go za to, jak mówił i co mówił. Za to, że czuła się przy nim najlepszą wersją siebie.

Zrobiła krok naprzód.

– Cześć – wydusiła i wyciągnęła dłoń.

Schwycił ją i życzliwie przycisnął drugą ręką; była ciepła i mokrawa. Pewnie się denerwował, usprawiedliwiła go. Cieszyła się, że nie cmoknął jej w dłoń, jak robili to koledzy jej taty. „Całuję rączki”, ble... To mogłoby ją zniechęcić. Ale nie. Nie zrobił tego. W zamian zaczął odwiązywać jej szalik, rozpinać guziki kurtki. Trochę jak dziecku, ale może tak właśnie robili dorośli? Przecież w ogóle się na tym nie znała.

Kiedy już zdjął jej odzież wierzchnią i z pieczołowitością złożył ją w równą kostkę na stojącym nieopodal krześle, odsunął się od niej o metr i zmrużył oczy, uważnie jej się przyglądając.

Ocenia mnie – zaczęła panikować. Zapomniała, że nie tylko ona wcześniej go nie widziała. *A co, jeśli on też inaczej mnie sobie wyobrażał? Co, jeśli mój wygląd go zawiódł? Jeśli pomyśli, że jestem brzydka, i gruba, i ohydna?* – nakręcała się coraz bardziej. Wstyd zaczął ją palić w brzuch. Bezwolnym ruchem naciągnęła obcisłą króciutką bluzkę, starając się zakryć gołą skórę nad spiętymi paskiem dzinsami. W końcu skrzyżowała ręce na wysokości ud. Jej wielkich, ocierających się o siebie ud. Poczuła do siebie wstęt. Po co tu przyszła? Po co psuła iluzję, że może się komuś podobać, że ktoś może ją pokochać? Po co?!

Cyk. Cyk. Cyk.

Cmoknął niezadowolony mężczyzna i z naganą pokiwał palcem.

Podszedł do niej i rozłożył jej ręce na bok.

Teraz z aprobatą się uśmiechnął.

– Jesteś idealna – szepnął.

Podniosła na niego pełen wdzięczności wzrok i dopadła jego ust.

Były wilgotne i gładkie. Oddały jej pocałunek, po czym się rozwarły. Jego język wślizgnął się do jej ust, przejechał po jej języku. Tak strasznie się bała pierwszego w życiu pocałunku, a tymczasem dokładnie wiedziała, co robić. *Mam instynkt* – ucieszyła się. *Jestem zwierzęciem. Jestem szalona, zupełnie nieposkromiona.* Delektowała się tymi myślami, rozpinając mu niebieską koszulę, pod którą chowały się gęste kępkki ciemnych włosów.

Mężczyzna poprowadził ją do jednoosobowego łóżka w lichej ramie. Odwrócił tyłem i ściągnął do kostek jej dzinsy.

– Jesteś idealna. Taka piękna – szeptał, naciskając na jej ramiona, aż w końcu uklękła.

Wciąż w marynarce przytulił się do jej pleców i zaczął wodzić palcami po jej udach. Zaciskał na nich palce. Mocno. Tak mocno, że aż szczypało i piekło. Było w tym bólu coś przekornie błogiego. *Pożąda mnie. Tak bardzo pożąda* – myślała z satysfakcją. Jej uda zrobiły się całe czerwone, zupełnie sponiewierane. Mężczyzna jęczał. Podniecająco. Dziko.

– Chcę się kochać – szepnęła. – Chcę tego.

Ale on tylko masował jej uda, ocierał się o nie spodniami, bez końca, bez opamiętania.

Czemu mnie nie chce? – zastanawiała się gorączkowo. *Czemu? Nie podobam mu się, nie podobam...* Jej entuzjazm słabł. Zaczęła dostrzegać ten ponury, tani pokój o szarych ścianach, goły zniszczony parkiet, na którym klęczała, stary ciężki koc leżący na łóżku i wiszący na gwoździu obrazek dwojga dzieci, nad którymi skrzydła rozkładał anioł.

W tym momencie mężczyzna wydał z siebie przeciągły odgłos. Jak niedźwiedź. Ścięgnęła brwi. Czy to był...? Nie. Chyba nie. A może? Nie była pewna, co myśleć.

Niepewnie odwróciła głowę. Miał czerwone białka i mętny wzrok.

– Jesteś taka piękna. Idealna – wydyszał.

– Czy ty...? Yhm. Czy ty? Bo ja chciałam, żebyśmy razem... – wydukała.

Mężczyzna się podniósł.

– Nie bądź taka niecierpliwa – powiedział. – Nie zawsze jest tak, jak byśmy chcieli, świntuszko. – Zaczął zapinać guziki koszuli.

Czarne sprężyste włoski zniknęły pod niebieskim materiałem.

Po ciele Ady znów rozlał się wstyd. Jej głowa zrobiła się ciężka, jakby odrętwiała. Sięgnęła do kostek i zmieszana wsunęła z powrotem spodnie.

– No już. Przestań się boczyć. – Przysiadł obok niej na łóżku. – Już mnie nie lubisz? – Puknął ramieniem w jej ramię. – No. Już. – Złapał ją po ojcowsku za brodę. – To co? Nie lubisz już mnie?

– Chyba nie umiem cię rozgryźć. – Przyjrzała mu się poważnie.

– To dobrze czy źle? – uśmiechnął się.

– Jeszcze nie wiem. – Ściągnęła usta w ciup.

– Dlaczego?

Przewróciła oczami.

– Ech, Ada, Ada, to nie wypada – zacytował ze śmiechem. – Mnie tam było wspaniale. Najlepiej mi z tobą, bo cię kocham. – Otulił ją ramieniem. – Wiesz? – Pocałował ją w skroń.

Ponownie na niego zerknęła. W jej oczach znów pojawiła się wdzięczność.

2019

1

Detektyw Oskar Korda i dziennikarka Alicja Grabska z powrotem znaleźli się na Żeromskiego. Cicho zamknęli za sobą furtkę przy domu matki Niny. Nic nie mówili, jakby cierpienie Hanny Kołodziej przeniosło się również na nich. Oskar wyciągnął z kieszeni kurtki papierosy. Alicja wyciągnęła rękę. Zerknął na nią zdziwiony, ale bez słowa podał jej ogień. Patrzył, jak zaciąga się dymem, a potem go wypuszcza. Wiatr targnął jej włosami, które przez chwilę zakryły jej twarz. Odgarnęła je, obnażając smutne grafitowe oczy i blade czoło. Korda poczuł, że coś ściska go w gardle. Znow ten dziwny żal, jakieś wspomnienie z odległej przeszłości. W twarzy Alicji było coś, co wywoływało w nim tkliwość. Zaczynał tęsknić. Tak bardzo tęsknić, choć od dziecka sobie na to nie pozwalał.

– I co sądzisz? – powiedział głośno, by przeciąć ten dziwny nastrój, który ogarnął ich oboje.

– Myślisz, że jest szansa, że Nina żyje? – Spojrzała mu prosto w oczy.

Znow to dziwne uczucie. Szybko je odegnał.

– Po niemal piętnastu latach? Nie sądzę. Myślę, że dziewczyna leży głęboko pod ziemią. Może nawet w tym lesie.

– A może jednak uciekła? Może matka nie mówi nam całej prawdy? Może nie dogadywała się z córką, która wciąż przeżywała rozwód rodziców? Może wcale Nina nie była szczęśliwa? A może matka obwiniła córkę za to, że odszedł jej mąż? Znęcała się nad nią? W końcu przemoc to nie tylko bicie.

– Cóż. Straszne rzeczy się dzieją w polskich domach. Straszniejsze, niż można sobie wyobrazić. Choć ten zgubiony discman świadczy raczej o jakimś niespodziewanym napadzie. Jeśli dziewczyna chciałaby uciec, to zabrałaby go ze sobą.

– Chyba że chciała stworzyć pozory napadu. – Alicja podniosła do góry brew.

- Od kiedy jesteś taką optymistką? – uśmiechnął się Korda.
- Od teraz. – Grabska też się uśmiechnęła. – Choć nie mogę pozbyć się uczucia, że Ninę i Liwię coś łączy.
- Wiesz, ile dorastających dziewczyn ma problemy z wagą? – zapytał sceptycznie Oskar.
- Wiem – westchnęła Alicja. – Ale przecież jest jeszcze aspekt tego samego rewiru zamieszkania i...
- „Teoretyzowanie jest dużym błędem, zanim dane zostaną przekazane”. – Oskar podniósł palec wskazujący.
- Tak mówią wasze policyjne podręczniki?
- Nie. To Sherlock Holmes – zaśmiał się Korda.
- Nie wiedziałam, że lubisz Holmesa – zdziwiła się Alicja.
- Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. – Oskar przechylił głowę. – W każdym razie chodzi o to, że nie można naciągać faktów, by pasowały do teorii. Jak wiesz, Holmes był wyznawcą metody dedukcyjnej, natomiast to, co ty robisz, to indukcja.
- Eee tam, dedukcja dedukcją, ale jest jeszcze coś takiego jak intuicja.
- Jest jeszcze coś takiego jak brzytwa Ockhama. Słyszałaś o tej zasadzie?
- „W wyjaśnianiu zjawisk trzeba dążyć do prostoty” – teraz zacytowała Grabska.
- Dokładnie.
- A najprostszym wyjaśnieniem, co stało się z Niną Kołodziej, jest to, że została napadnięta i zamordowana, gdy wbiegała do lasu – zasępiła się Alicja.
- Tak – potwierdził Korda. – Ale brzytwa Ockhama nie zawsze się sprawdza w odniesieniu do kryminalistyki. – Tajemniczo podniósł kącik ust. – Biegli często upraszczają wnioski, określając jeden sposób powstawania śladu, a tymczasem badania empiryczne wskazują, że konkretny ślad może powstawać w wyniku wielu różnych scenariuszy.
- Czyli? – Twarz Grabskiej przepełniała nadzieja.
- Czyli zerknę w te akta. Ale pewnie też dlatego, że nic innego specjalnie nie mamy. – Oskar przewrócił oczami. – Natomiast póki co chcę jeszcze raz pogadać z Maćkiem Zarębą. Wydaje mi się, że chłopak coś ukrywa.

- Też miałam takie wrażenie. Tylko nie chłopak.
- No tak. Rino. Nie do końca jeszcze rozumiem tę niebinarność – westchnął Korda.
- Sprawa może się wydawać skomplikowana – zaczęła się śmiać Grabska.
- Mało powiedziane. No dobra. Muszę lecieć. Odezwę się. – Niezręcznie poklepał Grabską po ramieniu i szybko zniknął za kierownicą auta.

2

Alicja Grabska patrzyła za odjeżdżającym samochodem Kordy.

- Czy on mnie właśnie klepnął w ramię? – prychnęła.

Odwróciła się jeszcze w stronę domu, z którego przed chwilą wyszli. Wyglądał zwyczajnie, nawet radośnie, przeszklony ganeczek dodawał mu sielskości. A jednak krył w sobie ból. Najgłębszy ból, jaki tylko można sobie wyobrazić. Rozejrzała się wokół. Eleganckie wille otaczały zadbane ogrody. W ilu z nich czały się dramaty, których nikt się nawet nie domyślał?

Westchnęła i w końcu i ona wsiadła do swojej białej CHR-ki. Uruchomiła aplikację i wybrała płytę Daniela Herskedala. Wnętrze auta wypełniły kojące niskie dźwięki tuby. *The Mistral Noir*. Uwielbiała ten utwór. Niespieszny, nostalgiczny, przeciągły, o basowym, burdonowym klimacie. Odpaliła silnik. Wiatr poruszał stojącymi wzdłuż drogi wysokimi drzewami. Spadały z nich ostatnie kolorowe liście. Jeden z nich wylądował na masce toyoty, starając się jej uczepić, lecz po chwili pęd powietrza go strącił.

Czy wierzyła, że matka Niny Kołodziej wyrządziła jej krzywdę? Nie miała żadnych podstaw, by tak sądzić. Korda miał rację. To nie był jeden z tych domów, w których przemoc wypełzała z brudnych, zapleśnionych kątów i pustych butelek po alkoholu walających się po podłodze. Ale przecież nie zawsze przemoc można było dostrzec gołym okiem. Często chowała się za atrapą pozornej normalności, Alicja doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

A dzieci uciekają z domu nie tylko od przemocy. Jest tyle rzeczy, które mogą zadawać ból i ranić. Jest tyle rzeczy, które wywołują

kompleksy i sprawiają, że chcemy zniknąć. Grabska pomyślała o swojej matce. Nie można powiedzieć, że o nią nie dbała. To na pewno. Alicja miała swój pokój, miała co jeść, a w jej szafie nigdy nie brakowało sukienek. Choć Beata Rostocka była też zimna jak gład. Nie przytulała, nie pocieszała, nigdy nie mówiła córce niczego miłego. Wręcz przeciwnie, nie żałowała Ali kąśliwych uwag. Niby nic takiego, ot, w przelocie wypowiedane słowa, ale dziewczyna przepłakała przez nie niejedną noc.

„Znowu coś podjadasz?” – często słyszała, gdy podchodziła do lodówki. „Nie jedz tyle, bo niedługo się zrobisz okrągła i będziesz się turlać”. Po pewnym czasie Rostocka nie zwracała się do Alicji inaczej niż „grubasku”. Przecież to było takie pieszczotliwe!

Mama niby się śmiała. Pewnie uważała, że to, co mówi, jest zabawne, ale dla Alicji nie było w tym nic żartobliwego. Traktowała to śmiertelnie poważnie.

Gdy stawała przed lustrem, jej płaski brzuch zmieniał się w zbiór fałd. Łapała skórę i ścisnęła tak mocno, aż robiła się czerwona i czuła. Z odrazą patrzyła na wewnętrzną stronę lewego uda, które u samej góry miało małe wgłębienie. Wyglądało, jakby w tym miejscu zanikł jej mięsień. To wgłębienie urastało w jej głowie do defektu, który sprawi, że nikt nigdy prawdziwie jej nie pokocha. Podobnie jak wałeczek, który od zawsze miała pod jednym z pośladków. *Fuj. Jesteś obrzydliwa* – wmawiała sobie. Czasami przez umysł przebiegała jej myśl, że mogłaby wziąć bardzo ostry nóż i odciąć to wszystko, co ją deformowało.

Czy Nina Kołodziej miała podobne myśli? Czy istniała na świecie dziewczyna, która kiedykolwiek tak się nie czuła?

„Kompleksy to filtr, przez który widzimy świat” – Grabska przypomniała sobie wypowiedziane wczoraj zdanie. *Nawet jeśli rzeczywistość jest zupełnie inna* – dodała w myślach, podjeżdżając na parking przy ulicy 1 Maja pod dwukondygnacyjny dworek, w którym mieściła się redakcja „Dziennika Trójmiejskiego”. Zatrzymała się, a jej wzrok padł na leżący na siedzeniu pasażera batonik. Odpakowała go, władowała do buzi i ugryzła.

Karmel ciągnął się i oszałamiał słodkością. Wysiadła z auta i uśmiechnięta wtargnęła do budynku, od razu wpadając na antypatycznego asystenta Mariusza Kierskiego. Ten wykrzywił twarz

w specyficznym dla siebie, trudnym do zdefiniowania grymasie. Niby życzliwym, a jednak mającym w sobie coś głęboko mrocznego.

– Nie boisz się, że pójdzie ci w boki? – zaśmiał się, wskazując brodą na trzymany w jej ręku baton.

– A ty się nie boisz, że ktoś w końcu zrozumie, że jesteś miękką fają? – odparła hardo, ostentacyjnie wgryzła się w czekoladę i z podniesioną głową weszła na prowadzące do jej pokoju schody.

3

Dochodziła dwunasta. Nauczycielka biologii Henryka Lubańska, ubrana w szeroką szarą koszulę i długą spódnicę w takim samym kolorze, chrząknęła, po czym wróciła do prowadzenia lekcji. Tembr jej głosu był tak samo szary jak ubranie.

– Bioróżnorodność to kluczowe pojęcie dla ochrony dzisiejszej przyrody, oznaczające zróżnicowanie organizmów żywych oraz współtworzonych przez nie systemów ekologicznych.

Rino znów zapatrzyła się w okno, za którym roztaczała się równie szara jak nauczycielka rzeczywistość. Niebo zasnuwane było ciemnymi chmurami. Czubki wielkich drzew rosnących nieopodal okna kładły się to na lewo, to na prawo. Znowu wiało. *Liwia nie będzie w humorze, nie znosi, gdy wieje* – pomyślała, a przed oczami stanęła jej postać dziewczyny, która stara się przytrzymać jasne włosy wirujące wokół jej poirytowanej twarzy. „*Shit, nie znoszę takiej pogody*” – mówi. Rino uśmiechnęła się na to wspomnienie i pokątnie sięgnęła do kieszeni po telefon. Odblokowała go, odszukała na ekranie grafikę słońca i odpaliła aplikację. Wyszukała użytkownika i zapatrzyła się w zdjęcie. Kuse czarne body, szerokie biodra, mięsiste uda i ta mina. Zmysłowa, pełna skupienia, ta, w której było jej najpiękniej. Poczła nagle pragnienie, by zamknąć tę minę w klatce i nigdy nie uwolnić.

– W ogólnym ujęciu wyróżniamy trzy poziomy różnorodności biologicznej – dyktowała nauczycielka, a jej głos był tak bezbarwny i płaski, że wprowadzał Rino niemal w hipnozę. – Poziom o charakterze genetycznym, gatunkowym oraz ekosystemowym. Choć ta klasyfikacja wydaje się sztuczna i nieobejmująca wszystkich

kategorii, to jednak umożliwia bardziej efektywne usystematyzowanie wiedzy na omawiany temat.

Rino prychnęła pod nosem. Sztuczne klasyfikacje, by ludziom było łatwiej objąć rzeczywistość. Coś o tym wiedziała. Znów odwróciła się do okna, ale tym razem na tle zachmurzonego nieba starała się pochwycić w nim swoje odbicie. Różowa koszula z bufami, czarne lekko kręcone włosy, mocny makijaż wokół oczu i dwudniowy zarost, który nie zawsze chciało jej się golić. Kim była? Choć udawała, że dawno przestała o tym myśleć, to jednak ta kwestia często pojawiała się w jej głowie, bo to przecież płęć kształtuje podmiotowość i miejsce człowieka w społeczeństwie, a przynajmniej tak od dziecka jej wmawiano. Urodziła się jako chłopiec, a zatem powinna wykazywać odpowiednie zachowania. A ona jakoś nigdy nie miała ochoty ich wykazywać, co nie raz wprawiało rodziców w zakłopotanie, a w szczególności ojca, który nie rozumiał, jak chłopak może bawić się lalkami, a co więcej, sięgać po pomadkę matki! A przecież nie miał problemu z tym, że siostra lubiła bawić się z bratem samochodzikami. Rino nie rozumiała, czemu Helcia mogła wybierać i nie było w tym nic dziwnego, a gdy ona wybierała, narażała się na komentarze, zakazy i śmieszność, a chyba nic nie bolało właśnie tak jak to ostatnie. „Patrzcie, Maciuś bawi się lalką Helci!”, „Patrzcie go, przebrał się za dziewczynkę! Oj, trzeba chyba będzie obciąć siusiaka” – śmiali się goście rodziców, a rodzice też pobłażliwie się uśmiechali, choć przenikał ich wstyd, o czym przecież nie omieszkali mu później powiedzieć. Ojciec oczywiście za ten stan rzeczy winił matkę, bo to ona była odpowiedzialna za wychowanie syna. To jej zadaniem było nauczenie go, co to znaczy być mężczyzną. Zadaniem ojca było zarabianie pieniędzy i kontrolowanie poziomu moralnego członków rodziny, jakby uczestnictwo Mirosława Zaręby w życiu rodziny rozgrywało się na poziomie quasi-symbolicznym.

Czasami mały Maciek stawał nagi w łazience przed lustrem i z ciekawością przyglądał się swojemu ciału. Szczególnie jego uwaga koncentrowała się na siusiaku. Czemu chciano mu go obcinać, jeśli robił nim siusiu? Czy to właśnie siusiak sprawiał, że tak wiele rzeczy było dla niego zakazanych? Czy to siusiak wymagał od niego, by czuł się chłopcem? A co, jeśli on nie czuł się chłopcem?

A co, jeśli nie czuł się ani chłopcem, ani dziewczynką? Co, jeśli on po prostu chciał być sobą? Maćkiem z czarnymi jak węgiel włosami, które niekiedy miał ochotę upiąć w sterczące kucyki, a niekiedy ulizać lub postawić do góry, Maćkiem, który lubił wybierać i który nie lubił, gdy się z niego śmiano, gdy to robił. Maćkiem, w którym następowało płynne przejście od jednej płci do drugiej, jakby nie było w nim granic, które widzieli inni.

Nie każdy to rozumiał. Nawet Kindze zdarzało się powiedzieć czasem coś, co sprawiało, że Rino poczuła się źle. Ale nie Liwii. Liwia nie oceniała, nie szufladkowała, nie poddawała się wszystkim tym narzucanym przez społeczeństwo normom. Ona też nie lubiła granic, choć ze względu na ojca musiała zachowywać pozory. Czasami Rino wydawało się, że Liwia nikogo tak się nie bała jak ojca, a zarazem niczyjej obecności tak nie pragnęła. Cóż, nie można było jej się dziwić, skoro tak szybko straciła matkę.

Rino zdała sobie sprawę, że cały czas wpatrywała się w roznegliżowane zdjęcie Liwii. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Delikatnie rozejrzała się wokół. Nikt na nią nie patrzył. Inni uczniowie też wlepiali oczy w telefony, chyba nikt nie notował. Lubańska w grubych oksach nadal odczytywała tekst ze swoich przedpotopowych notatek. Czy zdawała sobie sprawę, że nikt jej nie słuchał? Że wszyscy mieli głęboko to, czym nawet i ona się nie ekscytowała? Ile to już razy biolożka prowadziła z młodzieżą tę samą lekcję? Czy w ogóle miała świadomość tego, jak bardzo zmienił się świat wokół niej? Nagle spojrzenia Rino i Kingi, która siedziała w ostatniej ławce z Inką, spotkały się. Prószyńska patrzyła na Zarębę nieprzeniknionym wzrokiem, ale po chwili uśmiechnęła się tajemniczo i jakby nigdy nic spuściła głowę. Rino poczuła w brzuchu małe ukłucie. *Czy widziała?* – przemknęło Rino przez myśl. Szybko znów odwróciła się w stronę okna. Pod szkołę akurat podjechała czarna alfa, a po chwili wysiadł z niej ciemnowłosy mężczyzna w granatowej puchówce, dzinsach i ciężkich brązowych butach. Rino wiedziała, że na jego twarzy połyskiwała blizna.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać – powiedział Korda, po czym szybko się poprawił: – To znaczy zgodziłaś. Przepraszam – zmieszał się.

Rino uśmiechnęła się wyrozumiale. Miała na sobie czarne długie futro. Nonszalanckim gestem poprawiła kręcone włosy.

– Możesz też powiedzieć „zgodziłoście” – odparła bezpośrednio.

– To jak dla mnie zbyt karkołomne – przyznał Oskar, przepraszająco rozkładając ręce.

– No w języku angielskim jest to zdecydowanie mniej skomplikowane – zaśmiała się Rino. – Ale tak naprawdę to tylko słowa, proste klasyfikacje, które sprawiają, że ludzie mniej gubią się w rzeczywistości. Jeśli tak będzie ci łatwiej, możesz swobodnie mówić o mnie „on”.

– Będę starał się jednak mówić „ona”. – Życzliwie uśmiechnął się Korda. – Na pewno możesz się zerwać na godzinkę? – upewnił się.

– Czym byłoby liceum bez wagarów, prawda? – Rino uniosła ramiona.

– Prawda – przyznał detektyw i otworzył Rinu drzwi do auta, po czym pomyślał, że może nie było to właściwe.

Czy Rino chciała, by traktowano ją jak damę? Nie był pewien. Ale przed chłopakiem, z którym chciałby pogadać, też pewnie uchyliłby drzwi. W końcu był stróżem prawa, a ten gest w pewien sposób kształtował relację władzy. Tak. Tego będzie się trzymał. Zresztą chyba za dużo się nad tym zastanawiał. Najważniejsze było teraz, by odnaleźć Liwię, a nie jakieś tam zaimki, które podobno i tak nie mają znaczenia.

Tylko że, gdy ktoś podkreśla, że coś nie ma znaczenia, to zazwyczaj właśnie ma – przemknęło śledczemu przez głowę. Oskar uśmiechnął się na tę myśl, odpalił silnik i ruszył.

Rino wygodnie rozsiadła się w fotelu, wyciągnęła przed siebie nogi. Wydawała się zadowolona, że nie siedzi teraz w szkole.

– To gdzie jedziemy? – zapytała.

– Na plażę – zdecydował Korda. – Od jakiegoś czasu czuję potrzebę, by się tam znaleźć – wyjaśnił.

Oczywiście to była prawda. Oskar mieszkał przecież nad morzem, zresztą z okien jego mieszkania roztaczał się widok na zatokę, a jednak tak rzadko zdarzało mu się fizycznie postawić nogę na

piachu. Ale był jeszcze jeden powód, dla którego zdecydował się zabrać Rino właśnie tam. Z doświadczenia wiedział, że spacer nad morzem, w szczególności jesienią, zmusza do zwierzeń, których nie sposób niekiedy wycisnąć w ciasnym pokoju przesłuchań.

– Na plażę? – Rino podniosła podkreśloną cieniem brew. – Panie detektywie, czy to jest randka?

– Wykluczone – ostro odparł Korda, co sprawiło, że wybuchła perlistym śmiechem.

Po chwili zaparkowali samochód i przeszli wzdłuż prowadzącego przez niskie wydmy wejścia na plażę. Podmuch wiatru, który raptownie w nich uderzył, niemal zatrzymał ich w miejscu. Powoli przebijali się przez jego pęd, aż doszli do wody. Właśnie tego brakowało Kordzie. Zimnego powiewu na twarzy, który szcypie bardziej niż wspomnienia, tego potężnego szumu, który zagłusza wszystkie złe myśli.

Patrzyli przed siebie jak zahipnotyzowani. Fale wzbierały w napompowane do granic grzbiety i spienione tłukły o brzeg. Ciekawe, że tak niekontrolowany, dziki żywioł działał na ludzi uspokajająco.

– To o czym chciałeś rozmawiać? – Rino przerwała milczenie.

– Wiesz o czym. – Korda nie odrywał wzroku od morza.

– Powiedziałam już wszystko, co wiem.

– Z kim spotykała się Liwia?

– No, z Julkiem Kamaciem.

– I z kim jeszcze?

Wymienili spojrzenia.

– No dobra – westchnęła Rino. – Był taki jeden typ. Dużo starszy od Liwii. Krzysztof Bizoń, ale my mówiłyśmy o nim Bizon. Liwia poznała go na imprezie w klubie. Przegadali całą noc, a potem to już możesz sobie wyobrazić. Liwce odbiło na jego punkcie. Ciągłe tylko Bizon to, Bizon tamto. Nie było innych tematów. A to taki, wiesz, creep, stary dziad – skrzywiła się. – No ale Liwii się spodobał.

– Kiedy się poznali?

– Ponad rok temu chyba? Jeszcze przed Julkiem. Spotykali się kilka dobrych miesięcy. Liwia przeżywała, że oddała mu swoją plombę gwarancyjną. – Oskar spojrział na Zarębę skonsternowany. –

No że oddała mu swój wianuszek, jak pewnie mówiło się za twoich czasów – zaśmiała się Rino.

– Czemu się rozstali? – Oskar zachowywał pełen profesjonalizm.

– Nie wiem. Nie chciała powiedzieć. Ale była po tym związku zdruzgotana. Pewnie dlatego zeszła się z Julkiem. Wydawało jej się, że niewiele starszy chłopak nie będzie potrafił jej skrzywdzić.

– A potrafił?

– Na początku była szczęśliwa. Że spotyka się ze studentem, że są zakochani, że wszyscy mówią, jaka to z nich piękna para. Ale po pewnym czasie zaczęło jej się nudzić, choć może to niewłaściwe słowo, bo Julek ciągle coś proponował. A to basen, a to rowery, a to rolki. Byli w ciągłym ruchu, a Liwia nie do końca dobrze się z tym czuła. Ciągle miała wrażenie, że Julek chce ją zmienić. Że jej fizyczność nie była dla niego wystarczająca.

– A dla Bizonia była?

– O tak. Co by o nim nie mówić, sprawiał, że Liwia nabrała pewności siebie. Ciągle jej mówił, że jest piękna, doskonała, pociągająca. Co z tego, że jej to mówiłam codziennie? Musiała to usłyszeć od niego. Od tego starego faceta, żeby się tak poczuć – sarknęła Rino.

– Jak myślisz dlaczego? – zastanowił się Korda. Przeczesał palcami falowane ciemne włosy, które opadły mu na oczy. Szum morza się wzmaczał. Pieniste bałwany sunące po jego tafli zdawały się coraz bardziej rozwścieczone.

– Dlaczego Liwia lubuje się w starych? – Rino miała zniesmaczoną minę. – Pewnie dlatego, że ma syndrom tatuśka – prychnęła. – Wiesz, mama Liwii umarła, gdy ta miała dwanaście lat. Na zawał! A miała raptem trzydzieści dwa lata, wyobrażasz sobie? Liwka bardzo to przeżyła. Często to przerabialiśmy, od nowa i od nowa, najczęściej po alkoholu. A jej ojciec? Cóż, nie miał dla niej zbyt wiele czasu, robił karierę, a gdy już był, to...

– To...? – zaciekawił się Korda.

– W sumie nie wiem. Liwia za bardzo o nim nie mówi. – Zaręba wzruszyła ramionami. – Ale nie sądzisz, że takie zainteresowanie starszymi facetami ze strony młodej dziewczyny jest dość... hmm, dziwne? Wiesz, to trochę tak, jakby chcieć się ruchać z własnym ojcem, nie?

Korda nie skomentował. W zamian zapytał:

– A ten typ z Pitu-Pitu?

Rino ściągnęła brwi.

– Pitu-Pitu? Ktoś tego używa?

Detektyw znów nie odpowiedział. Znów zapatrzył się w morze, które przybrało teraz granatowy kolor. Chmury zawisły niemal nad ich głowami. Fale łąpczywie połykały malutkie kropelki deszczu niczym w komputerowej grze.

– Nie wiem, z kim Liwka się teraz spotyka, bo trzymała to nie wiedzieć czemu w sekrecie. Ale tak, poznała kogoś i oszalała na jego punkcie. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam..

– Jakiej?

– Uśmiechniętej od ucha do ucha, zadowolonej, rozluźnionej. A wcześniej to różnie bywało.

– Jak?

Rino przygryzła policzek i po dłuższej chwili wyznała:

– Liwia się cięła.

– Chciała popełnić samobójstwo?

– Nie, to nie tak. Po prostu od czasu do czasu się samookaleczała, zresztą jak wiele nastolatków teraz. – Zaręba wzruszyła ramionami.

– Nie po to, żeby umrzeć, tylko po to, żeby utrzymać się przy życiu.

– Miała problemy?

– Kto ich nie ma – prychnęła Rino. – Bezradność, samotność, lęk, złość. Wszyscy to czujemy, ale u Liwii było inaczej, bo jej mama umarła i to chyba najbardziej na nią wpłynęło. Nie zdążyła się nawet z nią pożegnać. Całe życie szukała akceptacji u ojca, ale ten nigdy nie miał dla niej czasu. Dlatego myślę, że ona po prostu uciekła. Bo w końcu znalazła to, czego szukała. Ten facet musiał jej to dać. – Zamachnęła się i ze złością rzuciła kamieniem, który trzymała od jakiegoś czasu w ręku.

Kamień plusnął o taflę wody i zniknął. Nie pozostał po nim nawet ślad.

Smutek wwiercał się w nią czasami jak czarny robak. Najpierw siadał na skórze i zupełnie niewinnie zaczynał podjadać. Na początku małymi kęsami, tak że pozornie nie odczuwała zmiany. A potem coraz bardziej łapczywie. Rwał tkanki, wdzierał się w mięśnie, przedostawał się do środka. Zjadał wszystko, co napotkał na swojej drodze, aż Liwia stawała się pusta. Zupełnie pusta jak nadmuchany smutkiem balon. Oczywiście miała w tym swój udział. Karmiła robaka wszystkimi złymi myślami o sobie samej. A przecież tych myśli było dużo. Naprawdę dużo. Stawała przed lustrem i nie widziała tej ładnej twarzy, na którą uwagę zwracali inni. Niebieskich oczu, lśniących włosów, wykrojonych uważną linią ust. Nie doceniała tego, że jest dobra i miła, nie dostrzegała, że jest mądra, z dobrej rodziny. Widziała jedynie obłe ramiona, wielką dupę i ogromne udzicha – pokryte cellulitem, narastającym z każdym kolejnym chipsem, który pochłaniała, by poprawić sobie nastrój, z każdym kubkiem kinowego popcornu, z każdym gryzem obiadowego kotleta. Ścisnęła udo palcami, a na skórze pojawiały się nierówności – wklęsnięcia i wybrzuszenia, które przyprawiały ją o mdłości. Nienawidziła siebie. Nienawidziła tego, że nie potrafiła przestać jeść, choć próbowała. Nienawidziła tego, że była tym ciałem, które odbijało się w lustrze. Przecież to nie była ona! Ona wyglądała INACZEJ! Miała o sobie inne wyobrażenie.

To tylko ciało, w którym się chowam – powtarzała sobie Liwia. *Ciało, w którym znajduje się prawdziwa ja.* Ale nie zmieniało to faktu, że nienawidziła i ciała, i siebie. A im bardziej nienawidziła, tym bardziej czuła się pusta, a jednocześnie przepelniona smutkiem i bólem. Bólem tak wielkim, że nie potrafiła go unieść, choć nie było go widać. Jej ból był czarnym, wielkim robakiem. Robakiem niewidzialnym, w którego nikt oprócz niej nie wierzył. Chciała krzyknąć: „Mam w środku robaka! Zobaczcie go! Uwierzcie!”. Ale nie miała siły na krzyk. Robak jej ją odebrał. Pozbawił ją głosu.

Pewnego dnia Liwia zeszła do piwnicy. Nie pamięta, czego szukała. Może gwoździ i młotka, żeby przybić do ściany jakiś obrazek. I wtedy jej wzrok padł na nóż tapicerski. Poczowała w sobie ukłucie. Malutkie ukłucie przecinające pustkę w niej samej. Wzięła nóż do ręki i wysunęła ostrze. Lśniące i płaskie, skrzywione na końcu pod kątem trzydziestu stopni. Nacisnęła na niego palcem

wskazującym. Na skórze pojawiła się kropla krwi. Jej wewnętrzny ból. Ból, którego nikt nie rozumiał i w który nikt nie wierzył, w końcu nabrał formy, stał się, zaistniał. Był prawdziwy.

Szybko ułamała jedno z ostrzy, wyciągnęła z kieszeni spodni komórkę i wsunęła je pod etui. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko stało się prostsze. Nie była nienormalna, obłąkana, psychiczna, jak często sobie powtarzała. Naprawdę ją bolało. Znalazła dowód na istnienie egzystencjalnego bólu. Potrafiła wywołać jego manifestację.

Liwia Dembska wyciągnęła teraz przed siebie rękę i zsunęła w dół rękaw bluzy. Po przedramieniu sunęły w górę cieniutkie, krótsze i dłuższe blizny. Już jasne lub nadal różowe. Lśniły w świetle ostrej, gołej żarówki zwisającej z sufitu. Były jak pręgi tygrysa.

Nie była z nich dumna. Wolałaby ich nie mieć. Wolałaby, by nigdy nie musiały powstać. Ale były częścią niej. Były częścią jej historii. Wyrazem tego, co czuła. Obrazem drążącego ją robaka smutku. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

Liwia przeciągnęła palcem po rządku blizn. Wyraźnie czuła pod opuszkami ich kształt, ich wybrzuszenia i nierówności, które jednak nie wywoływały w niej obrzydzenia. Z zamkniętymi oczami mogła stwierdzić, w którym miejscu ostrze wbiło się głębiej i niebezpieczniej. Bez zawahania mogła wskazać, w którym miejscu rany krwawiły mocniej i dłużej, tak że przez wiele godzin nie mogła zatamować spływającej mazi. Mogła powiedzieć też, które skazy czekały na zaistnienie dłużej niż inne. Z czasem nauczyła się bowiem dozować sobie momenty ulgi. Samo myślenie o tym, że niebawem sobie na to pozwoli, w dziwny sposób koilo, podświadomie uspokajało. Jeszcze trochę. Wytrzymaj jeszcze trochę – uczyła się samokontroli. Była dumna ze swojej siły. I wiedziała, że czekanie wiązało się z nagrodą, którą sama sobie przyznawała. Te rany, których wyczekała, były bardziej wartościowe od tych, które robiła, gdy tylko poczuła, że tego pragnie. Miały większą moc. Wychodziły z nich większe i czarniejsze larwy robaka.

Czy gdyby miała przy sobie nożyk, użyłaby go i teraz? Czy leżąc w tym zimnym, pustym pokoju bez okien, zupełnie osamotniona i pozbawiona nadziei, wbiłaby ostrze w ciało, przecięła skórę i patrzyła na wzbierającą, kapiącą na podłogę krew? Nie. W tym

momencie wydawało jej się to głupie. Zupełnie dziecinne i pozbawione sensu. Jak nigdy, chciała żyć. Chciała wyjść na powietrze, poczuć na twarzy promienie słońca, usłyszeć szum niespokojnego morza, chłonać wiatr przesuwający się po jej włosach. Wyciągnęłaby dłonie na boki i biegła przed siebie. Czy trzeba więcej, by poczuć, czym jest szczęście?

Pokręciła z niedowierzaniem głową. Tyle czasu straciła na hodowanie robaka. Tyle cennego czasu.

Ze złością opuściła rękaw bluzy i usiadła na łóżku. Rozejrzała się po raz setny, ale nie było tu nic, na czym mogłaby skupić wzrok. Białe ściany, żarówka, sypialniane łóżko. Nic, co mogłoby ją w jakiś sposób zająć. Nie była przywiązana ani zakneblowana, nie musiała więc nawet kombinować, jak się oswobodzić. Jedyne, o czym mogła myśleć, to w jaki sposób stąd uciec.

Mężczyzna schodził do niej raz dziennie. Za każdym razem o innej godzinie. Jego nadejście obwieszczał szcęk klucza w drzwiach. Mogła przecież spróbować się na niego rzucić. Mogła spróbować go popchnąć, mogła spróbować wybiec na zewnątrz. Ale czy by zdołała? Wiedziała, że był od niej silniejszy. O wiele silniejszy. Pokazał jej to przecież pierwszego dnia. Kiedyś też, niby dla zabawy, złapał ją za przeguby, a gdy ona próbowała się wyrwać, nie zdołała się uwolnić. Trzymał mocno, nie wkładając w to siły. Śmiał się wtedy, patrząc jej prosto w oczy.

„Nie uciekniesz mi, tygrysku” – powiedział wtedy. „Nie uciekniesz”.

Ona też się śmiała. Poczula się krucha jak motyl. Pasowało jej to. Pasowało, że mógł zamknąć ją w dłoni.

Jaka była głupia.

Jaka głupia jest teraz.

6

Oskar Korda podjechał pod blok na gdańskiej Żabiance. Szybkim krokiem przemierzył dziedziniec, złapał drzwi na klatkę, które zamykały się za starszą kobietą z czarną parasolką, i po chwili znalazł się pod drzwiami. Przytrzymał dzwonek. Raz, drugi i trzeci.

Wybrał numer telefonu Janiny Hinc, ale również nie odebrała. Dziwne. Przecież pół godziny temu sama do niego dzwoniła, że ma do niej podjechać.

Jeszcze raz wdusił dzwonek, który ostrym dźwiękiem musiał rozejść się po mieszkaniu ekolożki sądowej. Mruknął i przycisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wsadził głowę w szparę i zawołał:

– Janka?!

Nikt mu nie odpowiedział. Wszedł do środka, a stara podłoga w dawno nieremontowanym mieszkaniu zaskrzypiała pod jego butami. Poczł się jak intruz, więc znów zawołał:

– Janka? Jesteś?

Cisza. Oskar zrobił kilka kroków do przodu. Deski podłogowe znów złowieszczo zaskrzypiały. Skrzywił się na ten dźwięk i w tym momencie coś stuknęło.

– Janina?

Nic. Czy to możliwe, że Janka odkryła coś na tyle znaczącego, by znalazła się w niebezpieczeństwie? – zastanowił się. „Coś mam. Podjedziesz?” – odtwarzał w głowie słowa, które padły podczas rozmowy telefonicznej. Bezszelestnie wyjął pistolet ze schowanej pod kurtką kabury i powoli ruszył przez skąpany w mroku korytarz.

Skrzyp. Skrzyp. Skrzyp.

Pokręcił głową. Zdawało się, że ktokolwiek tam się krył, wiedział, że Oskar nadchodzi.

Policjant doszedł do uchylonych drzwi wypełnionych miedzianym szkłem w symetryczny wzór. W jego mieszkaniu też były podobne. Ciągle nosił się z myślą, że musi je wymienić, ale nigdy nie zdążył. I dobrze. Podobno teraz znów stały się modne.

Wziął głęboki wdech i wyciągając pistolet przed siebie, wparował do pokoju i zamarł.

Na środku pomieszczenia, tyłem do niego, stała Janka. A raczej nie stała, tylko tańczyła. Miała na sobie dwuczęściowy dres w kolorze pudrowego różu. Włosy jak zwykle zebrała w niedbały kucyk. Uszy okalały ogromne czarne słuchawki, spod których dolatywały rytmiczne basy. Kobieta podrygiwała w takt, unosząc lekko dłonie. Jej broda ruszała się to w lewo, to w prawo, ugięła kolana, nie odrywając stóp od podłoża.

Korda szybko schował broń. Co on w ogóle sobie myślał? Im dłużej przyglądał się Jance, tym szerszy uśmiech pojawiał się na jego twarzy. Wsłuchał się w muzykę. Znał ten drumbassowy kawałek! *Good Times Bad Times* Camo & Krooked. Oskar mimowolnie też zaczął wybijać rytm głową. W tym momencie nastąpiło przejście muzyczne, a Janka zaczęła skakać po pokoju, jakby była na koncercie. Odwróciła się w jego stronę... i przeciągle krzyknęła!

Oskar niewinnie się uśmiechnął, podnosząc ręce w geście poddania.

Janina Hinc szybko zrzuciła słuchawki i wrzasnęła:

– Oszalałeś?!?! Prawie zeszałam na zawał! – Złapała się za serce, po czym schyliła i zaczęła dyszeć.

– Chcesz wody czy coś? – zapytał Korda.

– Mam nadzieję, że masz chociaż wyrzuty sumienia – sapnęła.

– Sorry – Korda rozłożył ręce – ale za nic nie przegapiłbym takiego pokazu. – Zaczął się śmiać.

Janka podniosła głowę. Jej naburmuszona mina zaczęła się rozpogadzać. Korda dostrzegł, że wyraźnie się zaczerwieniła, ale to pewnie od wysiłku fizycznego.

– Musiałam się rozprostować. Całą noc siedziałam zgięta nad mikroskopem.

– Nie musisz się tłumaczyć. Taniec to zupełnie zdrowa sprawa. To ja przepraszam, nie wiedzieć czemu pomyślałem, że możesz mieć kłopoty, i...

– Czemu tak pomyślałeś? – Hinc zmrużyła oczy.

– Nie odpowiadałaś, a drzwi były otwarte. A potem stuknęło... Ech. – Korda machnął ręką. – Choroba zawodowa, jak przypuszczam.

– To miłe – stwierdziła Janka.

– Miłe? Że mam chorobę zawodową? – zażartował Korda. – No dobra, co tam dla mnie masz? – zmienił temat.

Janina Hinc uśmiechnęła się tajemniczo i poprowadziła Oskara do stołu laboratoryjnego.

– Jak wiesz, pobrałam próbki z nadwozia samochodu oraz siatki osłony chłodnicy. Tak jak przypuszczałam, znajdowało się tam jednak tyle rodzajów pyłków, że równie dobrze mogłabym badać

teren ogrodu botanicznego. Skupiłam się więc na próbkach pobranych z wnętrza samochodu – tłumaczyła. – Wnętrze auta, tak jak stwierdzili technicy, było czyste. Co więcej, pozbawione było nawet tak zwanych śmietków. Komuś wyraźnie zależało, by ukryć wszelkie ślady, a tym samym w mojej opinii należy brać pod uwagę najbardziej drastyczne hipotezy, takie jak uprowadzenie lub... ekhm... morderstwo, choć oczywiście takowe trudno byłoby udowodnić, gdyż nawet najbardziej drobiazgowa analiza nie wykazała w pojeździe śladów krwi.

Korda potwierdzająco kiwnął głową. Dokładnie tyle wiedzieli. Czy ekolożce sądowej udało się wyciągnąć coś więcej?

– Oczywiście wiadomo, że w tego typu sprawach sprawca najczęściej skupia się na desce rozdzielczej, klamkach, skrzyni biegów, bo te najłatwiej wyczyścić. Gorzej jest z siedzeniami, ale te też można odrolkować i spryskać środkiem do dezynfekcji, tak jak w tym przypadku. Dlatego oględzinom poddałam zakamarki, które mogły zostać pominięte.

– Jak? – zaciekał się detektyw.

– Filtry powietrza, wsporniki okien i inne trudno dostępne zagłębienia.

– I?

– Wyniki nie były interesujące – przyznała Hinc. – Ale! – Podniosła palec wskazujący. – Udało mi się stworzyć ciekawe profile pyłkowe z próbek pobranych z maty podłogowej i pedałów, które wykazały dość wysoką zgodność.

– Technicy też je przecież sprawdzili – zdziwił się Korda.

– Tak. Z tym że ja zebrałam, nazwijmy to dla lepszego zrozumienia charakteru mojej pracy, „kurz” – Janina zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu – który techników nie interesuje. Oni skupiają się na konkretnych tropach. Ale ja potrafię czytać nawet z pyłków – uśmiechnęła się szeroko.

– W jaki sposób? – Korda starał się pojąć, jakim cudem wyposażeni w najbardziej nowoczesny sprzęt technicy kryminalistyczni mogli coś pominąć.

– W skrócie: odwirowałam granulki i poddałam je standardowej procedurze ekstrapolacji, jaką wykorzystuje się przykładowo w analizach archeologicznych. Użyłam przy tym kwasów o wysokim

stężeniu, dzięki czemu niwelowałam większość składników gleby, takich jak kwarc, glina, celuloza, lignina czy drobne ślady kwasów humusowych. Dzięki temu uzyskałam czystą mieszaninę palimorfów. Oczywiście jednocześnie użyłam mikroskopijnych szkiełek, porozkładałam je w pomieszczeniu laboratorium uniwersyteckiego, z którego korzystałam, by przyciągnęły fruujące w powietrzu drobiny mogące skazić próbki. Przeprowadziłam też próby zerowe. – Korda zerknął na Hinc pytająco. – Zresztą nieważne, to tak mówię dla zapewnienia, że dołożyłam wszelkich starań, by było sterylnie. Gdy już usunęłam przeważającą liczbę składników gleby – kontynuowała – wybarwiłam ziarna pyłku, zarodniki i inne organiczne pozostałości i zawiesiłam je w żelu, a następnie rozmazałam porcje na szkiełkach. – Kobieta wskazała na zestaw laboratoryjnych przyrządów.

– Dobra, widzę, że jesteś specem. Dawaj, co masz – popędził Korda, mechanicznie przejeżdżając kciukiem po rysującej się na policzku bliźnie.

– Oba profile wskazały na to samo środowisko, przy czym dominującym tropem może być pyłek ligustru, czyli krzewu liściastego należącego do rodziny oliwkowatych, uznawanego w Polsce za gatunek rodzimy. Co więcej, znalazłam liczne pyłki zarodników grzybów, tak zwanych wewnątrzdomowych z rodzaju *Aspergillus* i *Penicillium*. – Spojrzenie dziewczyny promieniało dumą.

– Nic mi to nie mówi, Janka – przyznał Oskar.

– No tak. Przepraszam. – Hinc machnęła ręką. – Jednym słowem: mamy obraz miejsca! – Na jej policzki wystąpiły rumieńce.

– Czyli? – Detektyw już nie wytrzymał.

– Szukamy najpewniej starego, zawilgoconego, podpiwniczzonego domu o umiarkowanym dostępie do światła i świeżego powietrza, o zagospodarowanym ogrodzie, najpewniej otoczonym żywopłotem – podsumowała i uśmiechnęła się szeroko.

Korda zrobił minę wyrażającą uznanie, choć nie do końca był przekonany, czy te informacje okażą się jakoś szczególnie przydatne. W końcu w Sopocie co drugi dom mógłby pasować do profilu.

– To wszystko? – zapytał bez większej nadziei.

– Nie! – odparła Hinc. – Mam jeszcze fragment ciała jakiegoś owada. Pracuję nad wyodrębnieniem DNA, ale chwilkę to jeszcze

potrwa.

– Aha. – Policjant starał się zachować powagę, choć nagle i zupełnie nieoczekiwanie zachciało mu się śmiać.

7

Benedykt Dembski stanął przed narożnym budynkiem przy Majkowskiego. Poprawił czarne okulary na nosie, opuścił głowę w czapeczce bejsbolowej i zerknął niepewnie na boki. Jeszcze tego by brakowało, by ktoś go rozpoznał. Co ten debil sobie myślał, wybierając to miejsce? Samo centrum Sopotu, Sheraton niemal za rogiem, równie dobrze mógł dziennikarzy sprosić. *Z drugiej strony najciemniej pod latarnią* – pomyślał. Jakby ktoś go zobaczył w jakiejś podejrzanym dziurze, można byłoby się zastanawiać, co tam robił. A tutaj? W końcu był sopockim posem, to normalne, że kręcił się w tych rejonach. Tak. Może to i nie było głupie? *Może jednak w tym szaleństwie jest metoda?* – zaśmiał się. W sumie czuł się podekscytowany. Lubił ryzyko. Nic go tak nie nakręcało. Czuł się panem świata, śmiał się wszystkim w twarz i nikt nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Znów spojrzał na pogrążoną w szarości listopadowego dnia zaniedbaną kamienicę. Nieotynkowana fasada, zmurszała farba na drewnianej przybudówce, rozpadające się balkoniki. Niewątpliwie to był jeden z tych budynków. Zrujnowane ściany, zgnilizna, szczury. Przygłusi lokatorzy stojący nad grobem, których zdania nikt nie słucha, o ile w ogóle ktoś tu mieszkał. Niegłupie. Pokręcił głową, nagle całkiem zadowolony.

Sięgnął do klamki wejściowych drzwi i znalazł się na pogrążonej w mroku klatce schodowej. Uderzył go intensywny zapach grzyba, który osiadł na suficie, rzeźbionej balustradzie i we wszystkich zakamarkach. Dembski był pewien, że unosił się też w powietrzu. Wąskie schody w kolorze ochry niemal się rozpadały. Niektóre stopnie niebezpiecznie się zapadły. Gdzieś gdzieś brakowało już desek. *Syf i malaria* – pomyślał poseł z odrazą, poszukał włącznika światła, po czym zatrzasnął za sobą drzwi i ze zgrzytem oraz niemałym wysiłkiem przekręcił znajdujący się w zamku mosiężny

klucz. Ostrożnie zaczął schodzić na dół. W ciemnych okularach niemal nic nie widział, ale nie chciał ich ściągać. Musiał zachować chociaż pozory anonimowości.

Grzybiczny zapach w wilgotnej piwnicy jeszcze bardziej się wzmógł. Ściany były niemal czarne od pleśni. Wisząca pod sufitem goła żarówka cicho syczała, znacząc przestrzeń nijakim, migoczącym światłem. Dembski dojrzał w oddali błyszczące niczym latarenki oczka. Wpatrywały się w niego przeciągle, po czym bezszelestnie zniknęły. Mężczyzna się wzdrygnął. Nie znosił gryzoni. Strząsnął z siebie nieprzyjemne uczucie i postąpił do przodu. Pod jego eleganckimi butami zgrzytał gruz. Przeszedł obok kilku pierwszych zamkniętych na prowizoryczne kłódki komórek, po czym stanął na progu tej, którą rozświetlał ostry, rażący w oczy blask. Gdy jego wzrok przyzwyczał się do jasności, dostrzegł siedzącego na krześle, związanego linami chłopaka. W jego usta wsadzono brudny knebel, oczy przepasano czarną opaską. Nogi i ręce Kamacia dygotały, wprowadzając w drżenie również krzesło, które rytmicznie uderzało w nierówną powierzchnię podłogi.

Dembski skinął do stojącego nieopodal mężczyzny o zamaskowanej twarzy, postawnego i straszliwego. W jego łysej kanciastej czaszce odbijał się połysk żarówki. Polityk zerknął na opartego o ścianę Kajetana Rychlika, w którego szeroko otwartych oczach dostrzegł przerażenie.

– Możemy zaczynać – szepnął Dembski, a Julek Kamać podskoczył.

Zdezorientowany zaczął wodzić głową na lewo i prawo, jakby chciał namierzyć, skąd dobiegł głos. Benedykt Dembski doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co działo się w organizmie chłopaka. Jego źrenice rozciągnęły się jak po amfetaminie, serce zaczęło łomotać, drogi oddechowe rozszerzyły się, dostarczając więcej tlenu do krwi, mięśnie napięły się i ukrwiły. Można byłoby powiedzieć, że otrzymał nagle nadprzyrodzoną moc. Dokładnie tak działa adrenalina. Wyzwała w nas siły, które na co dzień są uśpione. Dembski uwielbiał ten stan. Również w sobie wyczuwał zachodzące w tym momencie organiczne zmiany, wprowadzające go w stan euforii. On, w przeciwieństwie do związanego Kamacia, mógł z nich

skorzystać. Natomiast chłopak miotał się w ciemności, a jego lęk z sekundy na sekundę tężał i rozchodził się po każdej komórce ciała.

Zamaskowana mężczyzna, nie czekając dłużej, wymierzył pierwszy cios. Głowa Kamacia odskoczyła. Twarz wykrzywiła się w bólu. Głuchy krzyk stłumił knebel. Kolejne uderzenie rozcięło usta. Jasną skórę chłopaka spryskała jasnoczerwona krew. Dembski zbliżył się do oprawcy i szepnął mu coś na ucho. Ten kiwnął i warknął w stronę Julka:

– Zachciało ci się zabawiać z córką pana posła? Tak?!

Kolejny cios padł w przepasany opaską oczodół. Efektów można było się tylko domyślać, bo Kamać zaczął łkać. Rozszerzył usta w bezgłośnym wyciu. Spod poplamionego materiału zaczęła ściekać ślina.

– Myślałeś, śmieciu, że możesz sobie pogrywać? Rozpierzdołę ci mordę, a potem zajmę się nogami. Tak ci je połamię, że już nigdy nie popływasz – zaśmiał się łysy dryblas i znów wymierzył cios w oczodół. Jeden i drugi, i trzeci. Tym razem uderzenia były odważniejsze, wystosowane z większą siłą, niemal nieopanowane. W organizmie oprawcy adrenalina też wyraźnie skoczyła. Widać było, że bicie chłopaka sprawiało mu wyraźną radość.

Dembski mimowolnie się uśmiechnął. *Jakbym uczestniczył w orgii* – pomyślał. Orgii bez dotyku, ale będącej ucztą dla zmysłów. W rytuale wtajemniczenia. Jego świętej pamięci żona miała rację. W dominacji było coś przejmującego. Samo patrzenie sprawiało mu niewyobrażalną przyjemność, na pograniczu fizycznego spełnienia.

Głowa Kamacia bezwładnie opadła. Może na chwilę stracił przytomność? Kto wie. Ale za moment znów podniósł ją wysoko, wyraźnie starał się coś powiedzieć.

Wzrok posła napotkał jasnyniebieskie oczy wynajętego sadysty. Polityk znów skinął, a łysy wyjął knebel z buzi Kamacia.

– Ja nic nie wiem. Nic nie wiem – płakał Julek. – Naprawdę, uwierzcie mi. Nie wiem, gdzie ona jest. Nie wiem, co mogło się z nią stać! – zawył. – Nic nie wiem!!!

Łysy znów założył Julkowi knebel, chwycił kij bejsbolowy i tym razem uderzył w kolano. Raz. Drugi, trzeci, czwarty. Łzy ściekały chłopakowi po twarzy, mieszając się ze śliną i krwią. Jego krzyk, choć bezdźwięczny i głuchy, przepelniał niewyobrażalny ból.

– Przestańcie! – Kajtan Rychlik nagle zerwał się. – Przestańcie, do kurwy! – krzyknął piskliwie, łapiąc się za głowę.

Dembski zwrócił ku niemu głowę. Zupełnie zapomniał o obecności rzecznika.

– Nie widzicie, że chłopak nic nie wie? Przecież powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie jest Liwia. Zostawcie już. Zostawcie! – Też zaczął płakać.

Benedykt chwilę mu się przyglądał, po czym pogroził mu palcem. W tym samym momencie zawieszona w powietrzu pięść znów ruszyła, a stęchłe powietrze przeszył dźwięk łamanej kości. Kajetan Rychlik wybiegł z komórki, potracając przy okazji Dembskiego. Piwnicę wypełniło echo ciężkich, oddalających się w pędzie kroków.

8

Oskar Korda wjechał w ciąg brukowanych jednokierunkowych oliwskich ulic. Z wyrastających po obu stronach szpalerów wiekowych buków leniwie spadały na ziemię ostatnie pożółkłe liście. *It's too late, let our sick love rise again. We'll be back together, cause love is like cocaine.* Wycieraczki zrzucające z przedniej szyby dorodne krople deszczu poruszały się w rytm utworu trójmiejskiego zespołu Dance Like Dynamite. Liryczne mocne brzmienia tak cholernie pasowały do roztaczającej się wokół listopadowej szarzyzny, do dziwnej, drażniącej go od środka tęsknoty, do tego braku, którego nie mógł niczym wypełnić. *Death. We will never be life again. We will never stop loving each other. We will never stop loving each other. Cause love is like cocaine.* Detektyw zwolnił na wyrastającym z nawierzchni pachołku, rozglądając się za właściwym budynkiem. Przejechał jeszcze kilkaset metrów wzdłuż eklektycznych kamienic i zaparkował przy chodniku. Silnik zgasł. Cisza.

Korda wysiadł i skierował się w stronę kliniki ortodontycznej przy Kaprów. Po chwili znalazł się w środku. Podchodząc do młodej recepcjonistki, detektyw strząsnął z ciemnych falowanych włosów resztki deszczu. Nonszalancko machnął przed jej oczami odznaką.

– Chciałem rozmawiać z Krzysztofem Bizoniem – powiedział bez ogródek.

Dziewczyna wyprostowała się.

– Oczywiście. Zapytam tylko, czy szef skończył zabieg. – Sięgnęła po słuchawkę telefonu i wymieniwszy kilka zdań, wskazała Kordzie miejsce w poczekalni. – Doktor zaraz podejdzie – uśmiechnęła się uprzejmie.

Po kilku minutach w drzwiach gabinetu pojawił się postawny mężczyzna w białym kitlu. Ciemne, elegancko przycięte włosy przyprószone były tu i ówdzie siwizną, jasne oczy przepełniała życzliwość ludzi spełnionych i pewnych siebie. Podszedł do Kordy sprężystym krokiem, wyciągnął rękę.

– Dzień dobry. Krzysztof Bizoń – przedstawił się. – Pan do mnie?

– Detektyw Oskar Korda. – Policjant wstał i mocno uściśnął dłoń lekarza. – Mogę zająć panu chwilę?

– Teraz akurat nie bardzo. Dosłownie za minutkę mam kolejnego pacjenta – wytłumaczył Bizoń. – A o co chodzi? – Zmarszczył czoło.

– O Liwię Dembską – odparł głośno Korda.

Krzysztof Bizoń rozejrzał się po recepcji. Jego wzrok zdradzał, że pewność siebie nagle zastąpiła panika.

– Proszę za mną. – Poprowadził detektywa do gabinetu i szybko zamknął za nimi drzwi.

Usiedli po dwóch stronach eleganckiego biurka.

– Rozumiem, że jest pan właścicielem kliniki? – Korda rozejrzał się z uznaniem.

Na pierwszy rzut oka było widać, że gabinet wyposażony był w najnowocześniejszy sprzęt ortodontyczny. Z sufitu, nad stojącym nieopodal fotelem dentystycznym zwiisał ledowy telewizor wyświetlający zajmujący zapewne film podróżniczy, a na podłodze jaśniały ogromne połyskujące białą kafle.

– Tak. Razem z... żoną – odpowiedział Bizoń z niewinnym uśmiechem na twarzy.

– Yhm. Z żoną – powtórzył Korda, potakując. – No dobrze. Dobrze. To po co był panu związek z Liwią Dembską? – Spojrzał z ciekawością na doktora.

Ten natychmiast spiekł raka. Podrapał się po czole. Zagryzł usta.

– Teraz już wiem, że po nic – przyznał – ale wtedy... cóż... straciłem głowę. – Wzruszył ramionami. – Zapewne kryzys wieku średniego.

– *Cliché* – rzucił od niechcienia Korda.

– Hm, tak, *cliché* – potwierdził Bizoń.

– Pan opowiada. – Detektyw rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– No cóż, to był zeszłoroczny czerwiec. Pierwszy naprawdę upalny wieczór. Okna w SPATiF-ie były otwarte na oścież, a wszyscy w środku spoceni i naprawdę pijani. Zobaczyłem Liwię, jak przeciska się przez tłum przy barze, i od razu coś mnie tknęło. Los chciał, że stanęła obok mnie, więc zagadałem. No a potem rozmawialiśmy całą noc. Rano wylądowaliśmy na plaży. Pomarańczowy wschód słońca. Kolejna butelka wina. Nagle nie było ani śpiących w domu dzieci, ani żony, ani obowiązków. I... przepadłem. No przepadłem. – Bizoń schował twarz w dłoniach. – Człowiekowi się wydaje, że jest uczciwy, że nigdy by nie mógł zdradzić swojej kobiety, że ma wszystko, co chciał osiągnąć. Ale gdy nagle zjawia się ktoś taki jak Liwia, to... zdaje sobie sprawę, jak bardzo pragnął odmiany. Coś w tamtym momencie się we mnie wypełniło. Wie pan, jakiś taki brak, z którego nawet nie zdawałem sobie sprawy. A może to była zwykła próżność?

– Kiedy ostatni raz pan ją widział?

– Nie wiem dokładnie – stwierdził Bizoń. – Spotykaliśmy się kilka miesięcy. Ale powoli nie wyrabiałem. Męczyły mnie wyrzuty sumienia. Widzi pan, bo ja kocham moją żonę. Naprawdę ją kocham! I ten cały romans... Nigdy nie czułem się bardziej żywy, ale też nigdy nie czułem się ze sobą tak bardzo źle. To było cholernie wyczerpujące.

– Więc to pan to skończył?

– Tak. To był dość zagmatwany związek, jeśli w ogóle można to tak nazwać. Liwia wszystkiego chciała mocno, szybko, bardzo. Naciskała, żebym opuścił rodzinę, chciała mnie tylko dla siebie. Po pewnym czasie poczułem się osaczony. Bo ona... nie wiem, jak to opisać. Ona przylgnęła do mnie jak mokra koszula. Na początku mi to odpowiadało, czułem się wyjątkowy, dowartościowany. Ale po kilku tygodniach zaczęła przesadzać. Pisać do mnie nocami, dzwonić. Zrobiła się nieufna, zaborcza. Cały czas pragnęła

zapewnień o miłości, a gdy mówiłem, że ją Kocham, to zarzucała mi, że kłamię. Więc musiałem się z tego wycofać. I to było jakoś na początku września zeszłego roku. Spotkaliśmy się tam, gdzie zawsze...

– Czyli?

– Miałem klucze od mieszkania przyjaciela, który wyjechał na kontrakt do Anglii i to tam... wie pan... No i powiedziałem jej, że dłużej tak nie mogę.

– Przed czy po?

– Nie rozumiem?

– Przed seksem czy po seksie?

– Nie! My nigdy! To był czysto platoniczny związek, przecież Liwia nie miała nawet osiemnastu lat. – Bizoń się zaczerwienił.

– Aha – rzucił powątpiewająco Korda. – Na razie założymy, że panu wierzę. Jak Liwia zareagowała, gdy ją pan rzucił?

– Szczerze mówiąc, była w szoku. Cóż, w pewnym momencie mogłem jej obiecać, że odejdę od żony. – Mężczyzna głupio się uśmiechnął. – Wie pan, co mężczyźni wygadują, gdy młoda kobieta zawróci im w głowie – chrząknął. – Nie myślałem, że weźmie to na serio. W każdym razie płakała, potem się wściekła i kazała mi wypierdalać, a potem zaczęła prosić, żebym został, żebym jej nie opuszczał. To było jakieś chore przedstawienie. Finalnie okazało się, że Liwia nie była tą osobą, którą myślałem, że jest.

– A kim pan myślał, że jest?

– Czy ja wiem? Fajną dziewczyną, z którą miło mogłem spędzić czas...

– I którą mógł pan wykorzystać bez żadnych konsekwencji i rzucić, gdy się panu znudziła – dokończył cierpko Korda.

– Nie, to nie tak! – uniósł głos Bizoń. – Ona... nie była normalna. Miała problemy!

– Jak każda nastolatka – prychnął detektyw. – Czego się pan spodziewał, umawiając się z niepełnoletnią dziewczyną?

Krzysztof wzruszył ramionami i zacisnął szczękę.

– Naprzykrzała się panu po zerwaniu? Pisała, dzwoniła? Prześladowała? To dlatego pan się jej pozbył? Bał się pan, że wszystko wyjdzie na jaw? Że pana fikcyjnie piękne życie legnie w gruzach?

Ortodonta raptownie podniósł się z fotela.

– Co pan mi tu?! – warknął. – Nie! Nie mieliśmy kontaktu od tamtej pory! Raz ja się złamałem i napisałem do niej po pijaku, ale mi nie odpowiedziała.

– Może to pana zabolalo, co? Że tak szybko o panu zapomniała? Że znalazła chłopaka, ułożyła sobie życie. Chciał ją pan ukarać?

– Neeee! – stęknął Bizoń. Usiadł z powrotem i przetarł zroszone potem czoło rękawem fartucha.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła puszysta brunetka w średnim wieku w spiętych włosach.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale pacjent czeka – powiedziała, zerkając niepewnie na Korde. – Wszystko w porządku, kochanie?

– Tak, tak, skarbie, już kończymy, już kończymy – zapewnił ortodonta i zawiesił proszący wzrok na Oskarze.

Korda wstał.

– Faktycznie trochę nam się zeszło – uśmiechnął się. – Do zobaczenia niebawem – dodał znacząco i opuścił gabinet.

Był bardzo ciekawy, jak doktor wytłumaczy żonie obecność detektywa w swoim gabinecie. Jednego był pewien – choć Bizoń będzie drżał, że jego kłamstwa wypłyną, nigdy sam z siebie nie ośmieli się powiedzieć prawdy.

9

Alicja Grabska otworzyła drzwi i zapaliła światło. Przestronny wysoki korytarz, którego ściany pokryte były misternymi sztukateriami, rozbłysnął od ukrytego w suficie jasnego oświetlenia. Lubiła to mieszkanie. Lubiła do niego wracać, choć nikt na nią nie czekał. Po tylu latach życia z mężem tyranem ceniła ciszę, w której nie kryło się napięcie. Ceniła swoje miejsce na ziemi, w którym mogła się ukryć z dala od świata i ludzi. Swą prywatną przestrzeń, w której nikomu nie musiała się z niczego tłumaczyć.

Zdjęła płaszcz, zawiesiła na haczyku torebkę, z nóg zsunęła botki na wysokim obcasie i niedbale postawiła je przy białej lakierowanej komodzie. Pod stopami poczuła zimno jasnych kafli, które pokrywały podłogę. Jak zawsze po pracy, skierowała się prosto do

łazienki. Odkręciła kurek pod prysznicem, spięła włosy i zrzuciła z siebie eleganckie ubranie. Spojrzała na swoje odbicie w ściennym lustrze. Wiele się zmieniło od zeszłego roku. Wcześniej, gdy na siebie patrzyła, czuła wstręt. Wszystko, co spotkało ją w przeszłości: relacja z matką, molestowanie przez ulubionego nauczyciela i chory związek z Tajfunem, sprawiało, że nie chciało jej się żyć. Nie wierzyła w ludzi, a przede wszystkim nie wierzyła w siebie. Uciekała w alkohol. W przypadkowy seks. W ból, który sama sobie zadawała. Byle na chwilę zapomnieć. Byle przez chwilę poczuć się żywą. Podobno tak właśnie robili ludzie z traumą. Podobno często ofiary molestowania seksualnego nieświadomie obierały taki mechanizm obronny, bo pozwalał im poczuć władzę nad własnym ciałem, choć tak naprawdę pluły sobie w twarz i karały się za wszystko, co je spotkało. Ale Alicja w końcu oprzytomniała, nie chciała więcej siebie niszczyć. Po sprawie Rozpruwacza odstawiła wino, poszła na terapię i przestała sypiać z mężczyznami. Nie uprawiała seksu nawet z sobą samą. Niestety, przestała też biegać, za czym akurat bardzo tęskniła, ale nie mogła wyzbyć się uczucia, że znów ktoś ją obserwuje, śledzi każdy jej ruch, podąża za nią, by podciąć jej gardło jak tamtym dziewczynom znalezionym w lesie. Zastąpiła bieganie pracą. Pracą natarczywą, gorliwą i na tyle zajmującą, że opadała w nocy bez sił, nie myśląc o całym tym syfie, który się za nią ciągnął. O matce nieokazującej miłości, o biernym ojcu, o nauczycielu, który pozbawił ją niewinności, o małżeństwie, które zostawiło w niej tak głębokie rany, że każdego dnia chciało jej się krzyczeć, i w końcu o tragicznej przeszłości, której rok temu niemal nie przypłaciła życiem. Czuła się winna. Notorycznie, przewlekłe oblepiała ją wina, której nie potrafiła zmyć bez względu na to, jak bardzo się starała.

Weszła pod ciepły strumień. Opuściła głowę i nadstawiła kark. Woda rozlała się po ciele. Relaksowała. Oczyszczała. To teraz były jej przyjemności. Zmyła makijaż i namydliła się żelem o zapachu odświeżającej pomarańczy. *Niedługo święta* – pomyślała, ale szybko odrzuciła tę myśl. W Wigilię Bożego Narodzenia, gdy miała pięć lat, rodzice się rozstali. Dlatego całe swoje dorosłe życie ignorowała święta. Ale przyszedł przecież czas, by pogodzić się z przeszłością. Tak mówiła terapeutka. Może zatem kupi w tym roku chociaż

pierogi? – pomyślała. A może nawet postawi w dużym pokoju małą choinkę? To zawsze był jakiś pierwszy krok. Spłukała mydło, jeszcze chwilę podelektowała się otulającym ją ciepłem, narysowała małą choineczkę na skropionych parą drzwiach prysznicą, przyjrzała się jej z łobuzerską miną, powstrzymała się, by zmasać rysunek, po czym zakręciła kurek i sięgnęła po duży, beżowy ręcznik.

„Trzyj ręcznikiem mocno ciało, żeby aż poczerwieniało” – pomyślała o babci Anieli, która powtarzała tę formułkę, gdy niekiedy się nią opiekowała. Matka ojca była chyba jedyną osobą, która kiedykolwiek traktowała ją tak, jak powinno się traktować dziecko. Z uczuciem i niewymuszoną życzliwością. *Szkoda, że tak wcześnie odeszła z mojego życia, jak wszystko, co dobre* – pomyślała ze smutkiem Alicja, po czym dokładnie i z mocą wytarła ciało z wody, poprawiając ukrwienie skóry. Wklepała w nią jeszcze balsam, wskoczyła w przygotowany wcześniej szary dres i poszła do kuchni.

Zaparzyła herbatę, przygotowała sobie kisiel, w którym ostatnio się lubowała, i podążyła do gabinetu. Zapaliła stojącą na biurku lampkę oraz dwa reflektory stojące w kątach. Muzyka z włączonej aplikacji rozbrzmiała w niewielkim, ale mocnym głośniku firmy Bose. Usiadła na fotelu i sięgnęła po leżącą na blacie kopię grubych, wielotomowych akt sprawy Ady Milewskiej z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego. Wiedziała, na co przyszła dziś kolej. Odwlekała ten moment do ostatniej chwili, ale przerobiła już życiorys dziewczyny, określiła jej najbliższe środowisko i oceniła relacje panujące w rodzinie. Opisała też dzień, w którym pozbawiono Adę życia, a także samo zdarzenie. Dziś czekał ją protokół zewnętrznych oględzin zwłok na miejscu ich znalezienia i choć wtedy, dwadzieścia siedem lat temu, dojrzała w ciemności twarz Ady, a raczej to, co z tej twarzy pozostało, czuła jakiś ogromny niepokój, który nie towarzyszył jej przy innych sprawach. Czy to dlatego, że ta historia w jakiś trudny do zrozumienia sposób tak mocno się w nią wpisała? Czy to dlatego, że właśnie tego dnia po raz pierwszy obok przeszła śmierć, a ona nie potrafiła zrozumieć, nie potrafiła objąć rozumem tego, co znaczyła? A może dlatego, że w momencie, gdy zobaczyła zmasakrowaną głowę Ady Milewskiej, zdała sobie sprawę, że na świecie, gdzieś całkiem niedaleko, żyją potwory, które udają ludzi...

Alicja wzięła głęboki wdech i wydobyła z akt opatrzony zdjęciami protokół. Powoli, z namaszczeniem zaczęła rozkładać na stole kopie fotografii. Jedna przy drugiej. Wszystkie przedstawiały dziewczynę. Leżące w śniegu ciało z dalszej perspektywy, dokładnie takie, jak Grabska zapamiętała. I ciało w makrozblizeniach, precyzyjnie obrazujących zadane rany. Następnie fotografie sygnalityczne z profilu, en face i półprofilu, które były najbardziej drastyczne, bo niemal nietknięta twarz dziewczyny kończyła się miazgą, która została z jej czaszki.

Alicja starała się przytrzymać wzrok, lecz nie była w stanie. Ciekawe, że jako mała dziewczynka nie mogła oderwać spojrzenia od ciała Ady, natomiast teraz, jako dorosła dziennikarka prowadząca kryminalistycznego bloga, nie mogła znieść tego widoku.

Szybko złożyła w kupkę zdjęcia, pozostawiwszy na stole te, na których nie sposób było poznać tożsamości ofiary, i zabrała się do czytania. Pobieźnie prześledziła pierwsze rubryczki i zatrzymała się na obrażeniach ujawnionych przy zwłokach. Ofierze zadano liczne uderzenia narzędziem tępokrawędzistym – czyli kamieniem o wymiarach osiem na sześć centymetrów.

Alicja skupiła się na tym fragmencie.

– Kamień! – powiedziała z niedowierzaniem na głos.

Policja, tłumacząc się dobrem śledztwa, nigdy nie ujawniła dziennikarzom narzędzia zbrodni. Alicja zawsze wyobrażała sobie, że sprawca użył czegoś bardziej wymyślnego, jak młotek albo trzonek siekiery. A tu zwykły kamień. Zupełnie przypadkowy? Taki, który znalazł się pod ręką? Czy jakiś specjalny, wcześniej przygotowany?

Zaciekawiona Alicja znów zagłębiła się w aktach, jednak nie znalazła tam odpowiedzi na swoje pytania. Skoncentrowała się więc na opisie odniesionych przez Adę Milewską ran: „Zadane uderzenia spowodowały rany tłuczone sklepienia głowy charakteryzujące się nierównymi brzegami, podbiegnięciami krwawymi i obrzękiem” – czytała. „Przerwano przy tym ciągłość skóry na czole, uszkodzono głębiej położone tkanki oraz doprowadzono do kolejnych złamań kości czołowej i ciemieniowej oraz odkształcenia czaszki. Złamania blaszki wewnętrznej kości czaszki implikowały skierowanie

krawędzi odłamów w stronę opon mózgowych i mózgu, a w konsekwencji ich uszkodzenie, które jednak nie skutkowało rychłym zejściem śmiertelnym. Stwierdzono, że bezpośrednią przyczyną śmierci, która nastąpiła mniej więcej godzinę od napadu, był krwotok podoponowy stanowiący wynik uszkodzenia naczyń żylnych w postaci nagromadzenia się wynaczynionej krwi z przestrzeni między oponą twardą a oponami miękkimi pokrywającymi mózg”.

Alicja przygnęła do oparcia fotela i wypuściła powietrze. Zdała sobie sprawę, że przez chwilę nie oddychała. Dotarło do niej, że dziewczyna mogła jeszcze żyć, gdy jej mama wyszła jej szukać. Czy oddychała, gdy Barbara Milewska przechodziła dosłownie półtora metra obok jej zmasakrowanego ciała? Czy udałoby się uratować Adę, gdyby ktoś odnalazł ją w porę? – zastanowiła się dziennikarka. Czy uraz, którego doznała dziewczyna, i tak był nieodwracalny? Myśli Alicji zaczęły teraz krążyć wokół dużego kamienia w ręku mężczyzny, raz za razem opadającego z całą mocą na czaszkę Ady. Musiał uderzać tak długo, aż straciła przytomność, aż przestała się ruszać i bronić. Co ciekawe, nie tknął jednak jej twarzy. W całym tym okrutnym szaleństwie, jakie musiało go ogarnąć, pilnował się, by nie odebrać jej rysów, nie pozbawić jej tożsamości i zewnętrznego znaku jestestwa. Co to znaczyło? – zastanowiła się Alicja. Ze ją znał? Szanował? A może kochał? A może ten ktoś miał jednak jakieś sumienie? Podejrzewała, że uderzenia w sklepienie głowy mogłyby się wydawać w pewien sposób łatwiejsze, mniej brutalne, mniej bezwzględne. Roztrzaskanie komuś twarzy wymagało w końcu niemałej odwagi albo wręcz przeciwnie – braku jakichkolwiek uczuć wyższych i zupełnego zezwierżenia. Dlatego nie dokończył aktu gwałtu? Zerknęła na wyniki sekcji. Na powierzchni wewnętrznej ud Adrianny Milewskiej rozpoznano otarcia naskórka i sińce, natomiast w okolicy sromu obrażenia sugerujące opór kobiety przed odbyciem stosunku płciowego. Na zewnętrznych narządach płciowych oraz w pochwie nie odnaleziono jednak nasienia męskiego. Czy sprawca przestraszył się tego, co zrobił, i uciekł? Czy miał w planach tylko odbycie stosunku z dziewczyną, bez zamiaru pozbawienia jej życia? Może nie zniósł spojrzenia ofiary i dlatego chwycił za kamień, który znalazł pod

ręką? Mogło tak być. Ale równie dobrze sprawca mógł zaplanować zabójstwo, a gwałt na przytomnej ofierze miał być dla niej dodatkowym upokorzeniem, nie zaś narzędziem prowadzącym do osiągnięcia satysfakcji fizycznej przez mordercę. Czy chodziło o dominację? Karę? A może o zwykłe, zupełnie pozbawione sensu i logiki bestialstwo, którego nie sposób zrozumieć?

Niestety, śledczy nie zdołali ustalić, kto stał za tą straszną zbrodnią. *Hipotezy można byłoby mnożyć i mnożyć, a i tak nigdy nie poznamy prawdy* – pomyślała smutno Alicja.

Dopiła zimną herbatę i znów sięgnęła do akt. Tym razem dłużej zatrzymała się na jednym z kluczowych śladów, które odnaleziono na ciele ofiary: śladzie zębów po ugryzieniu na udzie Ady Milewskiej. To on sprawił, że uniewinniono jedynego podejrzanego, jaki pojawił się w tej sprawie.

1992

1

Ada Milewska wyłączyła budzik i podeszła do drzwi balkonowych. Rozsunęła story, a do pokoju wpadło światło słoneczne. Popatrzyła na stojące przy ulicy drzewa. Dzień był zupełnie bezwietrzny, a po niebieskim niebie przesuwały się niewielkie białe obłoczki. Uśmiechnęła się lekko i przeszła do stojącej w rogu szafy. Przeciągnęła kilka wieszaków. Miała ochotę wyglądać dziś kobieco. W końcu zdecydowała się na bluzkę w czarno-zielone paski i obcisłą spódnicę za kolano, której nie miała nigdy wcześniej odwagi włożyć, bo dokładnie podkreślała to, czego w sobie nie lubiła – kolumniaste uda, duży tyłek i szerokie biodra. Ale dzisiaj się tym nie przejmowała. Była kochana. I tylko to się liczyło. Znow uśmiech wkradł się na jej usta. Nie mogła wyrzucić z głowy podniecenia mężczyzny. Od wczoraj nieustannie słyszała jego ciężkie dyszenie, jego przeciągłe westchnięcie. Podobała mu się. Była piękna. Idealna. Nie był w stanie wytrzymać napięcia, tak bardzo zawróciła mu w głowie.

Zrzuciła koszulę nocną i stanęła naprzeciwko lustra. Czy po tej inicjacji wyglądała inaczej? Przyjrzała się swojej twarzy. Bladej, nieskazitelnej, o dużych ciemnych oczach. Przejechała ręką po czuprynie krótkich czarnych włosów. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło, a jednak czuła, że oto właśnie jej życie nabrało sensu. Zaistniała. Stała się. Narodziła na nowo.

Włożyła stanik i zaczęła wciągać majtki. Jej wzrok zatrzymał się na górnej części nóg. Odwróciła się przodem w stronę wpadającego przez okno światła. Wewnętrzna strona ud była pokryta drobnymi siniaczkami. Przyjrzała się im baczniej. Na skórze wyraźnie odbiły się palce. Zaciskające się na niej palce Piotra.

Czy tak wyobrażała sobie swoją pierwszą bliskość z mężczyzną? Ściągnęła brwi. „Nie zawsze jest tak, jak byśmy chcieli, świntuszko” – wybrzmiał w jej głowie głos mężczyzny. Mama zawsze jej

powtarzała, że jest zbyt niecierpliwa. I mężczyzna pewnie też to w niej zobaczył. Zerknęła na CB-radio. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy nie skontaktował się z nią wieczorem. Ale przecież się widzieli, więc może nie chciał być zbyt nachalny? A może przemyślał jej zachowanie i stwierdził, że jest głupim dzieciakiem? Czy żałował, że się spotkali? Na pewno przestała mu się podobać.

Myśli pędziły.

– Nie nakręcaj się! – skarciła się na głos, ale nie potrafiła już zapanować nad nieprzyjemnym uczuciem, które rozlewało się w jej brzuchu.

Ubrała się szybko, nie spoglądając więcej na uda, chwyciła plecak i zeszła na dół.

– Cześć, córciu! – przywitała ją wesoło mama. – Jak spałaś?

– Dobrze – odparła Ada, starając się przybrać naturalny wyraz twarzy.

Podeszła do czajnika, nalała do niego wody, postawiła na kuchence gazowej. Odkręciła kurek, gaz cicho zaszumiał i buchnął niebieskim ogniem, kiedy przyłożyła do niego zapałkę. Wyciągnęła z szafki kubek i położyła na nim sitko z wcześniej przelewanymi granulkami herbaty. Oparła się pupą o blat. Czekwała, aż zagotuje się woda. Radio stojące tuż obok cicho brzęczało. Podgłośniła, by zagłuszyć ciężące jej myśli. *Son Of The Blue Sky* – śpiewał wokalista Wilków. Zerknęła na mamę. Ta siedziała przy stole i wpatrując się w niewielkie okrągłe lustro, nakładała makijaż. Sięgnęła po tusz do rzęs w kamieniu, którego z przyzwyczajenia używała od lat, popłuła do niego, by go rozmiękczyć, nabrała na małą szczoteczkę i zaczęła nakładać. Tata cicho pogwizdywał w łazience. Po chwili wszedł do kuchni, roznosząc zapach old spice'a.

– Fiu, fiu, ale żeś się wypachnił! – Mama uniosła wzrok znad lusterka.

– Ożywczy. Rześki. Nieomylnie ten sam. – Tata zniżył głos, robiąc nadętą minę. – Old Spice. Marka prawdziwego mężczyzny – zacytował reklamę, którą od kilku miesięcy nieustannie puszczano w Jedyńce, podszedł do mamy i cmoknął ją w policzek.

Barbara Milewska zaśmiała się i igłą zaczęła rozdzielać sklezione rzęsy.

- Co tam, córka? – Tomasz Milewski podszedł sprężystym krokiem do parującego czajnika i odstawił go na palnik obok. – Zagotowała się już – poinformował. – Zalejesz mi też?
- Yhm – mruknęła Ada, nadal pogrążona w myślach.
- Klasówka jakaś dzisiaj? – Tata zerknął na nią podejrzliwie.
- Co? A, tak – potwierdziła dziewczyna.
- Nic się nie martw. Przecież ty zawsze dajesz radę – uśmiechnął się i potarł jej włosy.
- Ej! Fryzura! – upomniała go dziewczyna.
- A jakby co – kontynuował ojciec – to pamiętaj, że uczeń bez dwóji to jak żołnierz bez karabinu!
- Tomek, nie pamiętasz, że teraz są jedyńki? – zachnęła się matka.
- Jedyńki czy dwójki, wszystko jedno, bo moja zdolna córeczka takowych do domu nie przynosi, o! – Mężczyzna podniósł palec.
- Muszę lecieć. – Ada zerwała się. W przedpokoju zaczęła zakładać martensy.
- A herbata? A śniadanie? – krzyknęła za nią mama.
- Kupię coś w sklepiku! – poinformowała rodziców i trzasnęła za sobą drzwiami.
- Milewscy zdziwieni popatrzyli na siebie.
- Niepotrzebnie zaczęłaś mówić o tych dwójkach. – Pokręciła głową Barbara.
- No co. Przecież ja tylko... – zaczął się tłumaczyć Tomasz.
- Nie wiesz, jaką presję odczuwa Ada? Najlepsza uczennica w trzeciej klasie, dyplom, nagroda pieniężna. To zobowiązuje. A egzamin próbny się zbliża. Stresuje się dziewczyna.
- Milewski ze zrozumieniem kiwnął głową.
- To może do kina ją wyciągniemy wieczorem, co? Miło spędzimy czas – zaproponował.
- Tak. To bardzo dobry pomysł – uśmiechnęła się kobieta.
- Tomasz Milewski nachylił się ku niej i pocałował wprost w pomalowane brązową pomadką usta.
- Jesteśmy szczęściarzami, że siebie mamy – szepnął.

Morze było spokojne, niemal nieporuszone, o barwie kobaltu. Białe mewy ze skrzekiem przelatywały tuż nad nimi, raz po raz przysiadając na deskach i barierkach sopockiego mola, szukając zdobyczy. Ada Milewska wpatrywała się w horyzont.

Czemu się nie odezwał? – myślała niespokojnie. Minęło przecież kilka dni. Wykorzystał ją. Była głupia i naiwna. To proste. Nie kochał jej. Nikt nie był w stanie prawdziwie pokochać takiego brzydactwa.

– Masz! – powiedziała siedząca obok na ławce Magda Tarczyńska.
– Halo, tu baza! Ada! Mówi się! – Dziewczyna trąciła ją w ramię butelką taniego wina.

Ada odwróciła wzrok od morza i pytająco zerknęła na koleżankę.

– Ada, orientuj się! – zawołał Kuba Karolak z trzeciej c i wybuchnął śmiechem. Nie spać! Zwiedzać! Zapierdalać! – wybuchnął śmiechem.

– No masz. Napij się. – Magda uniosła pokazowo butelkę.

– Co to? – zapytała Milewska.

– Chateau bla – odparła Magda. – Czyli – przyjrzała się etykietce – wino marki wino! – zaśmiała się.

– „Alpagi łyk i dyskusje po świt. Niecierpliwy w nas ciskał się duch” – zanuciła Majka Konarska, śliczna blondynka z klasy Michaela.

– Tanie jak barszcz, a daje gwarancję zawrotów głowy i utraty przytomności. – Kuba wyciągnął rękę i napiął niewidocznego pod zielono-niebieską kurtką Nike bicepsa.

– Dajcie jej spokój. – Agnieszka Walizowska, szczupła brunetka o długich włosach i prostej grzywce sięgającej do dużych niebieskich oczu, nazywana przez wszystkich Walizą, spojrzała na Adę z odrazą.
– Widać, że dziewczę nigdy nie piło alkoholu – prychnęła.

– Nieprawda. – Adrianna wzruszyła ramionami. – Piłam.

– Ale żeni kit – zaśmiała się kpiarsko Waliza, krzyżując ramiona na piersiach.

Ada ostentacyjnie przejęła butelkę i uszczknęła dużego łyka. Odruchowo się skrzywiła.

– Nie porzygaj się. – Walizowska z niesmakiem rozchyliła usta.

– I co? – Magda pocieszająco uśmiechnęła się do Ady.

– Zajebiste – odparła Milewska.

– Jak wizyta u dentysty – dopowiedział Michael, porozumiewawczo puszczając do dziewczyny oczko.

Stał kilka kroków od niej. Miał na sobie czerwoną sportową kurtkę i czarne wąskie okulary. Pasemka jego falowanych kruczoczarnych włosów jak zawsze opadały na twarz. Ada niepewnie uniosła wargi. Nie była pewna, czy chłopak chciał jej dodać otuchy, czy tylko z niej szydził. *Czemu miałby nagle się mną interesować? Grubą, ohydą Adą* – pomyślała z niesmakiem. Adą, której nie chciał nawet jakiś frajer w różowej marynarce.

– Daj jeszcze. – Wyrwała Magdzie wino i pociągnęła duszkiem.

Wiśniowe wino było słodkie i mocne, o spirytusowym, ostrym posmaku. Rozeszło się gorącem po przełyku. Otarła usta rękawem kurtki z koca, starając się poskromić odruch wymiotny.

– Twardzielka – pochwalił Kuba, storpedowany wzrokiem przez Walizę. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– Co tam masz? – zainteresowała się Milewska.

Magda spojrzała na nią zaskoczona. Cały ten Piotr zupełnie pomieszał Adzie w głowie.

– „Ja radomskie, ale jak pan major woli, to Franz ma camele” – Karolak zacytował frazę z *Psów*, podając jej pudełko.

Film Pasikowskiego okazał się istnym hitem. Wszyscy chłopacy ze szkoły przerzucali się dialogami, mając coś w zanadrzu na niemal każdą okazję.

– Chodź. Przejdziemy się. – Michael podał Adzie dłoń, zanim ta sięgnęła po papierosa.

Milewska ściągnęła brwi. Pytająco spojrzała na Magdę. Tarczyńska szepnęła do niej:

– No idź.

Ada dała się podnieść z ławki i ruszyła wraz z Michaelem ku wyjściu z mola.

– Wyglądacie pięknie! – zakrzyknął za nimi Kuba.

– Jak reklama prezerwatyw – dodała Waliza, a pozostali zaczęli się śmiać.

Michael ostentacyjnie wyciągnął ku nim środkowy palec i objął Adę ramieniem. Choć nie była niska, sięgała mu do ramion. Dziewczyna wyraźnie się spięła. Jeszcze nigdy nikt nie objął jej w ten sposób. Jeszcze nigdy żaden chłopak nie pokazał się z nią

publicznie. Spuściła wzrok, śledząc bordowe martensy stąpające po wilgotnych deskach. Siedzący nieopodal gołąb poderwał się nagle, przelatując tuż nad ich głowami.

– Stresujesz się konkursem? – zagadnął Michael.

– Nie – odparła szybko, choć nie była to prawda. – Trochę – przyznała po chwili.

– Nie musisz się martwić. Jesteś najlepsza. – Chłopak przyciągnął ją bliżej siebie. – Uwielbiam obserwować, jak tańczysz, wiesz? – Zwrócił głowę w jej stronę.

Ada przelotnie rzuciła na niego okiem i znów wbiła wzrok w deski. Krok. Krok. Krok. Skupiła się na tym, by iść prosto, bo z emocji zaczęło kołować jej w głowie. Czy on mówił na serio? Lubił patrzeć, jak tańczy? Jak o n a tańczy? Przecież w grupie było tyle pięknych, zgrabnych lasek. Czemu zwrócił uwagę właśnie na nią?

– Zarumieniłaś się – zauważył. – Nie wierzysz w siebie.

Pewnie, że w siebie nie wierzyła! Jak mogła? Była wzorową uczennicą, to prawda. Ludzie z reguły ją lubili. Miała poczucie rytmu, znała kroki, odnajdywała się w muzyce. To był jej świat. Ale czy mogła się podobać?

„Jesteś idealna. Taka piękna” – przypomniała sobie szept mężczyzny sprzed kilku dni. Poczowała wbijające się w skórę ud palce. Miętoszące ją niczym świnie.

Zacisnęła szczękę i skrzyła w lewo, odrywając się od Michaela. Szybkim krokiem przebiła się przez boczną galeryjkę na Skwerze Kuracyjnym i weszła na plażę. Żałowała, że nie wiał dziś wiatr. Nagle zapragnęła poczuć go na twarzy. Chciała, by lodowaty powiew pociął jej skórę i zostawił na niej pręgi. Chciała ukarać się za to, że była taką idiotką. Dobiegła do brzegu. Kobaltowa woda stała niemal w miejscu, łagodnie szmerząc i pobłażliwie przemierzając piasek. W górę i w dół. W górę i w dół. Prychnęła rozłoszczona.

– Hej. Co jest? – Michael stanął za nią. – Ej! – Złapał ją za ramię i obrócił w swoją stronę.

Przesunął okulary przeciwsłoneczne z nosa na głowę, zbierając nimi włosy z czoła. Miał ciemne brwi i takie samo spojrzenie.

– Nie lubisz mnie? Co? Nie lubisz? – Przejechał palcem po jej policzku. – Bo ja ciebie lubię.

– Za co? Za co mnie lubisz? – zapytała wyzywająco.

– Za wszystko. – Michael beztrąsko wzruszył ramionami.

Palce wbijające się w jej tłuszcz. Ściskające, mędlące, ugniatające, jakby była plasteliną. „Jesteś idealna. Jesteś piękna”.

Dziewczyna miała w głowie mętlik. Spojrzała Michaelowi prosto w oczy. Tak bardzo pragnęła z nich wyczytać, co myśli naprawdę.

To tylko ciało, w którym się chowam – pomyślała. *To tylko ciało, w którym się chowam!*

Pozwoliła się pocałować. Całował inaczej niż tamten. Nie nachalnie, delikatnie i miękko.

Zbyt delikatnie? Zbyt miękko? *Czy on w ogóle mnie pragnie?*

– „Chcesz mnie bardzo. Przyznaj się”. – Po wszystkim Michael puścił jej oczko, cytując Franza Maurera.

– „To pewnie taka prawda jak to, że Franz miał strzelać do papieża” – odparła nonszalancko.

Ona też oglądała *Psy*.

Michael uśmiechnął się, znów objął ją ramieniem i wolnym krokiem wrócili do kolegów i koleżanek. Powoli się ściemniało, a z nieba spadł pierwszy w tym roku śnieg. Białe płatki osiadały na barierkach molo i kolejnej butelce taniego wina, która krążyła z ręki do ręki.

Za miesiąc święta – ucieszyła się dziewczyna, delektując się spokojem, który ją ogarnął.

Gdy Ada wróciła do domu, niemal nie pamiętała o mężczyźnie, który tak bezczelnie skradł jej zaufanie, a potem zostawił jak śmiecia. Cicho zamknęła za sobą drzwi wejściowe i starając się nie wpadać na ściany, zdjęła ze zmarzniętych stóp buty.

– Przyszedł do ciebie list. – Usłyszała głos matki dochodzący z kuchni. – Położyłam na sekretarzyku!

Ada Milewska sięgnęła po kopertę i schowała się z nią w łazience. Szybko rozerwała papier. Na wyrwanej z zeszytu kartce w kratkę widniał tylko jeden wers, który wirował przed jej oczami. Skupiła wzrok, a latające literki ułożyły się w zdanie: „Jesteś idealna”.

Jednocześnie poczuła błogość, ulgę i wyrzuty sumienia.

Dopadła muszli klozetowej i zwymiotowała.

3

Dziewczyna minęła wejście na sopocką stację SKM i zbliżała się do auta. Mówiła, że nie wie, czy przyjdzie, że jeszcze się zastanowi, a jednak przyszła. Miała na sobie niebiesko-brązową kurtkę, szarą czapkę, sztruksową spódniczkę i bordowe martensy. Usta pociągnęła czerwoną szminką. Podobało mu się to. Podobało mu się, że się dla niego umalowała.

Zmrużył oczy, zaciągnął się jeszcze raz spalonym niemal do cna papierosem i rozgniół niedopałek w popielniczce. Szybkim ruchem pokręcił korbką, spuszczając szybę okna.

– Ma pani ochotę na przejażdżkę? – Wychylił głowę.

Nic nie odpowiedziała. Ledwo zaszczyciła go spojrzeniem. Tylko się z nim droczyła. Zależało jej, inaczej w ogóle by się nie pojawiła. Cóż, dziewczyny musiały czasami stroić fochy, a on powinien jej na to pozwolić.

Wyskoczył więc z czerwonego poloneza i otworzył jej drzwi od strony pasażera. Wsiadła bez słowa. Zatrzasnął za nią drzwi i wrócił do auta.

Mimochodem się jej przyjrzał. Podniecony rozluźnił fioletowy krawat i wyobraził sobie, że zaciska go na jej udzie. Materiał wrzyna się w ciało, pozostawiając po obu stronach napięte wybrzuszenia. Przełknął ślinę.

– Strasznie mnie onieśmielasz – powiedział. Ada prychnęła. – Nie wierzysz?

– Nie. – Wzruszyła ramionami.

– Taka jest prawda.

– Czemu nie odzywałeś się tak długo? – zapytała prosto z mostu.

– Przepraszam, ale myślałem, że chcesz, żebym dał ci trochę czasu.

– Czasu? – Dziewczyna z niedowierzaniem skrzywiła usta.

– Żebyś sobie wszystko przemyślała. Nie chciałem naciskać. Nie chciałem cię wystraszyć. Wydawało mi się, że tego właśnie potrzebujesz. – Przechylił głowę.

Ada znów wzruszyła ramionami.

– I widzę, że przemyślałaś – stwierdził. – Czyli jednak nic to dla ciebie nie znaczyło, tak? Nasze wszystkie rozmowy, nasze wspólne

nadzieje, plany. Nasza... bliskość. – Zacisnął usta.

– Nie! To nie tak! – obruszyła się dziewczyna.

– Nie? A jak? Bo ja widzę, że to jednak tylko mnie na tobie zależy. – Jego twarz wykrzywiła się w grymasie, jakby miał się popłakać.

Ada Milewska zaskoczona uniosła brwi.

Czyli to ona coś źle zrozumiała? To ona była niecierpliwa, małostkowa, niepewna siebie, zakompleksiona, a on chciał dać jej przestrzeń, nie chciał, by pomyślała, że jest jakimś nachalnym zbrojeńcem. Boże, jaka była dziecinna! Najlepsza uczennica w całej szkole, a jednak głupia jak but!

– Zależy mi. Oczywiście, że zależy! – zapewniła.

– Naprawdę? – ucieszył się.

Wyglądał, jakby spadł z niego ciężar. Rozpromienił się, rozsiadł wygodniej.

– Yhm. – Ona też się rozpromieniła.

O matko, jaką ulgę czuła!

– Jedziemy? – zapytał.

– Jedziemy. – Skinęła.

Ruszył, a spod kół poloneza posypał się śnieg. Przejechali Podjazdem, przecięli skrzyżowanie i po kilku minutach sunęli wzdłuż ściany Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. Mężczyzna wsunął kasetę do kieszeni magnetofonu. *Empty spaces – what are we living for? Abandoned places – I guess we know the score?* We wnętrzu samochodu rozbrzmiał głos Freddiego Mercury'ego. Głośniki lekko skrzeczały.

– Lubisz Queenów? – zapytał.

– Może być – powiedziała, choć ta piosenka nie wiedzieć czemu od zawsze wywoływała w niej niepokój.

– *Show must go ooon!* – zaśpiewał po chwili, podnosząc rękę w geście zwycięstwa.

Uśmiechnęła się, przyglądając się jego twarzy. Był dla niej taki dobry, a ona dla niego nie. Pomyślała o pocałunku z Michaeliem. Jak mogła tak się zachować?

Odwróciła wzrok w prawo. Gałęzie mijanych drzew uginały się od śniegu. Ciągący się w górę chodnik połyskiwał skutym lodem. Jej

intensywnie czerwone usta odbiły się w szybie na tle nieskażonej bieli.

Mężczyzna zwolnił i zaparkował przy ścianie lasu.

– Mam coś dla ciebie – powiedział i sięgnął do schowka.

Wyjął z niego szarą torebkę i wręczył ją Adzie. Spojrzała do środka.

– Dwie pomarańcze i... – obejrzała pakunek – ...pończochy.

– Podobno mocne. Oczka prawie nie lecą – zapewnił mężczyzna. – Miałaś kiedyś pończochy?

Pokręciła głową.

– A widzisz. – Wyciągnął do niej dłoń i przejechał nią po jej ramieniu. – Cieszę się. Cieszę. Zauważ, ile ja dla ciebie robię – uśmiechnął się.

Ona odpowiedziała tym samym. Miał rację. Od samego początku był dla niej kochany. Nieba chciał jej przychylić! A ona była niewdzięczna.

– Tak. Jesteś kochany – odparła.

– Też będziesz kochana? – Ściągnął usta. – Bo ja też potrzebuję uwagi. Też czasami czuję się źle. – Zrobił smutną minę. – Wiesz, jak to jest, prawda?

Kiwnęła głową twierdząco.

Wiedziała. Smutek potrafił ogarnąć ją znikąd, siadał na ramieniu niczym duch i za nic nie potrafiła go zrzucić.

– To chodź. Usiądź mi na kolanach i przytul się.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

2019

1

Peter: Tęsknię za dotykiem.

Love: Ale moim, czy czyimkolwiek? Bo wiesz, w dzisiejszych czasach wystarczy zapłacić =)

Peter: Twoim, tygrysku.

Ja jestem zbyt młody i zbyt przystojny, by za to płacić =)

Love: Na pewno moim, czy tylko nie chcesz płacić? =)

Peter: Tylko TWOIM. Jesteś inteligentna i piękna... to co ja mam ci powiedzieć... mam uczulenie na takie <3

Love: Na takie???

Peter: Na kobiety idealne. Dokładnie takie jak ty

Love: Nie przeginaj.

Peter: Poważnie się zrobiło.

Spokojnie. Myślałem, że już wiesz, kiedy żartuję.

Love: Wiem. Wiem.

Jak już człowiek nie da emotki, to od razu poważnie.

Peter: Jest jeszcze coś takiego jak kropka nienawiści na końcu

Niby z językowego punktu widzenia to norma

Ale w internetowej korespondencji ma swoje znaczenie

Jesteś?

Love: No

Peter: Love...

Czy ja ci cię troszeczkę podobam?

Podpowiem, że jestem bardziej inteligentny niż przystojny =)

Love: Tak bez głowy byłoby całkiem ok =)

Peter: Rozumiem.

Ale jest lipa... bo jakbym ją odciął... no to chyba pożytku z kończyn by nie było.

Nie wiem... może jakaś maska?

Love: buhaha :D

Proponujesz coś nowego? Nie wiedziałam, że takie rzeczy Cię kręcą =)

Peter: Wielu rzeczy o mnie jeszcze nie wiesz, tygrysku.

Liwia odtwarzała w głowie wszystkie dialogi. Kiedy to się zaczęło? Kiedy przestał być jej przyjacielem? A może nigdy nie był? Może to wszystko było udawane i prowadziło do tego miejsca? Zacisnęła powieki i nakryła się kocem pod samą szyję. Było jej zimno. Nieustannie i dogłębnie. Czuła chłód w kościach, które zaczęły nieprzyjemnie strzykać. Miała ochotę potrząsać nogami, tupać, wziąć skądś piłę mechaniczną i je sobie odciąć. Naciągnęła koc na głowę. Zrobiło się ciemno. Mogła teraz udawać, że jest gdzieś indziej. Daleko. Na plaży latem na przykład. Leży na ręczniku, wyciąga dłoń i nabiera na nią kupkę gorącego piasku, który przesypuje jej się pomiędzy palcami. Jest cała spocona, tak zgrzana, że zaraz będzie musiała iść się schłodzić do wody. Ale jeszcze przez chwilę nie wstaje. Leży i delektuje się słońcem. Przymyka oczy, a pod powiekami rysują się czerwone refleksy. W końcu podnosi się z miejsca i idzie w kierunku morza. Staje na brzegu i patrzy, jak fale dopadają jej stóp. W tę i we w tę. W tę i we w tę. Stopy zapadają się coraz głębiej, woda sunie po nich gładko jak po zanurzonych w rzece kamieniach.

Kiedy to się zaczęło? – jej wyobraźnię znowu zaatakowała napastliwa myśl. Od jej „nie przeginaj”? Od tej symbolicznej kropki nienawiści na końcu? Niby żartowali, przeszli nad tym do porządku dziennego, ale powstała wtedy pomiędzy nimi pierwsza wyrwa. Niezauważalna, lecz wywołująca dyskomfort jak mały kamyczek w bucie. Od tej pory zaczęło ją irytować, że zwracał się do niej „tygrysku”. Za każdym razem, gdy w rozmowie padało to słowo, czuła, że kamyczek w bucie się powiększa i uwiera coraz mocniej. Kim dla niego była? Jedną z wielu, które podrywał? Jedną z wielu, które karmił tymi samymi zdaniami, identycznymi wyznaniem, jednakowymi prośbami?

„Jesteś idealna”.

Ilu dziewczynom to mówił?

Czy nie to właśnie każda z nich chciała usłyszeć?

Liwia Dembska zwinęła się w kłębek. Kolana podciągnęła niemal pod brodę. Pod ciężkim kocem panowała ciemność, nie było żadnych głosów, żadnych bodźców. Nie było światła. Czy nie tego właśnie pragnęła? Żeby uspokoić to gorączkowe drzenie? Żeby zniknąć? Po prostu przestać być? Nie czuć?

Pewnego dnia spakowała plecak, uśmiechnęła się do ojca, mówiąc, że idzie się przejść. Ojciec też się uśmiechnął. Pewnie myślał, że Liwia jest w doskonałym humorze. Była. Myśl o tym, co miała zrobić, niemal ją uskrzydlała. Zmierzała do lasu podekscytowana, z motylami w brzuchu. *Czy tak właśnie czuje się ktoś zakochany?* – myślała. Ona nie potrafiła kochać. Nie знаła tego uczucia, jakby była jakaś uszkodzona. Wspięła się na leśne wzgórze. Była jesień. Liście chrupały jej pod nogami. Rozłożyła na ziemi koc i choć było zimno, zdjęła kurtkę, zostając w krótkim rękawku. Zza etui telefonu wyciągnęła tapicerski nożyk. Ten złapał przebijające się przez wysokie korony drzew słońce i błysnął. Błysnął szaleńczo, niebezpiecznie, podniecająco. Delektowała się tym uczuciem, przeciągała je tak długo, jak tylko mogła. A potem przyłożyła ostrze do ramienia i przycisnęła. Mocno. Natarczywie, przeciągając nożyk w prawo. I jeszcze raz. I jeszcze. Tak długo, aż całe ramię zalało się krwią. Przyglądała się ciemnym strużkom błędzącym po jej skórze. Tak właśnie wyglądał ból, który czuła w środku. Czarne robaki wypływały na zewnątrz, a ją ogarniała ulga. Spojrzała w górę. Czubki wysokich rozpościerających się nad nią drzew pochylały się leciutko na lewo i prawo. Promienie słoneczne pojawiały się i znikwały. Przesuwały się po jej twarzy, po jej ranach, po jej martwym w środku ciele, jakby chciały ją utulić i pocieszyć.

Znów spojrzała na pocięte równoległymi paseczkami ramię. Wciąż krwawiło. Ciecz skapywała z dwóch ran przy przegubie tak samo mocno jak na początku. Wyciągnęła z plecaka waciki i przyłożyła do skóry. Te natychmiast zajęły się czerwienią. Wzięła nowe waciki i kilkakrotnie starała się zatamować wylew, ale nic to nie dawało. Nigdy wcześniej tak nie bywało. Liwia poczuła, jak oblewa ją gorąco. Musiała wbić się ostrzem naprawdę głęboko. *Czy to nie tam*

przebiegała tętnica? – pomyślała spanikowana. Starła się wstać, ale zakręciło jej się w głowie. *O matko* – zawołała w umyśle. *Czy ja umrę? Czy tak właśnie skończy się moje życie? Wykrwawię się w jakimś lesie, samotna, opuszczona, zupełnie zapomniana jak jakieś chore zwierzę?* Szukała przecież tylko tragicznego piękna, a znalazła śmierć.

Nie chciała tego. Nie tak to miało być. Nie tak!

Po policzkach zaczęły jej spływać łzy. Resztkami sił wyciągnęła z kieszeni kurtki telefon i wybrała numer ojca.

– Tatusiu, ja nie chcę umierać – powiedziała.

Teraz też nie chciała umierać. Nie chciała już tego sztucznego ostrego światła, tego chłodu, tej przejmującej pustki, która ogarniała ją coraz bardziej. Tak bardzo chciała poczuć się żywa. Chciała poczuć na twarzy wiatr, tęskniła za smakiem słonej morskiej wody, za szumem fal, za ciepłem piasku przelewającego się przez jej palce. Czemu tak trudno jest docenić życie, póki ma się je na wyciągnięcie ręki?

Liwia zrzuciła z twarzy koc i raptownie usiadła na łóżku. Postanowiła działać.

2

Oskar Korda postawił na blacie kubek z parującą kawą i usiadł przy biurku. Za oknem nisko wisały ciężkie ciemne chmury, a pierwsze krople zaczęły cicho uderzać o parapet. Kolejny szary listopadowy poranek. Detektyw zapalił lampkę i zerknął na stos zaległych spraw. Westchnął i sięgnął po pierwszy z brzegu dokument. Nie przepadał za papierkową robotą, ale i taka wchodziła w zakres jego obowiązków. Obecnie prowadził aż czterdzieści dochodzeń, do tego musiał doliczyć czynności w sprawach zawieszonych i pomoc prawną dla jednostek prokuratury i sądu. Miał co robić. Odpalił komputer i zaczął od postanowienia o umorzeniu dochodzenia w sprawie niedopuszczalnego przetwarzania danych osobowych osób biorących udział w rekrutacji do Sopotkiej Szkoły Wyższej. Szybko wypełnił formularz i wziął z kupki kolejne akta. Po dwóch godzinach stosik zmniejszył się o połowę. Wstał i uchylił okno, by

wpuścić trochę świeżego powietrza. Bębnienie deszczu o parapet się wzmogło. Zapachniało zgniłymi liśćmi i podmokłą glebą. Korda rozprostował plecy, strzyknął szyją i z powrotem usiadł do biurka. Zerknął na czekające go dokumenty, ale zamiast sięgnąć po jeden z nich, odpalił internet i wszedł na stronę „Dziennika Trójmiejskiego”.

„Niewyjaśnione trójmiejskie zbrodnie. Sprawców tych porwań i morderstw nigdy nie odnaleziono” – artykuł Alicji Grabskiej zamieszczono w centralnym miejscu strony głównej. Korda otworzył galerię zdjęć. Daria Reluga, Piotr Z., Iwona Wieczorek, Nina Kołodziej. Detektyw zatrzymał wzrok na ostatniej fotografii. Brązowe włosy do ucha, ciemne oczy, niewielki nos. Momentalnie ukazał mu się obraz matki zaginionej dziewczyny. Hanna Kołodziej pochyła się nad wsadzonym w ramkę zdjęciem i puka palcem w nos Niny. Uśmiecha się przy tym lekko, choć przez jej ciało musi w tym momencie przepływać strumień bolesnego żalu. Korda znał to uczucie. Wiedział, jak to jest: pragnąć cofnąć czas i sprawić, by ten jeden dzień potoczył się zupełnie inaczej. Mimowolnie przeciągnął kciukiem po policzku. Wstał i wyszedł na korytarz. Zbiegł po schodach i zabrał z recepcji klucz do archiwum. Gdy szedł w stronę prowadzących do piwnicy drzwi, poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił głowę. Tajfun. Wysoki mężczyzna zgolony na łyso o charakterystycznym pieprzyku pomiędzy brwiami rozmawiał z dwoma policjantami. Opowiadał coś głośno, z werwą, ale patrzył prosto na detektywa. Stojący obok niego mężczyźni wybuchnęli śmiechem, klepiąc Tajfuna po ramieniu. Były mąż Alicji Grabskiej, pracujący w wydziale gospodarczym Igor Olszewski, był najzabawniejszym funkcjonariuszem w całej komendzie. Jak mówiono, potrafił rozśmieszyć nawet denata. Trochę narwany, pierwszy do kieliszka, uwielbiany przez wszystkich kompan. Większość pracowników Komendy Miejskiej w Sopocie nie chciała wierzyć, że przez lata znęcał się nad żoną. W końcu nikt mu tego nigdy nie udowodnił.

Korda prześlizgnął się wzrokiem po twarzy Tajfuna, wykrzywił usta w pogardliwym grymasie i zniknął na prowadzących na dolny poziom schodach. Nie mógł wyrzucić z głowy obrazu pięści padającej na drobną, bladą twarz Alicji. Zacisnął szczękę, starając

się pozbyć nieznośnego poczucia bezradności, które znowu go ogarnęło. Kluczem otworzył zakratowane przejście i znalazł się w pomieszczeniu archiwalnym. Kartonowe pudła piętrzyły się na wysokich metalowych regałach. Pachniało starą, toczoną przez roztocza makulaturą.

Detektyw przeszedł wzdłuż opisanych latami półek i stanął obok regału sygnowanego rokiem dwa tysiące czwartym. Odszukał właściwe pudło i z wysiłkiem postawił je na podłodze. W środku znajdowały się wielotomowe akta sprawy zaginięcia Niny Kołodziej, które Korda pospiesznie przewertował. Wbrew przypuszczeniom matki dziewczyny śledczy wykonali kawał roboty, a mimo to nigdy nie zdołano ustalić, co się stało z osiemnastolatką. Oskar pokręcił głową. Sam nie wiedział, czego tu szukał. Zresztą nie miał czasu na przekopywanie się przez ten opasły materiał. Wiedział, że prędzej czy później sprawa Niny i tak wyląduje w Archiwum X. Schylił się po pudło, by z powrotem je odstawić, lecz w tym momencie w jego głowie znów pojawił się obraz Hanny Kołodziej, prostolinijnym gestem uderzającej palcem w nos córki widniejącej na zdjęciu. Czy robiła tak też, gdy Nina jeszcze była z nią? Czy podchodziła do córki z uczuciem i kładła jej palec wskazujący na koniuszku nosa? Pac. Wzajemne uśmiechy. Spojrzenia mówiące, że wszystko będzie dobrze.

Oskar się zawahał. W końcu opuścił pudło na podłogę i spisał z akt nazwisko dochodzeniowca prowadzącego sprawę.

3

Benedykt Dembski stanął przy oknie. Szyba była mokra od padającego jeszcze przed chwilą deszczu. Suchymi, rosnącymi w rzędki wysokimi trawami bawił się porywisty wiatr. Dembski patrzył, jak ubrany w niebieską kurtkę przeciwdeszczową ogrodnik grabi trawnik. Kupka pomarańczowych liści opadłych z dębów u sąsiada za płotem stawała się powoli coraz wyższa. Te wysokie dęby od lat stanowiły kość niezgody pomiędzy nim a Kowalskim, który nie zgadzał się na przycięcie drzew, choć te rzucały cień na jego dom i liście na jego trawnik. Benedykt będzie musiał w końcu

załatwić tę sprawę sędownie. Miał dość szczypania się z każdym, kto wchodził mu w drogę. Był pewien, że Kowalski pomimo zapewnień i tak na niego nie głosuje. *Niech każdy dostaje to, na co zasługuje* – uznał i uśmiechnął się na wspomnienie wczorajszego dnia: ciosy padające na ciało Julka Kamacia, lejąca się po jego twarzy krew, ból, którym płacił za to, że kiedykolwiek ważył się być z jego córeczką.

Przez chwilę zamyślony przyglądał się, jak ogrodnik Piotr Cieśla nabiera liście na łopatę i ładuje je do taczki, po czym podniósł wysoko głowę i pewnym głosem po raz kolejny wyrecytował treść oświadczenia:

– Moja córka. Liwia Dembska. Moja jedyna córeczka. – Pauza. – Zaginęła. Mijają cztery tygodnie, od kiedy opuściła dom. Wierzę, że żyje i niebawem do mnie wróci. Jeśli ktokolwiek wie, co się z nią stało. Jeśli ktokolwiek ma jakieś informacje o miejscu jej przebywania lub informacje, które mogłyby być przydatne dla śledztwa, bardzo proszę... – Kolejna pauza. – Bardzo, bardzo proszę o pomoc. Nie bądźmy obojętni! Pokażmy, że jesteśmy społeczeństwem obywatelskim. Społeczeństwem, którego członkowie wzajemnie o siebie dbają. Społeczeństwem... – Zerknął na trzymaną w dłoniach kartkę. – Społeczeństwem świadomym potrzeb i uczuć innych osób. Czyż nie o taką Polskę walczymy? Czy nie tego dla siebie chcemy?! – wygłosił z emfazą.

Chyba przesadziłem z tym tonem – stwierdził w myślach. Nie chciał przecież, by ktoś uznał, że to polityczna agitacja. Powinien się pilnować. Wzbudzać współczucie i litość. Podeszedł do biurka, sięgnął po długopis, skreślił ostatnie dwa zdania i zastąpił je innymi. Przeczytał je w myślach. Tak. Tak było lepiej.

Stanął przy oknie, wpatrzył się w przestrzeń i zaczął pod początku.

– Moja córka. Liwia Dembska. Moja jedyna córeczka. – Pauza. – Zaginęła.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Benedykt nie znosił, gdy przeszkadzano mu w czasie pracy.

– Tak? – zapytał mimo to.

Pomiędzy framugą a drzwiami stanął Piotr Cieśla.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie Benedyckie, ale... – odchrząknął.

– O co chodzi? – pogonił go zniecierpliwiony Dembski.

– Mówił pan jakiś czas temu, żebym do pana zajrzał. – Polityk zdeorientowany ściągnął brwi. – Mieliśmy ustalić plan zagospodarowania ogrodu – powiedział cicho ogrodnik.

– Plan, pan mówi? Dzisiaj jestem zajęty. I nie mam głowy, sam pan rozumie.

– Tak, oczywiście. Tylko że...

– No co?!

– Niektóre gatunki trzeba by sadzić w listopadzie, a tu już koniec miesiąca. I trzeba byłoby pomyśleć, co z owadami zrobić?

– Ech. Cieśla. Niech pan robi, jak pan uważa, ten cały ogród to ja tylko i tak przez wzgląd na żonę...

– Dobrze. Oczywiście. – Orodnik wycofał się i cicho zamknął za sobą drzwi.

Dembski podniósł wysoko głowę, dokładnie tak, jak będzie ją trzymał dziś w telewizji, i wpatrując się w swoje odbicie w mokrej szybie, wygłosił ponownie kwestię:

– Moja córka. Liwia Dembska. Moja jedyna córeczka. – Pauza. – Zaginęła. Mijają cztery tygodnie, od kiedy opuściła dom. Wierzę, że żyje i niebawem do mnie wróci.

4

Julek Kamać od godziny wpatrywał się w jeden punkt. W głośniczkach wciśniętych w uszy rozbrzmiewała muzyka. *Baby, won't you lie here with me? And take this scrolling sober, mmm... Is it over? Let us savour its last* – śpiewała Hilary Woods w utworze *Kith*. Piosenka wybrzmiewała niespiesznie, miękko, a w jego żyły tak samo niespiesznie i miękko wlewała się morfina. Kap. Kap. Skapywała z butelki infuzyjnej do wężyka. Julek czuł się tak, jakby nurkował pod wodą. Lubił ten stan. Stan przesłoniętego przez mgłę zawieszenia pomiędzy byciem a niebyciem, pomiędzy realnością a marzeniem. Czy będzie jeszcze kiedyś pływał? Starał się o tym nie myśleć. Starał się nie myśleć o pogruchotanym kolanie, złamanych

żebrach, obitej jak u psa twarzy. Dryfował. Woda zalewała mu uszy, a on wsłuchiwał się w kojący szum.

Nagle stanął przed nim mężczyzna. Julek go znał. Ciemne oczy, czarne falowane włosy, prosty dostojny nos i blizna na policzku – długa i cienka, lekko deformująca usta. Detektyw wyjął z jego uszu słuchawki i ze zgrzytem przyciągnął po podłodze stołeczek.

– Kto ci to zrobił? – zapytał.

– Nikt – zachrypiał Julek. Z wysiłkiem przełknął ślinę. – Przewróciłem się.

– Przewróciłeś się – powtórzył z niedowierzaniem Korda. – Na pięść?

Kamać znów wbił wzrok w kroplówkę. Kap. Kap. Morfina powoli rozchodziła się po jego ciele. Nie czuł bólu. Tylko przygniatający smutek. Popełnił w życiu tyle błędów. Tyle przeklętych błędów, a przecież stosował się do wszystkich reguł. Prowadził się zdrowo, aktywnie. Chciał kochać i być kochany. Tylko tyle. Czy naprawdę za miłość trzeba było aż tyle płacić?

– Masz wrogów, o których chciałbyś mi opowiedzieć? – Korda przerwał jego rozmyślenia.

Julek zacisnął usta. Kap. Kap. Lek przeciwbólowy spływał rytmicznie, kropla po kropli, w identycznych odstępach czasu.

– Wiadomo coś o Liwii? – zapytał w zamian.

– Nie. Chyba że ty chcesz mi o czymś powiedzieć.

– Pan też myśli, że to ja?

– Też? A kto jeszcze tak myśli?

Chłopak przeniósł wzrok na policjanta. Ten ściągnął grube brwi i uważnie mu się przyglądał.

– Nikt – odparł. – Może ja sam? – Znów zapatrzył się na kroplówkę. – Jak pan myśli, czemu kobiety zdradzają?

– Nie wiem. – Korda wzruszył ramionami. – Bo nie dostają od nas tego, czego potrzebują? – zastanowił się.

– Uważa pan, że nie byłem zbyt dobry dla Liwii? Dlatego tak mnie potraktowała?

– Jak? – Korda zmrużył oczy.

– Kobiety są bezwzględnymi sukami – stwierdził Julek beznamiętnie. – Nie zasługują na miłość. Zasługują na to, co najgorsze.

Kap. Kap. Butelka infuzyjna powoli się opróżniała. Jeszcze chwilę, a stanie się pusta. Ta myśl zaniepokoiła Kamacia. Nie chciał, by morfina się kończyła. Nie chciał dopuścić do siebie tego, co się wydarzyło. Nie chciał pamiętać, kim się stał.

– Czemu tak uważasz? – zainteresował się Oskar Korda.

– Dajesz z siebie wszystko. Ale to nie wystarcza. One chcą więcej i więcej, jakby były wampirami. Nawet te, które w siebie nie wierzą. Nawet te, na które nikt inny nie patrzy. Wysysają, wysysają wszystko, a potem cię opuszczają. Pozostawiają z niczym. Jak śmiecia. – Głos Julka był spokojny, zupełnie opanowany, nie pasował do padających słów.

Korda podążył wzrokiem za spojrzeniem Julka. Płyn w butelce infuzyjnej niemal się skończył. Ostatnia kropla wisiała w przezroczystym wężyku otoczona bąblami powietrza.

Czy Julek Kamać naprawdę tak myślał? Czy rzeczywiście aż tak nienawidził Liwii Dembskiej? Czy stał się aż tak zgorzkniały? A może morfina sprawiła, że pokazał swoją prawdziwą naturę...

– Niech pan już idzie – szepnął Julek, zamykając oczy. – Chcę spać.

Oskar Korda przez chwilę przyglądał się poobijanej twarzy chłopaka. Detektyw zamyślony postukał palcami w metalową ramę łóżka, po czym wstał i opuścił pokój szpitalny.

5

– Benedykt Dembski pochodzi z zamożnej rodziny o korzeniach szlacheckich, czego nigdy się nie wstydził, choć sporo osób mu to zarzucało. Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku w Gdańsku. Od dziecka odznaczał się cechami przywódczymi. Gospodarz klasy, przewodniczący samorządu uczniowskiego, zaangażowany w różne inicjatywy i kółka. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym ukończył studia na Wydziale Ekonomiki Transportu Uniwersytetu Gdańskiego, a następnie pracował w Biurze Zagranicznym Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Zasiadał w radach nadzorczych i zarządach wielu przedsiębiorstw. Członek Zakonu Maltańskiego i Zrzeszenia

Kaszubsko-Pomorskiego, nadzwyczajny członek Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, sternik jachtowy. Swego czasu przewodniczący Rady Miasta Sopotu. Za działalność samorządową został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Otrzymał także papieski medal Pro Ecclesia et Pontifice, Medal „Pro Memoria”, odznakę Zasłużony Działacz Kultury i Odznakę Honorową za Zasługi dla Samorządu Terytorialnego. Obecnie pomysłodawca i przewodniczący partii Nowa Droga. – Starszy sierżant Adam Gustowski oderwał głowę znad kartki. – Aż się zmęczyłem tą całą aktywnością – zaśmiał się.

– Fakt. Facet nie próżnuje. Ale to wiemy – zauważył Oskar Korda.
– Jak sprawy rodzinne?

– Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Dembski nigdy nie biedował, rodzice na poziomie, ojciec też był samorządowcem, a matka polonistką. Oboje nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym – zaznaczył Gustlik. – Żonę Benedykt Dembski poznał na studiach. Szybko się pobrali. Krystyna Zabłocka została na uczelni, otworzyła przewód doktorski, wykładała jako asystent. Kilka lat później urodziła Liwię i zrezygnowała z pracy. Doktoratu nigdy nie skończyła. W wieku trzydziestu dwóch lat zmarła na zawał serca. Niewiarygodne, nie? W takim wieku kipnąć na zawał. – Gustlik z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Niewiarygodne, ale nie niemożliwe – mruknął Korda.

– Fakt. Zdarza się. Może popijała? Paliła jak smok? Żarła na umór McDonalda? – zastanowił się starszy sierżant, poprawiając opadające na nos okulary.

– Albo Dembski ją wykończył. – Detektyw rozłożył ręce. – W domach, w których wszystko wydaje się idealne, najczęściej pękają fundamenty.

– Co masz na myśli?

– To, że jak czegoś nie widać, to nie znaczy, że tego nie ma. A polityk lubiący przywództwo, całe życie dążący do władzy – Korda machnął ręką – to na pewno twardy orzech do zgryzienia. Takie osoby najczęściej chcą, by wszystko było dokładnie tak, jak sobie zażyczą.

– Czyli nie odrzucamy hipotezy o ucieczce Liwii – stwierdził Gustlik.

– Przy tak małej liczbie danych niczego nie możemy odrzucać. À propos! Znaleźliście tego rowerzystę z nagrania?

– Ciągłe szukamy. Namierzyliśmy kilka osób mających taki model roweru, ale żadna z nich nie przejeżdżała tej nocy koło domu Dembskich.

– No dobra. To działajcie dalej, a ja muszę załatwić jedną sprawę.

– Nowy trop? – Gustlik uważnie przyjrzał się Kordzie.

– Raczej przecucie tropu, a to bywa bardzo zdradliwe – odparł ostrożnie detektyw, choć na myśl o Ninie Kołodziej aż go paliło z ciekawości.

6

Detektyw Korda zaparkował nieopodal Rybińskiego i skierował się do parku Oliwskiego. Deszcz ustał, a przez szare chmury nieśmiało zaczęło się przedzierać słońce. Kamyczki na wilgotnym bruku chrzęściły pod nogami policjanta, gdy przechodził przez alejkę nad połyskującym stawem, obsadzoną nisko formowanymi, splątanymi w uścisku lipami. Podobno kiedyś z alei można było dostrzec morze, które dziś zasłoniły korony drzew i zabudowania miejskie. Z odpowiedniej perspektywy miało się wrażenie, że wypełniony wodą po brzegi staw wpada wprost do Bałtyku.

Oskar na tę myśl lekko się uśmiechnął. Nie pamiętał, kto mu to opowiadał. Może matka, która zabierała go tu czasami na spacer? Najczęściej chadzali do Grot Szeptów. Mama stawała w jednej z nich, on w przeciwległej. Szeptali coś, doskonale się słysząc. Co mogła mówić wtedy matka? Na pewno nic znaczącego, a jednak tak bardzo chciałby teraz móc odtworzyć jej słowa. Korda raptownie pokręcił głową, jakby chciał strzepnąć z siebie tę myśl. Przyspieszył kroku. Po kilku minutach znalazł się przy Palmiarni, w której nakazał mu czekać prowadzący sprawę Niny Kołodziej emerytowany komisarz Eugeniusz Malec.

Korda wyjął z kieszeni kurtki papierosa i zerknął na Palmiarnię, a raczej na to, co z niej zostało. Przed dwoma laty pochodzący z osiemnastego wieku, wielokrotnie przebudowywany budynek o charakterystycznej cylindrycznej konstrukcji został rozebrany,

a stuosiemdziesięcioletni daktylowiec przykryty specjalną folią ochronną. Tymczasem w oczekiwaniu na nowoczesną przeszkloną formę Palmiarnia wystąpiła w książce kryminalnej trójmiejskiego pisarza Piotra Borlika – odnaleziono tam spreparowane i w spektakularny sposób przytwierdzone do palmy zwłoki młodej dziewczyny. Oskar z uśmiechem wypuścił dym. Szkoda, że obiekt był zamknięty dla zwiedzających, bo chętnie zwizualizowałyby sobie tę makabryczną scenę.

– Detektyw Korda? – Jego rozmyślania przerwał nadchodzący komisarz.

Otyły mężczyzna miał na sobie szarą kurtkę i kaszkiet w takim samym kolorze. Rumiana twarz mogła być wynikiem zarówno zimnego jesiennego powietrza, jak i nadużywanego alkoholu.

– Chciał pan porozmawiać o sprawie Niny Kołodziej? – upewnił się.

– Tak – odparł Korda. – Przejdziemy się?

Eugeniusz Malec przytaknął. Ominęli rotundę i zaczęli iść wzdłuż obrosniętej wysokimi krzewami ścieżki.

– Czemu interesuje się pan tą sprawą, jeśli mogę zapytać? – Malec zerknął kątem oka na detektywa. – Czy pojawiło się coś... nowego?

– Powiedzmy, że ze względu na mamę zaginionej, Hanne Kołodziej – odparł oględnie Korda. – Nadal bardzo to wszystko przeżywa.

Eugeniusz Malec westchnął.

– A jak nie przeżywać? Dziecko zapadło się pod ziemię. Było i zniknęło. Wyobraża pan sobie? Nie ma chyba nic gorszego. – Malec dreptał małymi kroczkami. Dopiero teraz Korda zauważył, że kuleje. – Ma pan dzieci? – zapytał nagle.

– Nie.

– A żonę? Kogoś bliskiego?

Oskar Korda patrzył przed siebie. Zaciągnął się kolejnym odpalonym papierosem. Wypuścił szary dym z płuc.

– Nie mam – odpowiedział po chwili spokojnym głosem.

– Może to i lepiej – stwierdził komisarz. – Bo nie można stracić czegoś, czego się nie ma. Taka już dola psa. No nie? – Uśmiechnął się, jakby sam chciał siebie pokrzepić. – Choć powiem panu, na starość to smutno. Nie ma do kogo gęby otworzyć.

– Nie mieliście żadnych podejrzeń, co się mogło stać z Niną?

– Podejrzienia były. Zawsze są. Ale nic pewnego. Widział pan akta? – Korda skinął. – No. Wbrew temu, co pewnie nadal powtarza Hanna Kołodziej, zrobiliśmy, ile się dało. Przesłuchaliśmy kogo trzeba. Ciężko było coś wyłuskać, jak śladów żadnych nie było. Tylko ten walkman czy coś tam. Ale co to? Też niewiele. Zgubiła i już. Ciała nie znaleźliśmy, a las niemal cały przekopano. Nawiała i już. Wtedy to dzieciaki tłumnie w długą dawały. Takie pokolenie.

– Czemu pan twierdzi, że nawiała?

– Co my będziemy sobie panować! Gienek jestem. – Komisarz przystanął i wyciągnął rękę do detektywa.

– Oskar. – Korda ścisnął dłoń i uprzejmie się uśmiechnął.

– Zwykle przeczucie – podjął emeryt.

– Czy coś na tę opcję wskazywało?

– No była jedna rzecz. – Malec przygryzł wargę i sięgnął do kieszeni, z której wyjął piersiówkę. – Chcesz? – Wyciągnął ją w stronę Kordy. – Wiśnióweczka, żeby się trochę ogrzać, he, he.

– Dzięki. Autem jestem. A więc? – ponaglił go detektyw.

– W ostateczności przyjęliśmy, że ta cała Nina to z chłopakiem uciekła.

– Jej matka nic nie wspomniała o chłopaku.

– Nie wiedziała. A może wiedziała, ale nie chciała przyjąć do wiadomości? Trudno powiedzieć. – Malec upił kilka łyków.

– Kto to był?

– Gdybym ja to wiedział! – prychnął komisarz. – Przyjaciółkę taką miała ta Nina. Nie pamiętam, jak się nazywała, ale w aktach znajdziesz. No i ona twierdziła, że zaginiona umawiała się z jakimś typem, którego poznała na internecie, wiesz? Na jakimś tam portalu.

– Podrapał się w głowę, przesuwając na bok kaszkiet.

– Jakim portalu? – Korda poczuł ucisk w klatce piersiowej.

– Nie wiem. Ja tam wtedy to nawet nie wiedziałem, co to jest portal! – Malec zaśmiał się i machnął ręką. – Może to i dlatego jakoś specjalnie tego nie sprawdziliśmy – zastanowił się. – Może to i był błąd. – Rozłożył dłonie. – Teraz pewnie byśmy inaczej do tego podeszli, ale to był, wiesz, początek dwutysięcznych, takie rzeczy jak jakiś internet to mi się wydawały wyciągnięte z... fantasy! Czy

coś... No w każdym razie na komendzie to my nawet porządnego komputera nie mieliśmy. Nie było jak sprawdzić.

Oskar Korda wątpił, by była to prawda. Ale mógł sobie wyobrazić, że Malec zbagatelizował coś, czego w tamtym czasie zupełnie nie rozumiał. Pożegnał się i intuicyjnie skrzył w prawo. Przypadkiem, a może to jego podświadomość sprawiła, że znalazł się po chwili przy Grotach Szeptów. W kamiennie-betonowych wgłębieniach nikogo nie było. Oskar Korda zapragnął nagle usłyszeć czyjś szept, a przed oczami mimowolnie pojawiła mu się twarz Alicji.

7

Rodzinny dom zamordowanej w dziewięćdziesiątym drugim roku Ady Milewskiej tonął w szarości popołudniowego dnia. Stary tynk płatami odpadał z jego fasady. Niegdyś brązowa farba na drewnianych oknach zmurszała i wyblakła. W kuchennym oknie paliło się światło, lecz nie dojrzała nikogo w środku. Alicja pamiętała, jak przechodząc tędy, lubiła obserwować tę rodzinę przez szybę. Często wspólnie coś gotowali, uśmiechając się i niemo poruszając ustami. Ojciec przytulał się do matki. Łobuzersko mierzwił włosy nastolatki. Grabska myślała wtedy, że tak właśnie powinna wyglądać rodzina. Zazdrościła im ciepła i miłości, których brakowało w jej domu. Teraz wiedziała, że szczęście nie jest dane raz na zawsze i w jednej chwili może zniknąć jak mydlana bańka. Spojrzała w stronę ogrodu, a po plecach przeszły jej ciarki. To tutaj, kilka metrów od bramy, skonała Ada Milewska. Ktoś powalił ją na ziemię, zgwałcił i odebrał jej życie. Ktoś, kto do tej pory spokojnie chodził po świecie, oddychał, czuł, spał i budził się co dnia. Ktoś, kto nigdy nie poniósł kary za swój bestialski czyn.

Dziennikarka pchnęła mokre od deszczu uchylone skrzydło furtki i znalazła się na prowadzącej do domu ścieżce. Zerknęła w prawo. Nic nie świadczyło o tym, że kiedyś rozegrała się tutaj tragedia. Nie było wkopanego w ziemię krzyża, nie palił się żaden znicz, na drzewie nie wisało upamiętniające Adę zdjęcie. A jednak ziemia w tym miejscu nosiła wyczuwalne piętno, którego nie zdołały przykryć zgniła, odbarwiona trawa, suche porozrzucane gałęzie

i padający nieprzerwanie deszcz. Alicja przywołała w myślach obraz kłęzącej nad ciałem córki matki.

„Nieeeee!” – kobieta wyła jak zwierzę. „Nieeeee!”.

Nic dziwnego, że kilka miesięcy później odebrała sobie życie.

Pstryk.

Była rodzina. Nie ma rodziny.

Pozostał tylko ojciec, który ukojenia od lat szukał w alkoholu.

Alicja ze ściśniętym sercem przemierzyła prowadzące do ganku schody i wdusiła dzwonek. Tomasz Milewski nie odbierał telefonu, nie odpisywał też na SMS-y z prośbą o spotkanie, ale miała nadzieję, że uda jej się nakłonić go do rozmowy. Zazwyczaj nie nagabywała ludzi, jednak tym razem to było silniejsze od niej. Musiała tu przyjść, jakby była to Adzie winna, jakby poznanie prawdy było ważniejsze niż wszystko inne. Nadać twarz bezimiennemu mordercy... Właśnie to stało się jej powołaniem.

Grabska znów wcisnęła dzwonek. Długo i natarczywie. I jeszcze raz. I kolejny, tym razem nie zdejmując palca z przycisku. Stała tak dobrych kilka minut, aż w końcu usłyszała przekręcany w drzwiach klucz.

– Co się pani tak dobija?! – huknął Tomasz Milewski, otwierając drzwi.

Jego twarz była szara i zniszczona. Niczym nie przypominała twarzy przystojnego mężczyzny, którą Alicja pamiętała z dzieciństwa.

– Najmocniej przepraszam, ale nie mogłam się do pana dodzwonić, a bardzo mi zależy na rozmowie.

– Na rozmowie? Ze mną? A niby o czym? – zdziwił się mężczyzna, który przesunął ręką po nieogolonym zarostcie, pozostawiając w powietrzu nieprzyjemną alkoholową woń.

– O Adzie. Chciałam porozmawiać o Adzie – powiedziała jak najłagodniej Grabska.

– O Adzie? Ona nie żyje! – Milewski wzruszył ramionami i popchnął drzwi.

Te odskoczyły od zamka i na powrót się otworzyły.

Tomasz, idąc chwiejnym krokiem, zniknął już w środku, lecz Alicja przystąpiła próg i zamknęła za sobą, zostawiając na zewnątrz niosący się w niebo krzyk, którego nie mogła wyrzucić z głowy.

W środku pachniało pleśnią i brudem, lecz panował względny porządek. Ojciec Ady musiał pozbyć się wszystkich zbędnych przedmiotów i mebli. Może je sprzedał, by mieć za co pić? Podążyła za światłem i po chwili znalazła się w kuchni. Milewski usiadł na drewnianej ławie przy stole, dolewając sobie wódki do zwykłej szklanki. Alicja kątem oka dostrzegła stojącą nieopodal okna kuchenkę pamiętającą zamierzchnią epokę. Tak często widziała, jak nad garnkami pochylała się Barbara Milewska. Tomasz starał się coś z nich podjąć, a kobieta ze śmiechem trącała wyciąganą rękę. Tomasz podążył za wzrokiem Alicji. Czy też to widział? Czy w każdym kącie czyhało na niego bolesne wspomnienie, które kazało mu pić więcej i więcej? Ten dom był pełen duchów i dziennikarka rozumiała, czemu mężczyzna rzadko decydował się go opuszczać. Pograżał się w przeszłości tak bardzo, że czasami udawało mu się przywołać ją z powrotem.

Alicja bez słowa przysiadła się do stołu. Wokół panowała nieprzenikniona duszna cisza, zakłócana jedynie huczącym na dworze wiatrem.

– Ada nie lubiła wiatru – powiedział nagle Milewski i pociągnął wódki ze szklanki. – Czuła wtedy niepokój. Och, jak ja znam to uczucie. Od jej śmierci nie było dnia, żebym go w sobie nie miał.

– Okropne uczucie – stwierdziła Alicja. – Też często mnie dopada.

Tomasz spojrział na Grabską ze zrozumieniem, wstał i wyjął z szafki czysty kieliszek. Nalał do niego wódki i przysunął ku dziennikarce. Z westchnieniem usiadł z powrotem.

Kobieta kurtuazyjnie zamoczyła w alkoholu usta. Te lekko zapiekły, a na koniuszku języka pozostał gorzki smak.

– Byłam tu tego dnia – powiedziała. – Chwilę po tym, jak znaleźliście Adę w ogrodzie. Byłam małą dziewczynką, ale obraz policyjnych kogutów wbił mi się w pamięć.

Tak samo jak pełen rozpaczy wzrok twojej żony i jej zwierzęcy krzyk – dodała w myślach, lecz nie zdecydowała się wypowiedzieć tych słów na głos.

Milewski pokiwał głową i duszkiem opróżnił szklankę. Nawet się nie skrzywił.

– Tak nienawidzę tego Michała, że mógłbym go zabić – syknął, zaciskając zęby.

– Michaela, tak? – zdziwiła się Grabska. – Ale to przecież nie on. To nie jego zęby pozostawiły ślad na udzie pana córki.

– Jego, nie jego. Nienawidzę każdego mężczyzny, który kiedykolwiek tknął moje dziecko. Moje biedne dziecko – zaczęła łkać, chowając twarz w dłoniach.

Jego ciałem wstrząsały dreszcze, a Alicja patrzyła na niego ze ściśniętym gardłem. Ile razy dziennie zanosił się płaczem? Ile jeszcze łez musiał przelać, by poczuć ukojenie?

– Kiedyś dałem Adzie taki łańcuszek, wie pani? – Otarł w końcu łzy i dolał sobie wódki. – Taaaaki fajny – coraz bardziej zaciągał. – Złoty z malutkim wisiorkiem w kształcie nutki. Ada lubiła muzykę i ten wisior też często nosiła. – Płatał mu się język. – I ja taki byłem dumny, wie pani? Że ma coś ode mnie i to lubi, i nosi.

– To bardzo miłe – uśmiechnęła się Alicja.

– Tak – przyznał Tomasz. – Ale ten wisior się zgubił. Cały ogród przekopałem, a nie znalazłem. I nadal kopię czasem, wie pani? Tak mnie to męczy. – Zmarszczył zboląłą twarz i czknął. – I się zastanawiam, czy Ada miała go tego dnia na szyi, i za nic nie mogę sobie przypomnieć – znów czknął i podrapał się w czoło. – Bo jeśli miała, to ten sukinsyn musiał go zabrać. Rozumie pani? Ktokolwiek ma ten naszyjnik, to właśnie on zabił. – Huknął pięścią w stół, aż szkło podskoczyło, po czym zaczął płakać. – Dla tego naszyjnika ją zabił – jęknął. – Dla marnego naszyjnika! – Machnął pięściami w powietrze. – To moja wina była. Moja wina, że go jej dałem. O Boże. O Boże – zaczął bezradnie powtarzać, po czym wstał i wyszedł z za stołu.

Zaniosło go na ścianę, lecz sprawnie skorygował kurs i objając się o meble, przeszedł do dużego pokoju.

Alicja też wstała i stanęła w progu.

Tomasz Milewski rzucił się na starą sofę i natychmiast zasnął, a ona poczuła, że otaczające ich duchy rozplynęły się w powietrze.

8

Oskar Korda podjechał pod dom Dembskich. Trzasnął drzwiami i ruszył do furtki. Pod bramą dogorywały ustawione wśród

zwiędłych kwiatów znicze, pluszowy brudny miś przewrócił się na bok i nabierał wody w utworzonej w zapadniętym chodniku kałuży. Detektyw pokręcił z niedowierzaniem głową. *Polacy to dziwny naród – pomyślał. Zdolny do symbolicznych poświęceń, ponad wszystko lubujący się w tragediach, które tak samo szybko go rozpalają, jak szybko mu się nudzą.*

Zadzwoił domofonem i po chwili znalazł się na ścieżce prowadzącej do willi. Po chwili zastanowienia jednak z niej zbieżył i okrążył dom. Pomimo dokuczliwej jesieni ogród był zadbane. Przycięty trawnik, pozbierane na taczkę pomarańczowe liście, które opadły z wyrastających zza płotu drzew, i równiutko uformowany przed zimą żywopłot. Coś stuknęło. Oskar drgnął i odwrócił głowę. Drzwi drewnianej przybudówki się otworzyły i do ogrodu wyszedł ciemnowłosa mężczyzna w średnim wieku ubrany w szarą przeciwdeszczową kurtkę z kapturem. W rękach trzymał kawałek białej cienkiej firany. Na widok detektywa zdumiony przystanął.

– Dzień dobry – przywitał się policjant i zagadnął: – Ładny ogród.

– Dzień dobry – odparł ogrodnik. – Dbam jak o swój, a raczej bardziej, bo wie pan, szewc bez butów chodzi – zaśmiał się.

– Żywopłot ładnie przycięty – pochwalił Korda.

– A trzeba przycinać, żeby nad kształtem panować, kilka razy do roku nawet.

– Często pan u Dembskich robi?

– No często. Przed zimą to ogród trzeba uporządkować, poprzycinać, zabezpieczyć przed mrozem co wrażliwsze rośliny. No i tak to.

– A od dawna pan tu pracuje?

– Będzie kilka lat.

– Liwię Dembską pan zna?

– No widuję od czasu do czasu, najczęściej z daleka.

– Nie przychodzi do ogrodu? – zastanowił się Korda. W końcu ślady ligustru znalezione w aucie mogły po prostu pochodzić z rodzinnego domu Liwii. – Przy żywopłocie się jakoś ostatnio nie kręciła?

– Raczej nie. A po co by miała? – zdziwił się ogrodnik. – Mokra jest, wietrznie, to nikt do ogrodu nie zagląda.

– A ostatni raz to kiedy pan widział?

– Czy ja wiem? Trudno powiedzieć.
– A w weekend pan tu był?
– Byłem w sobotę do południa, ale padało, więc pojechałem do domu, już mówiłem tamtemu policjantowi.
– I nic podejrzanego pan nie widział.
– Nic.
– Yhm – mruknął Oskar, jeszcze raz się rozejrzał i wrócił przed dom.

Zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

– Tutaj, zapraszam! – Usłyszał głos Benedykta Dembskiego.

Korda wytarł uważnie buty i skierował się do salonu. Poseł siedział na fotelu ubrany w elegancki garnitur i półbuty. W pokoju rozbrzmiewała muzyka poważna. Oskar zerknął na stojący w rogu gramofon.

– Claude Debussy. – Ojciec Liwii podążył za jego wzrokiem. – Mój ojciec bardzo go cenił. – Dembski wstał i podał dłoń policjantowi. – Coś nowego? – zapytał, wskazując Kordzie miejsce.

Usiedli.

– Cóż. Na razie badamy różne hipotezy – odparł Korda. – Oprócz porzuconego samochodu Liwii nie mamy nic, co by świadczyło, że mogła stać się jej krzywda.

– To źle?

– Z jednej strony tak, bo nie sposób ustalić, co się z nią stało. Z drugiej strony nie możemy odrzucać hipotezy, że Liwia po prostu uciekła.

– Uciekła?! – zdenerwował się Dembski. – Niby dlaczego miałyby uciekać? – Walnął pięścią w podłokietnik.

– Wiedział pan, że Liwia się samookaleczała?

Benedykt rozciągnął usta w surową kreskę, po czym przyznał:

– Tak. Był taki incydent, faktycznie, ale to taki wygłup był bardziej.

– Wygłup? Osoba zaprzyjaźniona z Liwią twierdzi, że pana córka nie była szczęśliwa i w taki sposób rozładowywała stres.

– Jaki znowu stres? W dupie się poprzewracało, a nie stres! Liwia zawsze miała, co tylko chciała. Pieniądze, ciuchy. Prawo jazdy pozwoliłem zrobić na osiemnaste urodziny, auto kupiłem. Co, niby nie była szczęśliwa?

– Proszę się nie unosić. Ja tylko przedstawiam zebrane zeznania. Nie wątpię, że udostępnił pan Liwii wszelkie dobra materialne, ale pozostają jeszcze inne kwestie, jak chociażby śmierć matki, która sama w sobie jest wielką traumą dla dziecka. Co więcej, pana praca też mogła być dla Liwii obciążająca psychicznie. Wie pan, co o niej ludzie piszą w internecie? Ile pada w jej stronę inwektyw? Że gruba, że brzydka, że źle ubrana, że zadziera nosa. Dziewczyna cały czas była na cenzurowanym. Może po prostu miała dość? Nie chciała być nieustannie oceniana? Poznała kogoś, zakochała się i zniknęła.

– Wierzy pan w to? – Dembski ściągnął brwi.

– Jak powiedziałem, to jest tylko jedna z hipotez, które badamy.

– A porwanie?

– Również zakładamy taką opcję.

– I?!

– Udało nam się znaleźć pewne ślady w pozostawionym w lesie aucie. Pozwoliły stworzyć hipotetyczny obraz miejsca, w którym mógł przebywać sprawca, a tym samym w którym potencjalnie mógłby przetrzymywać Liwię.

– I?

– Obstawiamy stary dom, podpiwniczony, ze słabym dostępem do światła. Do tego z ogrodem, w którym rośnie żywopłot.

– O matko – stęknął Dembski, łapiąc się za serce. – To na co, kurwa, czekacie? Trzeba szukać!

– Szukamy, panie Dembski, szukamy – zapewnił Oskar, wstając z fotela. – Jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Julek Kamać został pobity.

– Słyszałem – odparł bezemocjonalnie Dembski.

– Czy ma pan coś z tym wspólnego?

– Panie detektywie, proszę się skupić na sprawie zaginięcia mojej córki, a nie się pan głupotami zajmuje. Nie ukrywałem, że uważam, że Kamać nie był wart mojej córki, ale proszę nie insynuować, że to ja go pobiłem – prychnął.

– Może uważa pan, że nikt nie jest wart pana córki?

– Słucham?

– Nie, nic. Do widzenia – pożegnał się Korda.

Przeszedł do obszernego przedpokoju, zbliżył do drzwi i położył rękę na klamce. Zanim ją nacisnął, rozejrzał się jeszcze i zawiesił wzrok na schodach prowadzących do piwnicy. Zamyślony dotknął blizny na policzku, mruknął i po chwili znalazł się na wilgotnym od mżawki podjeździe.

9

Alicja Grabska wpatrywała się morze. Ono zaś szalało, wybijając spienione bałwany na brzeg plaży. Szumiało tak bardzo, że nie słyszała, kiedy zjawił się za nią. Podskoczyła, gdy położył jej dłonie na biodrach. Nie odwróciła się. Poznałaby ten dotyk wszędzie. Oskar Korda przylgnął do jej pleców, odgarnął pasemka z jej szyi i pocałował w kark. Szczeciniasta broda, zapach papierosowego dymu i korzennych perfum...

– Cześć. – Dziennikarka usłyszała nagle za sobą męski głos. Wyobrażenie wyparowało.

Szybko się odwróciła.

– Cześć – odpowiedziała i oblała się rumieńcem, choć nic złego nie zrobiła.

To były tylko myśli. Tylko myśli.

W nadchodzącym mroku ledwo było widać jego postać odzianą w granatową puchówkę. Nie wiedziała, co ją naszło. Od dawna nie miewała takich fantazji. Jej głowę od wielu miesięcy zajmowała jedynie praca. Ale Korda znów wkradał się do jej świata, czy tego chciała, czy nie. Gdy był w pobliżu, wszystko stawało się takie żywe. Ona stawała się żywa.

Wzdrygnęła się z niesmakiem. Nie chciała takich myśli. Nie chciała być tkliwa.

– Dzięki, że dałeś mi znać – powiedziała, odrzucając w bok niesfornie opadające na jej twarz włosy.

– Nie ma sprawy. To przecież twój trop, więc... Chodź.

Oskar Korda otworzył przed nią drzwi do znajdującego się tuż przy plaży w Sopocie baru Przystań. Wypełniony po brzegi latem lokal był niemal pusty. Stanęli przy kontuarze.

– Szukamy pani Anny Lisieckiej – powiedział Oskar.

– To ja. Państwo usiądą, ja zaraz podejść – uśmiechnęła się szczupła, niska kobieta o złocistych włosach zebranych w kucyk. Tuż przy ustach pojawiły się małe dołeczki.

Miała trzydzieści trzy lata. Dokładnie tyle, ile miałyby Nina. Czy nadal byłyby przyjaciółkami? Jak potoczyłoby się życie Kołodziej, gdyby tamten dzień nigdy nie nastąpił?

Oskar pomógł Alicji zdjąć płaszcz, powiesił go na stojącym przy drzwiach wieszaku i poprowadził dziennikarkę do stolika tuż przy imitującym statek barze z alkoholami. Grabska wpatrzyła się w krajobraz za oknem, który coraz bardziej się zaciemniał. Morze, które wraz ze zmierzchem szumiało coraz donośniej, niemal zlewało się z piaskiem. Wszystko przybierało barwy grafitu.

– W porządku? – zapytał Oskar.

Czuła na sobie jego wzrok. Przecież w zasadzie nic ich nie łączyło, zaledwie kilka wspólnych nocy, zaledwie kilka wspólnych dni, gdy w zeszłym roku starali się wspólnymi siłami odkryć prawdę o tym, kto stał za okrucieństwem, do którego doszło w sopockim lesie. A jednak czuła z nim bliskość, jakieś pokrewieństwo duchowe. Nie do końca potrafiła to wytłumaczyć. Nie wiedziała też, jak to nazwać. Ale to istniało. Zupełnie ponad. Poza tym wszystkim.

– Yhm – przytaknęła i starała się uśmiechnąć, choć bez żadnej przyczyny ogarnął ją smutek.

– Już jestem. – Anna Lisiecka podeszła i zajęła miejsce pomiędzy nimi. – Pan chciał ze mną porozmawiać o Ninie, prawda?

– Tak. Detektyw Oskar Korda, a to jest Alicja Grabska, dziennikarka. – Lisiecka patrzyła na nich wyczekująco. – Na nowo przyglądamy się sprawie zaginięcia Niny i pewna rzecz nas zainteresowała.

– Proszę pytać.

– Komisarz Malec, który prowadził sprawę zaginięcia w dwa tysiące czwartym roku, zauważył, że wspomniała pani o jakimś chłopaku Niny.

– Tak. Nina kogoś poznała. Była tą znajomością bardzo zaaferowana. Zaczęła o siebie dbać. Malowała się. Biegała. Ubierała bardziej kobiece stroje. No. Jak to zakochana dziewczyna.

– Wie pani, kim był ten chłopak? – zapytała Alicja.

– Niestety, nigdy go nie poznałam. Zresztą Nina też aż tak bardzo nie była skora do zwierzeń. Raczej zamknięta w sobie. Wyrażała emocje przez rysowanie i gotowanie, tak zawsze żartowałyśmy. – W policzkach kobiety znów pojawiły się małe urocze dołeczki.

– Komisarz Malec mówił, że Nina poznała go na jakimś portalu? – zainteresował się Korda.

– Yhm – przytaknęła Anna. – Taki komunikator był. Pitu-Pitu to się nazywało. Nie wiem, czy państwo kojarzą? I tam Nina się na tego gościa natknęła. – Alicja wymieniła z Kordą porozumiewawcze spojrzenia. – Pisali ze sobą dość długo – kontynuowała Lisiecka – i potem zaczęli się spotykać. Choć może to za dużo powiedziane, bo raptem kilka razy się widzieli, chyba ze trzy, i kontakt się uciał.

– Wie pani dlaczego? – zapytał Korda.

– Nie. Nina była najpierw bardzo podekscytowana, ale na tym trzecim spotkaniu coś musiało się stać, bo powiedziała, że już nigdy więcej nie chce go widzieć. Pytałam, o co chodzi, ale się zacięła. Była bardzo wzburzona. Nic nie mogłam z niej wyciągnąć.

– To było tuż przed zniknięciem? – zaciekała się Alicja.

– Jakiś miesiąc może. Teraz już dokładnie nie pamiętam. Ale jeszcze przed przerwą wakacyjną.

– A pamięta pani może, jak się ten mężczyzna nazywał? – zadał pytanie Korda.

– Gabriel. Nina lubiła na początku mówić o nim „mój anioł”.

– Kojarzy pani może pseudonim Peter? – Grabska zacisnęła usta w oczekiwaniu.

Kobieta zaprzeczyła. Nerwowo zerknęła w stronę baru i powiedziała:

– Przepraszam, ale zaraz muszę wracać do pracy, bo szefowa będzie zła, że taką długą przerwę sobie zrobiłam.

– Oczywiście. Jeszcze dosłownie chwilka – uspokoił Oskar. – Może pamięta pani coś jeszcze? Czy Nina mówiła, jak ten mężczyzna wyglądał, skąd był, ile miał lat, czym się zajmował? Każdy szczegół się przyda.

– No właśnie Ninka nie chciała mi tego powiedzieć. Była dość tajemnicza. Może jej się podobało, że ma swój sekret. Ale ona generalnie nie lubiła się zwierzać. Jak ją zapytałam po tym pierwszym spotkaniu, jak wygląda, to powiedziała tylko „okej”. I jak

zapytałam, do jakiej szkoły chodzi, to odpowiedziała, że on już się nie uczy, to chyba był starszy od nas. – Anna wzruszyła ramionami. – Może dlatego się wstydziła powiedzieć? A! No i była jeszcze jedna rzecz, ale to nie wiem, czy ważne.

– Każdy szczegół ma znaczenie – zapewnił detektyw.

– Nina wspominała coś o motylach. Że on je lubi... albo się nimi zajmuje? – zastanowiła się. – Nie bardzo teraz kojarzę, jak to było.

– Wiemy, że Nina je rysowała – przyznała Alicja.

– No właśnie. Nina była w jakiś sposób tymi motylami zainspirowana. – Lisiecka zmarszczyła czoło.

– Poszukamy pani zeznań w aktach – uśmiechnął się uprzejmie Korda.

– Nie wiem, czy to będzie w aktach. Ten policjant był tylko raz u nas w domu i zapisał coś tam na kartce, ale nie był specjalnie zainteresowany. Chyba uznał, że jakaś tam zakończona relacja z chłopakiem z internetu nie ma związku z zaginięciem Niny. Oni cały czas twierdzili, że Ninka uciekła z domu.

– A miała od czego uciekać? – Korda zacisnęła niespokojnie palce dłoni.

– Jak już, to tylko od samej siebie – stwierdziła jego rozmówczyni.

– Co ma pani na myśli?

Lisiecka westchnęła ciężko.

– Nina była specyficzną osobą. Jak już mówiłam, zamkniętą w sobie, małomówną, wstydliwą. Ojciec ją zostawił, gdy miała dziesięć lat, i myślę, że to też sprawiło, że nie wierzyła w siebie. Generalnie wstydziła się też tego, jak wyglądała. Miała kompleksy, choć w liceum to chyba każda dziewczyna je ma. Bo dojrzewanie, ciało zaczyna się zmieniać, trudno się przyzwyczaić do nowej siebie. A Nina zawsze miała tendencje do tycia. I to sprawiło, że nie czuła się ze sobą dobrze. Na plaży to się nigdy nie rozbierała. W spodniach zawsze siedziała, nawet jak był upał.

– Mama Niny mówiła, że zaczęła biegać, dbać o siebie tuż przed zniknięciem – zauważyła Grabska.

– Tak. Po tej historii z tym całym Gabrielem postanowiła się zmienić. Dostała motywacji. Może on powiedział na tym ostatnim spotkaniu coś przykrego o jej wyglądzie? Że jest gruba czy coś?

I dlatego już się z nim nie chciała widzieć? Ale to też sprawiło, że się za siebie wzięła, więc wyszło w sumie na dobre. Choć... przepraszam, to nie zabrzmiało najlepiej.

– A jak pani myśli, co się stało tamtego dnia? – zapytał Korda.

– Ktoś ją napadł po prostu. Może zgwałcił, pewnie zabił i zakopał gdzieś w lesie. Mało to świrów na świecie? – Kobieta zapatrzyła się smutno w blat stołu. – Naprawdę muszę już iść. – Po chwili podniosła się z krzesła.

– Bardzo dziękujemy za rozmowę. – Alicja się uśmiechnęła.

– Nie ma za co. – Lisiecka odpowiedziała na uśmiech, a w jej policzkach znowu pojawiły się dołeczki. Chciała odejść, ale zawahała się i pochyliła się jeszcze konspiracyjnie. – To przez zaginięcie Liwii Dembskiej, prawda? To dlatego pytacie o Ninę?

– Sprawdzamy różne opcje – wymijająco odparł Korda.

Kobieta kiwnęła ze zrozumieniem głową i zniknęła za kontuarem baru.

Po chwili Oskar Korda i Alicja Grabska znaleźli się na zewnątrz. Sopot zdążyła ogarnąć już ciemność. Morze huczało, dziko targane porywistym wiatrem.

– I co sądzisz? – zapytała Alicja.

Oskar wyjął z paczki papierosa, osłonił go dłonią. Ogień zapalniczki na chwilę rozjaśnił mu twarz.

– Coś tu mamy za dużo zbiegów okoliczności – rzucił.

– Prawda? – Alicja otuliła się w pasie rękami. – Dziewczyny w podobnym wieku, o podobnej budowie, mieszkające blisko siebie, a do tego obie romansowały z kimś na PP.

Korda wypuścił dym w powietrze i powiedział:

– Znajomy prokurator, Leopold Bilski, zawsze powtarza, że na płaszczyźnie przestępczej nie istnieją przypadki, a jedynie tropy rysujące mapę zbrodni.

– To co teraz?

– Muszę dokładnie przeczytać akta sprawy zaginięcia Niny Kołodziej. Może coś ważnego jeszcze śledczym umknęło. Nadal sprawdzamy monitoringi i szukamy rowerzysty, który widział, jak Liwia odjeżdżała nocą spod domu. A ty, jeśli chcesz oczywiście, przetrzep internet. Fora, grupy, komentarze pod artykułami dotyczącymi tych spraw. Może ktoś gdzieś coś pisze o tym Gabrieli

vel Peterze. Może znajdą się inne dziewczyny, które z nim pisały, ale nie zdecydowały się z nim spotkać. Zresztą sama najlepiej wiesz, czego szukać – uśmiechnął się.

Alicja kiwnęła i też lekko się uśmiechnęła. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. To nieznośnie, błogie napięcie. To coś pomiędzy nimi było niemal nie do wytrzymania. Nagle Korda wyciągnął lewą rękę i chwycił jej dłoń. Ścisnął placami jej palce i puścił.

– Chodź, odprowadzę cię do auta – powiedział.

9

Liwia siedziała pod drzwiami otulona kocem. Cała się trzęsała. Mężczyzna nie przychodził długo, niemal całą wieczność. Ile już na niego czekała? Nie miała pojęcia. Nie wiedziała, czy jest noc, czy dzień. Czuła ogromne pragnienie i głód. W trakcie musiała się zdrzemnąć, bo obudziła się w pozycji leżącej, choć obiecała sobie przecież, że będzie trwać w pogotowiu. Jej zapał już dawno opadł. W sumie co ona w ogóle sobie myślała? Uwierzyła w coś, co nie miało nawet sensu się udać. Chciała ukryć się za drzwiami i wyskoczyć na niego znienacka. Pchnąć go na ścianę i zacząć biec. Jak najszybciej, jak najdalej. To był jej plan. Dziki, kretyński plan, który studiowała w głowie od wielu godzin. Znała wszystkie jego scenariusze i żaden z nich nie kończył się dobrze, chyba że mężczyzna padłby nagle na zawał. W innym razie złapałby ją po kilku metrach i niczym bezbronną zdobycz zawlókł z powrotem do klatki. O ile w ogóle dałaby radę go odepchnąć. Najpewniej chwyciłby ją po prostu za przeguby, wykręcił ręce, może uderzył w twarz tak mocno, że wylądowałaby na ziemi. A potem przywiązał do łóżka, by już nigdy więcej mu się nie sprzeciwiała.

Mimo tych myśli nie ruszała się w miejsca, wydobywając z siebie siłę, która wcześniej na nią nagle spłynęła, a teraz wysączyła się na zewnątrz jak z przekłutego balona. Podciągnęła nogi pod brodę i otuliła je ramionami. Tak bardzo chciała, by to wszystko już się skończyło. Już wszystko jedno jak. Chciała po prostu mieć to już za sobą.

Nagle zazgrzytał zamek. Liwia Dembska zerwała się na równe nogi i rzuciła na łóżko. Usiadła po turecku, spuściła głowę. Jakże była słaba. Jakże tchórzliwa i konformistyczna. Zacisnęła powieki. Gardziła sobą bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

– Cześć. – Usłyszała jego głos. – Głodna? Mam twoje ulubione danie.

Dziewczyna otworzyła oczy, uniosła głowę.

Mężczyzna odwrócił się i schylił po stojącą na ziemi tacę. Za nim Liwia dostrzegła wąski, oświetlony korytarz wyłożony żółtymi kafłami. Właśnie teraz powinna była natrzeć. Kopnąć go z zaskoczenia w plecy, przewalić na podłogę, pokonać korytarz, jak najszybciej wbiec po schodach, wydostać się na zewnątrz. Ale nic nie zrobiła. Nie potrafiła się ruszyć, jakby ciało nie reagowało na myśli. Zresztą i tak było za późno. Mężczyzna zdążył podnieść tacę i zatrzaskać za sobą drzwi.

– Pieczony kurczak z ziemniakami – powiedział i postawił danie na łóżku.

Ona zerknęła na niego nieśmiało. Nie potrafiła stwierdzić, czy go nienawidziła. Nie miała w sobie kompletnie żadnych uczuć. Tylko głód i pragnienie, jakby była zwierzęciem.

On skinął głową, więc Liwia sięgnęła po udko kurczaka. Wgryzła się w mięso łapczywie, zachłannie. Po jej ustach i brodzie spływał tłuszcz, lecz nic sobie z tego nie robiła. On śmiał się pobłaźliwie, a ona jadła dalej, aż obgryzła kurczaka do kości. Palcami chwyciła ziemniaki i naładowała je sobie do buzi. Ledwo przełykała, lecz nie mogła przestać jeść, jakby nagle liczyło się tylko to, by przetrwać, jakby potrzeby fizjologiczne zastąpiły wszelkie inne pragnienia. Na tę chwilę miała wszystko, czego chciała. Gdy wyczyściła talerz, złapała stojącą na tacy szklankę. Woda, która ją wypełniała, była zimna i gładka. Pełna smaku.

Liwia rękawem bluzy otarła buzię i znów spojrzała na mężczyznę. Czy tego właśnie chciał? Żeby stała się jak otępieła? By robiła wszystko, czego tylko zechce? Nagle ogarnął ją wstyd. Wstyd, że się poddała, wstyd, że jadła jak dzikuska, wstyd, że tak łatwo mu ulegała. Zacisnęła palce na szklance. Twardej i solidnej, którą mogła przecież rozłupać na jego głowie. Oczyma wyobraźni zobaczyła

spływającą po jego czole krew i jego zaskoczone spojrzenie. Nie spodziewał się, że zaatakuje. Nie myślał, że ją na to stać.

Serce zaczęło jej walić. O Boże, czy naprawdę to zrobi? Czy naprawdę byłaby w stanie spróbować go zranić, spróbować go... zabić? Za każdym razem, gdy oglądała filmy o złoczyńcach, irytowało ją, że ofiary uciekały, zamiast zaatakować. Denerwowała się, że nie znajdowały w sobie siły, by uderzyć, a jeśli nawet, niemal nigdy nie dobijały szumowiny. „No zabij go! Zabij!” – krzyczała w ekran, z niedowierzaniem kręcąc głową. Jesssu, zawsze to samo. Te głupie baby spierdzielają, zamiast walnąć raz jeszcze. I jeszcze. I jeszcze. Tak długo, aż będą miały pewność, że ich prześladowca więcej nie wstanie, tak długo, aż facet umrze w męczarniach. Teraz jednak wiedziała, że wcale niełatwo zadać komuś cios. Tak jakby w jej psychice działały specjalne hamulce, a przecież bez trudu przychodziło jej ranienie samej siebie. Może nie miała w sobie zbyt dużej woli życia? Zbyt dużej woli przetrwania, która w toku tego beznadziejnego zapętlenia pozwoliłaby jej stać się zabójczynią...

Kurwaaaaa – zawyła w głowie. *Nie bądź pizdą!* – skarciła się i mocniej zacisnęła palce na szklance. Spięła wszystkie mięśnie. *Teraz albo nigdy!*

– Jak będziesz grzeczna, za jakiś czas pójdziesz na górę – powiedział łagodnie mężczyzna. – Chciałabyś?

Zamarła i spojrzała mu w oczy. Nie miała podstaw, by mu nie ufać. Może nie mówił jej wszystkiego, ale też nigdy jej nie okłamał.

Rozluźniła uścisk i leniwie odstawiła szklankę na tacę.

10

Oskar Korda płynie głęboko pod wodą. Otwiera oczy. Wszystko wokół ma mleczną, matową, zmaconą barwę. Wyciąga przed siebie rękę, podciąga nogi i szerokim ruchem członków przebija się przez napierającą na niego toń. Raz i drugi. Raz i drugi. Bąbelkowa chmura wibruje i z akustyczną falą przedostaje się na powierzchnię. Przytłumiony szum i tysiące drgań przecinają pozorną ciszę. Pod wodą na ciszę nie ma miejsca. Jest tylko uspokajający, niekończący się, wiecznie żywy ruch.

Korda płynie dalej. Nie potrzebuje oddychać, jakby stał się rybą, jakby zamiast płuc wyrosły mu skrzela. Gdzieś z oddali dolatuje go dziwny śpiew. Serie krótkich dźwięków, odbijanych przez fale basów, altów i sopranów, akustyczny obraz podwodnego otoczenia. Oskar przystaje i szybko machając dłońmi i stopami, obraca się wokół siebie. Niczego nie dostrzega, ale doskonale wie, że coś tam jest, że coś się zbliża. Mija dłuższa chwila, nim zauważa ciemny grzbiet z trójkątnymi płetwami. Morświn zjawia się i przepływa obok niego. Raz i drugi. Okrąża mężczyznę, jakby chciał złapać go w pułapkę. Kordę ogarnia strach i chęć ucieczki, ale unosi się w miejscu jak sparalizowany. Ssak znów się oddala, zawraca i przepływa obok. Bąbelkowe drgania są tak głośne, że niemal rozsadzają mężczyźnie uszy. Ale za moment adrenalina opada i Oskar dostrzega roztaczające się przed nim piękno – delikatną połyskującą skórę o ciemnoszarej barwie na grzbiecie i jasnym odcieniu na brzuchu, wrzecionowaty kształt ciała, zaokrągloną głowę i niewielkie płetwy. Strach odchodzi i zastępuje go zachwyty. Nie może oderwać od walenia wzroku. Czuje z nim jakąś dziwną jedność. Wyciąga rękę, jakby chciał go dotknąć, poczuć pod palcami. I wtedy ssak raptownie się odwraca, przejeżdżając płetwą po jego policzku.

Policzek goreje, a Oskar zaczyna się dusić.

Właśnie przestał umieć oddychać.

Detektyw Oskar Korda obudził się zlany potem. Na jego brzuchu leżały akta sprawy Niny Kołodziej, na stoliku czekała niedopita butelka piwa, w telewizji leciał wieczorny film. Musiał nieoczekiwanie przysnąć.

„Wie pan, jakie to uczucie zejść głęboko pod wodę? Wszystkie zmysły wtedy wariują. Totalne szaleństwo! Musi pan kiedyś spróbować” – w głowie rozbrzmiał mu głos Julka Kamacia. Detektyw prychnął i zebrał się z sofy. Chwycił papierosy i bluzę i wyszedł na balkon. Zapalił i wypuścił dym w przestrzeń. Na horyzoncie ciągnęło się granatowe morze przecięte rozświetlonym w oddali mołem. Po jakiejś minucie na barierce usiadła mewa. Białe pierzenie, popielaty grzbiet i pokrywy skrzydłowe oraz czarne końcówki skrzydeł nakrapiane białymi plamkami. 72P1. Zaobrączkowana mewa; jedyny przyjaciel, jakiego miał. Korda

skinął jej głową i bez słowa nasypał na parapet przygotowane ziarno. Ptak zerknął na niego okiem o bladożółtej tęczę i przeskoczył na parapet. Detektyw znów odwrócił się w stronę morza i spokojnie palił papierosa, choć nadal nie mógł się wyzbyć bąbelkowego szumu, który przekradł się ze snu do rzeczywistości.

Czy Liwia Dembska nadal żyła? Nina Kołodziej zniknęła bez śladu dokładnie tak jak ona. I od piętnastu lat jej nie odnaleziono. Czy obie leżały zakopane głęboko pod ziemią? Osamotnione, porzucone, zupełnie zapomniane? Oskar nikomu nie życzył takiego końca.

Zgasił niedopałek w popielniczce i wszedł z powrotem do środka. Czy naprawdę obie nastolatki stały się ofiarami tego samego sprawcy? Nie mógł tego zakładać ze stuprocentową pewnością. Był dwudziesty pierwszy wiek. Czy to właśnie na aplikacjach randkowych nie podrywa się teraz dziewczyn? Czy to nie w przestrzeni wirtualnej się je bałamuci, manipuluje nimi, namawia do spotkań? Przystępstwa seksualne i finansowe, wymuszenia, nękanie. To wszystko zaczyna się w sieci. Korda słyszał nawet o planach zintegrowania kiedyś Tindera ze specjalnym systemem umożliwiającym przed spotkaniem na żywo sprawdzenie przeszłości kryminalnej potencjalnego partnera. Sprawców działających zgodnie z jakimś internetowym modus operandi mogło być nieskończenie wielu.

Korda usiadł na sofie i wziął do ręki akta sprawy Niny Kołodziej. Przeczytał już niemal połowę, ale już teraz wiedział, że niczego się z tych dokumentów nie dowie. Może i były grube, ale wyłącznie dlatego, że nie tylko przesłuchano wiele osób z pozoru niemających żadnych związków z zaginioną, ale też przeprowadzono wywiady środowiskowe, by udowodnić tezę o ucieczce. Korda znał takich śledczych. Przyjmowali najłatwiejszą hipotezę i naginali wszystkie fakty do tego, by ją potwierdzić.

Jego rozmyślania przerwał dźwięk dzwonka do drzwi. Otworzył. W progu stała Janina Hinc. Tym razem rozpuściła włosy, a okulary zastąpiła soczewkami.

– Mam coś wielkiego – powiedziała, bez pardonowo wchodząc do środka. – Pokochasz mnie za to.

– Nie mogłaś zadzwonić? – Korda zamknął za nią drzwi.

– O nie, nie! Chciałam zobaczyć twoją minę – uśmiechnęła się Janka i weszła do dużego pokoju. – Ładne gniazdko – stwierdziła, rozglądając się wokół.

– Nie przesadzałbym – zaśmiał się Korda, który niemal nic nie zmienił w wystroju wynajmowanego od dwudziestu lat mieszkania. Nie musiał mieć ładnie. Najważniejsze, by było praktycznie. – Co tam dla mnie masz?

Janina sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej zeszyt z wydrukami. W tym momencie dzwonek do drzwi znów zabrzączał.

– Przepraszam, zobaczę, kto to. – Korda znów przeszedł do przedpokoju i otworzył. Tym razem na klatce schodowej stała Alicja.

– Cześć – uśmiechnęła się nieśmiało. – Chciałam tylko... Hmm. Chciałam tylko... – zaczęła, ale nagle urwała. – Jej twarz się zmieniła. Znów nabrała surowego wyrazu. – Przepraszam, widzę, że nie jesteś sam, więc...

Korda się odwrócił i zawiesił wzrok na siedzącej na sofie w dużym pokoju Janinie.

– Chodź. – Zachęcił Grabską gestem dłoni. – W sumie dobrze, że jesteś. Chyba mamy coś ważnego.

Alicja niepewnie weszła do środka, zdjęła płaszcz i podążyła za Oskarem.

– To jest Janina Hinc. Ekolożka sądowa – przedstawił detektyw. – A to Alicja Grabska. Dziennikarka, która pomaga mi w sprawie Liwii Dembskiej.

– Bardzo mi miło – powiedziała Janka, wstała i wyciągnęła dłoń do Grabskiej.

– Mnie również. – Grabska zareagowała na uścisk.

Janina Hinc pytająco zerknęła na Korde.

– Możesz mówić. Nie mam przed Alicją tajemnic – zaznaczył i dodał mimochodem: – Niemal.

Grabska prychnęła. Nie znała bardziej tajemniczego mężczyzny od Oskara.

– No dobra. Słuchajcie – zapaliła się ekolożka. – Pobrałam z samochodu Liwii Dembskiej sporo mikroskopijnych pyłków i jak już wcześniej zrelacjonowałam Oskarowi, udało mi się na ich podstawie wyróżnić profil środowiska składającego się na obraz miejsca, w którym potencjalnie może przebywać teraz Liwia

Dembska. Było sporo pyłków bylicy, trawy i kwitnącej jesienią jeżówki purpurowej, ale wydaje mi się, że najbardziej znaczące dla naszej sprawy są pyłek ligustru i pyłki zarodników wewnątrzdomowych z rodzaju *Aspergillus* i *Penicillium*, co pozwoliło mi wysnuć hipotezę, że szukamy starego, zawilgoconego, podpiwniczonego domu o zagospodarowanym ogrodzie, najpewniej otoczonym żywopłotem. I teraz ważne: pod pedałami gazu znalazłam również malutki fragment ciała jakiegoś owada i, jak wykazała analiza, było to skrzydło! – Zawiesiła na chwilę głos, podnosząc profesorsko palec, po czym podkreśliła: – I to użyłkowane! Nie było to łatwe, ale udało mi się w końcu wyodrębnić z niego DNA. – Dumna zerknęła na twarze obecnych, którzy patrzyli na nią pełni oczekiwania.

– I? – popędził ją Korda.

– I okazało się, że w samochodzie Liwii Dembskiej, pomimo tego, że mamy listopad – podkreśliła Hinc – znajdował się fragment... motyla!

Alicja spojrzała zaskoczona na Korde. Ten zapytał:

– Udało ci się ustalić gatunek?

Janina Hinc zdziwiona uniosła brwi.

– Nie sądziłam, że o to zapytasz, myślałam raczej, że mnie wyśmiejesz. Ale tak, owszem, udało mi się przypisać materiał do gatunku, gdyż, jak by nie było, jest to kluczowa sprawa w tym kontekście.

– A więc? – ponaglił znów detektyw.

– A więc jest to *Attacus atlas*, czyli pawica atlas, nocny motyl z rodziny pawicowatych, uznawany za trzecią największą ćmę świata. Więcej o tym gatunku opowie lepidopterolog, z którym nas na jutro umówiłam.

Korda chwycił telefon i wbił w wyszukiwarkę nazwę owada. Na ekranie wyświetlił mu się motyl o dużych skrzydłach w odcieniach brązu i czerwieni.

– Taki sam jak na rysunkach Niny. – Alicja szeroko otworzyła oczy.

Zaskoczony Oskar przytaknął.

Kampus Uniwersytetu Gdańskiego w Oliwie zatopiony był w szarości. Choć dochodziła dopiero dziesiąta rano, w oknach nowoczesnych gmachów, wybudowanych wydawałoby się w przypadkowym układzie, paliły się światła. Janina Hinc przyjrzała się wyrastającemu pod różnymi kątami frontowi budynku wydziału biologii, po czym przeniosła wzrok na minimalistyczny obiekt biblioteki uniwersyteckiej, który robił na niej największe wrażenie. Skonstruowany z dużych jednolitych płaszczyzn miał z założenia przywołać na myśl leżącą księgę z wystającymi po bokach zakładkami. W jej odczuciu boczne kapsuły nadawały gmachowi biblioteki bardziej kosmiczny niż literacki charakter, ale ta przewrotność jej się podobała.

Ekolożka sądowa zerknęła na zegarek. Oczywiście była przed czasem. Nie raz słyszała, że jest zbyt nadgorliwa, ale nic nie potrafiła z tym zrobić. Nic tak jej nie stresowało jak spóźnienie, przez co zazwyczaj wszędzie stawiała się wcześniej. Marzyła czasami o nonszalancji spóźniania się. Widziała siebie, jak wchodzi na spotkanie, które już się zaczęło, roztargniona, nieuważna, bez tego służalczego, przepraszającego uśmiechu na twarzy. Zazdrościła ludziom, którzy tak potrafili. Ona niestety była małostkowa i pedantyczna. Skupiona do granic.

Westchnęła i opadła na oparcie samochodowego fotela. Niepokorny deszcz bębnił o dach jej srebrnej astry, a ją ogarniała senność. Nagle zobaczyła jak na parking podjeżdża czarna alfa Kordy. Tuż za nim stanęła biała C-HR. Niemal jednocześnie drzwi aut się otworzyły. Oskar wysoko postawił kołnier granatowej puchówki, chowając głowę pomiędzy ramionami. Alicja rozłożyła nad sobą czarny parasol. Nie pocałowali się na przywitanie, nie podali sobie dłoni, ledwo się do siebie uśmiechnęli, ale Janina dałaby sobie rękę uciąć, że pomiędzy nimi coś było. Na tę myśl lekko zakłuło ją w podbrzuszu, co oczywiście było niemądre. Przecież nie mogła oczekiwać, że taki facet jak Oskar zwróci uwagę na kobietę taką jak ona. Był dla niej miły, owszem. Nie robiła sobie z tego tytułu żadnych nadziei. W zasadzie nawet o tym nie myślała, a jednak poczuła lekki zawód, gdy u jego boku pojawiła się Alicja.

Ech, za długo Janina była sama. *Staję się jakąś desperatką* – skrzywiła się. Powinna wyjść gdzieś czasami. Wyskoczyć w sobotni wieczór do SPATiF-u, poznać kogoś, jak powtarzał jej ojciec. Ale ona wolała ślęczyć nad mikroskopem, jakby prawdziwy świat był tam, gdzie go nie widać gołym okiem.

Patrzyła, jak Korda i Grabska podchodzą do budynku, jak Oskar uchyla przed Alicją drzwi, jak znikają w środku. Nerwowo odczekała jeszcze minutę, po czym wysiadła z samochodu. *Nonszalancja na maksymalnym poziomie* – pomyślała o sobie prześmiewczo, założyła na głowę kaptur zielonej parki i ruszyła w kierunku budynku.

Wnętrze wydziału biologii robiło dużo większe wrażenie niż zewnętrzna fasada. Pochylone ku sobie ściany wzmocnione potężnymi stalowymi słupami łączyły się u szczytu pod ostrym kątem. Hol wypełniony był palmami i egzotyczną roślinnością, a wypchane ptaki, ssaki i gady oraz podwieszony szkielet ogromnego finwala dawały wrażenie przestrzeni muzealnej. Oskar i Alicja rozmawiali z młodą kobietą o brązowych, falowanych włosach do ramion. Janina do nich podeszła.

– O, jesteś! – przywitał ją Korda. – To jest doktor Monika Skowron.

– Dzień dobry – odpowiedziała Hinc. – To ja się z panią wczoraj kontaktowałam – uśmiechnęła się do drobnej, ubranej w dzinsy i czarną koszulkę kobiety o ciemnych oczach i twarzy dziecka.

– Bardzo mi miło. Proszę, może tu sobie usiądźmy. – Skowron wskazała jeden z drewnianych stolików o pomarańczowych krzesłach i poszła przodem. – Czym mogę służyć?

– Specjalizuje się pani w motylach? – zaczął Korda.

– Tak. Z pasji i z wykształcenia jestem entomolożką z doświadczeniem w pracy z zakresu biologii molekularnej i mikrobiologii. Zajmuję się zjawiskiem mimikry batesowskiej na poziomie morfologicznym, behawioralnym, chemicznym i akustycznym. Dwa lata temu obroniłam doktorat na temat mimikry behawioralnej motyli z rodziny przeziernikowatych – streściła kobieta z uśmiechem.

– A więc dobrze trafiliśmy – odparł uprzejmie detektyw. – Chcieliśmy panią podpytać o konkretny gatunek motyla...

– Pawicę atlas – dokończyła Janina.

– Ach, *Attacus atlas*! – Skowron z uznaniem kiwnęła głową. – Jeden z największych motyli nocnych na świecie. Bardzo charyzmatyczny gatunek. Rozpiętość jego skrzydeł sięga nawet trzydziestu centymetrów! Na skrzydłach występują cztery trójkątne, symetryczne, niepokryte łuskami okienka. Co ciekawe, *Attacus atlas* posiada uwsteczniiony układ pokarmowy, co oznacza, że jako imago się nie odżywia i żyje tak długo, jak długo pozwolą mu na to zapasy tłuszczowe zgromadzone w stadium gąsienic, czyli jakieś siedem dni – uśmiechnęła się.

– Znaleźliśmy fragment skrzydła tego motyla w samochodzie poszukiwanej dziewczyny – powiedział Korda. – A raczej nasza ekolożka sądowa znalazła. – Wskazał na Janinę. – I zastanawiamy się, czy ten fakt jest znaczący, a raczej czy możemy traktować go jako wskazówkę.

– Cóż, nie znam się na kryminalistyce – przyznała doktor – ale niewątpliwie nie jest to jakiś tam zwykły motyl.

– A czy to możliwe, że ten motyl znalazł się w samochodzie przez przypadek? Wie pani, czy mógł...

– Przyczepić się do ofiary podczas spaceru po łące?

– Albo wlecieć sobie do auta przez otwarte okno, założmy latem, i tam skonać, i się rozłożyć? – uśmiechnął się Korda.

– Nie ma takiej możliwości – odparła entomolożka. – To motyl egzotyczny, pochodzący z Azji. Nie lata sobie w Polsce po łąkach.

– Zatem skąd mógł się tam wziąć? – zastanowiła się Grabska.

– To proste. *Attacus atlas* pomimo imponujących rozmiarów jest naprawdę niewymagający. Jak już wspomniałam, nie odżywia się, bo nie ma sprawnej ssawki do pobierania nektaru, nie potrzebuje też dużo przestrzeni do lotu, a tym samym jest motylem często spotykanym w amatorskich hodowlach. Jedynym zadaniem tych motyli jest rozmnażanie się, a to bez problemu udaje się osiągnąć w klatce. Sama hodowałam ten gatunek lata temu jako studentka na praktykach w motylarni.

– A jak taka klatka wygląda? – zainteresował się Korda. – Łatwo coś takiego zakupić?

– Wystarczy duża klatka ze ściankami z moskitiery, można taką dostać w każdym sklepie zoologicznym lub w internecie. Ale na

dobłą sprawę można byłoby samodzielnie zbić klatkę z kilku deseczek i zabezpieczyć ściany cienką firaną.

– A czy aby hodować ten gatunek motyli, trzeba dysponować jakimś specjalnym sprzętem? – zadała pytanie Janina. Wiedziała, o co chodzi Kordzie. Chciał dojść do potencjalnego porywacza poprzez dowód zakupu określonych rzeczy materialnych. – Nie wiem, konkretny wentylator lub grzejnik, żeby utrzymać odpowiednią wilgotność i temperaturę?

– Zasadniczo nie trzeba stosować żadnego specjalnego sprzętu do ciągłego nawilżania czy nagrzewania klatek. Można spryskiwać rośliny i klatkę za pomocą zwykłego spryskiwacza do kwiatów lub po prostu umieścić wilgotny ręcznik papierowy w klatce. I wystarcza wyższa temperatura pokojowa, ewentualnie regulowany wentylator, jeśli ciężko taką utrzymać. Zresztą, proszę za mną. – Entomolożka wstała. – Co pół roku organizujemy na wydziale tematyczne wystawy. I tak się składa, że tym razem prezentujemy motyle.

Monika Skowron poprowadziła ich do niewielkiej sali wyłożonej szarymi kaflami. Pod ścianami stały na zielonych podstawach zbite z drewna klatki o ściankach wyłożonych przezroczystymi zasłonkami, w których znajdowały się różnobarwne motyle. Minęli kilka z nich.

– Gdzieś tutaj powinniśmy mieć pawice – mruknęła badaczka, rozglądając się wokół. – A, tak! – Ruszyła do właściwej klatki.

Na drewnianym konarze, który znajdował się w środku, siedziały dwa duże motyle.

– *Attacus atlas* – zaprezentowała dumnie Skowron. – W przeciwieństwie do innych motyli, przesiaduje na pniach z rozłożonymi skrzydłami. Piękna, prawda?

Korda, Grabska i Skowron wpatrywali się w motyla uważnie, jakby to w jego wyglądzie chcieli odnaleźć rozwiązanie zagadki zniknięcia dwóch dziewczyn.

– Jeśli te motyle siedzą w klatkach, w jaki sposób fragment takiego mógl znaleźć się w samochodzie naszej poszukiwanej? – zastanowił się Korda.

– Przy odpowiedniej dozie ostrożności można takie motyle wyciągać z klatek i brać je na rękę – powiedziała Skowron i sięgnęła

do drzwiczek klatki. – One niemal nie latają, co najwyżej przelatują z jednej gałęzi na drugą, są za ciężkie i w związku z tym, że nie pobierają pokarmu, nie mogą tracić za dużo energii. – Delikatnie, składając jednej z pawic skrzydła tak, by nie uszkodzić i nie zetrzeć z nich drobnych łusek, wyciągnęła ją za pomocą dwóch palców. – Skrzydła motyla w naturalny sposób zużywają się w trakcie życia owada i kawałek może odpaść samoistnie, na przykład po locie wśród roślinności lub w tym wypadku po lekkim poobijaniu się w trakcie kopulacji w klatce. Taki fragment skrzydła jest bardzo lekki, przy podmuchu mógł się unieść i przyczepić do czyjegoś swetra albo włosów.

Janina Hinc z pełną ciekawością pochyliła się nad motylem, oglądając go z każdej strony.

– Chce pani potrzymać? – zwróciła się do niej entomolożka i przeniosła pawicę na jej rękę.

Motyl rozpiął rozłożyste, pokryte zauważalnym meszkiem skrzydła. Był niemal trzykrotnie większy niż drobna dłoń ekolożki.

– Niesamowity – szepnęła.

Brazowe i pomarańczowoczerwone barwy na grubym odwłoku oraz skrzydłach owada były bardziej jaskrawe i zachwycające niż na zdjęciach. Janina czuła drżenie owada w swojej dłoni. Niemal nie oddychała, bojąc się, że go spłoszy.

– Jest niemal tak duży jak nietoperz – stwierdziła.

– To prawda. Zresztą mówi się, że w locie go przypomina. I nie wiem, czy zwróciła pani uwagę na górne krawędzie jego skrzydeł. Proszę się przypatrzeć. Ich budowa wraz z rysunkami z plam i pasków o różnych odcieniach brązu i czerwieni sprawia, że przypominają węże, zapewne, by zmylić i odstraszyć napastników.

Faktycznie nagle krawędzie skrzydeł pawicy przeobraziły się w dwie głowy groźnych węży. Janina nie mogła uwierzyć, że wcześniej tego nie dostrzegła. Nagle coś ją tknęło i zapytała:

– Mówi pani, że dorosłe pawice się nie odżywiają. A gąsienice?

– Gąsienice jak najbardziej. Najczęściej karmi się je ligustrem, dlatego hodowcy nierzadko zakładają przy domach żywopłoty.

Janina Hinc chytrze się uśmiechnęła i spojrzała na Kordeę. Elementy układanki zaczęły wskakiwać na miejsce.

12

Liwia Dembska powoli się wybudzała. Szumiało jej w uszach, głowa zdawała się ciężka jak ołów, tak samo jak powieki, których nie miała siły dźwignąć. Czyżby balowała w nocy? – niejasna myśl pojawiła się w umyśle. Wciąż słyszała głośną muzykę: *I wanna know what love is. I want you to show me. I wanna feel what love is. I know you can show me.*

Peter stał pośrodku pokoju, nieporadnie kręcąc ramionami. Wyciągnął do niej rękę:

– No chodź. Zatańczymy!

– Niiieee – śmiała się Liwia, ukrywając twarz w poduszce.

– No chodź. – On też się śmiał, nadal podrygując w rytm piosenki.
– To świetna piosenka!

– Coooo? – zawyła z niedowierzaniem dziewczyna. – Patrz na tego gościa. – Wskazała na plazmowy telewizor wyświetlający teledysk z YouTube’a. – Jaaa, co to jest w ogóle za twarz! Kręcone rudawe włoski, obślizgłe usteczka, niewidoczne brwi. To był taki wasz Ed Sheeran, co?

– E tam, Ed Sheeran! Foreigner! Klasyka, moja mała. Och, jak mi się ten utwór dobrze kojarzy. Tyle wspomnień się w głowie pojawia. Kiedyś to były inne czasy. Jakies takie bezpieczne, ciepłe, jakby owinięte watą.

– Watą? – Liwia zmarszczyła nos niczym króliczek.

– No watą. – Peter usiadł obok niej. – Nie wiem, czy tak masz, ale czasami wspomnienia mają taką inną fakturę, są niemal namacalnie dobre. Kurczę, nie wiem, jak to opisać. – Oparł głowę na zgiętym ramieniu.

– Chyba wiem, o co ci chodzi – przytaknęła Dembska. – Ja mam tak ze wspomnieniami z mieszkania cioci. Ściany tak miękkie, że nie mają żadnych kantów, i specyficzny zapach, który sprawia, że automatycznie unoszę się w bańce.

– Tak. Dokładnie – uśmiechnął się Peter. – A więc rozumiesz! – Wstał gwałtownie i znów wyciągnął do niej rękę. – *I want you to show meeee* – zanucił. – No chodź, zatańcz ze mną, tygrysku.

Liwia Dembska pokręciła głową, duszkiem dopiła czerwone wino z kieliszka i wstała. Peter położył jej ręce na biodrach, a ona objęła

Przecież byliśmy tacy szczęśliwi, przecież tańczyliśmy do tej bадьiewnej piosenki, której słuchałam potem nieustannie. Przecież...

– Przecież jesteś piękna – powiedział jej tamtego dnia. – Masz piękną figurę, gładką skórę, jędrne, duże piersi – szeptał, delikatnie przejeżdżając palcami po jej nagim, leżącym na łóżku ciele. – Doskonale kształtne uda i taaaakie pociągające pośladki, agrrrrh – zawarczał zabawnie.

Zaśmiała się, a po jej brzuchu rozlało się ciepło. Była piękna. Jak mogła wcześniej w to nie wierzyć? Jak mogła w siebie wątpić? Była piękna.

I wtedy dodał:

– Nie wiem, jak inni mogą myśleć, że jesteś obrzydliwa. Dla mnie jesteś idealna.

Na jakiś czas przestała oddychać. Zaczęło jej szumieć w głowie. Jak to? Inni myślą, że jestem obrzydliwa? Przecież jestem piękna! Jestem piękna... dla niego. Tylko dla niego. Odwróciła się na bok, by nie widział w jej oczach łez.

– Ej? – Położył jej dłoń na ramieniu. – W porządku?

– Mhm – odparła, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie. – Tylko zrobiłam się zmęczona. Chyba chwilę się prześpię.

– Okej. To śpimy. Przecież mamy całe życie, by się sobą nacieszyć. – Przyłgął do jej pleców, przeciągle wzdychając.

Jego oddech był spokojny i głęboki. Klatka piersiowa mężczyzny podnosiła się i opadała. Próbowwała się do niego dostroić, ale nie potrafiła. Im dłużej o tym myślała, tym jej oddech stawał się krótszy i szybszy. Mijali się w połowie. I może tak było dobrze? Była mniejsza i słabsza. A on duży i silny. W jego ramionach była bezpieczna. Nic jej nie zagrażało.

Liwia Dembska na to wspomnienie niemal prychnęła przez łyzy. Jaka głupia była. Jaka głupia jest teraz.

Z krzykiem znów uderzyła pięściami w boczne ścianki pudła, po czym zaczęła walić w nie bez opamiętania.

Dwupiętrowy dom ze spadzistym brązowym dachem i białą wiatą należący do Krzysztofa Bizonia znajdował się przy Sambora w zabytkowej dzielnicy Gdańska – Oliwie. Otaczało go nowoczesne metalowe ogrodzenie, za którym ciągnął się wymodelowany w podkowę niski żywopłot.

Brama drgnęła i powoli zaczęła się otwierać, a na horyzoncie pojawiła się czarna, lśniąca toyota RAV4, która po chwili wjechała na podjazd. Drzwi SUV-a otworzyły się z każdej strony i wysiadła z niego cała rodzina Bizoniów. Krzysztof, Beata i dwie nastoletnie dziewczynki o ciemnych długich włosach wystających spod czapek beanie. Rozmawiali głośno, ktoś się zaśmiał. Ortodonta otworzył bagażnik i zaczął wyciągać z niego torby z zakupami.

– Ej, no dziewczyny, chyba mi pomożecie? Niech każda weźmie po torbie, co? – krzyknął.

Córki wraz z matką cofnęły się i chwyciły najłżejsze zakupy. Krzysztof Bizon wystawił resztę na ziemię, zamknął bagażnik i w każdą rękę chwycił po kilka toreb, z trudem podążając do domu. Beata Bizon w eleganckim obszernym płaszczu i spiętych w kok włosach przytrzymała mu drzwi. Rozmawiając, zniknęli w środku.

– Piękna rodzinka – zauważył Gustlik.

– No. Piękna – potwierdził Korda. – Córeczki niewiele młodsze od Liwii Dembskiej – dodał i cmoknął jedną stroną ust.

– Myślisz, że to Bizon jest odpowiedzialny za zniknięcie Liwii?

– Cóż, Bizon ma alibi na noc z soboty na niedzielę. Bawił się w jednym z gdańskich klubów na kawalerskim kumpla. Monitoring w knajpie potwierdził, że wyszedł stamtąd o trzeciej rano, co oczywiście też niczego nie przesądza. W każdym razie prokurator stwierdził, że miałby motyw, wystawił nakaz przeszukania, to przeszukamy.

– Ale nie wierzysz w to?

– To, czy ja w to wierzę, nie ma żadnego znaczenia. – Wzruszył ramionami detektyw. – Może faktycznie się spotkali, pokłócili, może Liwia zagroziła, że powie wszystko jego żonie, koleś nie wytrzymał i w afekcie ją zabił. A potem wywiózł jej auto do lasu, żeby zatrzeć ślady. Chyba że nie był zdolny do zabójstwa, a także nie działał w afekcie. Może intencyjnie ją uprowadził i po prostu ją gdzieś

przetrzymuje? Zdarzały się i takie historie. – Korda nie odrywał wzroku od domu Bizona.

Wiatr unosił leżące na podjeździe brązowawe martwe liście. Małe krople deszczu, który znów zaczął się rozkręcać, zaczęły znaczyć jasne płyty chodnika.

– No ale chyba nie przetrzymuje jej w domu? Bo przecież żona by się zorientowała, nie?

– Cóż, porywacze to często świetni manipulatorzy. Doskonale potrafią udawać i mylić innych. Umieją zastraszać, budzić trwogę, uwodzić, skłaniać do uległości. I zdziwiłbyś się, jak często udaje im się nakłaniać żony do pomocy w uprowadzeniach. Bo u żon, które równocześnie stają się ofiarami, tak samo jak u osób uprowadzonych, może występować swoista forma syndromu sztokholmskiego. Przede wszystkim chodzi o przetrwanie, o bardzo proste instynkty, które wyłączają intelektualnie rozwinięte obszary mózgu. Ludzie w obliczu zagrożenia łatwo ulegają sugestiom, przestawiają się na zupełnie inny tryb. Niby powinni myśleć: „Nienawidzę typa za to, że sprawia mi ból i wywołuje we mnie lęk”, a tymczasem myślą: „Bez tego typa umrę z głodu, kocham go za to, że się o mnie troszczy”. Mechanizm przetrwania to zwodniczy i bardzo pokrętny system, który sprawia, że agresor zaczyna być postrzegany jako wybawiciel.

Pod dom podjechały dwa policyjne radiowozy. Korda z Gustlikiem wysiedli z auta i przywitali się z ekipą operacyjną.

– Wchodzimy, panowie – zarządził detektyw. – Szukamy czegokolwiek, co prowadziłoby do Liwii Dembskiej. Potencjalnie też samej Liwii Dembskiej lub w najgorszym wypadku jej ciała, choć nie sądzę, by sprawca morderstwa ukrył je na własnej posesji. A! No i rozglądamy się za klatkami z motylami. Być może Bizoń jest amatorem tych owadów.

14

Alicja Grabska zerknęła na komentarze pod swoim artykułem z rana. Pobicie chłopaka zaginionej Liwii Dembskiej wywołało w sieci burzę. Opinia publiczna była podzielona. Jedni mu współczuli,

twierdząc, że to oznaka jego niewinności, inni pisali, że pewnie pokłócił się ze współnikiem w zbrodni, a jeszcze inni, że sam się okaleczył, by zrobić z siebie ofiarę i odeprzeć zarzuty. Bez względu na stanowisko, wszyscy zastanawiali się jednak, czemu Julek Kamać milczał, nie starając się wyjaśnić sprawy. Co znowu było wodą na młyn dla tych, którzy uważali, że zabił córkę polityka z zazdrości i ukrył jej ciało, fingując swoje obrażenia. Dziennikarka skrupulatnie przeanalizowała wszystkie wpisy, starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, ale dyskusja sprowadzała się przede wszystkim do hejtu na chłopaka Liwii lub hejtu na tych, którzy go hejtowali.

Oczywiście Julek Kamać był dzisiaj jedynie tematem zastępczym. Grabska bardzo żałowała, że nie mogła wykorzystać na razie informacji, które udało im się zebrać w ciągu dwóch ostatnich dni – powiązania sprawy Liwii Dembskiej ze sprawą zaginięcia Niny Kołodziej i kwestii jedyne materialnego śladu, który prawdopodobnie wskazywał na osobę sprawcy: jednej z największych ciem świata, Pawicy atlas. Wiedziała jednak, że przekazanie tych informacji opinii publicznej nie tylko byłoby nieetyczne względem Kordey, ale także mogłoby zniweczyć powodzenie akcji śledczej, której bądź co bądź stała się częścią. Alicja uśmiechnęła się w duchu. Właśnie po to skończyła dziennikarstwo. Tak naprawdę nie obchodziły jej kariera, pieniądze, nazwisko. Najważniejsze było dochodzenie do prawdy. Jedynie to dawało jej satysfakcję.

Grabska otworzyła okienko z przeglądarką i wbiła w nią hasło „Attacus atlas Trójmiasto”. Wyskoczyły jej strony Muzeum Motyli w Łebie, Farma Motyli w Babim Dole, Motylarnia Niechorze. Zapisała wyniki, choć intuicja podpowiadała jej, że nie są znaczące. Następnie skupiła się na Gdańsku. Tu też nie znalazła niczego konkretnego. Zjechała w dół. Motylarnia w oliwskim Zoo. Tu *Attacus atlas* był dostępny, ale pawilon z motylami otwarty był jedynie w sezonie letnim. Teoretycznie w zoo też rosły żywopłoty, ale zgodnie z obrazem miejsca stworzonym przez Janinę Hinc chodziło o stary dom z ogrodem. I to właśnie tam ktoś najpewniej amatorsko hodował pawice. Potem sprawdziła frazy z Gdynią i Sopotem, ale też z marnym skutkiem. Postukała palcami o blat biurka. Pomyślała chwilę i weszła na Allegro. Odnalazła dwie oferty pawic atlas

w gablotkach, wbiła filtr dla województwa pomorskiego, ale oferty zniknęły. Niezadowolona mruknęła i postanowiła prześledzić fora poświęcone takim motylom, ale tutaj też nie znalazła niczego, co prowadziłoby do lokalnej hodowli. Mimo to zarejestrowała się na Polskim Forum Entomologicznym i otworzyła wątek po tytule: „Gdzie można nabyć *Attacus atlas* w Trójmieście?”.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się motylami. – Usłyszała tuż za sobą głos Mariusza Kierskiego.

Momentalnie podskoczyła i natychmiast wygasła monitor.

– Nie umiesz pukać? – warknęła.

– Miałaś uchylone. – Asystent Szylbacha wzruszył ramionami. – Co to za akcja z tymi motylami? – naciskał.

– Po prostu lubię motyle – odparła Grabska. – Gdybyś miał w sobie choć troszkę wrażliwości, też byś lubił. – Wstała od biurka. – Jakby Szylbach pytał, to już wyszłam. Popracuję jeszcze w domu.

Złapała płaszcz i torebkę i czym prędzej minęła Kierskiego, który nieufnie jej się przypatrywał.

Szybkim krokiem pokonała schody na parter i po chwili pędziła autem w stronę Haffnera. Poczowała, że coś jej umyka, jakiś element, który gdzieś się pojawił, lecz teraz nie mogła go zwizualizować. W jej głowie znów pojawił się dobrze znany niepokój. Uczucie, które chodziło za nią od dawna.

Zaparkowała na podjeździe przed narożną kamienicą, wdrapała się na drugie piętro, zamknęła za sobą drzwi. Ten cholerny niepokój. To cholerne uczucie, że nie panuje nad rzeczywistością. Nie mogła teraz usiąść do pracy. Coś jej umykało. Tylko co? Pulsacyjnie zacisnęła pięści. Starła się skupić, ale niepokój nie pozwalał jej zebrać myśli. Wyjrzała przez okno. Nad Sopotem wisiały ciężkie szare chmury, ale przynajmniej przestało padać. Do zmierzchu pozostała niecała godzina. Wiedziała, że musiała w końcu się przemóc. Nic jej przecież nie groziło. Nie mogła ciągle żyć w lęku. Wciągnęła dres i sportowe buty, włosy ściągnęła gumką, włożyła granatowy puchowy bezrękawnik i ruszyła w stronę Bałtyku.

Truchtem przebiegła plac Mancowy i znalazła się na plaży. Ta skąpiana była w graficie. Piasek zdawał się mieć taki sam kolor jak ciężkie, nieprzerwane w żadnym miejscu chmury, których nie

potrafił przepędzić porywisty mroźny wiatr boleśnie smagający skórę na twarzy Alicji. Kobieta popędziła brzegiem. Jej serce biło tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. W biegu spojrzała za siebie. Plaża była zupełnie pusta. Nikt za nią nie szedł, nikogo nie interesowała. Była tylko ona i morze; wzburzone, groźne, szumiące głośniejsz niż kiedykolwiek wcześniej. Grabska wysuwała nogi przed siebie. Raz i dwa. Raz i dwa. Raz i dwa. W końcu zaczęła łapać rytm. Jej kroki zrobiły się sprężyste i niewymuszone.

„Uciekaj, uciekaj” – wybrzmiało tuż przy jej uchu.

Szybko się obróciła. Nikogo. Była sama. Zupełnie sama.

Przyspieszyła.

„Uciekaj, uciekaj i tak cię dogonię, suko!” – znów pojawił się głos.

– Spieprzaj – powiedziała i biegła dalej, siłując się z napierającym na nią wiatrem.

„Suuuuka. Suuuuka” – przeciągle zaśmiał się głos.

– Spierdalaj! – krzyknęła. – Spierdalaaj!

Głos uleciał. Raz i dwa. Raz i dwa. Przeszłości nie było. Zniknęła. Nigdy nie istniała. Został tylko szum; głęboki i pusty jak wyschła studnia.

Alicja zawróciła i biegła teraz wraz z wiatrem, otoczona szarością zmierzającego dnia. Nie mogła się doczekać, aż usiadzie do komputera i z wywietrzoną głową ponownie wniknie w historię zamordowanej przed dwudziestoma siedmioma laty Adrianny Milewskiej. Jak to się stało, że nikt nigdy nie zapłacił za jej śmierć? Co pominięto? Na co nie zwrócono uwagi? Nie ma przecież zbrodni doskonałych, są jedynie niedoskonali śledczy. Każdą zagadkę da się rozwikłać, trzeba tylko spojrzeć na nią z właściwej perspektywy. Zobaczyć, których elementów brakuje w całości opowieści. Alicja znów zaczęła śledzić w myślach dzień morderstwa. Droge dziewczyny z tańców, napaść, gwałt i wielokrotne uderzenia kamieniem w głowę, ucieczkę sprawcy z miejsca zbrodni, poszukiwania córki przez matkę, przeciągły krzyk, niebieskie koguty policyjne, rozkładane nosze, srebrne walizeczki do zbierania śladów kryminalistycznych. Tak. Ślady kryminalistyczne. To one stanowiły narrację zbrodni. Czy dziś ekolog sądowy wyczytałby z nich więcej niż technik sprzed niemal trzech dekad? Poczowała małe ukłucie. Czy to był brakujący element? Starła się zrekonstruować w myślach

odpowiednią stronę protokołu oględzin miejsca znalezienia ciała. Zawsze miała pamięć wzrokową. Przed oczami wyświetlił jej się wykaz zabezpieczonych śladów, w tym makro- i mikrośladów na folii daktyloskopijnej i taśmie lepiałej. Co tam się znajdowało? Zaczęła przewijać obraz. Zatrzymała. Wciąż biegnąc, zmrużyła oczy, lecz litery nie chciały ułożyć się w słowa.

Adrianna Milewska też była thicc – pomyślała nagle, a jej serce zaczęło bić mocniej. Nie zwalniając, opuściła plażę, przecięła plac Mancowy i wbiegła do kamienicy przy Haffnera.

15

Za oknem zapadła już noc. Oskar Korda, Janina Hinc i Alicja Grabska pochylali się nad rozłożonymi na biurku dziennikarki aktami, a ich postaci rzucały na ścianę długie cienie. Alicja po raz kolejny przeczytała wykaz mikrośladów zabezpieczonych z odzieży wierzchniej ofiary:

– „Cząstki gleby, listowia, mchów i pyłków roślinnych, pył węglowy, drobiny śliny, włókno wełny, czułek motyla nocnego” – wyliczając, zaakcentowała ostatnie dwa słowa. – Skąd czułek motyla na ubraniu ofiary pod koniec listopada?! Nie przypomina wam to czegoś? – Spojrzała ostentacyjnie na detektywa.

Oskar kilkakrotnie przejechał kciukiem po bliźnie.

– No dobrze. Pomyślmy. – Poruszył głową na boki, rozciągając mięśnie szyi. – Do morderstwa doszło w sąsiedztwie zaginięć Niny Kołodziej i Liwii Dembskiej. Od śmierci Ady do zniknięcia Niny minęło dwanaście lat, a od zniknięcia Niny do potencjalnego uprowadzenia Liwii kolejne piętnaście. Dziewczyny były w tym samym wieku. I wszystkie trzy miały budowę tak zwanej klepsydry, czy jak się teraz mówi, thicc. A do tego w każdej ze spraw pojawił się motyw motyla. Sporo zbieżności, przyznaję. Jest to dość zaskakujące. – Złączył dłonie w koszycek i strzyknął palcami. – Ale mamy tu do czynienia z zupełnie innym modus operandi, choć, kurwa, może tylko pozornie? – myślał na głos. – Bo do dwóch pierwszych ataków doszło nieopodal domów ofiar. W przypadku

Adrianny Milewskiej na miejscu zdarzenia znaleziono ciało. W dwóch innych przypadkach dziewczyny po prostu zniknęły. Ale...

– Za pierwszym razem mógł działać w sposób chaotyczny i nieorganizowany. Może nawet nie planował zabójstwa, może działał w afekcie? – przerwała mu Alicja.

– Dlatego zaatakował w miejscu, w którym w każdej chwili ktoś mógł go nakryć. Nie zabezpieczył się i zostawił ciało na miejscu zbrodni. Może sam był zaskoczony, że był zdolny do takiego czynu? – kontynuował Korda.

– Po pierwszym okresie wyciszenia znów zaatakował, ale tym razem działał bardziej metodycznie. Jedyną rzeczą, którą przegapił, był discman, który zgubiła Nina Kołodziej, prawdopodobnie gdy ją zaatakował – powiedziała Grabska.

– Liwię też obserwował i śledził – szepnęła niemal Janina Hinc, szeroko otwierając oczy. – A że wyszła z domu w nocy, skorzystał z okazji i dopadł ją gdzieś, dokądkolwiek się udała.

– Albo sam wywabił ją z domu – zauważył detektyw.

– Albo sam wywabił ją z domu – powtórzyła Grabska.

– Tylko jak? – zastanowił się Korda. – Liwia nie odebrała żadnego naglącego telefonu ani SMS-a, korespondencja z Peterem urywa się na Pitu-Pitu jakiś tydzień wcześniej, ewentualnie zostaje Messenger, którego nie mamy jak sprawdzić.

– Może umówili się tej nocy wcześniej? Podczas ostatniego spotkania na przykład? – zauważyła Hinc.

– Może. – Zamyślony policjant zagryzł wargę. – W jaki sposób ten czułek motyla mógł znaleźć się na kurtce Adrianny? – zwrócił się do ekolożki. – No bo skrzydło, tak jak mówiła Skowron, naturalnie się zużywa i kawałek może odpaść, tak? Ale czułek?

– Z tego, co wiem, wielu hodowców motyli preparuje je po śmierci, czyli rozkłada ładnie skrzydła na tak zwanym rozpinadle za pomocą szpilek entomologicznych. No i pewnie w trakcie takiej praktyki zdarza się, że odpadnie odnóże albo właśnie czułek owada, który przyczepi się do odzieży czy włosów hodowcy – odparła Janina.

– A tym samym doszło do przeszczepienia pojedynczego, czyli przeniesienia materiału z obiektu A, czyli sprawcy, na obiekt B, czyli ofiary – kombinował Korda.

– Czyli dalej szukamy lokalnego hodowcy *Attacus atlas* – skonstatowała Alicja. – Choć akurat w przypadku Ady nie wiemy nawet, czy chodzi o pawicę.

– Taaaak. – Korda znów pochylił się nad protokołem. – Z tego, co widzę, analizie poddano dwa rodzaje włókna wełny znalezione na kurtce ofiary, stwierdzając, że najpewniej pochodzą z szalika sprawcy, a ich zgodność może występować raz na czterysta ubrań, co jednak nie daje nam kompletnie nic. Analizę DNA czułka natomiast olali, z adnotacją, że przypuszczalnie fragment motyla znajdował się w ogrodowej glebie.

– Janina, czy po dwudziestu siedmiu latach jest szansa sprawdzenia, od jakiego gatunku motyla jest czułek? – spytała Alicja.

– Jeżeli woreczek z dowodem był przechowywany w suchym miejscu i czułek nie spleśniał, to tak. Suche okazy muzealne nieraz zachowują się w świetnym stanie nawet sto pięćdziesiąt lat – odparła Hinc.

– Okej. Rozumiem, że jeśli dostarczę ci czułek zdatny do analizy, to będziesz w stanie sprawdzić zgodność dowodów? – zapytał Korda. – Ile powinno ci to zająć?

– Cóż, zanim uzyska się dwie sekwencje DNA, które następnie można porównać i powiedzieć, że na pewno pochodzą od tego samego gatunku, trzeba przejść kilka etapów. Izolację DNA, czyli po prostu wyciągnięcie go z fragmentu czułka, mogę zrobić w kilka godzin. Następnie musiałabym powielić wybraną sekwencję DNA będącą swego rodzaju genetycznym kodem kreskowym i sprawdzić, czy DNA się zduplikowało, i to jest drugi dzień pracy. No a potem zostaje zsekwencjonowanie uzyskanego genu, czyli trzeci dzień pracy. Oczywiście przy nieograniczonym dostępie do ciepłarki, wirówki laboratoryjnej, pipet automatycznych, termocyklera do reakcji powielania DNA, aparatu do elektroforezy, dzięki której zobaczą w świetle UV prążki DNA, oraz sekwenatora do uzyskania sekwencji DNA, czyli bardzo drogich sprzętów znajdujących się w laboratorium uniwersyteckim, z którego za odpowiednim pozwoleniem musiałabym ponownie skorzystać.

– Rozumiem, czyli pewność będziemy mieć za kilka dni, jeśli nie pojawią się żadne przeciwności. A tymczasem możemy jedynie

spekulować o zbieżności – zauważył Korda.

– No a reszta podobieństw? – oburzyła się Alicja.

– Są, oczywiście. Ale nie sądzę, by prokurator na tym etapie klepnął mi połączenie spraw. Gdyby to był Leopold Bilski, to mogłoby być inaczej, ale nie stary Wierzbicki. Ostatnio ciągle z nim współpracuję, niestety, a w przeciwieństwie do Bilskiego horyzonty ma ciasne jak schowek na szczotki.

– No dobra, czyli na razie jedziemy nieoficjalnie – uśmiechnęła się Grabska.

– To się nazywa operacyjnie. – Puścił oko Korda. – Byli jacyś podejrzani w sprawie Milewskiej?

– Tak – odparła Alicja. – Jediną osobą, którą śledczy wskazywali, był niejaki Michał Orłoś, na którego wołano „Michael” ze względu na naśladowanie image’u Michaela Jacksona. Sympatia Ady. Ale finalnie odparto zarzuty ze względu na brak zbieżności odlewu gipsowego – wraz z woskowymi kęsami zwarciowymi zębów – szczęki i żuchwy od Orłosa ze śladami zębów w postaci ugryzienia pozostawionego na udzie ofiary.

– Ugryzienia? – zainteresowała się Hinc.

– Tak. Ada Milewska miała na udach schodzące siniaki częściowo w kształcie dużych, najpewniej męskich rąk, które powstały wskutek mocnego ściskania skóry, oraz ślady po trzech ugryzieniach sprzed kilku dni poprzedzających jej śmierć. – Alicja Grabska odszukała w aktach odpowiednią stronę i przeczytała na głos: – „W sporządzeniu ekspertyzy dla sądu uczestniczyło czterech biegłych, w tym medyk sądowy, antropolog, stomatolog i biegły sądowy w dziedzinie fotografometrii i fotointerpretacji zdjęć. Oględziny zewnętrzne wykazały między innymi zlokalizowane na wewnętrznej stronie lewego uda otarcie naskórka w kształcie niepełnego okręgu, o cechach śladu po ugryzieniu zębami ludzkimi. W części górnej śladu znajdowało się łukowate otarcie naskórka o wymiarach około czterech na pół centymetra, wypukłością łuku skierowaną ku górze. W części dolnej znajdowały się dwa liniowe otarcia naskórka o wymiarach trzy i pół na zero przecinek sześć centymetra i cztery i pół na zero przecinek osiem centymetra. W górno-bocznym kwadrancie badanego miejsca znaleziono dwa półokrągłe otarcia naskórka składające się z licznych drobnych

otarć, tworzące fragment okręgu o średnicy czterech centymetrów. W przyśrodkowym brzegu uwidocznili się siniec o wymiarach około dwóch na półtora centymetra. Ślady ugryzień w postaci trzech łukowatych par pasm o zarysie elipsoidalnym pozwalają na odwzorowanie cech indywidualnych zębów, a tym samym zostały wybrane do dalszych badań” – Grabska przestała czytać i dodała: – Dołączono też zdjęcie.

Na fotografii widniał fragment bladego ciała o bordowych półokrągłych śladach. „Skóra naznaczona otarciem naskórka, skupiskiem śródskórnych wybroczyn krwawych i podbiegnięcia krwawego, powstałych w wyniku działania narzędzia tępokrawędzistego, jakim są zęby człowieka i prawdopodobnie paznokcie palców ręki” – głosił napis pod zdjęciem. Zebrani przyglądali się mu chwilę w ciszy.

– Czyli musimy znaleźć tego, kto zostawił te ślady, a dowiemy się, co stało się z Niną i Liwią. – Janka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– W teorii – mruknął nieufnie Korda.

– Nie podoba ci się ten plan? – uśmiechnęła się lekko Alicja.

– Hm, podoba – odparł detektyw. – Ale jeśli mamy do czynienia z jednym sprawcą w tych trzech sprawach, musimy przyjąć, że Liwii Dembskiej nie odnajdziemy już żywej.

Wszyscy zamilkli, trawiając ten wniosek. Korda zapewne miał rację. To, jak brutalnie została potraktowana Adrianna Milewska na dziedzińcu własnego domu, nie pozostawiało złudzeń.

– Odwiozę cię – zwrócił się w końcu Oskar Korda do Janiny Hinc, którą zabrał ze sobą autem po drodze do Alicji.

Ta skinęła głową.

Po chwili Grabska patrzyła, jak detektyw i ekolożka sądowa znikają za drzwiami, pozostawiając za sobą pusty odgłos kroków odbijających się po skąpanej w ciszy klatce schodowej. Osunęła się po ścianie w przedpokoju i przysiadła na zimnych kaflach. Poczowała się zmęczona i potwornie samotna.

Deski były twarde. Tak bardzo twarde. Jej pośladki zupełnie zdrętwiały, tak samo jak nogi, ramiona, dłonie i szyja. To leżące tu ciało wydawało jej się obce, jakby należało do kogoś innego, jakby było martwym mięsem pozbawionym czucia. Liwia starała się lekko przekreślić na bok, lecz ciasna skrzynia na to nie pozwalała. Mogła jedynie lekko unieść ręce i objąć nimi po ściankach. Ale nie miała już na to siły. Nic to nie dawało. Od wielu godzin nikt się u niej nie zjawił.

Bardzo chciało jej się pić. W brzuchu burczało, a pęcherz palił coraz bardziej. Ile człowiek może nie sikać, póki nie zbiorą się bakterie, póki nie zainfekują organizmu, póki nie wybuchnie od środka? Przecież nie mogła tu się załatwić. Przecież nie mogła leżeć tu w kałuży moczu, mokra, zziębnięta i śmierdząca jak umierające bydło.

Oddałyby wszystko, by stąd wyjść.

Zrobiłyby wszystko, by tylko otworzyć wieko skrzyni i się stąd wydostać.

Zrobiłyby wszystko, czego by zażądał.

Stałyby się prymitywnym gadem, uległym, posłusznym niewolnikiem, byle tylko ten koszmar się skończył. Byle więcej męczyzna nie pogrzebał jej żywcem.

Ale on nie żądał. Opuścił ją. Zostawił. Porzucił. Zupełnie o niej zapomniał.

A jeśli coś mu się stało? Nagle przeraziła ją taka myśl. Jeśli miał wypadek, trafił do szpitala albo... umarł. Przecież ciągle zdarzają się wypadki. Przecież nie mogła tego wykluczać. Co wtedy? Nikt nie wiedział, gdzie Liwia jest. Nikt nie wiedział, gdzie stoi skrzynia, w której ją zamknął. Boże. Umrze tu. Będzie umierać długo. W męczarniach. W najpodlejszych męczarniach.

Jej serce zaczęło walić.

– Nie. Nie. Nie. Nie. Nie – zaczęła mówić do siebie, macając palcami deski, jakby miała nagle odnaleźć w nich guzik otwierający sekretne przejście. Ale guzika nie było. Nie miała jak się stąd wydostać.

Umrze tu. Umrze.

Znów poczuła, że się dusi. Jej oddech stał się świszczący, jakby ktoś miażdżył jej tchawicę.

– Nie. Nie. Nie. Nie. Nie – powtarzała raz po raz, próbując zaczerpnąć powietrza.

Spokojnie – nakazała sobie w myślach. *Musisz się uspokoić. Musisz się uspokoić. Nie popadaj w paranoję. Przecież nic mu się nie stało. Żyje i ma się świetnie. Wróci tu i cię wypuści. Zabierze na górę. Tak jak obiecał.*

Jej oddech zaczął się wyrównywać. *Myśl o czymś przyjemnym. Myśl o czymś dobrym* – poleciła sobie. Nie mogła zapadać się w siebie, nie mogła zakładać najgorszego. Musiała mieć nadzieję, bo tylko tak mogła przeżyć.

Zacisnęła oczy i starała się skupić. Dobre wspomnienie. Jakieś dobre wspomnienie... Nagle jej mózg wytworzył zapach. Bigos, pieczony kurczak i papierosy. Mimowolnie się uśmiechnęła i ujrzała w wyobraźni mieszkanie cioci w bloku na gdyńskim Obłuzu. Było niewielkie i ciasne, za to ciepłe i przytulne, wyłożone brązową wykładziną i boazerią. I zawsze pachniało tak samo – przygotowywanymi na jej przyjazd bigosem i pieczonym kurczakiem oraz unoszącym się w powietrzu szarym gęstym dymem, który wchodził do nosa i ust, który otulał ją jak szeleszcząca kołdra. Lubiała się w nim kryć. Po śmierci mamy nigdzie nie czuła się tak bezpiecznie. Ojciec często właśnie tam ją podrzucał. W niemal wszystkie weekendy, ferie, wakacje. Ciotka stara panna i – jak mawiał ojciec – wariatka oraz ona. Nierozłączny duet. Całe noce chrupały chipsy i oglądały horrory, dniami leżały do góry brzuchami i opychały się czekoladą. Liwia wracała stamtąd kilka kilo cięższa, co ojciec skrupulatnie rejestrował. Na co dzień niemal jej nie dostrzegał, ale akurat to nigdy nie uchodziło jego uwadze. „Brzuszek ci się zaokrąglił” – mówił od niechcienia. Niby się z tego śmiał. Przecież co go mogło obchodzić, że przytyła. A jednak zdrobnienie w padającym zdaniu nie łagodziło skurczu niechęci do siebie, jaki odczuwała Liwia. Po kilku pierwszych razach dziewczyna zaczęła czekać, aż ojciec wypowie te słowa – wyczekiwała tej krótkiej chwili, w której nagle dla niego istniała. Czerpała z tej zniewagi jakąś niewypowiedzianą i przewrotnie bolesną satysfakcję, aż pewnego dnia zdała sobie sprawę, że zdanie pada z ust ojca mechanicznie. Zupełnie nic nie znaczyło. Ona zupełnie nic nie znaczyła. Dla ojca, dla nikogo. Nie było jej.

Znów zbaczała z obranej drogi. Znów jej myśli zbłądziły w niebezpieczne rejony. *Dosyć. Dosyć!* – krzyknęła na siebie w duchu. Przecież istniała! Czuła! Była! Miała w sobie tyle uczuć! Tak bardzo chciała o nich komuś opowiedzieć. Tak bardzo się bała, że te uczucia znikną wraz z nią. Tak bardzo się bała, że czarny robak wszystko zeżre, zniszczy, że zabierze jej wspomnienie zapachów bigosu, pieczonego kurczaka i papierosów, które budowały jej dom.

Dembska zacisnęła oczy. Pragnęła się rozpłakać, ale nie miała już w oczach łez. Była pewna, że tak samo wyschnięte stały się jej żyły. Nie było w niej już nic płynnego. Czarny robak wszystko wyssał. Był tylko mocz. Kwaśny i skisły, trujący ją od środka. Nie mogła go w sobie dłużej mieć. Nie mogła. Nie mogła...

Nacisnęła przeponą na pęcherz i poczuła natychmiastową ulgę.

1992

1

Furtka skrzypnęła. Jej wilgotne deski porastał gnijący mech, tak samo jak betonowe stare płyty leżące na ścieżce prowadzącej do domu. Na dziko rosnącym żywopłocie wystającym poza ceglany mur osiadła cieniutka warstewka śniegu. Adrianna Milewska ostrożnie stawiała kroki. Nie chciała się poślizgnąć i zwichnąć nogi, nie tuż przed konkursem.

Mężczyzna otworzył drzwi i znaleźli się w ciemnym korytarzu o bordowej wykładzinie i ścianach pokrytych brązową boazerią. Kurtki zostawili na haczykach.

– Chodź. – Piotr chwycił ją za rękę i poprowadził w głąb domu.

Wyczuwalny zapach pleśni wywoływał u Ady lekkie mdłości, ale zacisnęła usta. Nie chciała znów sprawić mężczyźnie przykrości. Zauważyła, że jest trochę przewrażliwiony. Pewnie było to normalne u kogoś, kto miał ciężkie dzieciństwo. Apodyktyczny ojciec go straszył, musztrował i wyśmiewał na każdym kroku. Potrafił go wyzywać tylko za to, że firanka w jego pokoju wisiała krzywo. „Nie widzisz tego, niechluj!” – darł się wniebogłosy. Do pokoju syna wchodził zawsze znienacka i bez pukania, jakby Piotr nie miał prawa do prywatności. Raz przyłapał go na masturbacji. Wtedy stanął nad nim i zaśmiał mu się prosto w twarz. Niby nic takiego, a jednak zostawiło w Piotrze uraz, którego nie potrafił wymazać.

Ada spojrzała na idącego przed sobą mężczyznę z czułością. *Mój biedny, mój kochany* – pomyślała.

– Mamo! To ja! – krzyknął Piotr i w przelocie odwrócił się do Ady.

Miał uśmiechniętą, podekscytowaną twarz. Dziewczyna też się wyszczerzyła zębami. Wyszło to trochę sztucznie, bo żołądek skręcał jej się z nerwów. Jeszcze nigdy nie poznawała matki jakiegoś chłopaka. Zjadała ją trema.

A jeśli mnie nie polubi? Pomyśli, że jestem za młoda? Za głupia? Brzydka i gruba? – w głowie pojawiały się wątpliwości. Piotr na pewno liczył się z jej zdaniem, inaczej by jej tu nie zabrał.

– Mamo! – zawołał znów w przestrzeń. Weszli do kuchni. – Tu jesteś! – Ucieszył się na widok nieruchomo siedzącej przy stole siwowłosej kobiety ubranej w granatową spódnicę i białą odświeżoną bluzkę.

Podszedł do niej i cmoknął ją w policzek.

– Mamo, poznaj Adę. – Dumnie wskazał na dziewczynę. – Moją dziewczynę.

– Dzień dobry. – Dygnęła Milewska.

Matka ani drgnęła. Mętym wzrokiem wpatrywała się w stojącą przed nią szafkę. Ada pytająco zerknęła na Piotra, lecz ten jakby nigdy nic postawił na blacie siatkę z zakupami i zaczął ją rozpakowywać.

– Kupiłem ci bułki i mleko – mówił beztrąsko. – I gazetę z ploteczkami. – Odwrócił się do kobiety i niefrasobliwie potargał jej krótko ścięte, postrzępione włosy. – Wiem, że lubisz, choć uważam, że to niezbyt mądre – modulował głos, jakby pouczał dziecko. – Ty sobie teraz posiedź, odpocznij, a ja zabiorę Adę do pokoju.

Matka nie zareagowała. Wciąż patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Wszystko z nią... dobrze? – zapytała dziewczyna, gdy znów znaleźli się na korytarzu.

– Tak. A czemu? – Piotr szedł różnym krokiem.

– Nie. Nic. Tak tylko... – Ada była zmieszana.

Inaczej sobie wyobrażała spotkanie z jego matką. Nie wspominał, że była... no cóż, stara zapewne. W sumie dziewczyna powinna była się tego spodziewać. Jak mogła nie wziąć tego pod uwagę, w końcu ona i Piotr nie byli w tym samym wieku. Choć nie, dzieliła ich raptem dekada, więc... Jej rozmyślenia przerwał głos:

– Mam dla ciebie niespodziankę. – Z estymą nacisnął na klamkę zamkniętych drzwi.

W środku panował mrok, który rozświetlały jedynie dwie ustawione na podłodze małe lampki. Stojący w kącie wentylator uspokajająco szumiał. Pod ścianą stały zbudowane z desek klatki osłonięte białą siatką. Ada postąpiła kilka kroków do przodu.

– No nie bój się – powiedział mężczyzna. – Chodź bliżej.
– Co tam trzymasz? – Dziewczyna zmrużyła oczy. – Chyba nie pająki. – Wzdrygnęła się.

– Żadne pająki – roześmiał się Piotr. – Coś znacznie lepszego. Zobacz. – Pociągnął Adę do jednej z klatek.

Dziewczyna przesuwiała wzrokiem po kawałku pnia przecinającego konstrukcję.

– Motyle! – zawołała w końcu.

– Motyle – przyznał Piotr. – Największe motyle nocne na świecie. Żyją tylko kilka dni i tylko po to, by kopulować. Samica składa jaja i ginie, podobnie jak samiec.

– Straszne – szepnęła Ada, przyglądając się brązowoczerwonym rozłożonym skrzydłom dwóch ciem.

– Straszne i piękne – uśmiechnął się mężczyzna.

Sięgnął do uchwytu, otworzył drzwiczki klatki i wyjął z nich jedną z pawic. Ta bezszelestnie drżała w jego dłoni.

– Mówi się, że skrzydła motyla to zaawansowany wytwór inżynierii przyrody. – Piotr w zachwycie przechylił głowę na bok. – Zobacz, ta pozornie delikatna błona jest tak naprawdę bardzo wytrzymała. Na obciążenia, naprężenia. – Nie pytając, przeniósł motyla na dłoń Ady, ta cicho pisnęła. – Niesamowite, co? Samica, machając w powietrzu skrzydłami, wydziela tysiące oszałamiających zapachów, takich, że samiec, który je wyłapie, w naturalnych warunkach pokonuje nawet pięć kilometrów, by tylko dotrzeć do swojej miłości, która finalnie prowadzi do ich śmierci. Czy to nie romantyczne?

– Dziwnie pojmujesz romantyczność – zaśmiała się lekko Ada.

– Czy ja wiem? Chyba właśnie tak, jak powinno się ją pojmować – odparł mężczyzna, nie odrywając wzroku od motyla.

Chwilę stali w ciszy, przyglądając się w mroku drżącemu motylowi, największemu na świecie, delikatnemu i silnemu zarazem. Wentylator szumiał kojąco, a Ada zaczęła nucić piosenkę, którą tak często na magnetofonie szpulowym puszczała jej mama: „Krótko żyją motyle, wyleciały na chwilę na wiatr. Lato pali upały, nawet pachnie jabłkami jak sad”. Poczwała w sobie niewiarygodny spokój. Jakby całe jej dotychczasowe życie prowadziło właśnie do tego momentu.

Gdy opuszczali dom matki Piotra, dziewczyna złapała go za rękę. Poczła się naprawdę szczęśliwa. Prawdziwie dorosła.

I wtedy ją zobaczyła. Agnieszkę Walizowską, przezywaną Walizą. Szła chodnikiem naprzeciwko nich i sarkastycznie się uśmiechała.

Ada natychmiast puściła dłoń swojego chłopaka i zrozumiała, że to wszystko, co przed chwilą przeżyła, było iluzją.

2

W głośnikach szkolnej radiostacji dudnił największy przebój eurodance ostatnich miesięcy. Uczniowie przepychający się po holu śpiewali *It's My Life*, a Ada Milewska po raz pierwszy odniosła tekst piosenki Dr. Albana do siebie... „Żyj swoim życiem i uwolnij mnie. Pilnuj własnych spraw i zostaw moje”... Cholera! Tak głupio wpadła! W żołądku czuła nieprzyjemny uścisk. Dziewczyna uważnie spoglądała po twarzach mijających ją nastolatków, ale nikt na nią nie patrzył, nikt nie zwracał na nią uwagi. To dobrze, bardzo dobrze. Może wcale nie było tak źle.

Co musiała pomyśleć Waliza, gdy zobaczyła ją z Piotrem? Z podstarzałym mężczyzną w prząsnym garniturze, którego trzymała za rękę. Czy powie o tym innym? Czy powie o tym Michaelowi? Czy powie o tym... rodzicom? Brzuch zabolął ją jeszcze mocniej. A może Ada zdążyła puścić rękę Piotra, nim Waliza ich zobaczyła? Może pomyślała, że Ada idzie ze swoim ojcem albo wujkiem? Ale wtedy nie miałyby takiej miny – uradowanej i zniesmaczonej, jakby przyłapała Adę na czymś naprawdę brzydkim i złym. Czy to, co robiła Ada, było brzydkie i złe? Czy Piotr był brzydki i niesmaczny? Czy Ada się go wstydziła? Tego, ile ma lat i jak wygląda? Czy to nie tego Ada sama bała się całe życie? Że inni będą osądzać to, kim jest, przez to, jak wygląda?

Dziewczyna miała w głowie mętlik. Najchętniej wyszłaby ze szkoły i wróciła do domu, skuliła się pod kołdrą i nigdy stamtąd nie wyszła. Zarazem bała się niewiedzy. Bała się tego, co może powiedzieć o niej Waliza, gdy ona nie będzie mogła się obronić. Tata zawsze powtarzał, że najgorszą wersją rzeczywistości jest jej wyobrażenie, dlatego zawsze trzeba konfrontować się z problemami.

Może nie będzie tak źle? Może uda jej się porozmawiać z Walizą, nim zdąży komuś powiedzieć? Może zdąży wytłumaczyć, że to, co widziała, nie było prawdą? A może okaże się, że zaimponowała dziewczynie? Agnieszka myśli przecież, że Ada jest mięczakiem, a tymczasem spotyka się na seks ze starszymi facetami. Ma podwójne życie. Jest bardziej dorosła niż wszystkie inne dziewczyny z liceum. Tak. Ada powinna czuć się lepsza. Tak powinna się czuć. Musi wysoko podnieść głowę i być ponad to. Jest piękna, seksowna, zupełnie wyzwolona.

Ada poczuła lekką otuchę i ruszyła w stronę Magdy, którą dostrzegła stojącą wraz z dziewczynami z klasy przy oknie.

– Hej – powiedziała niepewnie.

– Hej! – Magda rozpromieniła się. – Nabijamy się właśnie z Kowalskiej i Myszy. Ty, zobacz, uderzyły w pogo. – Koleżanka rozdziawiła ostentacyjnie buzię i wskazała rozbawiona na dwie ubrane na czarno dziewczyny w glanach, które obijając się o siebie, skakały do *Let's Go Ramones*. – Czacha dymi, nie?

– Chyba się sprite'a nałykały. – Anka Radziszko podniosła znacząco brwi.

– Sprite'a? – powtórzyła Ada.

– No spirytu – wyjaśniła Magda. – A ty co? Znowu głowa w chmurach? O tym swoim Alu Pacino myślisz?

– Cicho – upomniała ją Ada, ściągając brwi.

– Dobra, dobra, nikt nie słyszy, dudni ta muzyka jak jakaś stara syrena.

Milewska zagryzła usta, rozglądając się wkoło. Tarczyńska uważnie jej się przyjrzała.

– Co się stało? Chyba w ciąży nie jesteś? – dopadła Adę.

– Nie! – zaprzeczyła oburzona Milewska. – My nie...

– Uff. Już myślałam, że ciąża albo że co gorsza jakiegoś adidasa złapałaś – zaczęła się śmiać przyjaciółka.

– Weź. To nie jest śmieszne. – Ada rzuciła Magdzie surowe spojrzenie.

– O Jezusku, widzę, że dzisiaj kurwicę masz, że hej. – Tarczyńska pokiwała głową. – Ciotka z Ameryki przyjechała, co?

– Widziałas dzisiaj Walizę? – zbyła jej pytanie Ada.

Uważnie wpatrywała się w tłum płynących przez hol nastolatków. Żarówiaste kolory, ortalionowe kurtki, dzins i plastikowe opaski do włosów kontrastowały z grunge'ową czernią, skórą, paskami z ćwiekami i ciężkimi metalowymi bransoletami. Waliza wpisywała się w tę drugą grupę.

– Nie. – Tarczyńska wzruszyła ramionami. – A czemu jej szukasz? Myślałam, że się nie lubicie?

– Nie – zaprzeczyła Adrianna. – Czemu?

– Bo ona buja się w Michaelu. – Magda ściągnęła czoło.

– Serio?

– Serio, serio. Nie wiedziałaś?

– Nie wiem. To nieważne.

– Dziwna jesteś dzisiaj. – Magda odwróciła się do koleżanek z klasy.

Ada Milewska nie zwróciła na to uwagi. Przeskakiwała wzrokiem po sunących korytarzem uczniach. *Ciemna grzywka, ciemna grzywka, ciemna grzywka* – powtarzała w myślach, wizualizując sobie Walizowską.

– Idę jej poszukać – powiedziała w końcu do siebie i wbiła się w tłum.

Szła przed siebie, rozglądając się pilnie. Zeszła piętro niżej. Zadzwonił dzwonek na lekcję. Korytarz zaczął się przersedzać i w końcu dostrzegła Walizę. Wraz z koleżankami wychodziła ze sklepiku. Ada popędziła w jej stronę z udawanym uśmiechem na twarzy.

– Cześć – powiedziała z daleka.

Waliza spojrzała na nią i wywróciła oczami. Ostentacyjnie mijając ją w drzwiach sklepiku, głośno powiedziała:

– Patrzcie, Żorzeta przyszła!

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem, lustrując Adę Milewską od góry do dołu z sarkastycznymi minami. Za moment zniknęły za zakrętem.

Ada patrzyła za nimi jeszcze przez dłuższą chwilę, a w jej oczach zbierały się łzy, które w końcu zaczęły spływać po twarzy.

I wtedy odwróciła głowę w stronę wnętrza sklepiku. Przy niewielkim stole, założywszy nogę na nogę, siedział Michael. Z zaciętą miną patrzył wprost na nią.

2019

1

– Jesteś pewien, że mogę przy tym być? – zapytała Alicja Grabska, gdy podjechali pod szary klockowaty budynek w Kartuzach.

– Nie kokietuj – zaśmiał się Korda. – Przecież wiem, że nie odpuściłabyś mi, gdybym cię ze sobą nie zabrał.

– Fakt – przyznała z szerokim uśmiechem. – Tylko, wiesz, czy nie będziesz miał przez to problemów? – zachnęła się.

– Już ci mówiłem, że to zupełnie nieformalna wizyta. Prokurator Bilski polecił mi swojego znajomego, który zgodził się objaśnić nam kilka psychologicznych mechanizmów. Tylko tyle. To nie będzie żaden oficjalny profil sprawcy, ale może biegły nam chociaż coś rozjaśni, bo szczerze mówiąc, wciąż błądzimy po ciemku.

– A ten były facet Liwii, Bizoń?

– Sprawdziliśmy wczoraj jego dom, ale na nic się nie natknęliśmy. Żadnych ciał, żadnych motyli. Zabezpieczyliśmy jego komputer i komórkę, przejrzelśmy spis połączeń i faktycznie ostatni kontakt Bizoń miał z Liwią, jeszcze zanim zaczęła spotykać się z Julkiem. Ale oczywiście nadal bierzemy go pod lupę. Wiesz, facet całe życie mieszkał w Trójmieście, jego żona jest kształtną, dość sporą kobietą, że tak powiem, jego wiek sprawia, że w teorii mógłby w dziewięćdziesiątym drugim widywać się też z Adą Milewską, ale tylko w teorii, bo nie mamy żadnych dowodów świadczących, że ich ścieżki się kiedykolwiek przecięły. Równie dobrze moglibyśmy wziąć z ulicy pierwszego lepszego mieszkańca Pomorza w wieku średnim.

– Ale nie każdy z nich spotykał się z Liwią Dembską.

– Fakt. Dlatego obserwujemy, może coś jeszcze wypłynie.

Alicja kiwnęła ze zrozumieniem głową.

– Słuchaj, zanim wyśiadziemy. Jakiś czas temu byłam odwiedzić ojca zamordowanej Ady Milewskiej, wiesz, w związku z blogiem. I on mi powiedział jedną rzecz, której nie znalazłam w aktach, choć

nie wiem, na ile to wiarygodne, bo był pijany i to pewnie od jakichś dwudziestu siedmiu lat.

– Dawaj, dawaj. Wiesz, że liczy się najdrobniejszy szczegół.

Grabska przytaknęła.

– Milewski mówił o łańcuszku, który Ada od niego dostała. Podobno dziewczyna często go nosiła i ten łańcuszek zniknął. Tomasz Milewski nie był pewien, czy w dniu zabójstwa córka miała go na sobie, może dlatego nie odnotowano tego w aktach sprawy, a może jej rodzice byli w takim szoku, że po prostu w ogóle o tym nie wspomnieli policji. Zobacz, znalazłam go na jednym ze zdjęć Ady ze szkoły. – Grabska wyświetliła na telefonie fotografię i przybliżyła. – Słaba rozdzielczość, ale to był złoty łańcuszek z zawieszką w kształcie nutki, bo Ada tańczyła i lubiła muzykę. Jej ojciec twierdzi, że ktokolwiek go ma, to on zabił jego córkę.

– Prześlij mi tę fotkę – poprosił Korda.

– Mhm. – Alicja udostępniła plik mailem, po czym otworzyła drzwi od strony pasażera i rozłożyła nad sobą duży czarny parasol.

Po skierowanej w dół ulicy płynął ulewny potok. Bam. Bam. Bam. Krople deszczu bębniły w napięty wodoodporny materiał.

Po chwili drzwi uchylił przed nimi wysoki mężczyzna o długich cienkich nogach i lekko wytrzeszczonych oczach. Z długim nosem i sterczącymi na boki jasnymi włosami miał w sobie coś ptasiego.

– Proszę, proszę do środka – powiedział, pomagając Alicji zdjąć płaszcz, który powiesił w drewnianej ciężkiej szafie.

Po domu roznosił się zapach rosołu, lubczyku i makulatury, która stała ułożona w równiutkie stosy w każdym możliwym kącie.

– Biegły psycholog Marcin Chraboł – przedstawił się mężczyzna i poprowadził ich do dużego pokoju wypełnionego piętrzącymi się ku sufitowi regałami z książkami.

– Prokurator Bilski kazał przekazać pozdrowienia – powiedział Oskar, gdy rozsiedli się na ustawionych naprzeciwko siebie krzesłach.

– Dziękuję, dziękuję – uśmiechnął się biegły. – Co u niego słyhać? Pewnie porwał go duży świat, co? U nas w Kartuzach to by się zmarnował, choć nie powiem, czasem to tęsknię do naszych nocnych dysput – westchnął.

– Chyba wszystko w porządku, choć, no prawdę mówiąc, to za bardzo się sobie nie zwieramy – zaśmiał się Korda.

– Oczywiście, rozumiem... – uśmiechnął się biegły. – No dobrze, to przejdźmy do meritum. – Sięgnął po leżące na stoliku przy fotelu notatki. – Przejrzałem przesłane do mnie materiały i nasuwa mi się kilka spostrzeżeń.

– Słuchamy – zapewnił Korda.

– Żeby poznać motywacje i sposób myślenia naszego potencjalnego sprawcy, po pierwsze należy się zastanowić, czemu interesuje się on kobietami o bujniejszej figurze, że tak to ujmę. – Chraboł rozsiadł się w fotelu, składając dłonie w wieżyczkę. – Otóż wyróżnić można kilka teorii psychologicznych, które mogłyby tu wchodzić w grę. Zacznijmy od pierwszych skojarzeń. Puszyste kobiety postrzegane są przeważnie jako ciepłe, rodzinne, skromne, ale i wycofane, w przeciwieństwie do szczupłych kobiet, które natychmiastowo nasz mózg kwalifikuje jako zarozumiałe, oschłe i mało uczuciowe. Tusza tym samym przywodzi nam na myśl radość życia i umiejętność dogadzania sobie, a jej brak smutek i brak dystansu.

– W takim kontekście można by strzelać, że sprawca łąknie ciepła, miłości i oddania, tak? – zapytała Alicja.

– Nie inaczej – potwierdził Chraboł. – Może taka właśnie była jego matka, której poszukuje w swoich ofiarach? A może wręcz przeciwnie? Jego matka była wysuszoną tyką, niemającą dla niego serca, zawsze skwaszoną i niezadowoloną? – Biegły zawiesił głos i po chwili podjął: – Niezależnie jednak, czy szuka w swoich ofiarach odbicia, czy przeciwieństwa matki, ostatecznie krzywdzi je dlatego, że nie sprostały jego oczekiwaniom.

– A kolejne skojarzenia? – zainteresował się Korda.

– Szczupłe ciało to utarte w historii cywilizacji skojarzenie z chorowitością i słabością, w przeciwieństwie do ciała większego, które oznaczało zdrowie i dobrobyt. Partnerka silna i dobrze odżywiona może być dla mężczyzny gwarancją urodzenia zdrowego i silnego potomka, a także lepszego sprawdzenia się kobiety w roli matki. Choć akurat ta teoria nie pasuje do matrycy wydarzeń, choćby biorąc pod uwagę to, że co najmniej jedna z tych dziewczyn została przez sprawcę zamordowana – zachnął się psycholog. – Więc

nie sędę, by chodziło tu o prokreację. Jeśli miałbym obstawiać, to nasz sprawca jest typem człowieka wielce zakompleksionego i zranionego, ponad wszystko boi się odrzucenia i zdrady, które być może spotkały go w wieku dziecięcym lub adolescencji. Tym samym wybiera kobiety młode, niepewne siebie, przesiąknięte wątpliwościami związanymi z własnym wyglądem, które da się łatwo zmanipulować, a tym samym łatwiej zatrzymać przy sobie. No bo taki mężczyzna może sobie myśleć, że po pierwsze taka kobieta doceni to, że wybrał ją, a nie jej chudsza koleżankę, po drugie zaś obawa, że żaden inny jej nie zechce, sprawi, że nie zmieni ona obiektu westchnień. Oczywiście takie przypuszczenia nie mają żadnych racjonalnych podstaw. Są trochę jak polisa ubezpieczeniowa bez pokrycia, a jednak często to właśnie one warunkują wybór partnerki.

– Czyli co? Sprawca wybiera więcej wężące dziewczyny, bo są dla niego łatwym łupem? – zastanowił się Korda.

– No niewątpliwie kompleksy na punkcie ciała sprzyjają kompleksowi niższości. Bo brak akceptacji dla własnego wyglądu i często skrzywiony obraz samej siebie wynikający z tego, że nie przystaje się do wymogów społecznych i obowiązujących kanonów piękna, przyczynia się do poczucia, że jest się gorszą od innych – zauważył biegly.

– A to sprawia, że takie osoby łatwiej uzależniają się od ludzi i wykazują wobec nich pewnego rodzaju uległość – stwierdziła Alicja.

– Tak, właśnie. Sprawca niewątpliwie ma silną potrzebę dominacji, bo to ona sprawia, że czuje się lepiej sam ze sobą, nie wspominając już o tym, że dominacja sama w sobie pobudza układ nagrody w naszym mózgu. Może dorastał w domu, w którym jedno z rodziców dominowało nad drugim, miał pełną władzę, upokarzał, karał i nagradzał? Może sprawca szuka relacji, w której i on mógłby odgrywać właśnie taką rolę? Rolę opiekuna i kata jednocześnie?

– Czyli wybór większych dziewczyn nie ma nic wspólnego z seksualnymi upodobaniami? – Alicja ściągnęła brwi.

– Ależ to się zupełnie nie wyklucza – zaprzeczył Chraobł. – Takie preferencje seksualne bardzo często wynikają z czegoś konkretnego: z wcześniejszych doświadczeń, z charakteru nawiązywanych

z ludźmi relacji, z wypracowanych sposobów reagowania na bodźce, niewątpliwie też z charakteru inicjacji seksualnych, przy których mogło wytworzyć się poczucie wstydu, z typu osobowości, no i z poczucia własnej wartości. No chyba że mamy do czynienia z parafilią, czyli z zaburzeniem preferencji seksualnych, jak na przykład w przypadku feedersów. Słyszeliście kiedyś o nich? – Chraboł popił wodę ze szklanki i znów podjął: – Feedersów podnieca widok puszystego ciała, krągłości i niedoskonałości, których nie akceptuje się we współczesnych kanonach piękna.

– Czyli nasz sprawca jest feedersem? – Korda pytająco podniósł brwi.

– Nie sędzę. – Chraboł podrapał się w głowę. – Feedersi nie tylko są zafascynowani krągłymi kobietami, ale też przede wszystkim patologicznie tuczą swoje partnerki tak, by były jak najcięższe. Takie dokarmianie uważane jest przez seksuologów za rodzaj dewiacji seksualnej mającej charakter sadomasochistyczny, która opiera się na maksymalnej dominacji przez jednego z partnerów i uległości drugiego. Myślę, że w tym wypadku mamy bardziej do czynienia z crurofilią, czyli fetyszem nóg. Biorąc pod uwagę wygląd ofiar, obstawiałbym, że sprawca wykazuje szczególne upodobanie względem ud, bo to ich objętość rzuca się najmocniej w oczy na przedstawionych zdjęciach. W takim sensie nasz sprawca niekoniecznie dąży do klasycznego zbliżenia fizycznego. Myślę, że może osiągnąć spełnienie seksualne poprzez fizyczną interakcję z samymi nogami.

– Frotteuryzm? – Detektyw przechylił głowę.

– Tak. Ocieractwo – potwierdził biegły.

– Ale to znaczy, że sprawca nie jest zdolny do uprawiania klasycznego seksu? – zastanowiła się Grabska. – Bo przecież Adrianna Milewska została nie tylko zamordowana, ale i zgwałcona.

– Niekoniecznie. Sprawca raczej nie ma problemu ze wzwodem, a tym samym z normalnym współżyciem, ale klasyczny seks nie jest dla niego aż tak podniecający jak frotteuryzm. Zresztą potwierdzałyby to fakt, że przy oględzinach ciała Milewskiej nie odnotowano śladów nasienia.

– No tak. To trzymałoby się kupy – skonstatował Oskar, pocierając kciukiem o bliznę. – Tylko czy faktycznie sprawa

Adrianny Milewskiej łączy się poprzez osobę sprawcy ze sprawami Niny Kołodziej i Liwii Dembskiej?

– Chodzi panu o modus operandi, czy tak? – dopytał Chraboł.

– Dziewczyny sporo wiąże: wiek, budowa ciała, miejsce zamieszkania. Wszystkie trzy sprawy łączy też w jakiś sposób *Attacus atlas*. Z drugiej strony nie sposób porównać bestialskiego morderstwa Adrianny Milewskiej do tajemniczych zaginięć Niny i Liwii – wtrąciła się Grabska.

– Fakt – uznał Chraboł. – Mamy tutaj do czynienia z innym sposobem działania, co mogłoby wskazywać, że te sprawy wcale nie są połączone. W pierwszym przypadku sprawca działał w sposób widocznie niezorganizowany i chaotyczny. Uderzył w miejscu, w którym ktoś mógł go zobaczyć, wykorzystując przy tym przypadkowe narzędzie zbrodni, w postaci leżącego obok kamienia dużych rozmiarów, pozostawił ciało, nie starając się go nawet ukryć lub choćby czymś zakryć. Dwa kolejne przypadki cechuje natomiast zdecydowanie większa planowość, co sprawiło, że sprawca nie pozostawił po sobie żadnych śladów, przede wszystkim w postaci ciała, które w kryminologii uznawane jest za główny trop rysujący narrację zbrodni.

– Czyli należałoby rozdzielać sprawę z dziewięćdziesiątego drugiego od spraw z dwa tysiące czwartego i dziewiętnastego? – zapytał Korda.

– Cóż. I tak, i nie. To zależy – zaśmiał się Chraboł. – Niestety, mogę tylko hipotetyzować, a tym samym istnieje co najmniej kilka potencjalnych scenariuszy. W pierwszym owszem, sama metoda ataku nakazywałaby oddzielenie spraw, bo w teorii mamy do czynienia z dwoma typami sprawców: sprawcą niezorganizowanym i sprawcą zorganizowanym. Ale przecież mamy też inne wspomniane indywidualne cechy dokonanych zbrodni, które rysują analogię. Co więcej, sprawcy zorganizowani uczą się nowych metod wraz z rozwojem kariery przestępczej, więc kolejne zbrodnie są zdecydowanie lepiej przemyślane niż pierwsza. Tym samym mogło być tak, że sprawca popełnił pierwszą zbrodnię w afekcie, nie planując odebrania życia ofierze. Impulsywne działanie mogło być zaskakujące dla samego mężczyzny, z drugiej strony mógł on odnaleźć w nim przyjemność, której się nie spodziewał. Przez lata

odczuwał wyrzuty sumienia, a zarazem narastające pragnienie, by powtórzyć zbrodnię. Dlatego dochodzi do niej po długim okresie wyciszenia, podczas którego sprawca skrupulatnie planuje realizację nawarstwiającej się fantazji.

– W tym kontekście musielibyśmy zakładać, że Ninę Kołodziej i Liwię Dembską spotkał ten sam los co Adriannę Milewską – stwierdziła smutno Alicja.

– Tak. Ale nie jest to jedyną opcją. Być może morderstwo było spowodowane silnym wzburzeniem, a tym samym było wypadkiem przy pracy. Mogło być tak, że sprawca wcale nie zagustował w zbrodni. Może przeraził się tego, czego się dopuścił? Jeśli wyjdziemy z podstawowego założenia, że sprawca poszukuje w młodych dziewczynach miłości i ciepła, którego nie otrzymał w dzieciństwie, jednocześnie najbardziej na świecie bojąc się odtrącenia i zdrady, morderstwo może się okazać karą za to, że Ada nie sprostała jego oczekiwaniom, nie poddając się ostatecznie jego kontroli i dominacji. Tym samym fantazją sprawcy wcale nie jest to, by zabić czy zadać cierpienie, lecz by zdobyć kobietę, którą doprowadzi do pełnej uległości.

– Sprawca uderza więc w sytuacji, gdy nie udaje mu się zdominować kobiety, którą sobie upatrzył, którą sobie wyidealizował, a może też w jakiś dziwny sposób w swoim chorym mózgu pokochał? – Alicja Grabska pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Tak. Choć może być też tak, że uderza, by wyprzedzić zdradę takiej kobiety. To znaczy tak bardzo się boi, że zostanie odtrącony, że sam ucina związek. I to w najbardziej drastyczny sposób. – Chraobł oparł plecy o fotel i zamyślony patrzył na okno.

Krople deszczu miarowo biły o parapet. Wszyscy milczeli, a ich twarze były tak samo posępne jak panująca za oknem listopadowa szaruga.

– Chyba że – ciszę znów przerwał biegły psycholog, który olśniony odwrócił nagle wzrok od okna – sprawca wcale nie kończy tych związków, a wprowadza je na nowy poziom dominacji.

Klasnął w dłonie i szeroko się uśmiechnął.

2

Alicja Grabska siedziała przy redakcyjnym biurku i pracując nad nowym artykułem, po raz kolejny przyglądała się fotografii Liwii Dembskiej. Dziewczyna miała piękne proporcjonalne rysy, zdrowe lśniące włosy, usta stworzone do całowania. A jednak patrząc w lustro, widziała w sobie brzydotę, jakby jej wzrok nie przetwarzał prawdziwego obrazu i emitował fałszywy. Tak samo jak Alicja za młodu. Tak samo jak szereg innych dorastających dziewczyn, które wmówiły sobie, że nie są nic warte, jeśli ich ciało ma jakieś skazy, nawet te niedostrzegane gołym okiem.

Kobieta znów rzuciła okiem na otwarty przed chwilą raport Światowej Organizacji Zdrowia, w którym udowodniono, że poziom zadowolenia z życia u polskich nastolatków pogarsza się wraz z wiekiem. Co druga licealistka uważa siebie za „grubą”, „zbyt grubą”, „nieatrakcyjną”, „mającą zbyt małe piersi”. Co druga dorastająca dziewczyna w naszym kraju nienawidzi własnego ciała. Alicja z niepokojem pokiwała głową. Te dane były przerażające. Oznaczały przecież, że miliony młodych dziewczyn nie akceptowały siebie samych, uważały się za gorsze, przypisywały sobie najbardziej absurdalne negatywne cechy i żyły w ciągłym emocjonalnym napięciu, zmuszając się do udawania kogoś, kim naprawdę nie były. Alicja czytała też niedawno, że w ostatnich latach wzrosła liczba operacji plastycznych, którym poddawały się nastolatki. Podobno przychodziły do klinik urody ze swoimi przetworzonymi przez filtry zdjęciami. Chciały wyglądać dokładnie tak, jak wyglądały na profilach w mediach społecznościowych. Wprawdzie chodziło chyba o amerykańską młodzież, ale dziennikarka była pewna, że masa polskich dziewczyn miała dokładnie takie same pragnienia.

Czy to oznaczało, że połowa młodych kobiet jest podatna na manipulację? – zapytała się Grabska w myślach. Starła się sobie wyobrazić, że załamana wchodzi na portal randkowy i po chwili poznaje przystojnego, pewnego siebie faceta, który w toku interesującej rozmowy mówi dokładnie to, co chciała o sobie usłyszeć: że jest piękna, idealna, mądra, zabawna, seksowna. Wie, że to truizmy, puste słowa, czcze komplementy, które najprawdopodobniej mają sprawić, że da się zaciągnąć do łóżka.

A jednak pomimo tej świadomości uśmiecha się do siebie coraz bardziej: najpierw ironicznie, potem coraz prawdziwiej. Zaczyna wierzyć w obraz, który rysuje jej wielbiciel, zaczyna patrzeć jego oczami. Maską, którą jej wkłada, idealnie przylega do jej twarzy. Po jakimś czasie sama zaczyna w nią wierzyć. W końcu ten samiec alfa, jedyny taki wśród tłumu nic niewartych zboczeńców okupujących portal, nie może się mylić. Nie on – nie ten mężczyzna, który rozumie ją jak nikt inny, nie jej bratnia dusza, jej romantyczny książę z bajki, który w dodatku w tych sprawach umie bluźnić jak koniokrad, rozpalając ją do czerwoności.

Czy Grabska by się na to złąpała? Nigdy nie zapisywała się na żadne tego typu portale. Nie miała konta na Tinderze, Badoo, eDarling, Gadu-Gadu, czy co tam jeszcze jest. Nie miała pojęcia, jak to jest być mamioną słowami przez anonimowego rozmówcę. Uważała się za osobę silną, świadomą i inteligentną, która nie da się podpuścić, która wyczuje kłamcę na odległość. Tak. Na pewno nie dałaby się nabrać pierwszemu lepszemu typowi. Ale czy Peter był pierwszym lepszym typem? Chraboł opisał go przecież jako osobę mającą duże umiejętności werbalne, odznaczającą się wysokim poziomem inteligencji i umiejętnościami manipulacyjnymi, pozwalającymi przejmować kontrolę nad dziewczynami pasującymi do jego wyobrażeń. Biegły psycholog wspomniał przy tym o technice igły. Manipulator doprowadza ofiarę do stanu rozgrzania, najwyższego podniecenia i euforii, by po chwili plusową temperaturę obniżyć do zera, zachowując się w sposób zdystansowany, na jakiś czas znikając i nie dając znaku życia. Bliżej – dalej, bliżej – dalej. I tak ciągle, bez ustanku, na najwyższych emocjach. „Wiecie, że takie skoki adrenaliny wielu ludzi odbiera jako stan zakochania?” – zaśmiał się Chraboł i chyba coś w tym było. Rozkosz – tęsknota, oddanie – niepewność, ciepło – gorączka i dreszcze. Skala różnicy emocji dogłębnie przywiązuje ofiarę do kata. Wszystkie myśli skupione są tylko na nim, jego figura rośnie, pęcznieje, przybiera na sile. Czy nie tak właśnie to się odbywa?

Alicja Grabska pomyślała o Tajfunie. Czy nie tak postępował przez cały ich wieloletni związek? Czy nie takie haczyki stosował? Czy nie rozkochał jej w sobie, by pastwić się nad nią i wielbić ją na

zmianę? Inteligentny, pogmatwany, umiejący pięknie mówić i odwracać prawdę. Niczym nie różnił się od Petera.

Tak samo jak ja niczym nie różnię się od jego ofiar – przemknęło jej przez głowę. – Samotna i pogubiona. Pragnąca wierzyć, że wszystkie złe myśli na mój temat nigdy nie były prawdą.

Dlaczego tak bardzo wstydzimy się tego, jak wyglądamy? Dlaczego tak bardzo obraz naszego ciała wpływa na to, co o sobie myślimy? Czy te wszystkie fałdki, rozstępy, pomarańczowe skórki, blizny, przebarwienia, wszelkie niedoskonałości warunkują to, kim jesteśmy? Czy to one przykrywają całe piękno, jakie w sobie nosimy? Czemu piękno jest tak ulotne, a brzydota wieczna, silna i wiążąca?

Alicja sięgnęła po telefon, włączyła przedni aparat i wpatrzyła się w swoje odbicie. Przyłożyła dłoń do skóry i zaczęła ją naciągać. Puściła. Naciągnęła. Puściła. Naciągnęła. Tak wyglądam – ale tak powinnam wyglądać. Tak wyglądam – ale pragnęłabym być zupełnie inna.

Westchnęła. Każda z nas nabrałaby się na Petera. Taka była prawda. Każda z nas gdzieś w głębi chciałaby przejrzeć się w lustrze odbijającym ideał.

Grabska groźnie ściągnęła brwi i hardo mruknęła do wyświetlanej na ekranie siebie.

Jest, jaka jest.

Tyle w temacie.

Zablokowała smartfona i rzuciła go lekko na biurko. „Nie istnieją ciała idealne. Istnieją tylko idealne maski” – zaczęła pisać artykuł.

3

Oskar Korda cicho zamknął za sobą drzwi, niezauważony przez nikogo przemknął po obitych czarnym materiałem schodach i usiadł na jednym z teatralnych krzeseł. Wokół panował mrok, a z głośników wydobywała się donośna instrumentalna muzyka. Zerknął przez ramię na stojącą na samym szczycie konsolę, zza której wystawały postawione w górę blond włosy. Detektyw zmrużył oczy. Poznawał tego gościa. Słyszał, że były perkusista trójmiejskich

Blendersów tworzy teraz piekielnie dobre kompozycje do spektakli Sopockiego Teatru Tańca. Nagle mroczny podkład się urwał i mężczyzna krzyknął:

– Aśka, było super, naprawdę super, ale może jakby tak dziewczyny bardziej rozpuścić po bokach, toby się lepiej sklepiło z muzą i światłem.

– Dobra, Nosek, to startujemy jeszcze raz – powiedziała filigranowa brunetka w czarnej sukience, najpewniej reżyserka, po czym dała znak czterem zupełnie nagim, stojącym tyłem do widowni kobietom, żeby ustawiły się w większej odległości, i sama usiadła w pierwszym rzędzie na widowni.

Na sali znów rozbrzmiała muzyka: mocne, kołatające w klatce piersiowej basy, gubiące tropy wartości rytmiczne, ciepłe i niskie brzmienia syntezatora, którym towarzyszyły psychodeliczne, rzucone na ścianę wizualizacje przedstawiające podskakującą gałkę oczną. Tancerki przybrały nieruchome pozy, upodabniające je do antycznych rzeźb. Korda wiedział, że odbywała się właśnie próba do spektaklu *Przedmiot nieocenionej wartości*, a tytułowym przedmiotem było właśnie ciało. Detektyw przyglądał się zastygłym w bezruchu, napiętym do granic artystkom, starając się pojąć sens oglądanej sceny. Starał się przypomnieć sobie podejście do ciała w starożytności, bo ta konotacja zaczęła majaczyć mu w głowie. *Piękno zewnętrzne uosabia piękno wewnętrzne. Kształtne ciało to rozumny, niemal boski pierwiastek w człowieku. Nieustannie podglądany, nieustannie oceniany* – pomyślał. Nagle przed oczami stanęło mu leżące na śniegu ciało Adrianny Milewskiej o rozłupanej czaszce. „Lubimy przeglądać się w oczach tych, dla których jesteśmy bez skaz” – przypomniawszy sobie słowa Alicji Grabskiej, które powtórzyła na wizycie u biegłego. Stojące bez ruchu nagie ludzkie rzeźby. Głębokie basy. Pulsująca gałka oczna. Ciemność. Jasność. Ciemność. Jasność. „Sprawca wcale nie kończy tych związków, a wprowadza je na nowy poziom dominacji” – rozbrzmiał w jego umyśle głos Chraboła, a Korda poczuł, że zapada się w sobie.

Nagle muzyka ucichła. Rozbłysło górne światło, które wyrwało detektywa z zaskakującego transu.

– No dobra, kochani, zrobmy chwilę przerwy – powiedziała reżyserka.

Dziewczyny odwróciły się w stronę widowni i zaczęły się ubierać. Oskar Korda odchrząknął, spuścił wzrok, odczekał i znów powiódł spojrzeniem po aktorkach. Magdalena Tarczyńska, której zdjęcia sprawdził wcześniej w internecie, miała jasnobrązowe włosy z grzywką zaczesaną na boki i pięknie rysujące się pod krótką bluzką mięśnie brzucha. Nie wyglądała na swoje czterdzieści pięć lat. Bardziej przypominała nastolatkę. Czy właśnie tak samo prezentowała się w czwartej klasie liceum, gdy przyjaźniła się z Adrianną Milewską?

Korda wstał i po chwili znalazł się pod sceną.

– Pani Magdaleno – powiedział, wyciągając odznakę. – Czy mogę zająć pani chwilę?

Kobieta spojrzała na niego zdumiona. Rozejrzała się niepewnie po członkach zespołu.

– Nic się nie stało – uspokoił policjant. – Przyglądamy się od nowa sprawie Adrianny Milewskiej.

Magdalena Tarczyńska skinęła głową, włożyła przez głowę bluzę i poprowadziła detektywa do znajdującego się tuż za drzwiami baru w budynku Teatru Atelier. Zamówili dwie wody i usiedli w przeszklonym skrzydle z widokiem na sopocką plażę. Z głośników cichutko sączyła się piosenka Breakoutu, a Oskar natychmiast przypomniał sobie myjącą naczynia matkę, podśpiewującą „Ja wierzyłam twoim słowom. Mówiłeś noc to tylko ja i ty i że dla mnie światło gwiazd”. Ile miał wtedy lat? Jakies siedem? Osiem?

– Co chce pan wiedzieć? – Jego rozmyślenia przerwało pytanie Tarczyńskiej.

Teraz detektyw zauważył na jej czole i przy linii ust zmarszczki, których nie dojrzał na sali teatralnej.

– Tuż po morderstwie Adrianny Milewskiej zeznała pani, że przyjaciółka umawiała się z jakimś mężczyzną.

Tarczyńska skinęła głową.

– W aktach wyczytałem, że Ada poznała go przez CB-radio, czy tak?

– Tak. Ada miała zły humor i spytała, czy ktoś jest w eterze, wtedy odezwał się Piotr. Przynajmniej tak twierdził, że ma na imię.

– Czy ktoś jeszcze o tym wiedział?

– Nie. Ada powiedziała tylko mnie. Choć nasza licealna koleżanka widziała ich razem. Ada wtedy skłamała, że to był jej wujek.

– Czemu skłamała?

– Facet był starszy od nas. Miał koło trzydziestki. No i bardziej przypominał naszych ojców niż kolegów, więc...

– Mhm. Dobrze. Zeznała pani też, że ten mężczyzna prowadził jakąś firmę, czy tak?

– Tak. Tak mi powiedziała Ada, ale nie mogłam wyciągnąć z niej nic więcej.

– Gdańska policja stawiała na to, że mężczyzna był zawodowym kierowcą TIR-a. Dlatego dokładnie prześwietlili to środowisko, ale bez skutku.

– Tak. Policja podeszła do tematu stereotypowo. Że CB-radio to tirowiec, ale moim zdaniem to był strzał jak kulą w płot. Ada była bardzo mądra, miała najlepsze stopnie w szkole, na pewno nie zadawałaby się z kimś po zawodówce. Może i była naiwna, jak każdy, kto szuka miłości w młodym wieku, ale ten facet musiał być inteligentny, błyskotliwy, obeznany w różnych tematach. Inaczej nie byłaby taka zauroczona.

– W takim razie kim był?

Tarczyńska wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Na początku lat dziewięćdziesiątych CB-radio używali nie tylko kierowcy. Sporo osób kupowało sobie taki sprzęt do domu albo od kogoś się coś takiego kombinowało. Można powiedzieć, że to była taka pierwsza polska aplikacja społecznościowa i komunikator, jak dzisiaj TikTok, Snapchat, Facebook czy Instagram. Właśnie w ten sposób nawiązywało się wtedy kontakty z nieznanymi. Tak naprawdę to mógł być ktokolwiek. Żałuję, że jej bardziej nie wypytywałam – westchnęła. – Ale w liceum inaczej się do tego wszystkiego podchodziło. Zresztą nawet jeśli Ada by mi to zdradziła, ten facet na dobrą sprawę mógł jej nagadać, co tylko chciał. Mógł jej powiedzieć, że jest królem Egiptu, a i tak nie miałyby tego jak zweryfikować.

– A pani miała wtedy CB-radio? – zapytał Korda.

– Nie, ja nie miałam. Ale często podsłuchiwałam sąsiadkę, która romansowała z takim jednym przez CB-radio – zaśmiała się Magda.

– Moje zwykłe radio łąpało akurat kanał, na którym rozmawiali.

Więc wieczorami brałam chipsy i przed radio. To była chyba pierwsza forma reality show, *Big Brother* normalnie. A wie pan, że oni finalnie się pobrali i do dziś są razem? Dwoje dzieci mają...

– Doprawdy? – zapytał z grzeczności Korda, ale jego myśli kursowały w innym kierunku.

No właśnie. Ktoś musiał ich przecież słyszeć! Ktoś na pewno podsłuchiwał rozmowy Ady z Piotrem. Zawijający się romans, zwierzenia, może i kłótnie? Przecież pierwsza edycja *Big Brothera* pobiła jakieś rekordy oglądalności, niezależnie od tego, że zamknięci w domu Wielkiego Brata goście byli ciency jak barszcz. Oskar klasnął w dłoń.

– Ma pani rację! – podniósł głos. – Ktoś musiał śledzić rozmowy Ady z tym całym Piotrem! Ktoś musiał się im przysłuchiwać!

Magda Tarczyńska ściągnęła brwi i ze smutkiem pokręciła głową.

– Jeśli naprawdę trzeba było dwudziestu siedmiu lat, by na to wpaść, to przestaje mnie dziwić, że mówią na was pały. – Magda Tarczyńska wstała.

– To jedno z delikatniejszych określeń – uśmiechnął się Korda.

– Serio? – prychnęła ironicznie tancerka i po chwili zniknęła w sali teatralnej.

Korda wypił duszkiem wodę i zerknął w kierunku plaży. Morze szalało, wyrzucając na brzeg białą pianę. Wiatr unosił piasek i formował z niego małe trąby powietrzne. Jeszcze chwilę posiedział w miejscu, łącząc wszystkie informacje, które dzisiaj wypływały na światło dzienne.

W końcu wstał i ruszył ku wyjściu. Gdy mijał salę teatralną, w miejscu zatrzymała go transowa muzyka przepełniona plastycznym dźwiękiem bijącego serca. Detektyw uchylił drzwi i wpatrzył się w granatową ciemność, rozświetlaną mglistą poświatą i nakładającymi się na siebie wizualizacjami przypominającymi morskiego stwora. Na scenie wiły się ciała tancerzy. Tworzyli wspólny kokon, w którym być może ciało odnalazło spokój.

Oskar uśmiechnął się zgryźliwie na tę myśl. Stał się ostatnio dziwnie refleksyjny i podejrzewał, że to sprawka Grabskiej. Wciąż albo go do siebie przyciągała, albo odpychała. Bliżej – dalej. Bliżej – dalej. I tak bez końca. Bez żadnego wytchnienia. Może powinien zaprosić ją na randkę? Zupełnie wprost, bez tych ciągłych gier?

Znów zerknął na pulsującą światłami i ruchem scenę. Poczuł, że tęskni za muzyką. Chyba już wiedział, gdzie wybierze się w najbliższym czasie.

4

Deski miały skazy. Liwia przejeżdżała po nich palcami. W lewo i w prawo. W lewo i w prawo. Paznokcie zapadały się w małe rowki; chropowate, o różnej długości, węższe i szersze. *Jedna, druga, trzecia* – dziewczyna liczyła je po raz wtóry. Powoli i uważnie. Nie spieszyła się. Nie musiała. Miała czasu aż nadto.

Gdyby nie było jej tutaj, co by teraz robiła? Nie wiedziała, która była godzina. Jeśli jest noc, spałaby w swoim łóżku. Na wygodnym materacu opiętym śliskim, białym prześcieradłem, wtulona w pachnącą płynem do płukania tkanin poduszkę, okryta szeleszczącą kołdrą. W pokoju byłoby ciepło i bezpiecznie. Cienie znajomych przedmiotów nie wywoływałyby w niej lęku. Może śniłoby jej się coś miłego? Może w śnie przyszłaby do niej mama, a potem Liwia przez cały dzień czułaby przy sobie jej obecność? Lubiała te dni. Mama zdawała się wtedy taka realna, niemal namacalna. Liwia potrafiła przywołać jej twarz, jej uśmiech, jej dotyk. Raz mama nachyliła się do jej ucha, wokół panował gwar, lecz szept jej był głośny i wyraźny, mocniejszy niż wszystkie głosy wokół. „Kocham cię” – powiedziała, a Liwia się obudziła, ale słowa zostały, jakby naprawdę ktoś je wypowiedział.

– Mamo – szeptała teraz Liwia. – Mamo, uratuj mnie. Uratuj, proszę.

Jedna, druga, trzecia – palce mechanicznie przejeżdżały po deskach. W lewo i w prawo. W lewo i w prawo.

– Uratuj mnie, mamo. Zobacz mnie, jestem tutaj.

W lewo i w prawo. W lewo i w prawo.

Nagle coś zaszurało, zazgrzytał zamek. Liwia wstrzymała powietrze. Trzasnęły drzwi. Kroki. Jej urywany oddech. Chrząst kłódki. Skrzypienie zawiasów. Jasność.

Liwia zmrużyła oczy i wyciągnęła do góry dłoń, by ochronić wzrok przed gołą żarówką, która jarzyła się na suficie.

– Moja biedna. – Usłyszała głos mężczyzny. – Moja biedna malutka.

Wyciągnął ręce i pomógł jej wstać.

– No chodź do mnie. Chodź – litował się nad nią, a ona zaczęła szlochać.

Jej ciało podrygiwało w rytm skurczy w tchawicy, lecz w oczach nie pojawiły się łzy. Kolana drżały pod jej ciężarem, jasność na chwilę zmieniała się w ciemność, a cisza w pisk. Osunęła się, lecz mężczyzna zdążył ją złapać.

– Moja biedna dziewczynka. Moja dziewczynka – powtarzał, tuląc ją w ramionach i gładząc po głowie.

Znów nastała jasność, pisk ustał, przeradzając się w przeciągły szum.

– No już. No już. Zobacz, co ci przyniosłem.

Mężczyzna podał jej butelkę wody, a ona raptownie za nią chwyciła. Gardło i przełyk miała tak wyschnięte, że woda zaczęła ściekać po brodzie. Peter zaczął się śmiać i podsunął jej kurczaka. Liwia rzuciła się na niego łapczywie i obgryzła pałkę do kości. Zebrało jej się na wymioty. Wstała, by podejść do łazienki, ale padła na kolana i zwymiotowała na podłogę.

Mężczyzna skrzywił się i rzucił z niesmakiem:

– Ty śmierdziuchu! Zobacz, jak ty wyglądasz! Jakby ktoś cię teraz zobaczył – cmoknął – mógłby pomyśleć, że jesteś obsikaną, zarzyganą grubaską – zaczął się śmiać.

Liwia otarła rękawem usta i spojrzała z dołu na mężczyznę z wyrzutem.

– Oj, no nie patrz tak na mnie. Przecież ja tak nie myślę! Dla mnie zawsze jesteś najpiękniejsza. – Złożył usta w podkówkę. – Chciałabyś się umyć? – zapytał, a ona skinęła głową. – Chcesz pójść na górę?

Liwia szeroko otworzyła oczy, znów targnął nią bezłzawy szloch.

– Chcesz? Chcesz pójść na górę? – powtórzył.

– Tak – szepnęła. – Proszę.

– Dobrze. Ale jeśli zobaczę, że coś kombinujesz, jeśli tylko zobaczę w twoich oczach głupi pomysł – zawiesił głos, a po jego twarzy przemknął cień – z powrotem cię tutaj zamknę, w trumnie, na o wiele, o wiele dłużej.

Liwia przytaknęła.

– Rozumiemy się?

– Tak – powiedziała szybko. – Rozumiemy.

Mężczyzna podszedł do niej, złapał ją pod ramię i podniósł. Po chwili znaleźli się na korytarzu. Jej skarpety ślizgały się o żółte kafelki. Nogi, wciąż słabe, raz za razem się uginały, ale jej czujność wzrosła. Skanowała przestrzeń jak komputer, szukając dróg ucieczki. Weszli po schodach na górę i skierowali się do łazienki. Była przestronna i jasna, taka czysta, że dziewczyna poczuła wzruszenie. Mężczyzna puścił wodę w prysznicu, a Liwia powoli ściągnęła zawilgotniałą bluzę, zasikane spodnie, brudne skarpety i wielodniową bieliznę. Zanurzyła się pod strumieniem wody, która parzyła, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Zmoczyła włosy, które przylgnęły do jej twarzy, i delektowała się ciepłem. Ogarnęła ją wdzięczność tak wielką, że odwróciła głowę i obdarzyła stojącego pod ścianą mężczyznę dziękczynnym uśmiechem. Jej wybawiciel. Znowu zniknęła pod strumieniem wody, powoli namydliła ciało i włosy, spłukiwała długo pianę, delektując się świeżym zapachem szamponu.

Gdy skończyła, mężczyzna owinał ją grubym białym ręcznikiem i wytarł jej skórę, jakby była dzieckiem. A potem pomógł włożyć przygotowane wcześniej czyste ubrania i poprowadził do dużego pokoju.

– Usiądź. – Wskazał jej jasną sofę.

Była miękka i puszysta. To tutaj leżeli tak niedawno, wtulając się w siebie i marząc o wspólnej przyszłości. Znowu zerknęła na mężczyznę, który pogwizdując, podszedł do gramofonu i schylił się nad kolekcją płyt. W końcu wybrał jedną z nich i położył na talerz. Uniósł igłę i opuścił ją na wirującą płytę. Ta zaszumiała. *I wanna know what love is. I want you to show me. I wanna feel what love is. I know you can show me.*

– Nasza piosenka. – Mężczyzna figlarnie zakołysał ramionami, a ona poczuła do niego przemożny wstręt.

Jak mogła pomyśleć, że mężczyzna ją wybawił? Przecież to on ją tu zamknął, to on ją tu więzi. Nie wiedziała, co się z nią działo. Jak mogła być tak naiwna. Poczowała obrzydzenie. Do tej sofy, do dresu,

który miała na sobie, do tego uśmiechu, którym obdarzyła go w łazience.

– Zaraz przyjdę – powiedział nagle Peter. – A ty nie ruszaj się z kanapy – nakazał i zniknął za drzwiami.

Liwia rozejrzała się po pomieszczeniu. Przecież mogła spróbować uciec. Powoli wstała i na trzęsących się nogach podeszła do prowadzących na taras drzwi. Szarpnęła, ale klamka nie ustępowała. Spróbowała z oknami – też były zamknięte.

– *Shit!* – stęknęła.

– Pospiesz się, już dawno to miało być zrobione. – Usłyszała głos mężczyzny.

– Przepraszam – odpowiedziała mu kobieta.

Do kogo mówił? Z kim rozmawiał? O matko, o matko, wystarczyło podejść i zacząć krzyczeć, powiedzieć tej osobie, że jest tu wbrew swojej woli. Na pewno słyszała o jej zniknięciu. Na pewno poznałaby jej twarz. Przecież musieli pokazywać ją we wszystkich wiadomościach. Ktoś na pewno musiał zauważyć, że zniknęła.

Walcząc z mdłościami, przemierzyła pokój. Serce wyrywało się jej z piersi. Przed oczami na chwilę zrobiło się ciemno. Przystanąła w progu, czekając, aż zawroty głowy ustąpią. Podniosła wzrok. Z kuchni wyszła przysadzista kobieta w brązowych, spiętych klamrą włosach z kubłem brudnej wody w rękach. Zupełnie nie zwróciła na Liwię uwagi. Ominęła ją, jakby ta była powietrzem. W tym momencie w przedpokoju pojawił się też mężczyzna. Jego wzrok prześlizgnął się po Liwii i sięgającej za klamkę kobiecie. Otwarte drzwi. Zamykające się drzwi.

– Proszę mi pomóc! – krzyknęła Liwia, lecz drzwi trzasnęły, a kobieta za nimi zniknęła.

Łokieć mężczyzny na jej skroni. Pisk, gwiazdy przed oczami. Ostre szarpnięcie. Schody w dół. Jasne pomieszczenie.

– Nie, tylko nie skrzynia, proszę, tylko nie skrzynia! – Liwia zapierała się z całych sił, lecz Peter rzucił ją na trumnę i zaczął wdeptywać ją nogą do środka.

– Nie! Błagam! Błagam! – Rzucała się dziewczyna.

Noga na jej brzuchu. Noga na jej twarzy. Noga na chwytających brzegi skrzyni palcach dłoni. Ciemność.

5

Na komendzie policji w Sopocie panował zwyczajowy gwar. Policjanci przemierzali korytarze, tu i tam dzwoniły telefony, ktoś wchodził, ktoś wychodził. Ktoś rubasznie się śmiał, ktoś przeklinał.

Oskar Korda wbiegał szybkim krokiem na piętro, gdy rozdzwonił się jego telefon. Janka.

– Mamy wyniki? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Mamy – odparła ekolożka sądowa.

– I? – Detektyw przystanął w półkroku.

– *Attacus atlas*. Na kurtce Ady Milewskiej znajdował się czułek pawicy atlas.

Korda się rozłączył. Spodziewał się takiego wyniku, jednak jego serce przyspieszyło tak mocno, że czuł je niemal w gardle. Schował telefon do kieszeni, przeskoczył ostatnie stopnie schodów i znalazł się na piętrze. Od razu skierował się do pokoju, gdzie znajdował się już zebrany na potrzeby sprawy zespół policjantów.

– I co, chłopaki? Powiedźcie, że mamy coś nowego – poprosił.

Detektyw przyciągnął fotel do biurka, na którym stało kilka monitorów komputerowych, i chwycił z leżącej na blacie paczki kruche ciastko. Był cholernie głodny.

– Nadal nic. – Umieśniony brunet, aspirant Bartosz Cybut, na którego wszyscy wołali Cybutek, wskazał na duży ekran wyświetlający jedną z monitorowanych ulic.

– Kurwa, panowie. – Korda, przeżuwając ciastko, wzniosł rękę.

– No kurwa, kurwa, no nie ma. – Wzruszył ramionami Tomek Majkowski. – Nadal szukamy, bo sto siedemdziesiąt jebanych kamer się samo nie obrobi. Wiesz, ile to godzin materiału?

– Ile, Majka?

Majkowski palcem wskazującym zaczął wyliczać na dłoni, ale po chwili się zreflektował i stwierdził:

– Dużo, kurwa.

Wybuchnęli śmiechem.

– Widocznie dziewczyna pojechała małymi uliczkami w górę – zauważył Cybutek.

– A może wcale daleko nie ujechała. – Korda przejechał kciukiem po bliźnie. – Może odwiedziła kogoś mieszkającego naprawdę

blisko, a jej auto zostało odstawione do lasu dopiero następnego dnia? Ile to będzie godzin do sprawdzenia, Majka? – zaśmiał się detektyw.

– Pierdyliard – westchnął Majkowski.

– To szpagatami, panowie. – Oskar wrzucił do ust kolejne ciastka. – I rozpytajcie jeszcze raz wszystkich w okolicy. Przecież musiał ktoś coś widzieć. No i kwestia rowerzysty. Czemu jeszcze go nie mamy?

– Wśród mieszkańców Trójmiasta namierzyliśmy dokładnie dwadzieścia cztery rowery tego typu. – Do pokoju wszedł Adam Gustowski wraz z informatykiem Marianem Miodowiczem, jedzącym bułkę z szynką. Gustlik automatycznie poprawił opadające z nosa okulary i stanął obok Korde. Małysz przysiadł na krańcu jednego z biurek. – Ale nikt tej nocy nie kursował po ulicach – kontynuował starszy sierżant. – Widocznie to był ktoś przejezdny. Może z jakichś okolicznych mięscin? Mało to takich zapaleńców, co zapierdalają kilkadziesiąt kilometrów na raz? – Wzruszył ramionami. – Ale znajdziemy, szefie. Znajdziemy. Uruchomiłem wszystkie możliwe sieci – zapewnił i uspokajająco skinął głową, zamykając powieki.

– Oby, Gustlik. – Korda wstał. – A tymczasem nowy temat: CB-radio.

Zgromadzeni zerknęli na Korde z zaciekawieni.

– Małysz, jaki maksymalny zasięg ma CB-radio?

Chudy informatyk z cienkim wąsem cmoknął, jakby chciał zassać pozostałe pomiędzy zębami śniadanie.

– Cóż, to jest kwestia sporna. W teorii zasięg stacji osiąga nawet ponad sto kilometrów, niektórzy mówią, że tysiąc albo kilka tysięcy kilometrów, ale to pierdolenie. Wszystkie nadajniki CB w Polsce od niepamiętnych czasów dysponują mocą czterech watów, więc założmy, że mają porównywalny zasięg. Ale tak naprawdę zasięg nadajnika zależy od użytej anteny. Im dłuższa antena, tym większy zasięg. Najkrótsza antena, dajmy na to trzydziestocentymetrowa, zapewnia zasięg około dwóch kilometrów, półtorametrowa antena da zasięg jakichś piętnastu kilometrów, a długa, dwumetrowa, pozwoli się złapać w zasięgu, myślę, że trzydziestu kilometrów.

– A otoczenie? – dopytał Korda.

– Też ważne, jak i samo miejsce instalacji anteny. Na morzu, czyli wiesz, na płaskiej powierzchni, fala może osiągnąć nawet blisko pięćdziesiąt kilometrów. Płaskie odkryte tereny, hm, jakieś niecałe czterdzieści. Na obrzeżach miast to wspomniane trzydzieści.

– A w centrum? – Oskar w oczekiwaniu zagryzł usta.

– W centrum obstawiałbym góra osiemnaście.

– Dobra, panowie. Sprawdźcie mi wszystkie domy w granicach osiemnastu kilometrów od ulicy Kasprowicza. W dziewięćdziesiątym drugim zamordowano tam osiemnastoletnią dziewczynę i mam podstawy, by podejrzewać, że sprawcą mógł być typ, który dziś zainteresował się Liwią Dembską.

– Wiesz, że nie mamy pozwolenia, by wejść do tych domów. – Majka założył ręce na brzuchu.

– Sprawdźcie, rozpytajcie, zorientujcie się w sytuacji – westchnął Korda.

– Czego szukamy? – dopytał Cybutek.

– Hodowcy największej na świecie ćmy nocnej. – Oskar chwycił ostatnie w paczce ciastko i zwrócił się do Gustowskiego: – Chodź, Gustlik, bo dla ciebie będę miał zadanie specjalne.

6

Rozświetlona długim łańcuchem nastrojowych żarówek ulica Elektryków znajdująca się na terenie byłej Stoczni Gdańskiej tętniła życiem. Alicja Grabska i Oskar Korda minęli foodtrunki, wystawione na dworze stoliki i największy w Trójmieście klub muzyczny B90, po czym znaleźli się pod klubem Drizzly Grizzly. Detektyw rozejrzał się za popielniczką, by zgasić papierosa, a dziennikarka weszła przodem. Przystanęła pośrodku dużego, surowego przedsionku klubu, do którego zaprosił ją Oskar. Alicja uśmiechnęła się na wspomnienie SMS-a, którego od niego otrzymała: „Dance Like Dynamite. Dziś. Będę po ciebie o dziewiętnastej”. *Jakby umawianie się na wspólne koncerty było czymś najbardziej naturalnym na świecie* – uśmiechnęła się. Lubiała styl Oskara. Bezkompromisowy, oschły, rzeczowy. Nigdy nie mówił czegoś, czego nie myślał. Nie prawił komplementów, by się przypodobać. Nie manipulował. Można było

mu ufać – Alicja zatrzymała się na ostatniej myśli. Czy faktycznie mogła mu ufać? Przecież też miał swoje demony, trupy w szafie, które – była pewna – poutykał szczelnie, by tylko móc przymknąć drzwi. Wiedziała, że trupy kiedyś z tej szafy wypadną. Zawsze w końcu wypadają i powstaje wieceelki bajzel.

– Mamy tu fajny koncert dziś – zagadał ją gruby łysy facet opięty czarną rockową koszulką, stojący za kontuarem. – Zachęcam.

– Wiemy – uśmiechnęła się Grabska. – My na koncert. – Wskazała na Oskara, który stanął obok niej.

Łysy zrobił zdziwioną minę. Cóż, dziennikarka w swoim beżowym oversize'owym płaszczu niewątpliwie nie wyglądała na fankę mocnych dźwięków. Pewnie już bardziej Oskar – kobieta mu się przyjrzała: ciężkie wojskowe buty, ciemne luźne spodnie z lekko opuszczonym krokiem, granatowa puchówka. Czy Grabska na dobrą sprawę w ogóle go znała?

– Dwa poproszę. – Oskar zwrócił się do sprzedawcy biletów, wyciągając kartę bankomatową.

– Czy ja wyglądam jak czytelnik? – zaśmiał się rubasznie łysy.

Detektyw wyjął portfel:

– Ile? – dopytał.

– Sto sześćdziesiąt – odparł tamten.

– A może być... hm. – Korda zerknął na dwa trzymane w dłoniach banknoty pięćdziesięciozłotowe. – Sto?

Facet ironicznie podniósł brew.

– Czekaj, ja mam. – Rozbawiona Alicja rzuciła na blat sześć dych.

Gdy podeszli do służącej za szatnię klatki, Oskar pomógł Alicji zdjąć płaszcz, po czym podrapał się po głowie, chrząknął i zmieszany rzucił:

– Dzięki. Chyba nie jestem najlepszy w... hm... randkach.

– A to randka? – zaśmiała się kobieta i zanim zmieszany Oskar zdążył odpowiedzieć, dodała: – Spotykamy się w środku. Ja jeszcze pójdę do toalety.

Oskar kiwnął i po chwili zniknął na dużej sali. Dziennikarka przeszła do kolejnego pomieszczenia, śledzona wzrokiem stojących tu i ówdzie podstarzałych mężczyzn w czarnych skórach i długich włosach. W końcu echo jej wysokich obcasów poniosło się po wysokiej, wyłożonej surowym betonem zabytkowej hali stoczniowej.

Było zupełnie pusto. Od ścian odbijały się ledwo słyszalne basy puszczonej w klubie muzyki. Nagle usłyszała za sobą czyjeś kroki, a krew w jej żyłach się zmroziła. „Uciekaj, uciekaj i tak cię dogonię, suko!” – w jej głowie pojawił się głos z przeszłości. Głos groźny, który chodził za nią wszędzie. Wiedziała, że nie był w stanie jej skrzywdzić, to tylko głos, to tylko wspomnienie. A jednak za każdym razem, gdy pojawiał się w umyśle, Alicja odczuwała paniczny lęk. Przystanęła i zamknęła palce w pięściach. Kroki się zbliżały. Pod czyimiś butami chrzęściły małe odłamki gruzu.

Chrzęst. Chrzęst. Chrzęst.

Ten dźwięk paraliżował jej ciało, przywołując w umyśle zesłoroczne zdarzenia. Tamten zbrodniarz już odszedł. Zniknął. Nie było go. Ale ilu złych ludzi zostało? Ilu dogłębnie spaczonych mężczyzn przewijało się gdzieś obok, kryjąc swoje tajemnice?

Kto zabił Adriannę Milewską?

Gdzie jest Nina?

Gdzie Liwia?

Jej myśli pędziły.

Chrzęst. Chrzęst. Chrzęst.

Alicja zacisnęła pięści jeszcze mocniej. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła.

Poczuła na ramieniu czyjąś rękę. To ją przebudziło, jak rażenie prądem. Energicznie się odwróciła, gotowa do walki.

To Oskar. To tylko Oskar.

– Nie mogłem cię puścić samej – powiedział. – Trochę tu strasznie. – Rozejrzał się.

Te wszystkie brzydkie miejsca – Grabska powiodła oczami za jego wzrokiem. *Miejsca zrujnowane i upadłe. A co, jeśli zbrodnia nie omija żadnych miejsc?* – pomyślała. *Co, jeśli piękno nie stanowi dla niej żadnej bariery? Jeśli zbrodnia... lubi piękno? I słońce, i plaże, i smagający twarzę morski wiatr, i gwar, i śmiech? Zło nie ukrywa się w konkretnych miejscach. Ono rośnie w ludziach. Czasami brzydkich i zepsutych. A czasami zupełnie zwyczajnych, dokładnie takich jak oni.*

Alicja czuła narastający niepokój. Jej wzrok uważnie przesuwiał się po wszystkich zakamarkach, wszystkich załamaniach w ścianach, jakby to właśnie z nich lada chwila miało wychynąć zagrożenie.

Korda przez chwilę przyglądał się jej niespokojnej twarzy, po czym wyciągnął dłoń i przejechał nią po jej policzku. Tak bardzo chciała zrobić to samo, poczuć pod palcami jego skórę, powoli prześledzić śliską, ciągnącą się po jego twarzy bliznę, która była niczym narysowana na mapie droga. Alicja doskonale wiedziała, że ta blizna pali Oskara od środka, choć nie miała pojęcia, skąd się wzięła i co oznaczała. Ona też miała swoje blizny, choć nie było ich widać. Może to właśnie te skazy tak mocno ich łączyły? Przyciągały się jak magnesy, niezależnie od tego, jak daleko od siebie uciekali? Może. Ale ostatecznie nie uniosła ręki. Bała się śmieszności. Bała się, że ją odtrąci.

W zamian oparła policzek na jego dłoni.

„Jestem zepsuta! Rozumiesz? Zepsuta!”

Te słowa znów zaczęły wkradać się do jej głowy.

Kiedy padły? Kiedy je z siebie wypluła?

To było w dniu, w którym ujęto Rozpruwacza. Stała w wodzie i patrzyła w niebo. Czarne ptaki przelatywały nad kikutami białych brzoź. Wokół panował rozgardiasz. Ktoś biegał. Ktoś do kogoś krzyczał. Policjanci byli wszędzie. Niby zdawała sobie z tego sprawę, a jednak trwała w bezruchu. Drzewa szumiały. Tak głośno. Ten szelest przenikał ją całą. Ile tam stała? Może raptem chwilę, a może całą wieczność. W końcu ktoś wziął ją za rękę i pociągnął. Jakiś bezimienny funkcjonariusz. Jej wzrok prześlizgnął się po jego twarzy i zatrzymał na Kordzie. Stał na brzegu i patrzył. Wyczekiwał, ale nie przyszedł jej z pomocą. On też myślał, że to wszystko była jej wina. On też wiedział, że to ona była za wszystko odpowiedzialna.

Jej nogi były ciężkie jak ołów. Woda stawiała im opór, ale wstyd dodał jej sił i wyłowił ją ze stuporu. Gdy wyszła na małą plażę, Oskar pojawił się u jej boku.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Od teraz wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie. – Spojrzała na niego z żalem. – Jestem zepsuta! Rozumiesz? Zepsuta! – krzyknęła i odwróciła się na pięcie.

Oskar nie zareagował. Nie wyciągnął ręki. Nie zapewnił, że Alicja się myli. Milczeniem potwierdził to, co o sobie myślała.

Była zepsuta, ale teraz nie chciała o tym pamiętać. Skupiła się na ciepłym i miękkim wnętrzu jego dłoni. Mogłaby tak trwać wiecznie,

ale na przekór sobie uniosła głowę.

– Idziemy? – powiedziała ze sztucznym uśmiechem.

– A nie chcesz jeszcze skorzystać z...

– Nie. Nie muszę. I tak pewnie nie ma papieru. Ani lusterka – dodała i zaczęła się śmiać.

Jej śmiech poniósł się po stoczniowej hali, rozładowując trochę napięcie. Po chwili znaleźli się pod rozjaśnioną czerwonym światłem sceną, na której muzycy przygotowywali instrumenty. Dojrzała znajomego gitarzystę Tomka Snake'a Kamińskiego. Jego natapirowana fryzura zarysowała się na tle wizualizacji kasety magnetofonowej, która pojawiła się na ekranie. W głębi z basem w rękach stał Piotr Pawłowski, za perkusją zasiadł Karol Skrzyński, a za konsolą schował się Radek Moenert. Dziennikarka kojarzyła ich z trójmiejskich klubów. Po chwili przestrzeń wypełnił niepokojący dźwięk przypominający naciągniętą do granic sprężynę. Wszyscy na sali zamarli, jakby sprężyna miała nagle, za chwilę, za sekundę pęknąć, lecz w zamian dostali potężne, podwójne, wyrywające z zasłuchania uderzenia bębnów, ciężkiego basu i soczystej, przesterowanej gitary. Na podest wkroczył wokalista Krzysztof Sado Sadowski. Przez jego jasne włosy prześwitywały refleksy scenicznego oświetlenia. Nałożona na nagą klatkę piersiową czarna kamizelka odkrywała tatuaże zdobiące jego wyżyłowane ramiona, na szyi połyskiwała srebrna biżuteria.

Alicja zadarła wysoko głowę i oddała się długiej, hipnotycznej, transowej frazie. Gdy wybrzmiał jej ostatni, zestrojony ze zwiewną fletnią dźwięk, wszedł ciężki, niski syntetyczny bas.

– Wszystkie grzechy, te moje i nie. Noce i dni, gdy zdradzałem cię. – Pośród zapętłonymi podwójnymi uderzeniami instrumentów z ust Sadowskiego zaczęły padać słowa. – Wszystkie lekcje, które dostałem. Wszystkie wojny, które przegrałem. Wino i prochy w moim systemie. Nie moja wina. Wszystkie upadki z dachu na ziemię. Nie moja wina. Wszystkie kłamstwa, które wyczułem. Nie moja wina. Cały ból, którego nie czułem. Nie moja wina.

Alicja Grabska patrzyła jak urzeczona. Kolorowe światła przesuwały się jej po twarzy. W gardle i w piersiach waliły basy.

„Nie moja wina” – wypierał się wokalista, a ona powtarzała za nim. Tak jak i on zaklinała rzeczywistość.

Spojrzała na Korde. Podrygiwał w rytm muzyki. Po jego twarzy też sunęły reflektorowe barwy, tuszując przecinającą jego policzek bliznę. Musiał wyczuć na sobie jej wzrok, bo odwrócił głowę od sceny. W mroku koncertowej hali, kryjącej wszystkie skazy, pierwszy raz jego uśmiech wyglądał prawdziwie i szczerze.

Alicja poczuła ukojenie.

Nie moja wina – zadeklamowała w myślach.

7

W pomieszczeniu było wilgotno i ciepło. Na twarzy mężczyzny pojawiły się malutkie kropelki potu. „Krótko żyją motyle, wyleciały na chwile na wiatr. Lato pali upały, nawet pachnie jabłkami jak sad” – nucił cicho, wpatrując się w biały, niemal przezroczysty kokon rozsnuty na liściach ligustru. Kokon drżał i podrygiwał. Mężczyzna wyraźnie słuchał wydobywających się z niego szmerów zwiastujących wylęg. Niebawem znajdujący się w środku motyl rozpuści oprzęd i wyjdzie przez niewielki otwór. Rozprostuje skrzydła. I będzie żyć. Nie długo, za to intensywnie. Poświęci swoje istnienie, by kochać i kopulować i by w końcu zginąć z miłości.

„Krótko żyją motyle, wyleciały na chwile na wiatr. Lato pali upały, nawet pachnie jabłkami jak sad” – znów zanucił, a przed jego oczami pojawiła się twarz Ady. Była taka piękna. Taka piękna. Uśmiechnął się do swojego wspomnienia. Ale wymknęła mu się. Była jak ten motyl. Delikatna i krucha. Zupełnie pogubiona. Westchnął. Czemu miłość tak szybko odchodziła? Czemu tak trudno było ją utrzymać?

Szelest narastał, a kokon dygotał. Zielona poczwarka w środku ruszała się coraz mocniej.

Tym razem będzie inaczej – pomyślał. *Będzie inaczej.*

Rozsadzała go miłość tak wielka, że nie mogła się skończyć. Nie mógł zabić jej czas ani człowiek. Nic nie mogło jej stanąć na przeszkodzie. Żadna zdrada, żadne oszustwo. Nie był jak swój ojciec. Potrafił kochać i dbał o to, co miał.

Czy ojciec kochał tamtą kobietę? – pomyślał. Pewnie nie. To była jedna z wielu. Ojciec nie kochał nikogo oprócz siebie. Bezwstydnie wykorzystywał innych do własnych celów. Mężczyzna pamiętał tamten dzień, gdy bolał go brzuch i wcześniej przyszedł ze szkoły. Miał może dziewięć, może dziesięć lat. To było jeszcze przed chorobą, jeszcze wtedy, gdy dziewczynki uważały go za najprzystojniejszego chłopaka w ich klasie, zanim wszyscy zaczęli się z niego śmiać, zanim zaczął się wstydzić tego, co stało się z jego ciałem. Zdziwił się, bo w przedpokoju wisiały damskie palto i płaszcz ojca. Powoli przeszedł przez korytarz i wspinał się na piętro. Chciał jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju, ale drzwi do sypialni rodziców były uchylone. Przystanął, wsłuchując się w śmiechy przechodzące w głuche westchnięcia. Jego serce wyrywało się z piersi, gdy przywarł do ściany i powoli, bardzo powoli, wsunął głowę w szparę.

Na ojcu siedziała naga kobieta. Jej ogromne piersi z ciemnymi, niemal bordowymi, brodawkami podskakiwały w górę i w dół. Ojciec zaciskał dłonie na jej pokrytych cellulitem udach, a spomiędzy jego palców wylewało się miękkie, masywne ciało. Wtedy po raz pierwszy w życiu chłopak poczuł wzwód.

– O tak, tatuśku, o tak! – krzyknęła kobieta, a ojciec gardłowo zadyszał.

Uczucie, które oblało chłopca, całkowicie go zaskoczyło. I zawstydziło jak nic nigdy wcześniej. W jego uszach dudniło, a ręce i nogi stały się jak z waty. Mimo to po cichu zszedł na dół i schował się w wylęgarni pawic. Siedział tam długo, skryty w mroku i ciszy, aż usnął. A gdy się obudził, z kokonu wylazł pierwszy motyl. Pamiętał, że rozłożył swoje czerwonobrazowe skrzydła, a fala wstydu opadła.

Od tej pory mężczyzna chował się tutaj za każdym razem, gdy cierpiał, a szum wentylatorów koił jego ból. To było jego szczęśliwe miejsce. Miejsce, w którym królowała miłość. To ona była dla niego najważniejsza.

W kokonie szeleściło coraz bardziej, aż poczwarka się przebiła i miarowo ruszając odwłokiem, z wysiłkiem wydostała na zewnątrz i przebrnęła przez pozostałości oprędu. Mężczyzna niemal

wstrzymał oddech i cierpliwie czekał, aż pawica atlas rozwinie swe piękne skrzydła zwieńczone głowami węzów.

1992

1

Potwornie wiało. Nad spowitym mgłą, szalejącym morzem zbierały się czarne, kłębiaste, gęste chmury. Wysokie fale uderzały o brzeg z hukiem. Michał Orłoś patrzył chmurnym wzrokiem przed siebie.

– Idzie szkwał – stwierdził i schował ręce w kieszenie czerwonej kurtki.

Ada Milewska zwróciła głowę ku niebu. Nigdy nie była świadkiem szkwału, choć nie raz o nim słyszała. Wiedziała, że powstawał przeważnie tam, gdzie zderzają się dwie masy powietrza o dużej różnicy temperatur, prowadząc do nawałnicy i wiatru osiagającego nawet dziewięć stopni w skali Beauforta. Ale niewiele ją teraz obchodziła pogoda. Z nerwów nie potrafiła się skupić. Tak bardzo chciała cofnąć czas. Tak bardzo chciała, by Michael widział w niej to, co dawniej.

– To jak? – Chłopak odezwał się w końcu wprost do niej. – Jesteśmy razem czy nie? Bo już się pogubiłem.

– Tak. Jesteśmy. Chyba... – bąknęła Ada. – ...bo w sumie nigdy nie prosiłeś mnie o chodzenie czy coś.

– Nie jesteśmy w podstawówce – oschle stwierdził Orłoś. – Całowaliśmy się. To chyba wystarczy. – Zmarszczył brwi.

– Tak. Chyba tak – przyznała cicho Ada.

Jej głos ginął w nieprawdopodobnie głośnym szumie wiatru, morza, jej myśli.

– To kto to był? – zapytał Michał.

– Nie rozumiem? – Dziewczyna grała na zwłokę.

Ile wiedział? Co dokładnie powiedziała mu Waliza?

– Ten facet, z którym się trzymałaś za rękę!

– Facet, z którym się trzymałam za rękę? – powtórzyła Milewska.

– Jak spotkałam Walizę? – Chłopak kiwnął głową. – To był mój wujek! Przytrzymał mnie, jak wychodziliśmy od ciotki, bo chodnik był skuty lodem. Boję się teraz zwichnąć nogę przed konkursem.

Wiedziałam, że Waliza coś takiego ci przekaże. – Pokiwała z niedowierzaniem głową.

– Czemu miałyby kłamać?

– Bo jest w tobie zakochana? Wszyscy to wiedzą.

Michael miał nieprzeniknioną minę, która po chwili zamieniła się w uśmiech.

– Jaaa, już myślałam, że jesteś jakaś zboczona czy coś – odetchnął i przyciągnął Adę do siebie. – Taaa. Waliza potrafi mącić. Zobacz, utworzył się wał szkwałowy!

Faktycznie cumulonimbusy u podstawy wygięły się w charakterystyczny łuk wyglądający niczym sunący w ich stronę taran. Wiatr przyspieszył jeszcze bardziej.

– Idziemy, bo zaraz huknie – zarządził Orłóś. – Mieszkam niedaleko, może zdążymy przed burzą.

Brnęli roześmiani przez plażę, walcząc z mocą napierającego na nich powietrza. Ada starała się nie myśleć, że z taką łatwością wyparła się Piotra. Przecież wydawało jej się, że go kocha. Przecież jeszcze wczoraj była z nim szczęśliwa, spełniona. Ale równie ważna była akceptacja. Nie chciała, by się z niej śmiano, nie chciała być wyszydzana, traktowana jak jakaś zboczona świntucha. Przecież nie była taka. To była tylko pomyłka. To była pomyłka.

Wpadli do mieszkania Michaela w chwili, gdy na ziemię zaczęły opadać małe zmrożone gradowe kuleczki.

Stuk. Stuk. Stuk.

Stukały o parapet, gdy Michał całował Adę po szyi. Miętko, delikatnie, grzecznie. Zupełnie nijako. Dziewczynie przed oczami stanął Piotr, który bez opamiętania zaciskał ręce na jej udach, niepohamowanie ocierał się o jej pupę, wydawał z siebie zwierzęce wycie.

– Chodź. – Chłopak pociągnął ją za rękę. – Nikogo nie ma w domu.

Znaleźli się w jego pokoju. Na ścianach wisały rockowe plakaty, na biurku wały się szkolne zeszyty. Nim położyli się na łóżku zasłanym pościelą w kolorowe gitary, Orłóś włączył muzykę: *Ooh. Ooh. With your feet on the air and your head on the ground. Try this trick and spin it, yeah. Your head will collapse. But there's nothing in it. And you'll ask yourself: Where is my mind?* – zabrzmiało Pixies.

Co za dzieciak – pomyślała zniechęcona Ada, gdy Michael nieporadnie ściągał jej bluzkę i powoli, w nieskończoność, muskał ustami jej ramiona. Poczowała się znudzona, ale też silna, jakby miała nad Michaelem przewagę, której wcześniej nie zauważała. Bo ona była doświadczona, wiedziała, na czym to wszystko polegało, a on był nieporadnym chłopcem, który nie miał pojęcia, jak dotykać kobietę.

Gdy chłopak sięgnął do rozporka jej spodni, prychnęła, odsunęła jego dłoń i usiadła.

– Co się stało? – zapytał zdziwiony Michael. – Nie podobało ci się?

– Nie wiem – zaśmiała się. – Trochę nie mam zdania.

Chłopak też się podniósł i ściągnął brwi. Jego kręcone włosy jak zawsze opadały na oczy, ale tym razem nie dodawało mu to uroku. Wyglądał po prostu śmiesznie. Ada w tej chwili zrozumiała, że Michael udaje gwiazdę pop, bo sam jest całkowicie nijaki.

– Nie rozumiem. – Broda chłopaka się cofnęła. – Nie masz zdania? – Uniósł brew.

– Cóż, nie do końca jestem pewna, czy wiesz, co robisz. – Wzruszyła ramionami.

– Bo ty wolisz starszych, tak? To cię kręci? Stare dziady? – Chłopak stanął na równych nogach.

– Obrażasz mnie teraz – powiedziała bez zająknięcia. – Myślałam, że mi ufasz. Że wszystko sobie wyjaśniliśmy. – Zrobiła smutną minę. – Czyli oszukiwałeś?

– Nie. Nie oszukiwałem – Michael był zdezorientowany.

Where is my mind?

Where is my mind?

Wheere is myyy mind?

A więc tak działa Piotr – zrozumiała Milewska. *Sprawia przykrość, a potem odwraca kota ogonem i to z siebie robi ofiarę.*

Zerknęła na Orłosia. Ten wlepiął w nią skonsternowane spojrzenie. Widać było, że nie wie, jak powinien się zachować.

I jak to działa... Kurewsko działa.

– Bo ja ci ufam – powiedziała. – Mogę ci ufać?

– Tak, możesz – szepnął.

– To czemu tak mnie traktujesz?

– Ja? Przecież to ty...

– Dla mnie to wszystko też jest nowe. Ja też czuję się zagubiona. –
Ada spuściła wzrok.

Chłopak cicho usiadł obok niej. Nadal musiał czuć się urażony, bo też patrzył w dywan.

– No już. Przestań się bocyć. – Dziewczyna puknęła ramieniem w jego ramię. – Już mnie nie lubisz? Co? Nie lubisz już mnie? – uśmiechnęła się.

– Lubię. – Spojrzał na nią i też się uśmiechnął.

– Widzisz? Tak dużo lepiej – pochwaliła go. – A teraz będziemy się całować. *Tylko* całować. Nie możesz być taki niecierpliwy, okej?

On kiwnął ze zrozumieniem głową, a ona ścisnęła go za brodę i przyciągnęła jego usta do swoich.

– Dobry chłopczyk – szepnęła i wgryzła się w jego wargi.

Nie wiedziała, skąd wzięła się w niej taka pewność siebie. Nie znała siebie takiej.

Ale podobała się sobie jak nigdy wcześniej.

2019

1

Oskar Korda zaparkował pod kamienicą przy Haffnera. Silnik mrucał kojąco, a deszcz bębnił o przednie szyby. Wycieraczki pracowały szybko, odrzucając wodę na lewo i prawo.

Where is my mind. Where is my mind. Where is my mind – z głośników wydobywał się liryczny wokal A.A. Williams. Pianinowy podkład nadawał staremu przebojowi Pixies melancholijny wydźwięk: smutny i piękny zarazem. Alicja Grabska zerknęła na Kordę i szybko odwróciła głowę. Ten też zerknął na nią i z chytrą miną przerzucił wzrok przed siebie.

Uśmiech nie uśmiech.

Teraz zagościł zarówno na twarzy mężczyzny, jak i kobiety.

Znów na siebie spojrzeli. W tym samym momencie. Ponownie spleśnieni uciekli oczami. Korda rozbawiony mruknął. Alicja prychnęła.

Kolejna próba.

Tym razem ich oczy naprawdę się spotkały. Widzieli się. Prawdziwie się widzieli, przestając grać, odtwarzać te ciągłe role, którymi byli już zmęczeni. Po chwili sunęli spojrzeniem po włosach, czole, nosie, policzkach i ustach... Tak, ustach. Po zagryzanych, rozchylanych, zaciskanych wargach, które zdawały się być w ciągłym ruchu, które przyciągały ich niczym syreni śpiew.

Where is my mind. Where is my mind. Where is my mind. Przestrzeń pomiędzy nimi była rozedrgana, niemal dotykalna, jakby unosili się w bańce. Byli sobie tak bliscy. Nie potrzebowali żadnych słów, by to wiedzieć.

With your feet on the air and your head on the ground. Try this trick and spin it, yeah. Ich usta dopadły się na wysokości skrzyni biegów. Zupełnie pośrodku. Świat wokół auta zaczął wirować, jakby stali się centrum wszystkiego, co żywe.

Silnik mruczał. Wycieraczki szumiały. Deszcz niezmiennie bębnił o szyby.

Where is my mind. Where is my mind. Where is my mind.

Czy tym właśnie była miłość?

Korda położył jej rękę na uchu, ścisnął, jakby chciał zagarnąć Alicję tylko dla siebie. Całował coraz mocniej, lizał, gryzł, gardłowo wzdychał, jakby czuł jakiś niewypowiedziany ból. W końcu oderwał usta od jej ust i ciężko oddychając, przyglądał się jej z miną, której Alicja nie mogła odgadnąć. Palcami obu dłoni przejechał po skórze jej twarzy, po głowie, po bokach szyi, jakby chciał poznać i zapamiętać każde wgłębienie, każdą ryse, każdy intymny szczegół.

– Chodź – szepnął i poprowadził ją na górę.

Gdy znaleźli się w sypialni, delikatnie, jakby onieśmielony, znów zaczął ją całować. Muskał wargami jej wargi, sunął mokrym językiem po jej języku. Alicja czuła jego drżący oddech, jego przemożne pragnienie, któremu poddawał się bez pośpiechu, jakby celebrował każdą sekundę. Powoli zdjęli ubrania i położyli się na pościeli. Oskar tym razem zaczął od szyi, przechodząc ku obojczykom, piersiom i brzuchowi. Pieścił każdy skrawek jej ciała, odczuwając przy tym bezgraniczną przyjemność. W końcu złapał ją za rękę i zaciskając na niej swoje palce, złożył ją ponad głową Alicji. Patrząc jej prosto w oczy, wszedł w nią swobodnie i mocno. W tym momencie poczuł się tak, jakby wrócił do domu. To uczucie zaskoczyło go i niemal obezwładniło. Musiał mocno się kontrolować, by w tym momencie nie skończyć.

Tym razem ich seks był pełen bliskości, na którą nigdy wcześniej sobie nie pozwolili. Może tak właśnie musiało być? Może musieli się od siebie oddalić, by nauczyć się być blisko? Gdy w końcu opadli spoceni na prześcieradło, wypełnił ich senny spokój. Przez długi czas nikt z nich się nie odzywał.

Tylko gęste od niedawnej czułości oddechy.

Głośny rytm bijących z wysiłku serc.

Korda wysunął rękę i zamknął jej dłoń w swojej. Przez długi czas bawili się swoimi palcami, puszczając i zaciskając, jakby byli dziećmi. Później położyli się na łyżeczkę, stykając się ochładzającymi się z minuty na minutę nagimi ciałami.

Czy tym właśnie była miłość?

– Myślałeś kiedyś, żeby się ustatkować? – zapytała nagle Alicja. Nie wiedziała, skąd wzięło się w niej to pytanie. Po prostu wypłynęło z jej ust. – Wiesz, założyć rodzinę, mieć, hmm, dzieci? – dopytała lekko zawstydzona.

– Nie – odpowiedział Oskar bez zastanowienia.

Zacisnął powieki, bo jego głowę przeszył krzyk. Jego krzyk.

„Puść! Puść mnie! Proszę. Puść!!!”. „Boisz się wody? Boisz? Ty mały tchórze!” – Ojciec na siłę ciągnął go za rękę.

Nagie stopy Oskara zapierały się o deski pomostu. Drzazgi właziły pod skórę. Starał się wyrwać z uścisku mężczyzny, ale ten był silniejszy.

„Proszę, puść!” Palące łzy leciały mu po policzku.

Ale ojciec nie odpuszczał. Pchnął go z pomostu do wody, która zalała mu twarz, dostała się do uszu i gardła.

Desperacko machał rękoma, ale woda pożerała go coraz bardziej, mocniej, głębiej.

Rozpływający się obraz patrzącego z góry ojca.

Uciekające bąbelki powietrza.

Narastająca ciemność.

– Nie. To nie dla mnie – powtórzył, jakby chciał zagłuszyć wspomnienie. – A ty? Chciałabyś znów...?

– Cóż, moi rodzice nie dali mi najlepszego przykładu. – Alicja ciężko westchnęła. – Rozwiedli się, gdy miałam pięć lat, co paradoksalnie stało się wybawieniem od krzyków matki i milczenia ojca. A moje małżeństwo z Igiem... hmm. Sam wiesz, jak to wyglądało...

– W sumie to... nigdy o tym nie mówiłaś. – Oskar niepewnie zerknął na Alicję.

Ta usiadła i oparła plecy o zagłówek łóżka.

– Poznałam Tajfuna w liceum. Był pierwszym prawdziwym przyjacielem, jakiego miałam. Stał za mną murem i wiedziałam, że zrobiłby dla mnie wszystko. Po tym, jak tamten nauczyciel... Po tym, jak... – Grabska wzięła głęboki oddech. – ...tamten nauczyciel mnie wykorzystał, bo teraz wiem, że to było molestowanie, choć wtedy myślałam, że to była moja wina, że to ja... To mnie zmieniło. Nie wiedziałam, gdzie szukać pocieszenia. Nie powiedziałam o tym matce, bo byłam pewna, że nigdy nie stanie po mojej stronie. Książd

z naszej parafii, do którego z tym poszłam, wyzwiał mnie od grzesznic i kazał więcej się tam nie pokazywać. Więc w końcu powiedziałam Igorowi. Już wcześniej obiecał, że zawsze będzie mnie chronił, ale wtedy poprzysiągł mnie pomścić. Widziałeś blizny tego nauczyciela. To Igor zostawił je na jego ciele, choć raczej muszę powiedzieć, że to my je tam zostawiliśmy. Igor był tylko moimi rękoma. I to nas złączyło na zawsze. A przynajmniej tak wtedy myślałam. Przez pierwszy okres małżeństwa wszystko układało się dobrze. Nie zwracałam wielkiej uwagi na wybuchy gniewu Igora. Wiedziałam, że też ma swoje demony, które wyniósł z domu. Po wyzwiskach i krzykach były przeprosiny, uniesienia i okresy ciszy. Gdy zaczął podnosić na mnie rękę, przeprosiny i uniesienia były jeszcze większe. Płakałam razem z nim, wmawiałam jemu i sobie, że to nie była jego wina, że nie był sobą, gdy to robił. To był taki błędny mechanizm. Chore wzajemne uzależnienie. Musieliśmy naprawdę dojść do krawędzi, żeby to przerwać. Ale tak naprawdę jeszcze przez długi czas stałam na tej krawędzi, jakbym nie potrafiła oddychać normalnym powietrzem. W sumie nadal nie potrafię, ale przynajmniej się staram. To już coś.

Alicja zamilkła i zapatrzyła się w okno, jakby zwierzenie wywołało w niej wstyd. Gałęzie wysokich drzew niespokojnie tańczyły za szybą. Tak. Wstydziała się tego, kim była. Wstydziała się tego, kim się stała. Ale musiała nauczyć się z tym żyć. Może kiedyś będzie w stanie sobie wybaczyć.

„Nie moja wina” – znów zabrzączał w jej głowie wokal Sadowskiego.

Wiedziała, że nie była to prawda.

W sporej części była winna temu, co ją spotkało. Ale nie sama i nie wszystkiemu. Wina zawsze jest końcem złożonej historii. Ale to nie było teraz ważne. Nie o tym chciała teraz myśleć. Sięgnęła po leżącą w ich nogach kołdrę i nakryła nią ich ciała. Wtulając się w Kordeę, zasnęła. Pierwszy raz od długiego czasu spokojnie i bezpiecznie.

Michał Orłoś miał ścięte tuż przy skórze włosy. Ubrany w szary garnitur i czarne mokasyny w niczym nie przypominał Michaela Jacksona, choć Korda mógł sobie wyobrazić, że kiedyś tak było. Oskar od jakichś ośmiu minut stał pośrodku salonu samochodowego Bawaria Motors w gdańskim Wrzeszczu, lecz nikt do niego nie podszedł. Gdyby detektyw był tajemniczym klientem, wystawiłby dealerowi fatalną recenzję. Jednak nim nie był i wcale nie marnował czasu. Przyglądał się Orłosiowi, śledząc każdy jego ruch. To on jako jeden z ostatnich widział Adę Milewską żywą. Byli na lekcjach tańca, które opuścili mniej więcej o tej samej porze. Z tym że Michael wrócił niebawem żywy do domu, Ada zaś przez długi czas dogorywała pod swoim, nim w końcu uszło z niej życie.

– Dzień dobry. – Usłyszał nagle detektyw. Podszedł do niego ciemnowłosy mężczyzna z brązowymi oczami i sporym prostym nosem, przypominający wyglądem młodego Roberta De Niro. – Szef sprzedaży, Jakub Bernardowski – przedstawił się. – Czy ktoś już do pana podszedł? – zapytał, ścigając brwi.

– Nie. Wciąż czekam na obsługę.

– Najmocniej przepraszam. Mamy tu dzisiaj mały chaos. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, ja bardzo chętnie odpowiem na wszystkie pana pytania.

– Jest pan bardzo miły – uśmiechnął się Korda – ale upatrzyłem już sobie tamtego pracownika. – Wskazał na Michaela, który ścisnął właśnie rękę klienta na pożegnanie. – Wygląda, jakby sporo wiedział o autach.

– Yhm. Oczywiście. – Bernardowski skinął uprzejmie. Codziennie stykał się w tej pracy ze świrami, więc trudno go było zdziwić. – Michał, pozwól proszę. Klient do ciebie. – Skinął na mężczyznę i po chwili zniknął na schodach prowadzących do góry.

– Dzień dobry, dzień dobry. Jak mogę pomóc? Widzę, że spodobał się panu któryś samochód? – wyszczerzył zęby Orłoś, automatycznie rozpoczynając handlową gadkę.

Oskar podniósł sarkastycznie brew. Strzeliłby sobie w łeb, gdyby musiał tak pracować. Na tę myśl uśmiechnął się w duchu. Na szczęście nie musiał. Na szczęście w pracy policjanta nie musiał przybierać masek radości. Jego naturalnie sceptyczny wyraz twarzy sprawdzał się w jego profesji doskonale.

– A pan czym jeździ? – zapytał.

– Starym yarisem, niestety. – Michał przejechał ręką po spoconym czole. – Ale czasami dają mi się przejechać bmw 4 gran coupé. Uuuu, panieeee. I to się prowadzi! Chciałby pan obejrzeć?

– Nie bardzo. Ale na przykład interesowałoby mnie, co pan robił w nocy z dnia drugiego na trzeciego listopada? – Detektyw wyciągnął odznakę, którą przejechał sprzedawcy przed oczami.

Ten natychmiastowo zbladł.

– Czy coś się stało? – spytał, widocznie przejęty. – Boże, co się stało?! – Złapał się za pierś.

Oskar przyglądał się jego twarzy. Orłoś wyglądał na prawdziwie zatrwożonego. Czy odezwała się w nim dawna trauma?

– Spokojnie. Chciałbym zadać panu tylko kilka rutynowych pytań. Usiądziemy gdzieś?

Michał wciąż blady jak papier poprowadził go do przydzielonego mu przeszklonego boksu.

– Czy pamięta pan, co robił w nocy z soboty na niedzielę drugiego listopada?

– Kiedy to było? Niech policzę... niecałe sześć tygodni temu, tak?

– Dokładnie.

– No musiałem być w domu, spałem, jak każdy człowiek.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Raczej nie. Od rozwodu mieszkam sam, więc...

– Mhm. – Korda złożył palce w koszyczek i nacisnął na kłycie, aż strzeliły. – To nie najlepiej dla pana – uznał. – Czy ma pan konto na komunikatorze Pitu-Pitu?

– Na Pitu-Pitu? A co ja, mam dwanaście lat? – skrzywił się Orłoś. – O co chodzi w ogóle? Nie rozumiem, skąd te pytania.

– Kojarzy pan tę dziewczynę? – Korda wyświetlił na telefonie zdjęcie Liwii Dembskiej.

– Kojarzę – przyznał Michał. – To zaginiona córka poła Dembskiego. Wszędzie o tym trąbią.

– Zna ją pan może osobiście?

– Nieeee. Nie. Czemu miałbym znać? Jezu, nie pojmuję, skąd w ogóle...

– Rozumiem, że mieszka pan w domu jednorodzinnym?

– Tak. Rodzice zostawili go mnie i byłej żonie, a sami wyprowadzili się do czegoś mniejszego.

– A motyle?

– Co motyle?

– Lubi pan?

– Motyle? Czy lubię?

– No. Lubi pan? – powtórzył Korda z pokerowym wyrazem twarzy. – A może pan hoduje?

– Nie hoduję żadnych motyli! – oburzył się Michael, uderzając pięścią w stół. – Przepraszam. – Od razu się zreflektował. – Mam bardzo stresującą pracę. Już nerwy mi siadają – westchnął.

– Hmm – mruknął Korda, nie spuszczając wzroku ze sprzedawcy. Przez chwilę siedzieli w ciszy, po czym policjant powoli wstał. – To by było na tyle, póki co – stwierdził i zostawił strapionego Orłosa przy biurku.

3

Alicja Grabska wlała do kubka parującą kawę z ekspresu i przeszła z nim do swojego pokoju. Zamknęła drzwi, zostawiając za sobą gwar pracy w redakcji. Stała przy oknie, obserwując, jak pierwsze w tym roku płatki śniegu nieśmiało opadają na rozłożyste ramiona stojącego nieopodal budynku „Dziennika Trójmiejskiego” gołego kasztanowca, na dachy stojących po lewej stronie sopockich kamienic, na majaczącą w oddali, niemal wyludnioną o tej porze roku ulicę Bohaterów Monte Cassino. Pierwszy raz od bardzo dawna czuła się wyspana. Prawdziwie zrelaksowana i – choć bardzo bała się tego słowa – najzwyczajniej w świecie... szczęśliwa. Wiedziała, że na ten stan wpływał nadal podniesiony po wczorajszej nocy poziom endorfin. Ale przecież nie chodziło tylko o seks, a o to, co było potem. Zasnęła w ramionach Kordey, nie walcząc z chęcią ucieczki, nie deprecjonując wbrew sobie wszystkiego, co nastąpiło. Zasnęła, jakby pękła zbroja, którą nakładała na siebie od bardzo dawna. Tak zwyczajnie. Tak po prostu. Jak wszyscy inni ludzie na świecie.

Alicja odetchnęła głęboko i z przyjemnością popiła z kubka kawy. Gorący napój rozlał się po przełyku, zostawiając w ustach miłą goryczkę. Śnieg wirował w powietrzu, raz po raz znoszony na bok przez wzmagający się wiatr. Zbliżały się święta. Może w tym roku nie będą takie złe? Może uda jej się tym razem wytrzymać na wigilijnej kolacji u matki bez kłótni i wzajemnych pretensji? Pomyślała o Adzie Milewskiej. O leżącej na śniegu dziewczynie z rozłupaną głową. O nadchodzących świętach, na które na pewno się cieszyła. Dlaczego Alicja nie potrafiła cieszyć się ze świąt? Co z tego, że trzydzieści dwa lata temu w Boże Narodzenie rozstali się jej rodzice? Przecież tym sposobem uchronili ją od wiecznych krzyków, agresji, negatywnych wzorców, które jeszcze dotkliwiej mogły zrujnować jej życie. Może powinna być im wdzięczna? Może w końcu powinna wybaczyć matce?

Impulsywnie wzięła do ręki telefon i wybrała numer Beaty Rostockiej.

– Cześć, mamó – powiedziała po chwili do słuchawki.

– No proszę, proszę. Alicja. Coś się stało?

– Nie, nic. Tak tylko dzwonię. Idą święta. – Dziennikarka dostrzegła zmierzającą przez parking dziewczynę o krótkich jasnych postrzępionych włosach w brązowym sztucznym futrze, wysokich podkolanówkach i glanach.

– Idą. Idą. I pewnie znów zamierzasz nam je popsuć, co? Po to dzwonisz? Żeby oznajmić, że w tym roku w ogóle nie przyjdiesz? Może tak byłoby i lepiej, po co się oszukiwać, że...

– Mamó, nie chcę się kłócić – przerwała jej Alicja. – Później to omówimy, dobrze? Muszę kończyć.

– Pewnie. Kończ. Jak zawsze, gdy robi się nieprzyjemnie. Uciekaj. Jesteś w tym najlepsza.

– Naprawdę muszę się rozłączyć – westchnęła Alicja.

Zaczynała żałować, że w ogóle wybrała numer matki. Za każdym razem ich rozmowy kończyły się tak samo. Nie pojmowała, czemu nigdy nie potrafiły się porozumieć. Były jak te magnesy, które zamiast się przyciągać, wytwarzają pomiędzy sobą poduszkę, której nijak nie sposób obejść.

– Dobrze – szepnęła Beata Rostocka. – W takim razie...

– Poczekaj. – Nagle Alicji coś się przypomniało. Powracający sen, w którym trzyma w ręku duży kuchenny nóż. Przejeżdża po ostrzu krwawiącymi palcami. W jedną, w drugą. W jedną, w drugą. Podnosi wzrok na matkę i się uśmiecha. – Czy jak byłam mała, wzięłam do ręki kuchenny nóż i... hmm... skaleczyłam się nim? Wydaje mi się, że siedziałam wtedy w kojcu i...

– Znowu ciotka Iza ci głupot nagadała? – oburzyła się Rostocka. – Oczywiście najgorszą matkę chcecie ze mnie zrobić! Boże, czym ja sobie zasłużyłam na takie dziecko! – zawołała.

– To było coś takiego czy nie?! – zapytała znów cierpko Alicja.

W tym momencie ktoś zapukał i w uchylonych drzwiach pojawiła się przyjaciółka Liwii Dembskiej ze szkoły, którą Grabska rozpoznała przed chwilą na parkingu.

– Faktycznie jakimś cudem sięgnęłaś po nóż – przyznała matka. – Nie wiem, jak to zrobiłaś, bo ten leżał na blacie, a ty nigdy wcześniej się nie podniosłaś z pozycji siedzącej. Ale nie skaleczyłaś się! – zaprzeczyła. – Przejeżdżałaś paluszkami po tępej stronie głowni. W jedną i w drugą. Jezus! Jak ja to zobaczyłam, to myślałam, że zawału dostanę. Ale Pan Bóg cię musiał ochronić.

Alicja Grabska bezgłośnie skinęła głową i wcisnęła czerwoną słuchawkę.

Zwróciła się do czekającej w drzwiach dziewczyny:

– Cześć, Kinga. Chodź, chodź. – Wskazała jej miejsce przy biurku.
– Jak tam?

Dziewczyna zdjęła brązowego futrzaka, którego przywiesiła przez krzesło. Została w obcisłej czarnej bluzce spiętej wąskim gorsetem. Pomimo mocnego makijażu jej twarz zdawała się zmęczona.

– Czy coś wiadomo? – zapytała smutnym głosem. – Czy wiadomo, gdzie może być Liwia?

– Niestety nadal nic nie wiemy. – Alicja pokręciła głową. – Ale detektyw prowadzący sprawę bada wszystkie możliwe tropy, więc trzeba być dobrej myśli. – Szybko odtrąciła obraz leżącej na pokrytej świeżym śniegiem ziemi zmasakrowanej Adrianny Milewskiej, który znów automatycznie pojawił się w jej głowie.

– Rozumiem. – Kinga spuściła wzrok.

– Czy coś chciałabyś mi powiedzieć? – Alicja przyjrzała się uważnie dziewczynie.

Ta palcami wskazującymi skubała skórki przy kciukach.

– Chyba tak, choć sama nie wiem.

– Każdy szczegół może być ważny. Naprawdę. – Alicja wyszła z za stołu i przykucnęła obok licealistki. – W sprawach o zabójstwa najczęściej dochodzi się do sprawcy poprzez z pozoru nic nieznaczący niuans.

– O zabójstwa?! – Przerażona Kinga podniosła wzrok na dziennikarkę.

– Nie, nie! Przepraszam! Strasznie źle to zabrzmiało! – Alicja przysłoniła ręką usta. – Chodziło mi po prostu o najbardziej tajemnicze przypadki – westchnęła, przyciągnęła do Kingi stojące obok ściany krzesło, usiadła i dodała konspiracyjnym szeptem: – Czasami przełomu w śledztwie dokonują najbardziej, wydawałoby się, absurdalne drobiazgi, bo to zazwyczaj ich brak zaburza perspektywę zbrodni. – Kinga zagryzła wargę. – Jeśli więc jest cokolwiek, *cokolwiek* – podkreśliła – co budzi twoje wątpliwości, powiedz to. Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem.

Dziewczyna kiwnęła głową ze zrozumieniem, zaciśnęła usta, nadal skubiąc skórki u kciuków.

– Chodzi o Rino – wydusiła w końcu.

– Co z nią?

– Przyłapałam ją, jak oglądała nagie zdjęcie Liwii w telefonie.

– Nagie?

– Cóż, no prawie nagie, choć nie widziałam dokładnie, bo Rino siedziała kilka dobrych ławek przede mną.

– No dobrze, spróbuj opisać dokładnie to, co pamiętasz.

– Podczas zajęć z biologii Rino wyciągnęła telefon, a potem odpaliła na nim zdjęcie Liwii. To na pewno była ona, bo ma dość... hm... specyficzną budowę ciała. Była na tej fotografii w wyciętym body i nadkolanówkach.

– Skąd Rino miałyby mieć takie zdjęcie Liwii? – zastanowiła się Alicja.

– Nie wiem, może to było zdjęcie z okresu, gdy się spotykały?

– Rino i Liwia się spotykały? – zdumiała się Grabska. – Kiedy?

– Tuż przed Julkiem. W sumie to chyba za dużo powiedziane, że się spotykały. Ale coś tam było na rzeczy, choć nie mówiły tego

otwarcie i przede mną też się krygowały. Bardziej chyba po prostu to robiły.

Czoło Alicji się zmarszczyło.

– To Rino... to Rino jest biseksualna, tak?

– Rino jest panseksualna, czyli wie pani, płeć i orientacja nie mają znaczenia, choć zdaje się, że do tej pory była tylko z Liwią – zaznaczyła Kinga.

– O.

– Prawda? Wydaje mi się, że Rino poczuła coś wtedy do Liwii, ale ona traktowała to chyba jak jakiś eksperyment, jak lek na złamane serce.

– Chodzi o Bizonia?

– A więc wiecie. – Kinga podniosła brew. – Nie myślałam, że Rino odważy się sprzedać sekret Liwii.

– Wiemy.

– No właśnie. Liwia miała złamane serce, więc potrzebowała plasterka. No i Rino jej posłużyła za taki plasterek. A potem poznała Julka i z dnia na dzień Rino poszła w odstawkę. Powróciła do statusu przyjaciółki, jakby nic się nie stało. Chyba nawet Liwia nie przegadała tego z Rino. Przyszła po prostu do szkoły i oznajmiła, że ma nowego chłopaka. Pamiętam reakcję Rino. Była w lekkim szoku.

– Okej. To wróćmy do zdjęcia. Jak to było?

– No Rino wyciągnęła telefon i wpatrywała się w ekran. Byłam ciekawa, co ona tam ogląda, więc się wychyliłam i nawet trochę podniosłam. Patrzę, a ona wlepia wzrok w rozneglizowane zdjęcie Liwii. Nigdy Liwii w takim wydaniu nie widziałam, serio. Wyglądała jak jakaś hot gwiazda sado-maso. Bardziej to ja bym się tak odwaliła do łóżka. – Kinga zaczęła się śmiać, wskazując na tkwiący na szyi choker.

– Pytałaś ją potem, co to za fotka?

– Tak, ale zupełnie mnie zbyła. Przepchnęła się po prostu przez tłum, popychając mnie łokciem, jakbym była jej wrogiem czy coś. I wtedy poczułam, że coś tu jest nie halo.

– Wiedziałaś, że Liwia miała konto na PP?

– Nie – zdziwiła się Kinga. – Ale sama Liwce o tym wspomniałam, że na Pitu-Pitu siedzi pełno creepów łasych, by prawić komplementy. Czasami też się tam rejestruję, dowartościowuję,

a potem kasuję konto. Ale nie wiedziałam, że Liwia założyła tam profil.

Alicja Grabska otworzyła aplikację randkową na swoim telefonie.

– To zdjęcie widziałaś? – Wskazała na fotografię Dembskiej.

– Nie. Choć Liwia była tak samo ubrana. Ale na tamtym siedziała wyprostowana na podłodze i nogi miała podwinęte pod pośladki.

Grabska zagryzła policzek od środka. Przez chwilę milczały.

– Czyli co to znaczy? – zapytała w końcu Kinga.

Alicja Grabska patrzyła w okno, za którym wiatr zawiewał padający śnieg coraz bardziej na lewo.

– To znaczy, że Rino pisała z Liwią na PP. I to zapewne anonimowo – odparła zamyślona.

4

Wiatr z minuty na minutę się wzmacniał, a śnieg, który jeszcze przed chwilą zachwyił Adama Gustowskiego, stawał się coraz bardziej nie do zniesienia. Drobny i mokry wpadał za kołnierz kurtki, osiadał na włosach i – co najgorsze – na szklach korekcyjnych okularów.

– Parszywa pogoda. – Policjant stęknął pod nosem, wychodząc na ulicę Wybickiego z kolejnego domu.

Dorodne drzewa przy chodniku szumiały pod naporem wiatru. Linia lasu za szeregiem budynków mieszkalnych również niespokojnie ugięła się w jedną stronę. Gustlik schował brodę pod materiałem pilotki i skreślił numer z listy. Oczywiście nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, nikt nic nie pamięta. Większość osób, które mieszkały w okolicy zabójstwa Adrianny Milewskiej w dziewięćdziesiątym drugim, była przecież wtedy rozpytana. Pamiętali jak najbardziej tę tragedię. Ale CB-radio? Nie mieli, nie używali, nikogo nie podsłuchiwali żadnym sprzętem. Niestety. A po co to teraz do tego wracać? Odświeżacie dochodzenie? Wtedy nic nie zrobiliście, mordercę na wolności zostawiliście, a teraz się obudziliście? Machali rękoma. Przegrana sprawa. Przegrana.

Adam Gustowski nie należał jednak do tych, którzy się poddawali. Miał zadanie i zamierzał je wykonać. Kochał swoją pracę i planował daleko w niej zajść. Kto wie, komisarzem zostać? Nadawał się. Tego

był pewien. Ludzie nie przepadali za psami. Wiedział to doskonale i zresztą się nie dziwił. Większości władza uderzała do głowy. Możliwość kontrolowania innych sprawiała, że czuli się lepsi i ważniejsi. Lubili ludzką uległość. Lubili pokazywać innym, że stoją wyżej w hierarchii. Władza deprawowała człowieka, nieuchronnie powodując wykorzystywanie jednych przez drugich, to była prawda stara jak świat. Gustowski nie raz był świadkiem lewych zachowań kolegów, choćby względem napotkanych na ulicy osób. Śmiali się, gdy mogli kogoś poniżyć. Sprawiało im to przyjemność, dodawało animuszu, zakrywało skrętnie chowane kompleksy, rekompensowało śmieszna pensję, nadgodziny i fakt, że bez względu na to, kogo udawali, tak naprawdę byli tylko od wypełniania rozkazów z góry. Ale Gustlik miał inną postawę. Nie poszedł do szkoły policyjnej dlatego, że nie miał lepszych perspektyw. Towarzyszyła mu wizja. Czuł prawdziwe powołanie. Tak samo jak Korda, dlatego lubił z nim pracować. Oskar nic nie udawał. Wiele ukrywał, to na pewno. Ale nigdy nie wykorzystywał swojej pozycji, by kogoś poniżyć. Dążył do prawdy. I Gustlik totalnie to szanował.

Starszy sierżant zdjął z nosa okulary i przetarł je wyjętą z kieszeni chusteczką. Po chwili szkła znów zasnuły białe plamy. Zerknął przez nie na kolejną kamienicę. Furtka na posesję była uchylona, przeszedł więc pod klatkę i schronił się pod daszkiem. Zadzwoił domofonem. Odczekał i znów przycisnął guzik. Po chwili ktoś wpuścił go do środka. Gdy znalazł się na ciemnej klatce schodowej, okulary natychmiast zaparowały. Zdjął je i przez chwilę wspinał się po drewnianych stopniach, niemal nic nie widząc.

W drzwiach ukazała się jakaś postać. Gustlik włożył z powrotem okulary na nos. Starszy pan też miał chyba kłopoty ze wzrokiem, bo pochylał się do przodu, wyciągając szyję i marszcząc czoło.

– Słucham? – zapytał skrzeczącym głosem.

– Dzień dobry. Starszy sierżant Adam Gustowski – przedstawił się, wyciągając odznakę. – Czy mogę zająć panu chwilkę? Chodzi o sprawę morderstwa Adrianny Milewskiej w dziewięćdziesiątym drugim. Nie wiem, czy pan pamięta? Osiemnastolatka zamordowana tutaj na ulicy.

– U państwa Milewskich. A tak. Pamiętam. Pamiętam. Straszna tragedia. Straszna. – Staruszek pokiwał smutno głową, wprawiając

w ruch całe wątle ciało. Pan wejdzie, bo mi ciężko stać – zaprosił Gustlika do środka.

– Dziękuję. – Starszy sierżant ściągnął w korytarzu zaśnieżone buty i przeszedł z mężczyzną do kuchni.

– Jan Golec – przedstawił się staruszek, wyciągając dłoń. Miał pomarszczoną, suchą skórę, ale uścisk nadal silny. – Napije się pan herbaty?

– Szczerze mówiąc, bardzo chętnie. Zmarzłem jak pies – uśmiechnął się.

– Nic dziwnego. – Golec, zadowolony z siebie, że zrozumiał żart, puścił policjantowi oczko. – Czyli co? Wznawiacie dochodzenie? – Usiadł przy stole.

Gazowy palnik pod czajnikiem płonął z cichym sykiem błękitnym ogniem.

– Sprawdzamy jeden trop. Wie pan, warto czasami z dystansu znów podejść do sprawy, której nie udało się rozwiązać.

– No tak. Słyszałem o przypadkach, w których po latach udało się w końcu ująć sprawcę. Jak przy tej dziewczynie oskórowanej z Krakowa na przykład. Studentce religioznawstwa. Dziewiętnaście lat musiało minąć, by ująć tego zwyrodnialca. Słyszał pan?

– Tak, choć wydaje mi się, że sprawa jest nadal w toku, a oskarżony jest w areszcie śledczym.

– Ale na pewno go skazą. Nie może być inaczej.

– Nie może, a jednak bywa – westchnął Gustlik.

– Fakt – przyznał mu rację staruszek, wsłuchując się w coraz głośniejszy szum gotującej się wody.

Pan Jan wstał i wsypał do przygotowanych kubków po łyżeczce liściastej herbaty. Po chwili zalał je wodą i postawił drżącą ręką na stole.

Zawieja za oknem wzmagająca się coraz bardziej. Gustlik przeniósł wzrok z okna na parujący napój i poczuł, że wraca mu humor.

– Panie Janie, zapytam bez ogródek. Czy w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim miał pan może CB-radio?

– CB-Radio? – Golec zebrał usta w ciup. – Nie. Nie miałem. I nikt tu z nas w domu nie miał. A czemu?

– Adrianna Milewska prowadziła długie rozmowy z pewnym mężczyzną za pomocą tego urządzenia. Prawdopodobnie nawiązała

z nim romans. I to ten mężczyzna być może jest naszym poszukiwanym.

– Co pan nie powie? – Staruszek oparł się o krzesło. – Miała romans, pan mówi? Przez to CB-radio?

– Mhm.

– To my tutaj w domu słuchaliśmy rozmów jakiejś pary – przypomniał sobie. – W sumie to bardziej syn śledził, ale radio stało w kuchni, zresztą to samo co teraz. – Wskazał na stary radiomagnetofon Unitra stojący na lodówce. – Nadal działa, pan uwierzy? – zaśmiał się. – W każdym razie mówiliśmy na nich Romeo i Julia, o ile to o nich chodzi. Kiedyś, pamiętam, ta dziewczyna włączyła muzykę jakąś i dla niego tańczyła. I potem mu to opisała. Ale śmiechu było! – Golec machnął ręką. – Myśli pan, że to ona? Że to ta zamordowana była?

– Nie wiem – przyznał Gustlik. – W tamtych czasach ponoć sporo par romansowało przez CB-radio. Ale tak. Z dużym prawdopodobieństwem. Przede wszystkim dlatego, że raz, złapał pan odpowiednią częstotliwość fal radiowych, na których rozmawiali, a dwa, znajdował się pan w zasięgu nadawania. Po trzecie i chyba najważniejsze, Adrianna Milewska trenowała taniec. – Nagle zamilkł, zdając sobie sprawę, że mocno się zapędził. Nie wiedzieć czemu poczuł do staruszka zaufanie.

– Boże mój! – Jan Golec złapał się za głowę. – Nasza Julia! A śmialiśmy się, że na pewno się pobrali, bo potem te rozmowy ucichły. A to dlatego, że... O Boże! A to dlatego, że Romeo zabił Julię! Los to jest jednak niebywały skurczybyk. – Mężczyzna z niedowierzaniem raz po raz kręcił głową, wprawiając w ruch wiszącą na policzkach skórę.

– Panie Janie. Mógłbym pana prosić, żeby opowiedział mi pan wszystko, co pamięta z tych rozmów?

– Ja to tam niewiele pamiętam. Oj, ta pamięć to już nie ta. – Golec wzruszył ramionami. – Ale syn. Syn musi pamiętać! W Londynie mieszka, ale od czego jest internet, nie? – Staruszek się uśmiechnął. – W salonie mam komputer, zadzwonimy – powiedział i sięgnął po herbatę.

5

Alicja Grabska szczelnie zamknęła poły beżowego płaszcza i otuliła szyję grubym szalikiem w takim samym kolorze. Wyszła z budynku redakcji i przeszła przez parking. Po drodze natknęła się na przystojnego bruneta w bomberce Alpha Industries, który uprzejmie skinął jej brodą. Znała z widzenia wsiadającego do saaba prokuratora Bilskiego, który często parkował pod redakcją, gdy spieszył się na sprawę w pobliskim sądzie rejonowym. Podziwiany w środowisku łowca najgorszych przestępców w Trójmieście, chłopak po przejściach i łamacz damskich serc. To on skierował ich do biegłego Macieja Chrabala. Wiedziała, że Oskar lubił z nim pracować. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, walcząc z wiatrem, przeszła przez parking i malowniczym skwerem przy ulicy 1 Maja przedostała się do biegnącego pod Grunwaldzką tunelu. Po chwili znalazła się na Monciaku. Detektyw już na nią czekał. Na jego ciemnych włosach osiadły białe drobinki śniegu.

– Cześć – powiedział miękko.

– Cześć – odparła zawstydzona.

Oskar podał jej dłoń, przyciągnął do siebie i pocałował. A więc to, co zaszło pomiędzy nimi wczoraj, było faktem. Nie udawali, że tej nocy nie było. Nie udawali, że nie zasnęli w swoich ramionach, a Korda nie wyszedł dopiero nad ranem, by przebrać się przed pracą.

– Masz zimny nos – zaśmiał się.

– Ty też – odparła, nie odrywając ust od jego ust.

– Mokry nos, zdrowy pies. – Puścił jej oko i pociągnął za sobą do niewielkiej pizzerii, w której umówił ich z Agnieszką Walizowską, jednym z kluczowych świadków w sprawie Adrianny Milewskiej.

– Jestem potwornie głodny. A ty? Powinniśmy zdążyć zjeść, nim zjawi się Walizowska – zdecydował Korda, odsuwając dla Alicji krzesło przy jednym z kameralnych drewnianych stolików w Tesoro Express.

Po chwili złożyli zamówienie na pizzę z krewetkami i dwie herbaty z cytryną. Za kamienną wysoką ladą pochodzący z Italii pizzaiolo kręcił ciasto, z głośników płynęła muzyka nadawana we

włoskiej stacji radiowej. Wiatr za oknem bawił się grubymi płatkami śniegu.

– Była u mnie przed chwilą Kinga Prószyńska – odezwała się Alicja. – Okazuje się, że Rino spotykała się z Liwią. W sensie na randki.

– To on, to znaczy ona, nie jest gejem?! – Mina Kordy była bezcenna.

– Nie. Jest podobno panseksualna. – Alicja się zaśmiała. – To znaczy, że ludzie pociągają ją seksualnie lub emocjonalnie niezależnie od ich płci czy tożsamości płciowej.

– Okej. – Detektyw potrząsnął głową. – Czego się jeszcze dowiedziałaś?

– Że Liwia wykorzystwała Rino po tym, jak rzucił ją Bizoń. Pobawiła się nią, a potem zostawiła dla Julka. Tym samym Rino może mieć do Liwii wielki żal.

– A tym samym mogła mieć motyw, by jej coś złego z zazdrości albo z odwetu zrobić – zauważył Korda.

– Dokładnie tak. Jest jeszcze coś.

– Dawaj.

– Kinga widziała, jak Rino ogląda na lekcji rozneglizowane zdjęcie Liwii. Przypominające to profilowe z Pitu-Pitu, ale w innej pozycji.

– Ciekawe. Liwia przesłała dwóm chłopakom inne swoje zdjęcie w prywatnej konwersacji. Takie na podłodze, z nogami pod pupą.

– To właśnie to.

– Mhm. Czyli wychodzi na to, że Rino stalkowała Liwię na PP. – Korda bezwiednie podniósł kciuk w kierunku bliźny.

Kelnerka podała na stół parującą herbatę i odeszła.

– Ale jak to się ma do Ady i Niny? Przecież w dziewięćdziesiątym drugim Rina nie było jeszcze na świecie. – Alicja zniżyła głos, nachylając się do detektywa.

– Może daliśmy się zwieść pozorom? Może te sprawy wcale nie są powiązane? – Korda oparł plecy o krzesło.

– Są powiązane. Przecież wiesz. Za dużo zbiegów okoliczności – upierała się Grabska.

– Chyba że... – Korda podrapał brew. – Chyba że wszystkie trzy dziewczyny faktycznie podrywał ten sam mężczyzna, tylko

w przypadku Liwii nie zdążył zrobić jej nic złego, bo uprzedził go Maciej Zaręba. To znaczy Rino.

– Nie sądzisz, że to naciągane? Zresztą Zaręba nie kontaktowała się z Liwią tej nocy.

– Nikt tej nocy się z Liwią nie kontaktował – westchnął Korda. – No nic. Wezmę Rino na dołek i przycisnę. Niewątpliwie coś ukrywa.

Alicja przytaknęła i upiła łyk gorącej herbaty. Oskar też nieco upił, nie odrywając od niej wzroku.

– Wiesz – powiedział, odstawiając kubek. – Było mi wczoraj, hm...
– urwał, obdarzając ją tym swoim uśmiechem.

– Mnie też – odparła Alicja.

To w nich lubiła. Oboje nie potrzebowali zbędnych słów, by wiedzieć, że wczorajsza noc coś znaczyła.

W doskonałych nastrojach pochłonęli pizzę, która już po chwili znalazła się na stole, i w drzwiach ukazała się Agnieszka Walizowska, którą w szkole nazywano „Walizą”. Czterdziestopięcioletnia przysadzista kobieta o zmęczonej twarzy i ściętych na krótko kasztanowych włosach po chwili przysiadła się do ich stolika.

– Pani Agnieszko, tak jak mówiłem przez telefon, chciałem się z panią spotkać, by porozmawiać o morderstwie Adrianny Milewskiej. Możemy?

– Tak. Inaczej bym tu nie przychodziła – odparła. Nie chciała zamówić nic do jedzenia ani picia. – Ale nie mam całego dnia. Obiad muszę zrobić i tak dalej.

– Nie zajmiemy pani dużo czasu – zapewnił Oskar.

– Zresztą i tak nic nowego raczej nie powiem niż w aktach. Przesłuchiwano mnie kilka razy, więc...

– Rozumiem. Chciałem tylko potwierdzić kilka kwestii. Zeznała pani, że dwa tygodnie przed zdarzeniem widziała Adrianę Milewską z jakimś mężczyzną, czy tak?

– Tak – potwierdziła Walizowska.

– Opowie pani, jak to było?

– No to było tak, że wracałam wtedy od matematyczki, pani Gudzowskiej, która udzielała mi korków. Nie radziłam sobie za bardzo, więc tata mi załatwił i kazał chodzić. Za bardzo to i tak nic nie dawało, bo baba była gburowata i guzik ją moja matma

obchodziła. No ale to nieważne. Więc wracałam. Przymrozek był. Śnieg chyba padał czy coś. I zobaczyłam na ulicy Adę. Szła za rękę z jakimś facetem. A jak mnie zobaczyła, to natychmiast tę rękę puściła i cała się oblała rumieńcem.

– Jak ten mężczyzna wyglądał?

– Czy ja wiem? Już wtedy miałam problem, żeby go opisać, bo ja do twarzy to pamięci nie mam za grosz. Jak coś opisuję, to zawsze jest na odwrót. – Agnieszka rozłożyła ręce. – Ale miał tak koło trzydziestu lat, no wyraźnie był od Ady starszy, w płaszczu, spod którego wystawała marynarka. Ciemne włosy, takie na boczek. Generalnie taki pan raczej, jak ojciec, czy coś. Próbowaliśmy wtedy, jak Adę zabili, nawet portret pamięciowy zrobić, ale niestety nie wyszło. Ja bardziej na reakcji Ady się skupiałam niż na tym facecie i nie potrafiłam zrekonstruować w pamięci jego twarzy – westchnęła.

– A gdzie to dokładnie było?

– Gudzowska mieszkała przy Okrężnej, więc w tych okolicach. Policja już to sprawdzała. Przetrzęsnęli każdy dom i nic to nie dało.

– Bo szukali jakiegoś faceta o niesprecyzowanym wyglądzie – zauważył Korda.

– A wy czego będziecie szukać? – prychnęła Walizowska.

– Motyli. – Detektyw cierpko się uśmiechnął.

6

Jedna. Druga. Trzecia. Czwarta.

Palce prześlizgiwały się po nierównościach na deskach. Rowek, wypłaszczenie, rowek, wypłaszczenie. Długie paznokcie drapały powierzchnię z cichym chrzęstem.

Chrzęst. Chrzęst.

Minuty zamieniały się w godziny, a godziny w niejasny czas nieprzedzielony wschodami i zachodami słońca. Liwia drapała mechanicznie, jak w transie, pomiędzy jednym a drugim snem. Nie było już w niej obrazów i wspomnień. Tylko pustka. I ból, na który nie potrafiła zubożnąć.

Chrzęst. Chrzęst.

swobodnie opadając na ramiona. Następnie naciągnęła na nogi kabaretki. Tym razem musiały być większe, bo mniej ściszały jej uda. Albo po prostu schudła. Liwia ponownie zerknęła na swoje odbicie. Policzki miała zapadnięte, wcięcie w pasie też wyraźnie się pogłębiło. Nie rozumiała, po co mężczyzna ją głodził, w końcu lubił jej krągłości. Ale mógł przecież kłamać. Wszystko, co mówił, na pewno było obłudne i fałszywe.

Liwia uśmiechnęła się półgębkiem. Jakże była naiwna. Jakże naiwna jest teraz. Włożyła buty na wysokich szpilkach i spoglądając w lustro, pociągnęła usta karminową pomadką. Czuła się jak lalka.

Biorąc głęboki wdech, nacisnęła na klamkę u drzwi. Te ustąpiły, a Liwia znalazła się w przestronnym przedpokoju. Obcasy niepewnie zastukały o parkiet.

Stuk.

Stuk.

Chwiejnie przemierzała hol. Po prawej znajdowało się wyjście z domu. Po lewej salon. Przystanęła z bijącym sercem. Zerknęła na lewo. Siedzący przy elegancko przybranym stole mężczyzna patrzył na nią z nieprzeniknioną miną. Zerknęła na prawo. Za drzwiami znajdowała się wolność. Ale na pewno zamek był zamknięty. Jeśli zacznie teraz ciągnąć za klamkę, z powrotem wyląduje w skrzyni. A co, jeśli drzwi były otwarte? Jeśli mężczyzna wcale ich nie zabezpieczył? Jeśli zapomniał przekręcić klucz? Myśli biegły powoli, jakby nie były połączone z jej ciałem, jakby była bezwładną kukłą niezdolną do podejmowania samodzielnych decyzji. Bezwolnie ruszyła do dużego pokoju, zostawiając za sobą rozterki. Podeszła do stołu. Mężczyzna wstał i podsunął jej krzesło. Usiadła, elegancko kładąc dłonie na brzegach stołu. Za oknem panowała ciemność, ale wyraźnie słyszała szalejący na dworze wiatr. Gałęzie rosnącej nieopodal wierzby płaczącej cicho postukiwały o szyby. Płomienie świec podrygiwały, rzucając na ściany niespokojne cienie.

Mężczyzna sięgnął po stojącą w lodzie butelkę szampana. Korek wyskoczył z cichym hukiem. Żółty płyn rozlał się w kieliszkach, zostawiając na powierzchni pulsujące bąbelki.

– Za nas. – Uniósł szkło i wyczekująco na nią spojrział.

Ona też sięgnęła po kieliszek i przysunęła go do ust. To było jak sen. Ten nierealny świat do niej nie należał.

Wtem w drzwiach pojawiła się tamta przysadzista kobieta o brązowych, spiętych kłamrą włosach. Schludną sukienkę przepasała czarnym prostym fartuchem. Liwia wyprostowała się jak struna.

Spójrz na mnie! Spójrz! Przywoływała tamtą wzrokiem, lecz gosposia ostrożnie niosła dania, nie popatrując na boki.

Spójrz na mnie! Spójrz! – krzyczała w myślach Liwia, lecz słowa nie wydostawały się na zewnątrz.

Pomóż mi, proszę! Pomóż!

Kobieta zaserwowała jeden z talerzy Liwii, a drugi mężczyźnie. Usłużnie skinęła i skierowała się do holu.

Jej szerokie plecy po chwili zniknęły za ścianą, a Liwia znów pomyślała, że to wszystko to sen. Taki, w którym chcesz uciekać, ale uporczywie stoisz w miejscu.

7

Ten błagający wzrok. Podobał mu się. Sprawiał, że po skórze przebiegał mu dreszcz. W takich momentach rozumiał ojca, który rządził twardą ręką. Ba! Podziwiał go nawet za autorytarną siłę, której on sam był pozbawiony. O ileż łatwiej by było, gdyby miał w sobie tę sadystyczną cechę, którą ojciec objawiał na każdym kroku. Jako chłopiec często obserwował pasję, z jaką ojciec wymierzał matce razy. Zawsze robił to z pewną gracją: nigdy pięścią, zawsze otwartą ręką, jakby matka wciąż była damą, choć leżała na podłodze we krwi. Wydawał przy tym ten specyficzny gwizd, a jego oczy żarzyły się jak gwiazdy. Ojciec trwał w uniesieniu, rozumiał to już jako chłopiec. I w pewnym sensie szukał w sobie tego uczucia całe życie, ale nigdy nie osiągnął tego stanu, który – jak sobie wyobrażał – osiągał ojciec. Ojca kręciła przemoc, dominacja... władza! Tak, to pewnie o nią chodziło. To ona była dla niego bodźcem dającym rozkosz. U niego przemoc i dominacja były tylko środkiem do celu. A celem, najwyższym dobrem, o które walczył, była miłość. Bezwarunkowa, niekończąca się miłość, o którą trzeba było zadbać, którą trzeba było ochronić.

Liwia na razie tego nie rozumiała. Nie dziwił się jej. Wszak byli szczęśliwi i zakochani. Wcale nie musiał jej uprowadzać, więzić, zamykać w ciasnej, ciemnej trumnie. Lecz gdyby tego nie zrobił, mogło się skończyć tak jak z Adą. Jego pierwszą wielką miłością, którą bezpowrotnie stracił. Nie mógł do tego dopuścić. Nie mógł dopuścić, by mu się wymknęła, by odeszła do kogoś innego, by zniknęła, jakby to, co narodziło się pomiędzy nimi, nigdy nie miało znaczenia. Musiał zadbać o to niepowtarzalne uczucie za nich oboje. Wszystko to robił dla nich. I wiedział, że Liwia kiedyś to zrozumie. Zrozumie i doceni. Pokocha go jeszcze bardziej.

Pogładził Liwię po włosach. Ta stała naprzeciwko niego w oczekiwaniu na jego ruch. Spolegliwa, milcząca, w pełni oddana; sprowadzona do swej prymitywnej postaci, wyłączającej rozsądek i racjonalne myślenie. I tego właśnie pragnął. By stała się w pełni sobą, czystym uczuciem, którego nie przesłaniały żadne bariery, by pojęła, że liczy się tylko on, jej pan, kochanek, ojciec, najlepszy przyjaciel. Trzeba było jedynie uaktywnić zwierzęce obszary w jej mózgu, zedrzyć zewnętrzną warstwę niczym łupiny cebuli, dotrzeć do najprostszycy struktur i najniższych instynktów. Sprawić, że Liwia stanie się gadem, ograniczonym stworzeniem zabiegającym o jego względy.

– Ciiii. Cichutko. Wszystko będzie dobrze – mówił łagodnym głosem, wciąż gładząc dziewczynę po włosach. Przyciągnął ją do siebie, a ona drżała w jego ramionach.

Chciałby tak stać z nią zawsze, lecz miał świadomość, że nie była jeszcze gotowa. Ich miłość wymagała pracy, przestrzegania konkretnych zasad, przejścia wielu etapów, które skrzętnie zaplanował. Mógłby stworzyć instrukcję służącą kolejnym pokoleniom.

– Ciiii. Cichutko – powtarzał, napawając się władzą, jaką posiadał nad dziewczyną.

Był katem i wybawicielem. Odbierał i dawał.

Po chwili odsunął Liwię od siebie i otworzył trumnę. Dziewczyna znów spojrzała na niego błagalnie, lecz wytrzymał jej wzrok.

– Wchodź – nakazał, a ona, łapiąc zapalczywie powietrze, ułożyła się w skrzyni. – Dobra dziewczynka – pochwalił, uśmiechnął się pocieszająco i zamknął wieko.

Nim wyszedł z pokoju, nachylił się jeszcze do znajdującego się nad głową Liwii otworu i szepnął:

– A teraz wymyśl, jak chciałabyś mieć na imię.

1992

1

– Jaaaa! Serio one teraz będą to robić? – zaśmiała się Ada, zbliżając głowę ku klatce.

W pomieszczeniu, podobnie jak za oknem, panował mrok. Wentylator cicho szumiał, wypuszczając w siebie ciepłe powietrze. Skrzydła podnieconych motyli niemal niesłyszalnie szeleściły.

– Po to tylko żyją. By uprawiać seks – zaśmiał się Piotr, puszczając jej oczko.

Milewska szeroko się uśmiechnęła i zadowolona westchnęła. Coś się w niej zmieniło. Czuła się tak, jakby obudziła się z długiego snu, jakby w końcu zaczęła być sobą. To Piotr ją odmienił. Odnalazł i przeobraził z kopciuszka w pewną siebie... Królową. Tak, królową, bo na pewno nie była żadną tam bezdennie głupią księżniczką. Zerknęła na mężczyznę. Ten nachylał się nad siatką rozpiętą pomiędzy drewnianą konstrukcją i w skupieniu przyglądał latającym wokół siebie motylom. Widać, że je kochał, że go fascynowały. A Ada najbardziej na świecie kochała ekscytację drugiego człowieka. Nie było nic bardziej sexy od mężczyzny mającego pasję.

– Zobacz – szepnął. – A teraz samiec, szukając akceptacji kochanki, podsuwa jej rozpostarte skrzydła. Chodzi o to, by samica dotknęła czułkami pól z łuskami zapachowymi i całkowicie dla niego oszalała. I teraz będzie najlepsze! Jeśli samica jest chętna, to wygnie w jego stronę odwłok. Choć to może chwilę potrwać. Nawet z pół godziny.

Adrianna uśmiechnęła się kącikiem ust. Poczwała, że wszystko jest tak, jak być powinno. W tym całym godowym procesie nie chodziło wcale o perfekcyjne ciało. Chodziło o władzę. Władzę, którą pierwszy raz w życiu miała także ona.

– W akceptacji lub odrzuceniu partnera istotną rolę odgrywają nie tylko czynniki wizualne i zapachowe. Samiec, by stać się jeszcze bardziej atrakcyjny dla samicy, musi odegrać scenę. Można to

określić tańcem godowym. Samiec obraca się i trzepocze skrzydłami, aż samica do niego dołączy, wykonując specyficzne ewolucje. I dopiero gdy naprawdę zaiskrzy, motyle łączą się i kopulują, długo, namiętnie, całymi godzinami – zniżył głos i przeciągle spojrział Adzie w oczy.

Dziewczyna zagryzła usta i spontanicznie zacisnęła palce na brodzie mężczyzny. Przyciągnęła jego twarz do swojej, przyłgnęła do niego ciałem i zaczęła ssać jego wargę. Mocno, płomiennie, na granicy bólu. Drugą ręką sięgnęła do jego krocza, ścisnęła.

I wtedy Piotr ją odepchnął. Równie mocno, tak samo boleśnie.

– Czemu jesteś wulgarna?! – warknął. – Nie lubię cię takiej. – Pokręcił głową.

W oczach Ady wezbrały łzy.

Jak on mógł tak się zachować? Jak on mógł? Czemu wszystko psuł? Czemu? Właśnie teraz, gdy rozkwitała, gdy stawała się kimś, kim zawsze chciała być.

– Koniec z nami – powiedziała, wysoko podnosząc głowę. – Koniec.

Czy kłamała? Czy naprawdę tego chciała?

Czy to była czysta manipulacja?

Nie wiedziała.

Ale jednego była pewna: to była jego wina. To on ją tego nauczył.

2019

1

– Korda! – zawołał mknący przez korytarz Gustlik. Miał rozwichrzoną blond czuprynę i zaparowane okulary. – Dzwoniłem do ciebie, ale ciągle poza zasięgiem.

– Telefon mi padł, właśnie podłączyłem. – Detektyw zatrzymał się przed drzwiami do swojego pokoju. – A co tam?

– Mam coś very git.

– No dawaj.

– Znalazłem staruszka, który wraz z rodziną podsłuchiwał rozmowy Ady z tym typem.

– Nie może być!

– A jednak – uśmiechnął się starszy sierżant. – Jan Golec, bardzo miły pan, niewiele pamiętał, ale połączyliśmy się na Skypie z jego synem z Londynu i słuchaj, co powiedział.

– No dajesz – niecierpliwił się Oskar.

– Ten facet coś miał z nogą. To był jego kompleks. Młody Golec to zapamiętał, bo potem mówili na niego w domu Szpotawa Noga. Wiesz, taką ksywkę mu urocą nadali. – Gustlik kląskał językiem o dźwięku.

– Jesteś pewien, że to były rozmowy prowadzone przez Milewską?

– Stary Golec powiedział, że ta dziewczyna kiedyś dla tego mężczyzny zatańczyła, muzykę puściła, a potem mu to opisała. A Ada, jak wiesz, trenowała taniec.

– Dobra robota, mały – pochwalił Korda, z mocą klepiąc Adama w plecy dłonią.

Ten się zaczerwienił i poprawił okulary, które zjechały mu na nos.

– Chodź, pomożesz mi. Mam tu Rino i potrzebuję przybocznego.

Gustlik przytaknął i podążył za detektywem.

– No, Rino, masz przechłapanie. – Oskar Korda szybkim krokiem wszedł do gabinetu i dla lepszego efektu z hukiem rzucił na biurko

trzymaną w dłoni teczkę z dokumentami.

Zaręba, siedząc na krześle w skórzanych obcisłych spodniach i eleganckiej satynowej koszuli, wyprostowała plecy i popatrzyła na teczkę szeroko otwartymi oczami. W myślach panicznie wertowała wszystkie przewinienia, starając się zgadnąć, co też mógł mieć na nią detektyw. Kątem oka zauważyła za swoimi plecami jeszcze innego policjanta. Ten stanął tuż za nią, wyraźnie naruszając jej przestrzeń. Nerwowo drgnęła, ale postanowiła zachować dobrą twarz do złej gry.

– Ależ, panie detektywie. Przecież ostatnio spędziliśmy tak miło czas.

Policjant z tyłu prychnął mimowolnie, a na twarzy Rino pojawił się lekki uśmiech. Poczuli się trochę pewniej.

– Ty tu, Rino, nie rób szopki, tylko się skup. Bo życie Liwii jest zagrożone, o ile już nie leży w piachu.

Rino pokręciła głową.

– Przesadzasz, kochany. Liwia chciała zniknąć, nie rozumiesz? Dajcie jej trochę czasu. Na pewno ten nowy facet zaraz kopnie ją w dupę i wróci.

– W twoje ramiona? – Korda usiadł na biurku tuż przed Rino i buńczucznie skrzyżował ręce na piersi. Rino stężała. – Czemu nie powiedziałaś, że byliście razem?

– Nie wiedziałam, że to ma jakieś znaczenie. – Wzruszyła ramionami.

– A wiesz, że zazdrość to kluczowy motyw zbrodni? – Korda przechylił głowę w bok.

– Jakiej znowu zbrodni?! – spięła się Rino.

– Czemu okłamałaś mnie w sprawie Pitu-Pitu?

Rino ściągnęła brwi, pytająco rozłożyła ręce.

– Nie tylko wiedziałaś, że Liwia ma tam konto, ale również z nią pisałaś.

– Skąd...?

– Może jesteś osobą, która ją zmanipulowała, co? Może podszyłaś się pod kogoś innego, wywabiłaś ją z domu i zabiłaś?

– Nikogo nie...

– W końcu Liwia złamała ci serce. Wykorzystała i ot tak porzuciła dla jakiegoś zwykłego studenta AWF-u. Czy tak właśnie było?

– Tak, ale...

– Kierowała tobą zazdrość? – nie dawał sobie przerwać Oskar. – A może chciałaś się odegrać? Skrzywdzić ją tak samo, jak ona skrzywdziła ciebie?

– Co ty mówisz?! – Rino poderwała się w krzesła. – Co ty w ogóle mówisz?!

Stojący tuż za nią Gustlik położył jej ręce na ramionach, dając znak, by usiadła z powrotem. Posłuchała.

– Nie rozumiesz, że Liwia uciekła z tym typem? Już dawno o tym myślała. Nie znosiła swojego życia. Swojego domu. Siebie. Chciała zniknąć! I w końcu jej się to udało!

– Może pomogłaś jej zniknąć, co? Tylko że ostatecznie – zniecierpliwiał się Korda.

– Nie. Nie! – Rino złapała się za głowę.

– To od początku. Pisałaś z Liwią na PP?

Rino przytaknęła.

– Więc? – dopytał detektyw.

– Raz na przerwie podpatrzyłam, że Liwia loguje się na tym portalu. Odnalazłam jej konto i zaczęłam z nią pisać.

– Jako ty?

Rino pokręciła głową.

– Nie. Jako ktoś inny. Ale pomimo moich starań Liwia nie pociągnęła tego dłużej. Może już wtedy poznała tego swojego? Poprosiłam ją o fotki, więc wysłała mi swoje zdjęcie. I wysłałam jej swoje.

– Co?

– No, takiego dickpicka – przyznała Rino.

– Tego owłosionego? – wyrwało się Gustlikowi.

Korda przewrócił oczami.

– Neeee. – Rino odwróciła się do sierżanta. – Mój jest pięknie ogolony – dodała dumnie. – Ale jakoś Liwii nie zrobił, choć jeszcze niedawno się nim zachwycała – cmoknęła. – W każdym razie na tym się skończyło. Więcej nie odpisała. I tyle.

– Czemu wcześniej się nie przyznałaś? – westchnął Korda.

– A co miałam powiedzieć? Że anonimowo podbijałam do byłej dziewczyny? Jak jakaś świruska?

– Czego jeszcze mi nie mówisz?

Korda mierzył się wzrokiem z Rino, lecz napotykał milczenie. Detektyw zamyślony przesuwiał językiem po wnętrzu ust. Po chwili sięgnął po teczkę, wyjął z niej zdjęcie i wyciągnął w stronę Rino. Ona ze ściągniętymi brwiami przyglądała się leżącemu na pokrytej śniegiem ziemi ciału młodej dziewczyny z rozłupaną głową.

– Nie rozumiem – powiedziała słabo.

– To dziewczyna zamordowana w dziewięćdziesiątym drugim. Podejrzewamy, że Liwia natknęła się na tego samego sprawcę.

– Ale... ale to... Jak to?

– Tak to. Więcej nie mogę ci powiedzieć, ale mamy podstawy, by stawiać taką tezę.

– Kurwa – wyrzuciła z siebie Rino. – Kurwa.

– Dokładnie – potwierdził Korda. – Dlatego jeśli wiesz cokolwiek o tym całym Peterze, co mogłoby nas na niego naprowadzić, to musisz to powiedzieć. I to musisz powiedzieć to teraz. Rozumiesz?

Korda znów wyciągnął przed siebie zdjęcie zamordowanej Adrianny Milewskiej.

Rino zacisnęła pięści, kołysząc się jak w chorobie sierocej. W końcu podniosła głowę i powiedziała:

– Jeśli jest tak, jak ja myślę, i zakochana Liwka uciekła z tym swoim lowelasek z Pitu-Pitu, to mnie za to zabije.

– Ale jeśli jest tak, jak my myślimy, to istnieje prawdopodobieństwo, że będzie zawdzięczać ci życie – uśmiechnął się smutno Korda.

Zaręba nadal milczała, wpatrując się teraz w ziemię.

– Czy Liwia mówiła coś, że ten Peter miał chorą nogę? Kulał może?

– Kulał? – Zaskoczona Rino podniosła wzrok. – Nie. Nic o tym nie wiem. Ale jest opcja, że Liwia go wcześniej znała.

– Jak to? – Oskar zeskoczył z biurka na nogi.

Rino westchnęła.

– Ona mi za dużo nie mówiła. To była jej „słodka tajemnica”. Tak określała całą tę relację z Peterem. Ale gdy po tym ich pierwszym spotkaniu zapytałam, jak ten jej *daddy* wygląda, uśmiechnęła się tak jakoś tęskno i odparła: „Jak ktoś, kogo znam”.

2

Na przedniej szybie alfy romeo osiadła wilgoć. Korda palił papierosa, wypuszczając dym przez uchylone okno, i słuchał płyty Dance Like Dynamite. Przed oczami widział twarz Alicji, po której prześlizgiwały się niebieskie światła koncertowych lamp. Jej spojrzenie, uchylone usta, lekki uśmiech. W brzuchu rozlało mu się ciepło. Z niedowierzaniem pokiwał głową. Czuł się zakochany. Jak szczeniak. Pod obserwowany dom w dolnym Sopocie podjechała srebrna toyota yaris i zaparkowała na chodniku. Wsiadł z niej ubrany w czarny płaszcz Michał Orłoś. Chwycił z siedzenia siatkę z kilkoma puszkami piwa i pieczywem. Zamknął auto i wszedł na posesję. Po chwili w kuchennym oknie rozbłysło światło. Mężczyzna otworzył drzwi lodówki i załadował do niej piwo. Następnie wyjął z niej zakupy i zaczął przygotowywać jedzenie. Oskar zauważył, jak poluzował krawat, otworzył stojącą na blacie puszkę piwa i wypił duszkiem sporą część napoju. Po chwili wziął w ręce talerz z kanapkami i zniknął detektywowi z widoku. W pomieszczeniu zgasło światło.

Korda zdusił papierosa w popielniczce i wysiadł z samochodu. *Dzisiejsze spotkanie z policjantem musiało Orłosa zdenerwować* – myślał detektyw, szybkim krokiem okrążając ulicę, by zobaczyć dom od drugiej strony. Pewnie Michael zastanawiał się, w jaki sposób powiązano go ze zniknięciem Liwii. Czy myślał o Adzie? O sprawie, w której wielokrotnie go przesłuchiowano, która musiała spędzać mu sen z powiek i zapewne sprawiła, że odwróciło się od niego sporo osób. W końcu to on przez dłuższy czas był pod ostrzałem. Co z tego, że zarzuty oddalono. Taki syf ciągnie się za człowiekiem już przez całe życie. Niesmak pozostaje, jak to się mówi. I może wcale nie bezpodstawnie? Facet był zbyt nerwowy, jego język ciała mówił coś odwrotnego niż usta. A jednak detektyw nie miał dowodu na to, by Michael mógł znać Liwię.

Może sprzedał jej samochód i tak się poznali? – kombinował Oskar, stając za płotem. Nie. Przecież Michael pracował w BMW, a Liwia jeździła toyotą. Ale mogli poznać się w knajpie. W Trójmieście wszyscy znali się z knajp, choćby z widzenia. Detektyw oczami wyobraźni zobaczył, jak Liwia stoi przy oknie w hotelu Quadrille,

wpatruje się w rozciągający się za szybą ogród, nagle słyszy ciche pukanie, ktoś otwiera drzwi i staje za nią. Dziewczyna się odwraca.

Czy ujrzała Michaela?

„Jak ten daddy wyglądał? Jak ktoś, kogo znam”.

Detektyw wyteńczył wzrok, starając się wejrzeć w wychodzące na ogród okno w domu Orłosa, w którym to teraz rozbłysło światło. Przebrany w dres mężczyzna usiadł na kanapie i włączył telewizor. Zachowywał się całkiem normalnie. Na pewno nie jak ktoś, kto panikuje, że policja kręci się za blisko niego. Korda westchnął, lecz po jego głowie wciąż błędziły niespokojne myśli. Ewidentnie Kordę coś w Michaelu uwierało.

Detektyw nie odpuszczał swojej analizy. Michał Orłoś jako jedyny z osób pojawiających się w toku dochodzenia był bezpośrednio powiązany z Adą. W dwa tysiące czwartym roku, gdy zniknęła Nina Kołodziej, także mieszkał w Sopocie. Teraz miał czterdzieści pięć lat, a zatem znajdował się w kręgu zainteresowań Liwii. Nadal był całkiem przystojny, potencjalnie mógł zawrócić w głowie Dembskiej. Tylko że to było gdybanie. Korda nie miał żadnych dowodów, ba!, żadnych poszlak potwierdzających prawdziwość tezy. Właśnie dlatego chciał wejść do domu Orłosa i sprawdzić, co też mężczyzna tam ukrywa. Niestety, prokurator Wierzbicki nie przychylił się do jego wniosku o wystawienie nakazu przeszukania:

– Ślad zębów na udzie Milewskiej nie należał do Orłosa. Tak orzekli specjaliści. Sprawa została zamknięta w związku z brakiem podejrzanych, i to niemal trzydzieści lat temu! Jak chcesz to powiązać z Dembską? Na jakiej podstawie ja mam ci wystawić nakaz, co? Przecież bym się ośmieszył! – stwierdził prokurator, rozkładając ręce. – Wielu ludzi śmierdzi, Korda, i to nie znaczy od razu, że są mordercami albo porywaczami. Czasami to po prostu zwykły ludzki smród.

Może Wierzbicki miał rację? Może Michael był skrzywdzonym kiedyś człowiekiem, który przeżył traumę – w okropnych okolicznościach stracił pierwszą miłość, przez długi czas walcząc z podejrzeniem, które położyło się cieniem na jego życiu. Każdy po czymś takim zrobiłby się nerwowy na widok policjanta.

Detektyw jeszcze przez chwilę z daleka przyglądał się rozświetlonej niebieską łuną telewizora szybie, za którą majaczył

Michał Orłoś. Zastanawiał się, co stało się z Niną i Liwią i czy spotkał je tak samo okrutny los jak Adę.

Gdy wracał do auta, rozdzwonił się jego telefon.

3

Oskar Korda zaparkował pod komendą policji w Sopocie i szybkim krokiem przeszedł do drzwi. Kątem oka zerknął na stojak na rowery, do którego przyczepiony był żółty sunrise. W końcu odnaleźli rowerzystę, który przejeżdżał obok domu Dembskich, kiedy Liwia opuszczała podjazd. A raczej sam się znalazł, bo jakiś jego znajomy udostępnił policyjny post o poszukiwanym właścicielu dwukołowca tej marki.

Oskar wszedł do środka, a jego wzrok od razu natknął się na byłego męża Alicji. Tajfun stał z dwoma policjantami i jak zwykle opowiadał coś z zapalem. Korda zacisnął szczękę, bo momentalnie dopadł go obraz pięści Olszewskiego padającej na wystraszoną twarz Alicji. Poczuł nagły przypływ agresji i jednocześnie czułości tak wielkiej, że aż zakłuło go w piersi. Nie wiedział, jak długo jeszcze będzie potrafił pracować w jednej firmie z Igorem. Nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma, by nie pobić go na śmierć. Szybko odsunął tę myśl. Nie chciał być taki sam jak Tajfun, nie chciał być bezwzględny drapieżcą, a jednak bezsilność pobudzała w nim frustrację i uaktywniała najgorsze cechy, które w sobie ukrywał.

Obdarzył Tajfuna nienawistnym spojrzeniem, które wywołało u byłego męża Alicji uśmiech rozbawienia, co dodatkowo podniosło Oskarowi adrenalinę. Detektyw jeszcze mocniej zacisnął szczękę, aż zazgrzytały mu zęby, i wbiegł na pierwsze piętro, gdzie w pokoju techników czekał na niego świadek.

Tytus Bocheński, ubrany w obcisłe kolarskie spodenki, adidas i wodoodporną bluzę z zamkiem u góry, był szczupłym, wyżyłowanym mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat. Małe niebieskie oczy lekko się uśmiechały. Na pierwszy rzut oka bił z niego sportowy duch.

– Zgłosiłem się, jak tylko zobaczyłem posta – powiedział, gdy Korda się z nim przywitał. – Przypuszczałem, że to mnie szukacie, bo tamtej nocy przejeżdżałem w rejonach ulicy Abrahama. Jestem triatlonistą, więc często mi się zdarza trenować w nocy. Nie ma nikogo na ulicach i można się dobrze rozpędzić. W każdym razie panowie pokazali mi już nagranie i potwierdzam, że tym rowerzystą uchwyconym na kamerze jestem ja.

– Pamięta pan moment mijania się z tą toyotą?

– Doskonale! Jechałem bardzo szybko, ale oczywiście z dozwoloną prędkością, a tamto auto zrobiło spory łuk i zdaje się, że kierowca mnie nie zauważył na początku, choć miałem odblaski. Musiałem szybko zahamować i lekko zjechać, co mnie wybiło z rytmu. Więc popukałem się w czoło, żeby tamtemu poszło w pięty, ale nawet nie raczył na mnie spojrzeć cham, taki rozkojarzony widocznie był. Ludzie to są jednak... – Z niechęcią pokręcił głową.

– Okeeej – cmoknął policjant. – Ale wie pan, że za kierownicą siedziała kobieta? A raczej młoda dziewczyna? – Korda przejechał kciukiem po bliźnie.

– Nie. Jestem pewien, że to był mężczyzna. Co ja się naprzeklinałem na niego w głowie potem, to moje. A jakby to była dziewczyna, to wiadomo, bym odpuścił, bo kobiety to z natury jeżdżą jak zwichrowane. – Machnął ręką z uśmiechem. – Zresztą ciężko na kobietę się gniewać – uśmiechnął się. – Choć ostatnio czytałem, że o dziwo to mężczyźni częściej są sprawcami wypadków niż kobiety.

– Może pan opisać, jak ten mężczyzna wyglądał?

– Wie pan, sporo czasu minęło. Ciemno było i to całe zajście ułamek sekundy trwało, więc aż tak nie widziałem. No ale co? Ciemne włosy, raczej bez zarostu. Hmm. No facet jak facet.

– Sam pan przyznał, że było ciemno i nie zdążył się pan przyjrzeć. Jest pan stuprocentowo pewien, że za kierownicą siedział mężczyzna? – dopytał detektyw.

– Na sto procent. – Rowerzysta uderzył się w pierś.

– No dobrze. Dziękuję. Bardzo pan pomógł. – Korda wyciągnął do kolarza rękę, dając mu do zrozumienia, że może opuścić komendę.

– Kurwa – rzucił zamyślony, gdy tamten wyszedł.

– Prawda? – potwierdził Gustlik siedzący na rogu jednego z biurek. – Wychodzi na to, że ktoś musiał się włamać do domu Dembskich, tam obezwładnić lub uśpić Liwię, bo raczej nie pozbawić jej życia, jeśli w willi technicy nie znaleźli żadnych śladów walki czy krwi, i wywieźć jej bezwładne ciało z posesji jej własnym samochodem. Stąd też porzucenie pojazdu w lesie.

– Tylko że nie było żadnych śladów włamania, sprawdziliśmy dom pod tym kątem – odezwał się aspirant Cybut.

– Do tego był włączony alarm. Dembski zeznał, że uaktywnił go przed wyjściem na galę. Więc nikt nie miał prawa się dostać na posesję niezauważony – zauważył Tomek Majkowski.

Zapanowała cisza.

– A jeśli ten ktoś nie musiał wcale włamywać się do domu? – odezwał się Korda.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Gustlik.

– Może ten ktoś był w środku? – Detektyw podrapał się po brodzie. – Zobaczcie. – Wstał i podszedł do jednego z monitorów, na którym Majka zatrzymał obraz z kamery na podjeździe posta. – Tego dnia w domu Dembskich kręciło się sporo osób, prawda? Może nie wszyscy opuścili willę po pracy. Może ktoś schował się wewnątrz, poczekał, aż wyjdzie Benedykt Dembski, może wyczekał też momentu, aż Liwia się położy i zaśnie, i wtedy zaatakował.

Gustlik i reszta z uznaniem pokiwali głowami.

– To miałoby sens – przyznał siedzący przy jednym z komputerów informatyk Marian Miodowicz. – Musiałbym na podglądzie przejrzeć materiał, tylko powiedzcie, kogo szukać, bo było tam wtedy co najmniej dwadzieścia osób. – Przesunął suwakiem do momentu, w którym pierwsze osoby zaczęły opuszczać dom Dembskich.

– Skupmy się. – Korda pulsacyjnie zacisnął pięści. – Szukamy mężczyzny koło pięćdziesiątki, o ciemnych włosach, bez zarostu.

– Ogrodnik? – zastanowił się Gustlik.

– Ogrodnik ma alibi. Jego żona potwierdziła, że spędził tę noc w domu – odparł Korda.

– I wyszedł z posesji jako pierwszy, o piętnastej. – Małysz wskazał na ekran, na którym mężczyzna w szarej kurtce opuszcza podjazd.

– To był ktoś, kogo Liwia znała. Ktoś, kto miał jakieś problemy z nogą, może kulał, utykał? – głośno zastanawiał się detektyw.

Nagle coś mu się przypomniało. Specyficzne nierównomierne stukanie o posadzkę, jakby jeden z fleków był inaczej obsadzony niż drugi, gdy po raz pierwszy odwiedził ojca Liwii.

Kajetan Rychlik – wyartykułował w myślach imię i nazwisko. Prowadził mnie wtedy do pokoju Dembskiego. Ale przecież rzecznik był tej nocy na demonstracji wraz z ojcem Liwii. Tak przynajmniej twierdził.

Wybrał numer Dembskiego.

– Czy wasz rzecznik prasowy Kajetan Rychlik kuleje? – wyrzucił z siebie, gdy poseł odebrał telefon.

– Kajetan? Kuleje? Nie – odparł zdziwiony Dembski.

Korda zagryzł usta i zdenerwowany przejechał kciukiem po bliźnie. Patrzył, jak Miodowicz przewija obraz z monitoringu. Grupa osób żegnała się przy furtce, ktoś coś mówił, ktoś kogoś klepał po barku, powoli podjazd pustoszał.

– Ale Rychlik opowiadał mi kiedyś, że jako dziecko zachorował na Heine-Medina – zastanowił się nagle poseł. – Chyba takie dziwne buty nosi, jakieś korekcyjne.

Detektyw poczuł w brzuchu ucisk.

– Był z wami na tej sobotniej demonstracji w dniu zaginięcia Liwii?

– Na KOD-zie? – zastanowił się Dembski. – Chyba był. A może nie? Nie wiem. Za dużo się działo, tam tylu ludzi było, że...

– Ja pierdołę. – Detektyw zerwał połączenie i z biciem serca czekał, aż Małysz przewinie cały popołudniowy materiał.

Obraz wraz ze zmierzchem powoli ciemniał, zapaliły się ogrodowe lampy, zerwał się wieczorny wiatr, który poruszał liśćmi stojących przy drodze wysokich dębów.

– Nie wyszedł – zawyrokował Miodowicz.

– Sprawdź mi adres Rychlika – nakazał Korda.

Gustlik wbił rzecznika do bazy.

– Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego Rychlik zameldowany był przy matce przy Księżycowej w Sopocie. Potem wraz z małżonką zamieszkał przy Kolberga. Od dwa tysiące czwartego, po śmierci matki i rozwodzie, znów zameldował się przy Księżycowej – odczytał.

– Jak daleko to od domu Ady Milewskiej przy Kasprowicza? – dopytał drżącym głosem detektyw.

Gustlik wbił trasę w Google Maps.

– Dwa kilometry z kawałkiem – odparł podekscytowany. – I kilkaset metrów od Okrężnej, z której wracała Walizowska, gdy zobaczyła Adę idącą za rękę z jakimś mężczyzną. – Znacząco podniósł wzrok znad komputera.

– Pod latarnią najciemniej. – Korda powoli wypuścił powietrze z płuc, a w głowie znów pojawił mu się obraz stojącej przy hotelowym oknie Liwii.

Ciche pukanie w drzwi, zgrzytanie klamki, skrzypienie podłogi. Liwia się odwraca, wysoko podnosi brwi:

– To ty? – mówi.

– Ja – odpowiada Kajetan Rychlik. – Marzyłem o tobie od dawna.

4

W otoczonym żywopłotem domu przy Księżycowej w Sopocie paliły się ciepłe światła. Gdy policja z Kordą na czele wtargnęli do środka, Kajetan Rychlik spokojnie jadł kolację przy stole w dużym pokoju. Płyta na tarczy gramofonu cichutko szeleściła, akompaniując roztaczającemu się po pomieszczeniu neotonalnemu utworowi Erika Satie.

Rzecznik prasowy Nowej Drogi na widok ubranych w czarne kombinezony antyterrorystów bez pośpiechu wytarł rąbki ust białą serwetą, którą zdjął z kolan, a następnie jakby nigdy nic odłożył ją spokojnie obok talerza.

– Wstawaj, skurwielu! – krzyknął detektyw, celując do niego z glocka. – I ręce miej na widoku!

Kajetan Rychlik ugodowo podniósł wysoko rękę.

– O co chodzi, panowie? – zapytał.

Głos nawet mu nie drgnął.

– Gdzie jest Liwia Dembska?! Co z nią zrobiłeś? – syknął Korda.

– Nie mam pojęcia, panie detektywie. Niestety, panowie musieli się pomylić – odparł Rychlik.

Jego kamienna twarz przypominała maskę.

– Wiemy, że to ty – syknął Oskar. – Nie wywiniesz się. Zgnijesz w pierdłu jak robak. – Zmrużył oczy. – Za wszystko, co kiedykolwiek złego zrobiłeś. Liwii. Ninie. – Detektyw wbijał nieprzyjacielski wzrok w rzecznika. – I Adzie – zaakcentował dosadnie, a w tym momencie Rychlik gwałtownie zaczerpnął tchu. Korda nienawistnie się uśmiechnął. – Skujcie go. I nie spuszczajcie go z oka – polecił stojącym obok policjantom, którzy tak jak on trzymali rzecznika na muszce, po czym dał głową znak swoim ludziom, by rozpierzchli się po domu.

Sam uważnie rozejrzał się wokół i ruszył w stronę korytarza.

– Detektywie – przywołał go ktoś. – Chce to pan zobaczyć.

Korda poszedł w stronę jednego z pomieszczeń znajdujących się na parterze. Pokój wypełniało nikłe światło i senny szum wentylatora. Jeden z policjantów przeniósł snop światła latarki na jedną ze stojących przy ścianie klatek. Detektyw dostrzegł niewielki konar, a na nim białe gąsienice motyla. Z niedowierzaniem pokręcił głową, wrócił na główny hol i namierzył zejście do piwnicy. Czym prędzej ruszył schodami w dół. Żółte kafle były śliskie, jakby dopiero ktoś je wymył. Szybko nacisnął klamkę do jedynych drzwi, które zauważył, jednak w środku znajdowały się jedynie równiutko poustawiane na półkach weki.

– Masz coś? – Usłyszał głos Gustlika.

– Pusto – odparł Korda. – Patrzył, jak towarzyszący starszemu sierżantowi policjanci rozchodzą się po piwnicy, zaglądając w każdy kąt. – Długo jeszcze będziemy czekać na psy tropiące?

– Zaraz powinny dojechać – zapewnił Gustowski. – Tymczasem natknęliśmy się na jakąś babę, w przybudówce przy domu. Wygląda na to, że tam mieszka. Tylko nie licz na informacje, bo kobieta nie mówi.

– Jak to nie mówi?

– No nie powiedziała ani jednego słowa jak na razie. Patrzy się tylko, jakby pierwszy raz ludzi na oczy widziała. Może niemowa? – Gustlik wzruszył ramionami. – To chyba jakaś gosposia, bo fartuchy wiszą u niej w szafie.

– Prowadź – zarządził Korda i popędził za Gustowskim z powrotem na górę.

Po chwili znaleźli się w niewielkim murowanym skrzydle, do którego wchodziło się przez ogród. Niewiele się tu znajdowało. Zaścielone łóżko, szafa i stół z jednopalnikową kuchenką. W kącie stała skulona w sobie, ubrana na czarno kobieta. Wpatrywała się przerażonymi oczami w lufy skierowanych w jej stronę glocków.

– Opuśćcie broń – szepnął Korda do towarzyszy, po czym łagodnie zwrócił się do brunetki. – Czy pani mnie słyszy? Chcemy zadać pani tylko kilka pytań. Proszę się nie obawiać, nie chcemy zrobić pani krzywdy. – Kobieta wciąż patrzyła na detektywa nieufnie. – Szukamy osiemnastoletniej dziewczyny. Blondynki o imieniu Liwia. Kojarzy ją pani? Był tutaj ktoś taki? – Gosposia ani drgnęła. – Jej tata bardzo się o nią martwi. Proszę nam pomóc. – Kobieta wciąż stała bez ruchu, jakby nie rozumiała słów Kordy. – Mamy mocne dowody, by podejrzewać, że Kajetan Rychlik ją uwiódł, a potem uprowadził. To nie jest dobry człowiek, proszę mi uwierzyć. Nie musi go pani chronić – przekonywał. – To chory człowiek. Wiedziony chorą miłością.

W tym momencie brunetka zamrugnęła. Korda odniósł wrażenie, że nagle ożyła, jakby coś w niej przeskoczyło.

– Miłością? – wydukała, wciąż szaleńczo mrugając.

– Chorą miłością – potwierdził Korda. – Wie pani, gdzie jest Liwia?

Kobieta jeszcze bardziej skuliła się w sobie. Wyglądało to tak, jakby chciała zniknąć. Jednak po chwili twierdząco skinęła i ruszyła do drzwi. Funkcjonariusze podnieśli pistolety, a ona znów przestraszona przystanąła.

– Opuścić broń – nakazał ponownie Korda, a gdy glocki opadły, gosposia wyszła z przybudówki i poprowadziła ich przez ogród do domu. W holu sięgnęła do szafki na klucze, wydobyła ze środka jeden z nich i podała go detektywowi.

– Mówił, że kocha tylko mnie – powiedziała stanowczo.

Funkcjonariusze popatrzyli po sobie i znów wyciągnęli broń z kabur.

– Skuć ją, szefie? – zapytał Kordę Gustlik.

Lecz ten zmrużył oczy i nie odrywał wzroku od stojącej przed nim kobiety. Miała zniszczoną, zmęczoną twarz. Spod kłamry spinającej brązowe włosy wyostał się jeden kosmyk, który opadł na czoło.

Przed oczami Oskara stanęła Hanna Kołodziej czule dotykająca zdjęcia córki.

– Nie skuwaj. – Pokręcił głową detektyw. – To Nina Kołodziej.

Na te słowa kobieta drgnęła, jakby porażono ją prądem, i znów skuliła się w sobie.

– Ty jesteś Nina, prawda? – szepnął Korda, przybierając łagodny wyraz twarzy. – Nina Kołodziej.

Kobieta jednak zaczęła gwałtownie ruszać głową.

– Nazywasz się Nina Kołodziej. – Teraz głos Oskara przybrał bardziej zdecydowany ton.

– Nie – odparła brunetka.

– Urowadzono cię w dwa tysiące czwartym roku niemal spod domu. Twoja mama wciąż na ciebie czeka. Pamięta cię. Ciągłe cię wygląda – przekonywał policjant, lecz kobieta nie przestawała zaprzeczać.

– Nie. Nie...

– Nina Kołodziej. Nina Kołodziej – powtórzył Korda. – Tak się nazywasz! – Położył kobiecie dłoń na ramieniu.

Ta odskoczyła jak oparzona i zaczęła szaleńczo krzyczeć.

– Nie jestem już Nina. Jestem Maria. Nie jestem już Nina. Jestem Maria. Nina nie żyje. Nina nie żyje. Nie żyje!!!

Kilka dni później

1

Za oknem leniwie padał śnieg. Płatek za płatkim. Płatek za płatkim. Spokojnie, bez pośpiechu. Alicja Grabska wpatrywała się w ten obraz z lekkim uśmiechem na twarzy. Dawno nie czuła się tak... bezpiecznie? Tak. To chyba było właściwe słowo. Ramię Kordy przygniatało jej talię. Było ciężkie i gorące. Zamykało ją szczelnie. Tworzyło pancerz przed wszystkim, co mogło ją zranić.

Czy właśnie tym jest szczęście? – zastanowiła się. Czy właśnie tego wyglądała przez całe życie?

Czy właśnie tego... pragnęły te dziewczyny? – przemknęło jej przez głowę. By tak się poczuć? By właśnie tak w końcu się przy kimś poczuć? Czy właśnie to dawał im ten mężczyzna? Adzie, Ninie, Liwii? Poczucie, że są piękne, wystarczające, jedyne...

Przekręciła się w stronę Oskara. Ten uśmiech. Zbłąkany, nieśmiały. Czy Korda czuł to samo co ona? A może tylko jej się wydawało? Szybko odepchnęła tę myśl. Nie chciała się teraz nad tym zastanawiać. Nie mogła tego popsuć. Przesunęła dłoń po prześcieradle i odszukała jego dłoń. Wpięła palce pomiędzy jego palce.

Tak było dobrze.

Nie chciała nic zmieniać.

– Wiesz, że Nina Kołodziej napisała do Rychlika list? – odezwał się nagle Korda.

– List?

– List... miłosny.

Alicja z niedowierzaniem ściągnęła brwi.

– Ale... jak to?

– Prosiła matkę, żeby wysłała go do niego do aresztu, a Kołodziej przekazała go nam. Nina napisała tam między innymi, że tylko przy nim mogła być tak naprawdę sobą i że nie może się doczekać powrotu do niego.

– Jak to możliwe? – dociekała Grabska.

– O to samo spytałem Chraboła. Twierdzi, że takie rzeczy już się zdarzały. Wiesz, wszyscy oczekują, że osoby porwane będą nienawidzić swojego oprawcy, tymczasem bardzo często jest tak, że paradoksalnie odczuwają wobec niego wdzięczność, a nawet miłość. Klasyczny syndrom sztokholmski. Jak ustalił psycholog, Rychlik zamknął Ninę w skrzyni na trzy lata. Przebywała tam dwadzieścia trzy godziny na dobę. Ale na jedną godzinę brał dziewczynę na górę. Pozwalał jej wziąć prysznic, dawał czyste ciuchy, karmił, przytulał. Opiekował się nią i chyba dawał jakieś złudne poczucie bezpieczeństwa. Po trzech latach opuściła trumnę i przeniosła się na górę. Pozwolił jej spać w swoim łóżku, dawał coraz więcej jedzenia, pozwalał jej słuchać muzyki, rozmawiał z nią. Generalnie dawał jej coraz więcej swobody. Jednocześnie twierdził, że matka o niej dawno zapomniała, tak samo jak ojciec, który opuścił ją, gdy była mała. No i oczywiście ją straszył. Że jak nie będzie posłuszna, to wróci do skrzyni. Że jak będzie krzyczeć i wzywać pomocy, to przetnie jej struny głosowe. Dawał i odbierał. Stał się jej panem, a ona była posłuszną niewolnicą, wdzięczną za wszystko – za każdy oddech, za życie, które jej podarował.

– Zrobił jej normalne pranie mózgu – skonstatowała dziennikarka.

– Dokładnie. Dziewczyna uwierzyła, że Rychlik ma jakąś nadprzyrodzoną moc. Chraboł uznał, że oprawca spętał Ninę niewidzialnym łańcuchem, dlatego jak po kilku latach się nią znudził i nakazał mieszkać w przybudówce, to nawet nie próbowała uciekać.

– To dlaczego wyjawiała, gdzie Rychlik ukrywa Liwię?

– Była zazdrosna. Wyobrażasz to sobie? Nie mogła znieść myśli, że już nie jest jedyna.

Alicja pokręciła głową, ale kim ona była, by to oceniać? Sama znosiła maltretowanie ze strony męża przez lata. Wybaczała mu wciąż na nowo, tłumaczyła sobie jego agresję na wiele różnych sposobów, utwierdzała się w przekonaniu, że to była jej wina. Oddychała przemocą, jakby to było najbardziej naturalne powietrze. Była wdzięczna za każdy uśmiech Tajfuna, za każde jego dobre słowo, za każdy dzień, w którym nie pokazywał Alicji, że ona jest nikim. Musiał prawie ją zabić, by od niego w końcu uciekła. Choć

tak naprawdę uciekała potem latami, kurczowo trzymając się wszystkiego, co pozwalało jej choć na chwilę poczuć się znów żywą: alkoholu, przelotnego seksu, bólu, adrenaliny. Nie była z siebie dumna. Ale widocznie nie potrafiła inaczej.

Czy tak czuła się dziś Nina?

– A co z Adą? – zapytała. – Czemu musiała zginąć?

– Biegły podejrzewa, że Rychlik wcale nie planował jej zabić, to musiało być morderstwo w afekcie. I pewnie rzecznik przestraszył się tego, co zrobił. Członkowie jego dalekiej rodziny twierdzą, że jego ojciec często bił matkę na jego oczach, a tym samym Rychlik bał się agresji, dlatego musiał przestraszyć się własnej. Sprawę jeszcze skomplikował fakt, że jego seksualność też związana była z potrzebą dominacji, z relacją asymetryczną, co ukształtowało u niego pewien dysonans psychiczny. Dlatego niejako wyparł morderstwo Ady, ożenił się, starał się żyć normalnie. Ale się nie udało. Jak twierdzi jego była żona, małżeństwo było katastrofą, ciągłe przeciąganie liny, chora manipulacja, przemoc fizyczna i psychiczna. Dwa lata po rozwodzie uprowadził Ninę. I tym razem metodycznie się do tego przygotował.

– Miał kogoś na własność, mógł realizować swoją potrzebę dominacji bez obawy, że znów coś wymknie się spod kontroli – uzupełniła wywód Kordy Alicja.

Znów przekręciła się na bok i przyłgnęła ciałem do Kordy. Ten objął ją ramieniem i pocałował w czubek głowy. Przez chwilę milczeli, wpatrując się w padający za oknem śnieg.

– Powiedziałaś, że Rychlik wyparł morderstwo Ady – przypomniała sobie Grabska.

– Mhm – potwierdził Korda. – Twierdzi, że jej nie zabił.

Dziennikarka prychnęła.

– Pewnie zaraz zacznie też udawać niepoczytalnego, żeby uciec od kary – powiedziała zirytowana.

– Na pewno będzie łapać się wszystkiego – potwierdził Oskar. – Ale dowody są niepodważalne. Odcisk zębów na udzie Ady Milewskiej idealnie pasuje do odcisku jego szczęki. Pójdzie siedzieć. Już ja tego dopilnuję.

– Obiecujesz? – zapytała kokieteryjnie Alicja.

– Obiecuję – szepnął detektyw w jej kark i zaczął wodzić dłonią po talii kobiety.

– O matko! Która to godzina? – Zerwała się nagle Alicja. – Przecież ja mam zaraz spotkanie. – Zaczęła rozglądać się za telefonem.

– Musisz? – zachnął się Korda.

– Muszę, muszę – uśmiechnęła się Alicja. – W weekendowym wydaniu idzie mój reportaż o Rychliku, a chcę jeszcze porozmawiać z Michałem Orłosiem. Wiesz, pokazać perspektywę chłopaka, który przez lata zastanawiał się, kto pozbawił życia jego dziewczynę.

– Będzie się klikać – zauważył sarkastycznie Korda.

– Będzie się klikać – potwierdziła Grabska, która wymacała w pościeli swojego smartfona.

Chciała wstać, lecz Korda przytrzymał jej dłoń.

– Nie tak szybko. – Przyciągnął ją do siebie. – Nie tak szybko, kochanie – powtórzył, nim przywarł ustami do jej ust.

2

Zapadający zimowy zmierzch rozjaśniał leżący wokół śnieg. Alicja stanęła na podjeździe przy Haffnera. Wzięła głęboki wdech. Pięknie pachniało. Mrozem, świeżością. Zerknęła na stojące obok auto, lecz w ostatnim momencie postanowiła się przejść. W końcu nie miała daleko, a po całym dniu spędzonym w łóżku miała ochotę zaczerpnąć powietrza.

Wyszła za bramę i skierowała się w stronę Chopina. Świeży puch miło skrzypiał pod jej nogami.

Skrzyp. Skrzyp.

Na balkonach wisały świąteczne lampki, a ona pierwszy raz w życiu poczuła ukłucie zadowolenia na myśl o zbliżającym się Bożym Narodzeniu. Kto wie? Może nie będzie tak źle? Może od teraz już nie będzie tak źle? Uśmiechnęła się. Matko – złapała się za głowę, mrużąc oczy. Co się z nią działo? Z niedowierzaniem pokręciła głową. Czuła się jak nastolatka. *Zakochana nastolatka* – dodała w myślach i cicho pisnęła. Nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś ją to spotka.

Zerknęła na komórkę. Cholera, już była spóźniona. Przyspieszyła kroku i po chwili znalazła się przed domem Orłosa. Weszła przez uchyloną bramę na posesję. Czapy śniegu na ciągnącym się przed budynkiem labiryncie z żywopłotu uformowały dziwaczne kształty. Główki wyrastających obok ściany bylin na długich, prostych łodygach pokryte były szronem. *Jeżówki* – przemknęło jej przez głowę. Lubiła ich purpurowe kwiaty.

Zadzwoiła do drzwi i po chwili Michał Orłoś wprowadził ją do kuchni. Grabska знаła jego twarz ze zdjęcia dopiętego do akt Ady Milewskiej. W sumie niewiele się zmienił. Zmężniał, lekko posiwiiał. I oczywiście nie miał już tych długich do ramion włosów à la Michael Jackson.

– Nie będzie to dla pani problem, że w trakcie rozmowy będę przygotowywać kolację? – Wskazał na deskę, na której znajdowała się surowa wołowina. – Będę mieć później gościa – wyjaśnił.

– Oczywiście, to ja się spóźniłam – przepraszająco uśmiechnęła się Alicja i usiadła na hokerze przy kuchennej wyspie. – Ładnie tu u pana. – Rozejrzała się po nowoczesnej kuchni.

– Ostatnio wyremontowałem dom po rodzicach. Jakoś wcześniej nie było czasu i pieniędzy – odparł Michał.

– Dobrze wyszło – pochwaliła Alicja i wyjęła z torebki dyktafon.

– Nie będzie panu przeszkadzać?

– Skądże – zgodził się Orłoś.

Wziął do ręki duży nóż i kilkakrotnie przeciągnął nim po diamentowej ostrzałce. Następnie delikatnie przejechał palcem po ostrzu.

W jedną i drugą.

W jedną i drugą.

Dokładnie tak, jak Alicja we śnie. Dokładnie tak, jak Alicja, gdy była małą dziewczynką. Dziennikarkę przeszedł dziwny dreszcz. Niemal poczuła na opuszkach zimne ostrze. Nie mogła odegnąć wrażenia, że to ona przejeżdża palcami po klindze.

– Jestem gotowy, jakby co. – Jej otępienie przerwał głos Michała.

– Tak. Oczywiście. – Grabska wyprostowała się i skupiła. – Cóż, po pierwsze chciałam spytać, co pan poczuł na wieść o tym, że po tylu latach ujęto sprawcę morderstwa Ady Milewskiej.

– Co poczułem? – zamyślił się Michał. Wbił nóż w kawał mięsa i gładko ukroił różowy stek. – Niedowierzanie. Ulgę. Złość. Chyba dość sprzeczne emocje.

– To jak najbardziej normalne – uspokoiła Alicja. – Chyba wszyscy doświadczyliśmy podobnych uczuć, choć oczywiście nie byliśmy tak blisko związani z ofiarą jak pan.

Orłóś znów wbił ostrze w wołowinę. Odkroił kolejny kawałek.

– Czy ja wiem, czy byliśmy tak blisko? – zastanowił się.

– Co ma pan na myśli?

– Tak naprawdę nie znaliśmy się zbyt dobrze. Chyba nie zdążyliśmy się poznać. Czasami, gdy to wspominam, wydaje mi się, że zakochałem się w jakimś moim wyobrażeniu Ady.

– Cóż, chyba tak to właśnie jest – zaśmiała się lekko Alicja.

Co ona tak naprawdę wiedziała o Kordzie?

– Pewnie tak – przyznał Orłóś. – Widzi pani, bo ja w Adzie zakochałem się podczas zajęć tanecznych. Była taka nieśmiała, pełna wątpliwości. A zarazem miała w sobie coś takiego... Nie wiem. Była inna niż reszta dziewczyn. – Alicja kiwnęła ze zrozumieniem głową. Wiedziała, co Michael miał na myśli. – Wie pani, że kiedyś zostawiłem jej w szafce ciastko? W kształcie serca – prychnął. – I nawet list miłosny wysłałem. Napisałem jej, że jest idealna.

– To miłe.

– Tak. Byłem kiedyś romantykiem. Da pani wiarę? – Kolejny plaster mięsa wylądował na talerzu.

– I już pan nie jest?

– Nie – Orłóś odparł twardo. – Tamto mnie zmieniło. Przed snem wciąż widzę, jak ktoś rozłupuje jej czaszkę kamieniem. Brrr – wzdrygnął się i znów wbił się nożem w rostbef, z którego wyleciała krew.

Michał wziął ściereczkę i wytarł nią zakrwawioną klingę.

W tę i we w tę.

W tę i we w tę.

Alicja znów poczuła na opuszkach palców zimne ostrze i zrobiło jej się niedobrze.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała i wyszła do łazienki.

Zimna woda, którą spryskała twarz, trochę ją orzeźwiła. Skorzystała z toalety, wzięła kilka głębokich wdechów i wyszła na

korytarz. Chciała skierować się prosto do kuchni, lecz jej wzrok przyciągnęły uchylone drzwi do sypialni. Zawahała się, lecz dziennikarska ciekawość przeważała. Cichutko popchnęła skrzydło i stanęła w progu. Pokój mocno różnił się od reszty mieszkania. Ze ścian odchodziła farba, na podłodze leżały szare, a zapewne niegdyś żółte, kafle. Na ścianie nad jednoosobowym łóżkiem w żelaznej ramie wisiał krzyż z cierpiącym Jezusem.

To pewnie był pokój jego matki lub ojca – pomyślała Alicja i chciała się wycofać, lecz coś nagle mignęło na krzyżu. Zmrużyła oczy, lecz nie mogła dojrzeć, co to takiego. Spojrzała za siebie, ale korytarz był pusty. Michał pewnie dalej kroił wołowinę. Podeszła do łóżka. Zadarła głowę i wpatrzyła się w krucyfiks.

Na krzyżu wisiał łańcuszek. A na jego końcu mieniła się złota nutka.

„Ktokolwiek ma ten naszyjnik, to właśnie on zabił” – przypomniała sobie słowa Tomasza Milewskiego.

Po jej krzyżu przeszły dreszcze.

Nie. To niemożliwe – myślała gorączkowo. Przecież to nic nie znaczyło. Ojciec Ady nie był pewien, czy dziewczyna miała go na sobie w momencie śmierci. Może Ada dała go wcześniej Michaelowi? Albo go u niego zostawiła?

Odetchnęła. Ciśnienie, które niebezpiecznie przed chwilą wzrosło w jej głowie, powoli zaczęło opadać.

I nagle coś do niej dotarło.

Słowa Michała sprzed kilku minut: „Przed snem wciąż widzę, jak ktoś rozłupuje jej czaszkę kamieniem”. Adrenalina znów podskoczyła w jej krwi. Przecież nie mógł wiedzieć, jakiego narzędzia użył sprawca.

Nikt nie podał tego do prasy.

Alicja wyszła na korytarz i zaczęła biec. Gdy wypadła na dwór, drżącymi rękoma wybrała numer Kordey.

– To Michael – powiedziała. – To Michael zabił Adę Milewską.

1992

1

Z czarnego bezgwieздnego nieba sypał mokry śnieg. Duże płaty osiadały na jego policzkach i rzęsach. Pasemka włosów nieprzyjemnie przyklejały się do czoła.

Za chwilę powinna tu być. Michał Orłoś zerknął na zegarek, którego tarcza zaparowała od wilgoci. Przeskoczył bramę i schronił się pod drzewem w ogrodzie. To nie mogło się tak skończyć. Nie mogło! Zacisnął pięści. Wszystkie dziewczyny na niego leciały. Każda chciała z nim być. Ale on wybrał ją, a teraz ona z nim zerwała. Z nim! Co ona sobie myślała? Taka grubaska, której nikt nie chciał. Nagle taka pewna siebie. Taka dorosła. Doświadczona. Ustawiająca go niczym małego chłopca.

Zwykła kurwa – pomyślał pełen złości i odgarnął włosy z twarzy.

Usłyszał czyjeś kroki. To musiała być ona. Wszędzie poznałby ten krok. Zgrzytnęły klucze, furtka się uchyliła. Michał postąpił naprzód.

– Jest tu ktoś? – Ada zatrzymała się w pół kroku.

Nie odpowiedział. Nagle znów poczuł się zagubiony. Cała złość wyparowała jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tak bardzo jej pragnął. Tak bardzo ją kochał! Czemu mu to zrobiła? Czemu go odtrąciła? Złamała mu serce?

Przez chwilę było słychać jedynie spływające po rynnie krople.

Kap. Kap. Kap.

– Halo! – zawołała głośniej.

Wtedy wyszedł z ciemności. Światło wkomponowanej w mleczną osłonkę żarówki wiszącej na frontowej fasadzie padło mu na twarz.

– Boże, jak mnie wystraszyłeś. – Ada złapała się za serce. – Co ty tu robisz? – syknęła.

– Musiałem cię zobaczyć – odparł.

– Powaliło cię?! – obruszyła się. – Mówiłam ci, że nie chcę więcej się z tobą spotykać.

– Nie wierzę ci.

– To uwierz! – Dziewczyna ostentacyjnie ściągnęła brwi i ruszyła do przodu.

– To przez tego starucha, prawda? To przez niego – sarknął.

Ada się zatrzymała. Niespokojnie spojrzała w stronę okna, w którym pojawił się jej tata.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła.

– Dokładnie wiesz! Pierdolisz się z nim! Z tym starym dziadem, z którym widziała cię Waliza. Ruchasz się ze starym dziadem, a mną pogardziłaś. – Z niesmakiem pokiwał głową. – Jesteś zwykłą kurwą! – krzyknął.

– A ty jesteś zwykłym dzieciarem – syknęła Ada. – Niedoświadczonym zwykłym dzieciarem, który nie wie, jak dotykać kobietę.

– A ten staruch wie? – Kłykcie dłoni Michaela zbieleły, tak mocno je zacisnął.

– A żebyś wiedział! Żegnam. – Dziewczyna odwróciła się w stronę schodów.

– Nie możesz! – Chłopak złapał ją za ramię.

– Puszczaj. – Ada starała się wyrwać, lecz Michał coraz mocniej, coraz zachłanniej zaciskał palce na jej ręce.

– Nie możesz – zasyczał raz jeszcze.

Czuł, jak coś w niego wstępuje. Jeszcze nigdy nie ogarnęła go taka złość. Miał ochotę zrobić jej krzywdę. Chciał, żeby cierpiała. Musiała to dostrzec, bo jej oczy rozszerzyły się, jakby dosłownie wypełnił je strach. Chciała krzyknąć, lecz w tym momencie przycisnął jej usta skórzaną rękawiczką bez palców, którą zawsze nosił.

– Cicho bądź! – nakazał, lecz ona nie dawała za wygraną.

Z całych sił starała się wydać dźwięk, by ktoś ją usłyszał. Zaczęli się szarpać, aż Ada upadła na ziemię. Z głowy zsunęła jej się czapka. W krótkie, pofarbowane na czarno włosy wsiąkało muliste, zimne błoto. Michael automatycznie usiadł na niej okrakiem. Poczuł, że jego męskość robi się twarda. Był tak podniecony jak nigdy wcześniej.

– Zamknij się – nakazał. – Uspokój się! – Lecz ona wierzgała jak szalona, krzycząc w rękawiczkę. – Uspokój się, ty suko! – Zdesperowany wymierzył cios w jej oko. Na chwilę przestała się

ruszać, lecz za moment znów zaczęła niespokojnie się rzucać. – Ty suko! – powtórzył i znów wymierzył cios.

Tym razem trafił w skroń. Jej głowa przechyliła się w prawo, a ona zamarła.

– I kto teraz jest niedoświadczony, co? Kto teraz jest górą? – warczał jak w transie, ściągając jej spodnie i zaczynając się w niej poruszać. – Tego chciałaś? Tego? Tak się lubisz ruchać ze swoim gachem?

Było mu tak bardzo dobrze. Tak bardzo dobrze. Czuł, że zaraz dojdzie. Potrzebował tylko chwili, by...

Ada dźwignęła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Dojrzał w nich pogardę.

– Nie patrz na mnie, kurwo – powiedział przez zęby.

Wymacał leżący obok kamień. Zacisnął na nim dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce.

– Nie patrz!!! – zasyczał.

I uderzył w jej głowę. Raz i drugi, aż nagle zeszywniała. Spojrzał na trzymany kamień. Był cały we krwi. Przeniósł wzrok na dziewczynę. Nie wyglądała jak ona.

– Ada? – Nachylił się nad nią. – Ada? – powtórzył z niepokojem.

Serce mu waliło, w uszach szumiało.

Boże? Co on zrobił? Co on zrobił?

Wstał i zamknął rozporek.

Rozejrzał się. Nikogo tu nie było. Nikt go nie widział.

Jeszcze raz zerknął na bezwładne ciało dziewczyny. Brunatna krew powoli rozlewała się wokół jej głowy po białym śniegu. Powoli docierała do leżącego na ziemi łańcuszka, który musiał zerwać się Adzie z szyi. Automatycznie go podniósł, schował do kieszeni i wybiegł na ulicę.

2020

Raz. Dwa. Trzy.

Palce Liwii prześlizgiwały się po nierównościach. Rowek, wypłaszczenie, rowek, wypłaszczenie. Długie paznokcie drapały powierzchnię z cichym chrzęstem.

Chrzęst. Chrzęst.

Było w tym skrobaniu coś uspokajającego. W końcu w rytmicznie powtarzanym dźwięku zamykał się teraz jej cały świat.

Raz. Dwa. Trzy.

Dziwna była ta miłość. Bolała. Ale nie znała innej. Może inna wcale nie istniała? Może tak właśnie powinno być?

Raz. Dwa. Trzy.

Czuła dziwny spokój. Deski przestały wbijać się w ciało, jakby jej skóra przyzwyczała się do tego miejsca. Jakby stawała się jego częścią. Uczyła się cierpliwości. Nigdy jej nie miała. Wszystkiego chciała nagle, właśnie teraz, jakby od tego zależało jej szczęście. A przecież i tak nie była szczęśliwa. Miała tak wiele, a jakby nie miała nic.

Teraz zaczynała to rozumieć, jakby rodziła się na nowo.

Raz. Dwa. Trzy.

Opuszki palców uczyły się rozpoznawać to, na co normalnie nie zwróciłyby uwagi.

Nagle coś zaszurało, huknęło. Zamarła i wstrzymała oddech. Dłoń zatrzymała się. Paznokieć utkwił pomiędzy polami niczym wskazówka w kole fortuny.

Znów ten dźwięk. Jakby ktoś dobijał się do drzwi. Jej serce zaczęło nerwowo kołatać, ale i tak wyraźnie słyszała, jak ktoś przekręca klucz w zamku. Coś szarpnęło. Ogarniająca ją ciemność rozproszyła się, a nad nią pochyliły się twarze. Nie. Nie. Nie. Nie. Ogarnęła ją panika. Wszystko zaczęło wirować. Oślepiające światło na suficie. Wyciągające się po nią ręce.

– Zostawcie mnie. Zostawcie – zaczęła powtarzać. – Zostawcie, bo inaczej on mnie tu zamknie na zawsze – szarpała się, ale ktoś

zaciśnięła dłonie pod jej ramionami i zaczął ciągnąć do góry. – Zostawcie! – prosiła, ale ręce nie ustępowały.

Ktoś coś do niej mówił, ale głos rozlewał się w głuchy szum. Nic nie rozumiała, ale bardzo się bała. Wyteżyła wzrok. W tłumie bezimiennych postaci starała się znaleźć Petera. Przy nim poczułaby się bezpieczniej, ale go tu nie było. A przecież chciała mu coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego.

Gdzie on jest? Gdzie on jest?

Ktoś złapał ją mocno w pasie i prowadził korytarzem. Obejrzała się jeszcze do tyłu. Otwarte wieko trumny spoglądało wprost na gołą wiszącą żarówkę.

Pod nogami poczuła zimne kafle.

Schody.

Hol.

Gdzie on jest? Gdzie on jest?

Histerycznie się rozglądała. Nagle go dojrzała. Siedział przy stole w dużym pokoju i patrzył wprost na nią.

Widział ją. Boże. Widział. Zamknie ją już na zawsze.

– Wymyśliłam je! – zaczęła rozpaczliwie krzyczeć w jego stronę. – Wymyśliłam moje imię!

Starała się wyrwać, lecz mocny uścisk jej nie pozwolił.

– Chodź, chodź ze mną – szeptał mężczyzna z blizną i prowadził ją do wyjścia.

Otwarte drzwi.

Światło.

Świat pokryty śniegiem.

Teraz też za oknem padał śnieg. Duże płatki osiadały na trawie, żywopłocie i gałęziach drzew. Liwia stała tak od dłuższej chwili, a wspomnienie tamtego dnia powracało raz za razem. Obsesyjnie i uporczywie, jakby nadal nie mogła go przepracować. Westchnęła. Roztaczający się za szybą ogród znikał coraz bardziej pod białą, mroźną pierzyną. Wszystko traciło kształty i kolory; stawało się nieostrą masą. Zupełnie jak ona.

Nagle ktoś delikatnie zapukał do drzwi i nacisnął klamkę. Wzdrygnęła się, bo znów opadł na nią lęk. Nie mogła się go pozbyć, a każdy dźwięk jedynie go wzmacniał.

– Liwia. – Usłyszała głos ojca. – Wszystko w porządku? Liwia?

Dziewczyna nadal patrzyła w okno. Nie odwróciła się, jakby z zewnątrz ciągnęła ją jakaś siła.

Nie jestem Liwia – pomyślała. Mam na imię...

Podziękowania

Szczególny wkład w tę książkę miała moja siostrzenica i przyjaciółka Sara Bergmann, której zadedykowałam *Szum*. To Sara podrzuciła mi pomysł stworzenia bohaterki o budowie „thicc”, co następnie nadało ton całej opowieści, pomagała w researchu, a także dzieliła się ze mną swoimi odczuciami i przemyśleniami dotyczącymi ciała, w którym jesteśmy zamknięci. Dziękuję! Za to, że jesteś, że kolorujesz mój świat i dajesz mi świeże spojrzenie na rzeczywistość.

Serdeczne podziękowania za rozmowy o postrzeganiu własnego ciała i emocjach związanych z okresem dorastania ślę Paulinie Starnawskiej. Kajtusiowi dziękuję za podrzucenie tematu CB-radia oraz za wspomnienie o bezpiecznie pachnącym kurczakiem i papierosami mieszkaniu naszej cioci. Uściski dla Krzysztofa Sado Sadowskiego za sugestywny opis koncertowego utworu oraz przesyłane z zamknięcia fotografie, które pozwoliły mi wczuć się w emocje przeżywane przez Liwię.

Pisząc *Szum*, inspirowałam się również postacią Mery Spolsky i jej przejmującą książką *Jestem Marysia i chyba się zabiję dzisiaj*, stanowiącej zwierciadło sposobu myślenia o sobie wielu dziewczyn. Mery, sprawiasz, że zaczynamy patrzeć na siebie z nieskrępowaną miłością. Dziękuję ci za to.

Za ogromną pomoc merytoryczną dziękuję dr Marcie Skowron Volponi, entomolożce pracującej w Pracowni Biologii Ewolucyjnej i Ekologii Owadów. Dziękuję za *Attacus atlas* i wyczerpujące odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Kontakt z Panią uważam za niesamowite zrzędzenie losu.

Za konsultacje z zakresu wiedzy policyjnej nieodmiennie dziękuję Andrzejowi vel Kyokushinowi, na którego wsparcie i zaangażowanie zawsze mogę liczyć. Paweł Wawrzyniak tradycyjnie służył mi pomocą w zakresie wiedzy informatycznej. Serdecznie dziękuję! Jesteś niezastąpiony!

Za pierwsze, budujące i konstruktywne, recenzje serdecznie dziękuję instagramerom – Patrykowi Sakowiczowi (CzytamPowoli) i Pawłowi Ćwikowi (Spursmaniak). Patryk, dziękuję ponadto za „tygryska”, „kropkę nienawiści na końcu” i kilka innych rzeczy, które podebrałam z naszej korespondencji =)

Marysi Tengowskiej serdecznie dziękuję za redakcyjne uwagi. Ukłony dla Joanny Kłos za redakcję językową i zaimkową analizę zagadnienia niebinarności. Podziękowania dla Janiny Bąk (Janina Daily) i Teo za konsultację w sprawie samookreślenia postaci Rina. Uświadomiliście mi, że nie ma tu jednej obowiązującej odpowiedzi.

Kreując postać ekolożki sądowej, Janiny Hinc, inspirowałam się książką Patricii Wilthire *Ślady zbrodni*, z której zaczerpnęłam wiele pomocnych informacji na temat mikrośladów będących „niemymi świadkami zbrodni”. W książce poczytałam również szereg odniesień do prawdziwych dramatycznych wydarzeń, w tym zaginięcia na terenie Trójmiasta Iwony Wieczorek oraz morderstwa Darii Relugi – utalentowanej, ujmującej dziewczyny, której historia w kilku miejscach przeniknęła do postaci Ady Milewskiej.

Jak zwykle uprzedzam, że na potrzeby książki dokonałam mniej lub bardziej celowych przeinaczeń merytorycznych i przesunięć czasowych, za które przepraszam, ale! historia ponad wszystko! Wychodzę z założenia, że liczą się tropy nawiązujące do opisywanej dekady, nie zaś dokładne daty. Zaznaczam również, że wszystkie podobieństwa do osób i zdarzeń są nieprzypadkowe, jednak opowiedziana historia nie zdarzyła się naprawdę.

Na koniec ślę uściski dla Moich Osób, które budują mój piękny Kosmos.

Redaktor inicjujący: Maria Tengowska
Redaktorka prowadząca: Aleksandra Janiszewska
Redakcja: Joanna Kłos
Korekta: Marta Stochmiałek, Hanna Trubicka

Projekt okładki: Natalia Twardy

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-212-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo